

Pogromca serc

Becnel Roxanne



calibre 0.9.43

Pogromca serc

Becnel Roxanne



calibre 0.9.43

Rexanne Becnel

Pogromca serc

Prolog

„LONDON TATTLER", 18 stycznia

Po bez mata dwóch latach nieobecności w kręgach towarzyskich Londynu powrócił z pobytu w krajach Orientu James Lindford, wicehrabia Farley. Jego matka i ojczym,

wicehrabiostwo Acton, wydali w swoim domu przy Portman Square wytworną kolację na jego cześć. On sam zamierza pokazać się towarzystwu na balu u Edgertonów w następnny wtorek.

„LONDON TATTLER”, 22 stycznia

Hrabia i hrabina Basingstoke ogłosili zaręczyny swojej najmłodszej córki, przepięknej lady Catherine, z Jamesem Lindfordem, wicehrabią Farley. Choć niektórym zaskoczyło to wydarzenie, nasz wierny korespondent od dawna już podejrzewał, że para ta stanie na ślubnym kobiercu. Wszak lord Farley jest żywotnie zainteresowany sprawami zagranicznymi naszego wielkiego kraju, a hrabia Basingstoke jest jednym z najbardziej zaufanych doradców króla w tych kwestiach.

Należy mieć nadzieję, że teraz lord Farley tym chętniej osiadzie w ojczyźnie i zajmie się polityką zagraniczną, zaprzestając pogoni za przygodą, jaka przystoi jedynie młodym dżentelmenom stanu wolnego.

„LONDON TATTLER”, 30 stycznia

Uroczą lady Catherine Winfield wraz z narzeczonym Jamesem Lindfordem, lordem Farleyem, widziani byli w Operze Francuskiej. Wszyscy są zgodni co do tego, że jest to najpiękniejsza para, jaką przyszło nam podziwiać ostatnimi czasy. Mówi się, że uroczystości ich zaślubin przewyższą świetnością ślub księcia i księżnej Ashbourne.

„LONDON TATTLER”, 4 lutego

Połowa towarzystwa z wyższych sfer Londynu zapewne pozostaje dziś w łóżkach, złożona gorączką, gdyż pomimo śnieżycy, która nawiedziła miasto zeszłej nocy, na przyjęcie zaręczynowe do rezydencji Basingstoke'ów przybył istny tłum. Dam w głęboko wydekoltowanych kreacjach widziano tam więcej niż na balu w pełni lata. Lady Catherine, niebawem wicehrabina Farley, była promienną i niekwestionowaną gwiazdą wieczoru, otoczoną wianuszkami wpatrzonych w nią adoratorów.

„LONDON TATTLER", 6 lutego

Rozeszła się paskudna plotka, która wnet okazała się niczym innym jak szczerą prawdą. Wasz wierny korespondent dowiedział się, że w niecałe trzy tygodnie po zaręczynach hucznie celebrowane połączenie rodów Basingstoke'ow i Farleyów może nie dojść do skutku. Wygląda na to, że szlachetny lord Farley poczynił sobie w zdecydowanie nieszlachetny sposób - choć wiadomą jest rzeczą, że postępuje tak większość młodzieńców udających się za granicę. On jednak miał czelność sprowadzić rezultaty swej beztroski do własnego domu. Biedna lady Catherine jest w szoku i musiała położyć się do łóżka.

„LONDON TATTLER", 9 lutego

Z hałasu wokół sprawy Farleya wylania się najświeższa wieść. Taka mianowicie, że kawalerskie gospodarstwo wicehrabiego powiększyło się teraz o dwoje nowych mieszkańców. Są to dziewczynka i niemowlę, jego dzieci (z nieformalnego związku). Czegóż trzeba więcej? Wasz wierny korespondent widział je i z żalem donosi, że niemowlę jest ciemnoskóre - oczywisty dowód igraszek z jakąś egzotyczną istotą ze Wschodu. Nie ma teraz wątpliwości co do skandalicznych przygód lorda Farleya za granicą. Dociekliwe umysły zastanawiają się, czy skoro trasa jego podróży wiodła przez Lizbonę, Neapol, Kair i Bombaj, zamierza on przedstawić narzeczonej efekty pobytu w każdym z tych portów?

„LONDON TATTLER", 14 lutego

Święty Walenty przesyła pozdrowienia wszystkim zakochanym. Jednak święty patron miłości nie jest w stanie naprawić krzywdy, jaką lord Farley wyrządził kobiecie, która z takim oddaniem oczekiwała jego powrotu z długotrwałych wojaży zagranicznych. Wasz wierny korespondent jako pierwszy spieszy donieść o

oficjalnym zerwaniu zaręczyn pomiędzy śmiertelnie zranioną lady Catherine a uwodzicielem, lordem Farleyem. Mówi się, że aspiracje polityczne lorda Farleya nie tylko mu nie pomogą, ale wręcz zaszkodzą: pobłażliwość nie jest cechą, z jakiej słynie lord Basingstoke.

„LONDON TATTLER”, 19 lutego

Sklep pasmanteryjny przy Fleet Street w pobliżu Chancery Lane stał się sceną nieomal bójki pomiędzy powszechnie krytykowanym lordem Farleyem a wielmożnym panem Peterem Wilkersonem, średnim synem markiza Gorhama.

Gdyby nie przytomność umysłu pana Kerrigana Fairchilda, z pewnością polałaby się krew. Zdaje się, że lady Catherine ma wielu obrońców, którzy nie mogą wybaczyć lordowi Farleyowi śmiertelnego afrontu uczynionego byłej narzeczonej.

„LONDON TATTLER”, 24 lutego

Dwoje długoletnich służących w miejskiej rezydencji Farleya porzuciło swe posady. Choć żadne z nich nie miało ochoty wypowiadać się na temat zamętu, jaki zapanował w ich dotychczasowym miejscu zatrudnienia, żadne także nie zaprzeczyło, że trzy dni temu ktoś rozbił okno od frontu, podpalono szopę, w której mieści się pralnia, a w jednym z pokoi na parterze zerwano zasłony.

Wasz korespondent dostrzega aż nadto wyraźnie, że lord Farley musiał postradać zmysły. Być może na skutek podróży zagranicznych dostał zapalenia mózgu. Tak czy inaczej, szczęśliwym zrządzeniem losu lady Catherine odkryła jego moralną marność, zanim związała się z nim na wieczność.

Co do przepięknej lady Catherine, to w poniedziałkowy wieczór triumfalnie powróciła do towarzystwa na dorocznym raucie u hrabiny wdowy Bedham. We wspaniałej sukni ze złocistej gazy na ciemnożłotym jedwabiu, ozdobionej rozetami

wyszywanych z pereł, wkroczyła pod ramię z wielmożnym panem Percivalem

Langleyem, znanym powszechnie jako jej oddany obrońca i wielbiciel...

1

Płacz słyhać było w całym domu. Mimo że pokój dziecięcy znajdował się na drugim piętrze wschodniego skrzydła Farley Park, apartamenty pana domu zajmowały zaś pierwsze piętro skrzydła zachodniego, i tu dochodził krzyk dziecka, słaby, lecz nie mniej dręczący. Nawet kiedy James Lindford wycofał się do gabinetu na parterze, gdzie ściany wypełniały półki z książkami, nie mógł się całkiem odgrodzić od natarczywego dźwięku.

Co jest nie tak z tym dzieckiem, że płacze całymi nocami? Bezradnie przeczesał palcami potargane włosy, odwrócił się i odszedł od wysokiego okna z widokiem na spowity teraz mrokiem nocy krajobraz.

Bardziej zasadne byłoby pytanie, co jest nie tak z zatrudnioną przez niego opiekunką, że nie potrafi uspokoić biednego maleństwa.

Powinien przesypiać ten hałas. Małej Clarissie nie sprawiało to najmniejszego kłopotu. Ale z drugiej strony starsza z jego córek nie mogła nie spać w nocy. Tyle energii traciła na sianie zamętu za dnia, że co wieczór padała wyczerpana, tylko po to, by rano rozpocząć cały zgiełk na nowo.

Przystanął przed niewielkim kredensem z alkoholami i wyteżył słuch. Czyżby zapadła cisza?

Pełne złości, urywane zawrodozenie małej Lei rozległo się znowu. Była tak daleko, a równie dobrze mogłaby znajdować się w tym samym pokoju, tak bardzo jej płacz przeszywał mu serce i przepełniał dręczącym poczuciem winy.

Jak to się stało, że znalazł się w tej kłopotliwej sytuacji? Co go opętało, żeby

pomyśleć, że może być dobrym rodzicem dla dwóch małych dziewczynek, które tak niefrasobliwie spłodził? Jeśli wynajęci detektywi kiedykolwiek odnajdą jego trzecią córkę, a ona okaże się choć w połowie tak nieznośna jak te dwie, skończy w domu dla obłąkanych.

Gdzieś w oddali zapiał kogut, choć brzask ledwo majaczył nad horyzontem.

Tej nocy nie zazna więcej snu niż każdej innej w minionym tygodniu. Zamiast pocieszać się whisky, powinien pójść do dziecięcego pokoju i dodać otuchy biednemu, osieroconemu przez matkę dziecku. Może, przy odrobinie szczęścia, Clarissa pośpi dłużej niż zwykle, więc będzie musiał zatroszczyć się tylko o jedną nieszczęśliwą córkę, a nie o dwie naraz.

W pokoju dziecięcym paliła się tylko jedna świeca, ale i to wystarczyło, by ujawnić aż za dużo. Opiekunka leżała na swoim pościeli, schowana pod grubą kołdrą, z poduszką naciągniętą na głowę. Tymczasem Leya usiadła w łóżeczku, szlochając, jakby serce miało jej pęknąć. Poczucie winy zalało Jamesa jak marznący zimowy deszcz. Biedna dziewczynka ma zaledwie dziewięć miesięcy, a już umarła jej matka, rodzina matki odrzuciła ją z powodu mieszanej krwi hindusko-angielskiej, po czym wieziono ją przez pół świata do zimnego, obcego kraju, tak odmiennego od jej rodzinnych, ciepłych Indii. Nic dziwnego, że teraz pod opieką obcych i nieudolnego ojca płacze. Jej serce naprawdę pęka. A jego obowiązkiem jest to naprawić. Z

kolejnym westchnieniem, tym razem zdecydowania, przeszedł przez pokój, przysięgając sobie, że zwolni nieczułą opiekunkę o zimnym sercu i znajdzie kogoś — kogokolwiek — kto będzie potrafił ulżyć jego córeczce w nieszczęściu.

- Witaj, Leyo, jak się masz — powiedział z nadzieją, że jego szorstki głos brzmi bardziej kojąco dla jej uszu niż dla jego własnych.

Zaskoczona spojrzała na niego, łkanie uwieźło jej w gardle, ale bródka drżała, jakby

lada moment dziewczynka znów miała się rozpłakać. Wtem ziewnęła, a zanim zdążyła na nowo wybuchnąć płaczem, on podniósł ją razem ze skłębioną pościelą i zaczął tańczyć z nią walca po dachy pochyłym sufitem pokoju dziecięcego.

— Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Taki sobie walczyk. -Tulił ją mocno do siebie, bo przekonał się już, że dzięki temu mniej płacze, jakby bezpieczna w jego ramionach nabierała otuchy. — Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Miło z tobą tańczyć.

Leya ziewnęła jeszcze raz szeroko, westchnęła spazmatycznie i po chwili jej główka spoczęła na jego ramieniu. James się uśmiechnął, zanurzając policzek w jedwabistych, czarnych lokach maleństwa. Pomimo płaczliwego usposobienia była najbardziej zdumiewającą istotką, niewiarygodnie piękną z niebieskoszarymi oczami w oprawie gęstych czarnych rzęs. Teraz rzęsy te sklezione były łzami i nawet w śnie maleńka broda i usteczka drżały od nadmiaru nagromadzonych uczuć. Nie przestawał tańczyć, zwolnił tylko nieco, a śpiew ograniczył do mruczanej wersji najnowszego walca Straussa.

Mimo chaosu, jaki jej pojawienie się wprowadziło w jego życie, James dobrowolnie uznał Leyę za swoje dziecko i przyjął na siebie odpowiedzialność za nią. To samo dotyczyło Clarissy i trzeciego dziecka, którego miejsca pobytu jeszcze nie ustalono.

Wiedział, że ma dzieci iłożył na każde z nich od chwili narodzin. Przez lata przekonywał sam siebie, że wywiązuje się z obowiązków, zapewniając ich matkom stosowne środki na utrzymanie domu, ubrania, wyżywienie i naukę córek. Jednak dwa lata temu jego poczucie satysfakcji z roli, jaką odgrywa w ich życiu, zostało zachwiane. Stało się tak, gdy przybył z Ameryki Marshall MacDougal, poszukując mężczyzny, który zostawi go ojcem, niefrasobliwie go porzucił.

Mężczyzną tym okazał się pierwszy ojczym Jamesa, ojciec jego przyrodniej

siostry Olivii. Ojczym nie żył już od lat, ale jego dawny postępek mógł nie tylko zrujnować Olivie i ich matkę, ale także rzucić cień na reputację Jamesa i jego drugą przyrodnią siostrę, Sarah. Zamiast jedna zrujnować ich wszystkich, dochodząc swoich praw do majątku, który istotnie mu się należał, Marsh zakochał się do szaleństwa w Sarah. Po burzliwym narzeczeństwie pobrali się i wyjechali do Ameryki. Było to szczęśliwe zakończenie dla wszystkich zainteresowanych, ale Jamesowi pozostała bolesna świadomość, że byli o włos od katastrofy. Posiadłość, pieniądze, tytuły - wszyscy niebezpiecznie balansowali nad przepaścią, zagrożeni ich utratą i to dlatego, że ojciec Olivii samolubnie postanowił kiedyś zlekceważyć obowiązki wobec jednego ze swoich dzieci.

Historia Marsha sprawiła, że James zaczął myśleć o dwojgu dzieciach, których był ojcem - zwłaszcza odkąd coraz poważniej zastanawiał się nad małżeństwem. Na razie jednak nie podejmował żadnych kroków w związku ze swoimi córkami. I wtedy dowiedział się, że ma jeszcze jedno dziecko, bowiem w czasie jednego z jego pobytów w Bombaju w drzwiach stanął dziadek Lei, oznajmił, że Senita zmarła złożona nagłą gorączką i wepchnął w ramiona Jamesa jej dziecko.

Jego dziecko... Ten dzień odmienił wszystko. Z początku wzdbraniał się przyjąć dziecko, potem je pokochał. Zmiana dokonała się szybko, wręcz niedostrzegalnie. Powrót z dziewczynką z Bombaju do Londynu zajął mu dwa miesiące, dość czasu, by zdecydować, że pora odnaleźć pozostałą dwójkę nieślubnych dzieci. Postanowił, że żadnemu z dzieci nie da powodu, by musiało się mścić, rujnując jego reputację i życie jego prawowitej rodziny. Spotka się ze swoimi córkami, pozna je, pokieruje ich edukacją. Zamierzał także uwzględnić ich przyszłe potrzeby, zapewniając im

stosowne posagi. Jak wszystkie jego decyzje w interesach i ta była oparta na praktycznych podstawach i przekonaniu, że czas i pieniądze poświęcone dzieciom pewnego dnia okażą się dobrą inwestycją. Nigdy nie spodziewał się, że ta prosta decyzja otworzy puszkę Pandory. Kiedy odnalazł Clarissę, odkrył, że to stworzenie zupełnie niepodobne do niewinnej małej Lei: dziesięcioletnia ulicznica, którą wziął za małego chłopca. Brudnego kieszonkowca o plugawym języku.

Jej matka, niegdyś wspaniała śpiewaczka operowa, z biegiem lat stała się wiecznie pijaną, wulgarną ladacznicą. Zorientował się, że przepijała co do pensa pieniądze, jakie przysyłał na utrzymanie i kształcenie Clarissy.

Co gorsza, nie miał wątpliwości, że za rok czy dwa i Clarissa zostałaby zmuszona do pójścia w ślady matki. Był chory na samą myśl o tym. Zarazem ułatwiło mu to podjęcie decyzji. Nie miał innego wyjścia, jak tylko zabrać ją od matki i ochronić przed groźbą zarabiania na życie na ulicy.

Matka targowała się twardo, ale ją spłacił. Wtedy dopiero przekonał się, ku swemu utrapieniu, że z Clarissą — która domagała się, by ją nazywać Izzy -o wiele trudniej sobie poradzić niż z jej żalostną, chciwą matką. On był zdecydowany kształcić ją i ucywilizować, ona była równie zdecydowana mu się przeciwstawiać. Była jak dzikie kocię z pazurami ciągle w pogotowiu, syczące i szukające sposobności ucieczki.

Na domiar złego okazało się, że nie uda się ukryć obecności dziecka. Zanim mógł wyjaśnić sytuację Catherine i jej ojcu, prawda wyszła na jaw za sprawą jednego z tych szmatławców, które nazywają się gazetami. Wtedy było już za późno, by jego upokorzona narzeczona i jej rozwścieczony ojciec zechcieli go wysłuchać.

Jak rozpędzony galeon rozbijający się o nieoznaczone na mapie skały w morskiej toni, tak jego pozycja i kariera polityczna rozsypały się w drzazgi. Basingstoke dokładnie wiedział, z

kim w rządzie porozmawiać, a plotkarskie brukowce dopełniły

reszty. Bezsilny James wycofał się z córkami do Yorkshire, aby przeczekać, aż plotki ucichną, i zastanowić się, jak załagodzić sytuację. Była zła, ale stanowiła tylko chwilowe zboczenie z drogi wiodącej do ostatecznego celu - stanowiska

królewskiego doradcy do spraw zagranicznych. To jeszcze nie koniec, na to nie pozwoli. Póki co, musi czekać - i radzić sobie z dziećmi.

Ostrożnie, żeby gwałtownym ruchem nie zbudzić Lei, usiadł w fotelu na biegunach.

Wywiezienie Clarissy z Londynu było dobrym

pomysłem, powiedział sobie, zamykając oczy. W Londynie dwa razy uciekła, ale tu nie będzie mogła tego zrobić. Na wsi jest całkowicie pozbawiona takiej możliwości.

A do czasu, kiedy ośmieli się znów spróbować ucieczki, może nabierze do niego zaufania na tyle, że nie będzie chciała uciekać. Tymczasem on musi znaleźć dla niej guwernantkę i zatrudnić inną opiekunkę dla Lei...

Samo południe to nie najlepsza pora na łowienie ryb, ale ten wczesnowiosenny

dzień był tak ciepły i śliczny, że Phoebe i Churchill nie mogła oprzeć się naleganiom swojej siostrzenicy Helen, by go spędzić na świeżym powietrzu. W końcu u przecież

było już po obrządkach gospodarskich wokół kóz, kur, pszczół i ogrodu. Nie było

powodu, dla którego siedmioletnia Helen nie miałaby odbyć swojej codziennej

lekcji na dworze.

- A jak tam z wyrazami, które zaczynają się na m? - zasugerowała Phoebe, zarzucając linkę w najgłębszą część stawu.

- Hm. - Złotowłosa dziewczynka zmarszczyła brwi w skupieniu.

- Motyle.

- Bardzo dobrze.

- I miętowe cukierki.

- Jeszcze lepiej — pochwaliła Phoebe, zręcznie ciągnąc przynętę po spokojnej

toni stawu.

- Co by tu jeszcze... Miłość i mądrała, i... mała czterolistna koniczynka! —

wykrzyknęła Helen, podnosząc do góry roślinkę. - Patrz, Phoebe . Zobacz, co znalazłam!

Szarpnięcie na końcu linki nie pozwoliło Phoebe spojrzeć.

- Ma m go. Jaki wielki!

- Ni e zgub go! — zawołała Helen, doskakując do Phoebe.

- Chodź tu, panie pstrągu - zachęcała Phoebe, ciągnąc zdobycz wzdłuż brzegu stawu. - Będzie z ciebie pyszne danie. Albo i dwa

- dodała, bo ryba wyglądała na wielką i silną.

Kilka minut trwało podprowadzanie, zanim wyciągnęła srebrzystą rybę na brzeg i w doskonałych humorach mogły wrócić tam, gdzie zostawiły koszyk z drugim śniadaniem.

Tylko że ich stary wiklinowy koszyk zniknął.

— Co się dzieje? - Phoebe rozejrzała się zdezorientowana. Ni e było nie tylko

koszyka z połową bochenka chleba, słoikiem pikli i kawałkiem sera, ale też starego, postrzępionego koca, który rozłożyły na trawie pod drzewami.

— Co się stało z naszym drugim śniadaniem? - spytała Helen, rozglądając się, jakby ich piknik jakimś cudem sam zmienił miejsce.

— Ni e wie m — mruknęła Phoebe , przyglądając się zaroślom w poszukiwaniu śladu winowajcy. — Może Cyganie.

— Cyganie? — Helen natychmiast przywarła do boku Phoebe . — Chodźmy do domu , Phoebe. Cyganie są niedobrzy. Babcia mówiła, że to są okrutni złodzieje, którzy kradną niegrzeczne dzieci prosto z łóżek.

Dreszcz przeszedł Phoebe, kiedy spojrzała na linię drzew znanego, a teraz groźnego

lasu, ale do Hele n powiedziała:

— Więc ty nie masz się czego bać, prawda? Ty jesteś bardzo grzeczny m dzieckiem. Najgrzeczniejszym.

Czy m prędzej odeszły stamtąd. Przynajmniej miały pstrąga i ekwipunek do łowienia ryb. Jednak dla Phoeb e słaba to była pociecha. Może pan Blackstock ma rację, pomyślała. Moż e mieszkają za daleko od ludzi, żeby czuć się bezpiecznie.

Jeśli złodziej mógł je okraść w biały dzień, to co dopiero może stać się w nocy? Albo kiedy oddalą się od domu !

— Szybciutko - przynagliła, zaczynając biec.

— Czy oni nas gonią? — spytała Helen, ściskając dło n Phoeb e tak mocno , że aż zabolało.

— Ależ nie, kochanie. Jestem tylko strasznie głodna i tyle.

W domu wszystko wydawało się w porządku. Trzy kozy nadal pasły się na łące, kury dreptały po podwórku i ogrodzie, ale nie wyglądało na to, żeby jakiejś brakowało. Mimo to Phoeb e była zaniepokojona. Będzie musiała zawiadomić o tym zdarzeniu sędziego, kiedy tylko wybierze się do Swansford, nawet jeśli, jak wiedziała, pan Blackstock uzna to za kolejny powód, dla którego powinna sprzedać chatę i farmę, i przenieść się do miasta. Ni e chciała tego robić, przynajmniej dopóki los jej do tego nie zmusi.

Następnego ranka zniknęło wiadro i ogrodowa ławeczka. Widać było, że ktoś ciągnął ją po trawie.

Ale dlaczego Cyganie ukradli wiadro i ławkę, skoro z kozy mieliby o wiele więcej pożytku? To nie miało sensu. Moż e to wcale nie Cyganie. W takim razie, kto?

- Włóż żałobną sukienkę - powiedziała do Helen . - Idziemy do miasta.

Ni e musiała wyjaśniać, po co przekręca rzadko używany klucz w staroświeckim zamku w drzwiach. Szkoda, że nie może zamknąć na klucz marchewki i rzepy w

ogrodzie ani narzędzi w komórce koło kurnika.

Na trawie i wrzosach wciąż srebrzyła się rosa, kiedy szły do odległego o trzy kilometry Swansford.

Phoebe niosła trzy tuziny jaj, a Hele n gomółkę świeżego

koziego sera. Zamierzały wymienić je w dużym, świetnie zaopatrzonym sklepie parli

Leake na mąkę, mydło i nici. Miały też dwie książki do oddania panu Blackstockowi,

właścicielowi jedynej w mieście biblioteki.

Przed sklepem stały trzy starsze kobiety z koszykami na zakupy opartymi na

biodrach i z ożywieniem rozmawiały z pastorem. Wielki wóz stał przed wejściem.

Choć Phoebe nie widywała go często, poznała, że należy do Farley Park.

Wypełniony był już do połowy towarami.

- Wielkie nieba, wykupią cały sklep - mruknęła Phoebe. -Pospiesz się, Helen.

Wewnątrz, gdzie zazwyczaj było cicho i spokojnie, panowało niezwykle

poruszenie.

- Macie tu mydło w kostkach? - spytała chuda, żylasta kobieta.

- Tak, proszę pani. Proszę bardzo, proszę pani - powiedział Martin, syn pani

Leake, kiwając głową spoza czterech worków mąki chwiejących się na jego

ramieniu.

— A melasę?

— Już jest w wozie, proszę pani. Koło świec.

— Dobrze. Teraz mąka na ciasto. Na moje ciasta potrzebuję najdrobniej

mielonej mąki.

W tej chwili z zaplecza wyłoniła się pani Leake z naręczem sztuk płótna. Ujrzawszy

Phoebe, energicznie skinęła jej głową.

— Ma m nadzieję, że się nie spieszysz, moja Phoebe .

— Nie , ale czy zostanie dla nas trochę mydła i mąki?

— Dopilnuję tego. A tymczasem zostaw swój towar tam. -Wskazała na koniec lady.

- Może wolisz wrócić za jakieś pół godziny?

— Chyba tak zrobię. Czy coś się dzieje w Farley Park?

— O tak. Jego lordowska mość postanowił tu osiąść. Słyszałam, że na dłużej.

Jego gospodyni przyjechała dopilnować zakupów. Przepraszam cię, ale nie mogę teraz rozmawiać.

Kiedy zmierzały do wyjścia między naburmuszoną gospodynią a dwójgim sprzedawców, Helen pociągnęła Phoebe za rękaw.

— Kto to jest jego lordowska mość? Nigdy nie słyszałam o nikim, kto by się tak nazywał.

Żyłasta kobieta musiała mieć słuch jak kot, bo odwróciła się i skierowała bystre spojrzenie na Helen , potem na Phoebe .

— Żebyście wiedziały: James Lindford, wicehrabia Farley, osiadł w dom u swoich przodków po wielu latach nieobecności. Z pewnością kiedy już się zadomowi, złoży wizytę burmistrzowi, pastorowi i sędziemu. Do tego czasu będę wdzięczna wam i pozostałym mieszkańcom , jeżeli powstrzymacie się od domysłów na temat powodu jego powrotu oraz czasu trwania jego pobytu.

To powiedziawszy, zatrzymała biednego Martina chwytem przypominającym uszczyptnięcie.

— Niech no zobaczę sól. Nie ma m zamiaru przepłacać za sól zmieszaną z piaskiem czy kredą.

Na zewnątrz Phoebe i Hele n wymieniły spojrzenia; były skonsternowane.

— Mój Boże — odezwała się Phoebe , kiedy ruszyły w stronę dom u pana

Blackstocka. — Ależ ona była wściekła, co?

- Zupełnie jak babcia - zauważyła Helen. — Tak się dzieje, kiedy ktoś robi się stary.

Phoebe pokręciła głową. Usłyszeć coś takiego z ust dziecka. Ale to była prawda.

Matka Phoebe zmarła niecałe dwa tygodnie temu, a jaka wyraźna była już różnica w ich codziennym życiu. Bez Emilean Churchill, która za wszystko karciła i gniewała się, nie było już potrzeby chodzić na paluszkach, ukrywać najdrobniejszego cienia entuzjazmu, radości czy zwykłej, beztroskiej wesołości. Nie trzeba już było przesadnie uważać na maniery, czego matka wymagała od niej i jej siostry Louise, a ostatnimi czasy i od Helen.

Obowiązek, posłuszeństwo, moralność. To były sztańce, w obrębie których toczyło się życie matki. Ich dom był cichym, pozbawionym radości miejscem. Ale teraz już tak nie będzie. Gdyby tylko Phoebe potrafiła uciec przed dręczącym poczuciem winy. Powinna bardziej się smucić tym, że jej matka umarła. Tylko że dla niej smutniejsze od śmierci było życie, jakie wiodła matka.

Otrząsnąwszy się z tych myśli, zwróciła się do Helen :

— Podejrzewam, że gospodini lorda Farleya jest wściekła, bo nie zawiadomił jej o swoim przybyciu. Jak to mężczyzna — dodała po d nossem.

Choć Phoebe nigdy nie spotkała lorda Farleya, słyszała o nim przez całe życie.

Przede wszystkim uważano go za dżentelmena w każdym calu, mającego głowę do interesów, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że tytuł uzyskał w tak młodym wieku.

Duma i radość matki. W opinii dzierżawców dobry pan, choć nieobecny.

Najwyraźniej był głową rodziny dla matki i dwóch sióstr przyrodnych i zarządzał ich majątkami, dopóki nie powychodziły za mąż. Z drugiej strony przemilczano fakt, że

był już po trzydziestce, a jeszcze się nie ożenił. Chodziły słuchy, że przedkłada podniety

wielkomięskiego życia i podróże zagraniczne nad sielankowy spokój wsi

w Yorkshire. Szeptano także, że jest kobieciarzem i dokonuje licznych podbojów wśród dam z wyższych sfer.

Jako dobrze wychowana dama siostra barona, matka Phoebe skłonna była wybaczyć utytułowanym każdy bez mała grzech. Ale nawet ona ostrzegała swoje dwie córki, że bogaci czy biedni, mężczyźni są istotami chutliwymi, których nie można nigdy. Kontrakt małżeński to jedyn e zabezpieczenie kobiety. Co za tym idzie, na mężczyznę w dojrzałym wieku trzydziestu lat, który nadal pozostaje w stanie wolnym, należy patrzeć z pewną nieufnością.

Jednak to, czy wicehrabia jest uczciwym kawalerem, czy hulaką, nic Phoebe nie obchodziło, jeśli nadal mogła wymienić u pani Leake swój towar na to, co było jej potrzebne.

Phoebe i Helen doszły stromą, brukowaną ulicą do okazałego, dwupiętrowego domu u pana Blackstocka; okazało się, że nawet on jest poruszony powrotem lorda Farleya w rodzinne strony. Dowiedziały się, że w młodości pan Blackstock był zaufanym przyjacielem starego lorda Farleya, więc teraz powrót dziedzica wzbudził w nim falę wspomnień .

— To wielki dzień dla Swansford. Niezmiernie ważny dzień. Nie ma to, jak lord rezyduje w posiadłości. Skorzysta na tym cała okolica

- wyrzucał z siebie słowa, odbierając od Phoebe książki.

— Pani Leake skorzysta na pewno — zauważyła Phoebe . — Gospodyni

Farleya kupowała wszystko, co tylko wpadło jej w oczy. Ileż to osób przywiózł ze sobą?

Było to niewinne pytanie, całkowicie logiczne. Jednak z jakiegoś powodu pan

Blackstock uciekł wzrokiem i zaczął nerwowo przekładać rzeczy na zabałaganionym biurku.

— On , hm. . . z tego, co wiem, ma dwoje, hm. . . gości. No i oczywiście kilkoro dodatkowych służących do ich obsługi.

— Dwoje gości? Od bardzo dawna nie mieliśmy w okolicy gości z wyższych sfer.

Też z Londynu? Pan Blackstock odchrząknął.

— Co do tego, nie jestem pewien. Proszę, Phoebe . - Znalazł to, czego szukał na biurku, i podał jej starannie wykaligrafowany dokument . —To ustanawia ciebie i twoją siostrę spadkobierczyniami waszej matki, tak jak ona była spadkobierczynią waszego ojca. Ty i Louise dziedziczycie po połowie waszą rodzinną posiadłość na Śliwkowym Wzgórzu. Louise nie dała znaku życia, prawda?

- Wątpię nawet, czy dostała list, który wysłałam do Londynu.

Od ponad dwóch lat nie miały wieści od Louise. Ani życzeń na Boże Narodzenie, ani liściku na urodziny Helen. No i oczywiście ani pensa na utrzymanie szybko rosnącego dziecka. Bez względu na to, ile listów Phoebe wysłała, błagając Louise, żeby napisała do córki, nawet jeśli nie może przysłać pieniędzy, wszystkie pozostały bez odpowiedzi.

Gdyby Phoebe nie przywykła do egoizmu siostry, mogłaby się martwić, że przydarzyło się jej coś strasznego. Ale Louise zawsze spadała na cztery łapy i posiadała tę umiejętność w stopniu nieosiągalnym dla innych. Bardziej prawdopodobne, że Louise była zbyt zaprzątnięta najnowszym kochankiem i karierą aktorską, żeby zawracać sobie głowę rodziną. Reakcją Louise na wiadomość o śmierci matki byłoby zapewne niewiele więcej jak wzruszenie ramionami i stwierdzenie

- „No có ”

ż. Tylko tyle, cho

ć to ona by a

ł faworyzowan

ą córk

ą Emilean, t

ą pi k

ę n ,

ą

która jako dziecko nie mog a

ł zrobi

ć niczego z e

ł go. Jak na ironi ,

ę to Louise uciek a

ł

ze Śliwkowego Wzgórza i ze Swansford przy pierwszej nadarzaj c

ą ej si

ę okazji,

zostawiaj c

ą Phoebe opiek

ę nad starzej c

ą ymi si

ę rodzicami. T u

ł mi c

ą w sobie

roz a

ż lenie, Phoebe przebieg a

ł wzrokiem dokument przygotowany przez pana

Blackstocka i podpisa a

ł we wskazanym miejscu. Louise napisze lub pojawi się

wtedy, kiedy b d

ę zie to dla niej wygodne, nie wcze n

ś jej. Tymczasem Phoebe chcia a

ł

dowiedzie

ć si

ę czego

ś wi c

ę ej o tym, co dzieje si

ę w Farley Park, ale wyra n

ż ie

wyczuwa a

ł , e

ż pan Blackstock nie ma zamiaru plotkowa

ć o wysoko urodzonym synu

swojego wysoko urodzonego przyjaciela. Niemniej jednak Phoebe umia a

ł wyci g

ą nąć

w a

ł sne wnioski. Owszem, by a

ł y

ż j c

ą

ą na wsi prostaczk ,

ą na najlepszej drodze

dostaropanieństwa, ale du o

ż czyta a

ł i co

ś wiedzia a

ł o świecie. Poza tym jej siostra

była aktorką scen londyńskich, najślawniejszą kobietą pochodzącą ze Swansford. W

czasie ostatniej wizyty, cztery lata temu, Louise paplała jak najęta - w każdym razie wtedy, kiedy
matki nie było w pobliżu - i Phoebe, na której nietrudno było zrobić

wrażenie, nasłuchiwała się o rozmaitych skandalach.

Teraz więc wszystko było dla niej oczywiste. Skoro będący kawalerem lord przybył

niezapowiedziany do swojej wiejskiej posiadłości w towarzystwie dwojga gości, o

których tak szacowny dżentelmen jak pan Blackstock nie odważa się wspomnieć przy

niezamężnej kobiecie, jaką jest Phoebe, cóż, musi w tym być coś niestosownego.

Najprawdopodobniej chodzi o kobiety o wątpliwej reputacji.

Phoebe zastanawiała się nad tym przez dłuższą chwilę, wpatrując się niewidzącym

wzrokiem w kaligraficzne pismo dokumentu, który trzymała w dłoni. Co za szok,

jeśli to prawda. Z pewnością to było powodem podłego nastroju gospodyni.

Ale to nie jej problem.

- No wi c

ę, Phoebe — podją

ł pan Blackstock, odchrz k

ą n w

ą szy - czy zastanawia a

ł ś

si

ę nad tym, co mówi e

ł m o sprzeda y

ż farmy? Spojrza a

ł na niego zniecierpliwiona.

- Przykro mi, ale wciąż nie jestem gotowa do podjęcia takiej decyzji.

- Możesz być do tego zmuszona. Nie mogę dłużej nie zauważać, że zalegasz z

podatkami gruntowymi. Jak zbierzesz taką sumę, jeśli nie sprzedasz farmy —

przerwał, a jego pobrużdżoną twarz rozjaśnił uśmiech nadziei. - A może wyszłabyś

za mąż? Małżeństwo, tego ci trzeba wiesz? Dobry, ciężko pracujący mąż, który zadba

o takie sprawy jak ta za ciebie...

- Panie Blackstock - przerwała mu, z trudem tłumiąc irytację. Jej matka nie

była szczególnie szczęśliwa w małżeństwie z ciężko pracującym mężczyzną. -

Doceniam pańską troskę o moją sytuację finansową, ale przyszedłam do miasta w

zupełnie innej sprawie. Wygląda na to, że jest między nami złodziej.

Zamrugał powiekami ze zdumienia.

- Złodziej?

Chociaż pan Blackstock szczerze się przejął opowieścią Phoebe, wnioski, do jakich

doszedł, były zgoła odmienne.

- Nie mieliśmy złodzieja w Swansford od czasu aresztowania tego chłopaka, Thornleya, osiem, nie, dziewięć lat temu. Obrabował kasę u pani Leake, ale odkryliśmy to w porę. Nie, to jedyny złodziej w Swansford jeśli nie liczyć Brudnego Harry'ego z jego obyczajem dopisywania drobnych kwot do rachunku klientom zbyt pijanym, żeby to zauważyć. Widzisz więc, dziewczyno, że to musieli być Cyganie.

Wiadomo, że zaczynają wędrować wzdłuż wybrzeża, kiedy tylko się ociepli.

- Jeszcze się tak bardzo nie ociepliło. Poza tym Cyganie ukradliby raczej kury i kozy.

- No , jestem pewien, że Cyganie używają wiader i koszyków, tak jak wszyscy.

- I ławek ogrodowych?

Zmarszczył czoło, a jego krzaczaste brwi zlały się w jedną długą, siwą linię.

- Może zabrali ją... na opał.

- Mając las pełen drewna? A poza tym czy ktoś ostatnio widział w okolicy Cyganów?

- Cóż, nie. Ale oni są tacy przebiegli - powiedział, najwyraźniej tylko po to, żeby jego było na wierzchu. Phoebe westchnęła z irytacją.

- Ni e wierzę, że to Cyganie - upierała się. - Jedyne nowe twarze w okolicy to goście w Farley Park, a ich trudno podejrzewać. Zatem mój złodziej musi być stąd. Być może to tylko psota - mówiła dalej, zanim zdążył zaprzeczyć. -Wiem , że chłopcy potrafią być nieznośni. Aleja chcę odzyskać mój koszyk, moje wiadro i moją ławkę.

- Tak, tak. Moż e to być psota — zgodził się. — Zajmę się tym i zobaczymy, czego się dowiem. Wiesz jednak, droga Phoebe, że gdybyś przeprowadziła się do miasta albo wyszła za mąż, nie miałabyś takich problemów.

- Ni e przeprowadzam się. Jeszcze nie - powiedziała Phoebe, starając się być

uprzejma. -A co do małżeństwa, to najpierw trzeba znaleźć chętnego kandydata.

Marszcząc brwi, pan Blackstock usiadł głębiej w fotelu i złożył dłonie o palcach jak serdelki na opiętym kamizelką brzuchu.

- Jak chcesz. — Pomyślał chwilę, po czym twarz mu się rozjaśniła. -Jes t

jeszcze inne rozwiązanie. Ni e dla podatków, oczywiście, ale dla twojego

bezpieczeństwa. Doprawdy, wydaje mi się, że to samo sugerowałem twojej matce, po

tym jak twój ojciec zamknął oczy, Panie świeć nad duszami ich obojga. Ale ona

powiedziała, że nie lubi psów. Ani kotów.

- Pies. - Ziarno pomys u

ł natychmiast zakie k

ł owa o

ł w g o

ł wie Phoebe. - Pies

stró u

ż j c

ą y. Pan Blackstock pokiwa

łg o

ł w ,

ą bardzo z siebie zadowolony.

- Pies stróżujący — powtórzył. — A tak się właśnie składa, że suka Martina Leake'a

się oszczeniła. Urodziło się z tuzin szczeniaków. Oczywiście cztery od razu zdechły, ale zostało siedem czy osiem. Przypuszczam, że chętnie da ci jednego .

Pies. Kiedy Phoebe wyciągnęła Hele n z kuchn i Blackstocków, *gdzie raczyła się*

buleczkami z dżemem jeżynowym, i oznajmiła jej nowinę, oczy dziewczynki załśniły zachwytem.

- Szczeniak? Dla nas, żebyśmy go wzięły do domu?

Znalazły Martina za sklepem matki. Smarował osie wozu dostawczego przed poniedziałkowym kursem do Louth . W małym kojcu przy tylnych schodkach sklepu, u bok u dumnej matki kłębiły się szczeniaki.

- Przyszłaś w dobrym momencie, panno Phoebe. Właśnie są gotowe odejść od mamy. — Podniósł dłoń do góry. — Urodziły się na świętego Szymona. Potem mieliśmy świętego Oswalda i świętego Franciszka. Potem świętej Matyldy i świętego Bazylego. - Po kolei zaginał palce.

- Pastor mówi, że będą gotowe na świętego Ruperta, a to jest jutro.

- Rozumiem . Jak my l

ś isz, czy da o

ł by si

ę jednego wzię

ć o dzie

ń wcz e n

ś iej?

Prosz .

ę U m

ś iechną

łsi

ę g u

ł pawo, uszy mu poczerwienia y

ł .

- No.. . chyba.To znaczy... — Rumienie c pojawił się na jeg o twarzy, i tak ju ż

rumianej. - Dla ciebie, pann o Phoebe. Tylko dla ciebie.

- Och , dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

Martin Leake wyglądał na mężczyznę i jego wymagająca matka kazała mu pracować jak mężczyźnie, co nie zmieniało faktu, że był prostaczkiem, raczej przerośniętym dzieckiem, a nie mężczyzną. Miał dobry charakter, pracował sumiennie i był łagodny wobec zwierząt i dzieci. Phoebe podejrzewała czasami, że się w niej durzy, ale z drugiej strony rumienił się zawsze, kiedy jakakolwiek kobieta zwróciła na niego uwagę.

— No , Helen, możemy wybrać szczeniaka dzisiaj. Którego byś chciała?

Wybór był trudny, ale w końcu wspólnie z Phoebe wybrały najmniejszego pieska z krótkim ogonkiem, którym żywiołowo wymachiwał z zachwytu za każdym razem, kiedy tylko Helen go poklepała.

— Może się awanturować przez kilka pierwszych nocy — ostrzegł Martin, oddając szczeniaka w ramiona Helen. — Ale jeśli pozwolisz mu spać ze sobą, uspokoi się. Do tego przez tę bliskość staniesz się jego rodziną i będzie cię pilnował jeszcze lepiej.

Na drogę do domu Martin przywiązał do szyi pieska kawałek sznurka i choć Phoebe właściwie nie osiągnęła swojego celu, jaki m było wykrycie złodzieja, i tak poczuła się lepiej. Zawsze chciała mieć psa. Ojciec też, ale matka zabraniała. Gdyby to Louise chciała, matka z pewnością uległaby. Ale Louise była nie większą

miłośniczką psów niż ich matka. Zwierzęta są po to, żeby dawać mięso, mleko, ser i jajka, powtarzała.

Ich szczeniak zapewni im coś równie ważnego, powiedziała sobie Phoebe. Ochronę i towarzystwo.

- Jak go nazwiemy? - spytała Helen , kiedy powoli wracały do domu w coraz większym popołudniowym chłodzie.

- Jak tylko chcesz. Nie ciągnij tak mocno za sznurek, kochanie. Odwiążmy go

i nauczymy iść za nami. W ten sposób pozna drogę do domu i będzie umiał wrócić, kiedy gdzieś zawędruje.

Postanowiły nazwać go Bruno, odrzucając po kolei Laddie, Brownie, Spot i Mister.

Kiedy małe łapki Brunona nie chciały go już dalej nieść, wzięła go na ręce Helen. A kiedy jej ramiona osłabły, przejęła go Phoebe. Gdy już ominęły ostatnią sterczącą

skale, postawiła szczeniaka na ziemi i obie z Heleną pobiegły do chaty kamienistą ścieżką w dół zbocza, a piesek dzielnie podążył za nimi.

- To jest teraz twój dom - powiedziała Helen, przyklękając przy frontowych schodkach i czekając, aż Bruno do niej dobiegnie. - I będziesz odganiał od nas tych podłych rabusiów, prawda?

Najwyższa pora, pomyślała Phoebe. Ku swemu przerażeniu spostrzegła, że ktoś tu był podczas ich nieobecności. Ślady małych ubłoconych stóp na schodkach kuchennych, złamany patyk i rysa na okiennicy potwierdzały, że ktoś próbował ją wyważyć.

Nie podzieliła się swoimi spostrzeżeniami z Heleną. Włamywacze to tylko dzieci, pocieszała się. Ślady stóp były zbyt małe, żeby mógł to być ktoś inny. Jeśli przez kilka najbliższych dni nie będzie się oddalać od domu, to może mali chuligani dadzą za wygraną i odejdą, żeby nękać kogoś innego swoimi wcale niezabawnymi psotami.

Jednak trzy dni później psotnicy posunęli się za daleko. Kiedy Phoebe skończyła myć głowę Helenie i wyszły na dwór, żeby rozczesać włosy w pierwszych promieniach słońca, jakie pojawiły się po dwóch dniach mżawki, okazało się, że złodzieje uderzyli znowu. Tym razem ukradli psa, który miał bronić gospodarstwa. Zabrali Brunona.

Phoebe stłumiła przekleństwo, jakie nie przystoi damie. Helenie rozplakała się, ale Phoebe uspokoiła ją, badając jednocześnie miejsce przestępstwa. Bez wątplenia

ślady małych stóp biegły przez błotniste podwórze na pole i prawdopodobnie dalej, do pobliskiego lasu.

— Tym razem miarka się przebrała - mruknęła. — Przesadziliście.

- Ni e traciła czasu, żeby zabrać szal ani nawet zamknąć drzwi na klucz.- Chodź , Helen. Ni e mogą być daleko. Jeśli będzie trzeba, same złapiemy tych wstrętnych małych złodziei.

Hele n natychmiast przezwyciężyła lęk. Otarła łzy i bez marudzenia ruszyła za

Phoebe śladem stóp na rozmokłej ziemi i zdeptanej trawie na łące. Trudniej było

odnaleźć ślad w lesie, ale w dzieciństwie Phoebe stale przemierzała ten las i знаła

każdy rów i każdą dziurę, które nęciły ją jako dziewczynkę. Powoli skradały się pod sklepieniem dębów, wąską ścieżką, którą chodziły jelenie. Nagle Phoebe dosłyszała

coś i zamarła.

Przez chwilę nie było słycać nic poza poszumem wiatru w świeżo zazielenionych gałęziach drzew, codzienną krzątaniem ptaków, owadów i innych stworzeń.

Zaniepokojona Helen przywarła do Phoebe .

- Ciii - ostrzegła dziecko.

Dźwięk się powtórzył. Piskliwe szczekanie szczeniaka. Phoebe i Helen

jednocześnie pognały przed siebie, w kierunku, z którego dobiegało szczekanie, aż usłyszały także dziecięcy głos.

- To znaczy, że jesteś głodny? Ni e martw się, Georgie. Zwinę dla ciebie dobry kawałek baraniny z kuchni. Będzie ci smakować, prawda, mój Georgie?

Jedyną odpowiedzią było entuzjastyczne szczekanie pieska. Czy jest tam tylko jedno dziecko?

- Zostań tu - poleciła Phoebe szeptem. - Ni e wychodź, dopóki cię nie zawołam.

Powoli, krok po kroku zaczęła się posuwać do przodu, przez kłujące ostrokrzewy i rozwijające się pióropusze paproci.

- Przynieś - usłyszała komendę jak ą dziecko wydało szczeniakowi.

— Przynieś. Oczywiście, grubiutki, krótkonogi piesek nie opanował jeszcze tej sztuczki.

Spoza pnia wielkiego dębu Phoebe w końcu zobaczyła dziecko. Ku jej zaskoczeniu była to dziewczynka, bardzo brudna dziewczynka ubrana w coś, co wyglądało na elegancki płaszczyk, tyle że z oderwaną kieszenią i zwisającym brzegiem, spod którego wyglądały kompletnie zniszczone pończochy. Jednak jeszcze bardziej od jej wyglądu zdumiało Phoebe to, że dziecko było jej zupełnie nieznane. Z jasną cerą i włosami piaskowego koloru dziewczynka zdecydowanie nie była Cyganką. Nie pochodziła też ze Swansford ani z żadnej z okolicznych farm czy chat.

W tej chwili było to bez znaczenia. Tożsamość małej złodziejki będzie można ustalić później. Teraz Phoebe chodziło tylko o to, żeby schwytać tę chuligankę o lepkich palcach, zanim zdąży uciec.

- Jeśli nie chcesz przynieść, to co będziesz robić?

Phoebe patrzyła, jak dziewczynka siada po turecku przed dyszącym pieskiem i delikatnie przenosi go sobie na kolana.

— Jesteś zmęczony, biedactwo? Pospałybyś sobie?

To była okazja i Phoebe z niej skorzystała. Wyskoczyła zza drzewa i chwyciła dziewczynkę za ramię z taką samą siłą, z jaką zdarzało się jej łapać narowistą kozę.

Dziewczynka była silniejsza, niż mogło się wydawać. Wyrwała się, a szczeniak poszybował w powietrze, ale Phoebe rzuciła się i przewróciła ją na kępkę

kwitnących jagód. Całym ciężarem swojego ciała musiała unieruchomić dziecko,

przygniatając je do ziemi. Ni c jedna k nie mogło powstrzymać potok u plugawych przekleństw, jaki chlusnął z ust dziewczynki.

— Puść mnie, ty ciężki zadzie! Ty śmierdząca dziwko! Ty głupia suko! Phoeb e nie wierzyła własnym uszom.

— Masz natychmiast przestać! — syknęła.

— Wydrę ci serce! — piszczała dziewczynka, usiłując zepchnąć z siebie Phoebe. -Poczekaj tylko, ty zdziro!

— A ja umyję ci buzię mydłem. Gdzie jest moje wiadro i moja ławka?

— Idź do diabła!

Gdyby Phoebe tego nie słyszała, nigdy nie uwierzyłaby, że dziecko może posługiwać się takim językiem. I to dziewczynka. Odczuła pokusę, żeby dać po buzi temu bluzgającemu przekleństwami stworzeniu, byle tylko zamilkło. Sama jedna k jako dziecko dostawała po buzi wystarczająco często, żeby wiedzieć, że taka kara podsycy tylko niechęć. Nigdy nie podniosła ręki na Hele n i nie chciała dać się spro-wokować tej niewychowanej łobuzicy do uczynienia czegoś takiego teraz.

— Teraz pójdziemy - mruknęła, stawiając dziecko na nogi - nigdzie indziej, jak prosto do sędziego. Wtedy zobaczymy, jaka jesteś odważna, moja ty pyskata.

— Zgnij w piekle!

— To ty zgnijesz w wi z

ę ieniu, je l

ś i nie zmienisz swojego post p

ę owania -

odcię a

ł si

ę Phoebe , trzymaj c

ą w mocny m uchwycie przegub dziewczynki jedną

r k

ę ,

ą a drug

ą staraj c

ą si

ę doprowadzi

ć do porz d

ą ku swoj

ą spódnic .

ę Jaki chudy jest

ten przegub, zauwa y

ż a

ł . Spojrza a

ł na dziecko, usi u

ł j c

ą dojrze

ć co

ś przez g s

ę twinę

spl t

ą anych w o

ł sów, które opad y

ł mu na twarz. - Co

ś ty za jedna?

- Odwal się!

Phoebe poczuła niesmak. Bez względu na to, jak bardzo gniewali ją rodzice, nigdy nie powiedziała czegoś takiego jak ta dziewczynka ani nawet nie pomyślała. Musiała uzbroić się w cierpliwość, gdyż zdawała sobie sprawę, że pomimo całej zuchwałości, dziewczynka jest najprawdopodobniej przerażona.

- Powiedz mi, kim jesteś, i może załatwimy to z twoimi rodzicami, a nie z władzami.

Na te słowa dziewczynka spojrzała na nią. W jej miotających wściekłe spojrzenia oczach zamigotały chytre błyski.

- Rób sobie, co chcesz. Mój ojciec jest tu władzą. To on jest tu najważniejszy i to ty skończysz w więzieniu. Zobaczysz!

Dwie myśli zaświtały Phoebe w głowie. Po pierwsze, dziewczynka musi pochodzić z Londynu, nikt bowiem w okolicy nie mówi w ten szczególny, pospieszny i niewyraźny sposób. Po drugie, skoro nie podlega tutejszemu sędziemu, a tylko jedna osoba w tych stronach przewyższa rangą sędziego, znaczy to, że jej ojcem musi być... lord Farley?

Nie. To niemożliwe. Lord Farley nie ma dzieci. Nawet nie jest żonaty, bo przecież słyszałaby o tym. W całej okolicy huczałoby od tej wieści. Poza tym dziewczynka wygląda na nieco starszą od Helen.

Z drugiej strony jednak, dobrze wiedziała, są i dzieci z nieprawego łoża. Kradzieże zaczęły się po przyjeździe Farleya, a dziewczynka zmierzała w stronę Farley Park.

Wicehrabia mógł przywieźć do Farley Park nieślubną córkę. To by tłumaczyło jakoś jej ubrań, choć nie ich stan.

I pomyśleć, że tak uprzywilejowane dziecko kradnie! To rozwścieczyło Phoebe bardziej niż cokolwiek innego.

- Jakie prawo ma dziewczynka taka jak ty, żeby okradać nas, biednych ludzi?

Po chwili maszerowały przez las. Phoebe ciągnęła za sobą wstrętną małą złodziejkę, a Helen starała się nadążyć, taszcząc Brunona .

- Phoebe, zaczekaj - jęczała Helen .

- Phoebe jeździ - wyzywała druga dziewczynka. — Phoebe fleja. Phoebe stara wariatka.

Wszystko, co Phoebe mogła zrobić, to powstrzymać się przed warknięciem na obie dziewczynki. Zanim przecięły las i zbocze wzgórza skrótem prowadzącym do Farley Park, Helen płakała, a Phoebe klęła po dnosem. Jediną pociechą było to, że przeklęta mała złodziejka, którą schwytała, zasapała się i przestała obrzucać je wyzwiskami.

Właśnie gdy Phoebe pomyślała, że powinna kazać Helen usiąść i zaczekać, dostrzegła kominy Farley Park wylaniające się zza wzgórza. Jednocześnie ujrzała jeźdźca, który wyjechał zza tego samego wzgórza.

Spostrzegłszy je, jeździec wstrzymał konia, po czym zmienił kierunek i puścił się w stronę Phoebe i pokrytych błotem dziewczynek.

- Możesz tu usiąść, Helen - powiedziała Phoebe przez ramię.

— A ty lepiej się uspokój — nakazała drugiej, wzmacniając uchwyt, bowiem więźniarka znów zaczęła się wyrywać.

Odgarnawszy potargane włosy, wyprostowała się dumnie i w tej pozycji czekała na jeźdźca. Choć mężczyzna dosiadał wspaniałego wierzchowca szkolonego do polowań ze sforą psów, wyglądał raczej na bezlitosnego rozbójnika niż na członka Izby Lordów i Phoebe poczuła dreszcz niepokoju. Nieruchomie miał ani płaszcz, ani kapelusza, a złociste loki opadały w nieładzie na czoło.

Mimo to Phoebe nie miała wątpliwości, że to wicehrabia Farley, bowiem jego

postawa znamionowała arogancję i poczucie wyższości. Jechał na szlachetnym rumaku u siebie swobodą świadczącą o pochodzeniu, 'wyszkoleniu i światowości, obcych w tych stronach.

Lord czy nie lord, Phoebe utkwiała w wicehrabim, o który m tyle plotkowano, surowy 'wzrok. Jeśli 'wydaje mu się, że może narzucać swoje skandaliczne londyńskie obyczaje poczciwym ludziom ze Swansford, cóż, ona wyprowadzi go z błędu.

Kiedy koń zarył kopytami tuż przed nimi, nabrała oddechu dla uspokojenia i arogancko uniosła brodę. Trzymając mocno jego córkę złodziejkę, spojrzała na niego groźnie.

— Czy to możliwe, żeby to było pańskie dziecko?

2

James zeskoczył z siodła, zanim koń zatrzymał się na dobre.

- Clarissa! Dzięki Bogu. Gdzieś ty była?

- Czaiła się koło mojej farmy, oto gdzie była - odparła kobieta trzymająca dziewczynkę za ramię. Clarissa milczała. — Robiła, co mogła, żeby mnie okraść.

James zwrócił wzrok na nieco potarganą, najwyraźniej rozeźloną kobietę z małą dziewczynką wyglądającą zza jej spódnicy Niech to wszyscy diabli. Nie dość, że Clarissa sieje zamęt w jednym domu, to teraz jeszcze zaczęła to robić w innym.

- Zapewniam panią, że zrekompensuję wszelkie straty, jakie mogła spowodować moja córka. Chodź tu, Clarisso.

Clarissa rzuciła kobiecie wyzywający uśmiech i wyszarpnęła ramię. Jednak spojrzenie, które posłała Jamesowi, było jeszcze mniej przyjemne.

- Mówiłam ci, że masz mnie nazywać Izzy.

-A ja ci powiedziałem, żebyś tu podeszła — odwarknął.

Jego cierpliwość wobec niej wyczerpała się trzy dni temu, ale nic dobrego z tego nie wynikło. Tyle tylko, że zachowanie Izzy-Clarissy ze złego stało się jeszcze gorsze, po czym zupełnie nie do wytrzymania. Każdy radził mu co innego: grozić

karą, przekupywać prezentami, poświęcać jej całą uwagę, ignorować, kiedy się źle zachowuje, dawać klapsa, zamykać w pokoju, wysłać do szkoły z internatem.

Odesłać z powrotem do matki do Seven Dials, jednej z najpodlejszych dzielnic Londynu.

Tej ostatniej możliwości w ogóle nie brał pod uwagę. Seven Dials oznaczało dla tego dziecka tylko jednego rodzaju przyszłość: nikczemny żywot w bagnie złodziejstwa, pijaństwa, narkotyków i prostytucji. Bez względu na to, jakie piekło urządziła mu Clarissa, nie miał zamiaru dopuścić, by znów znalazła się choć w pobliżu tego miejsca czy swojej matki.

Był coraz bardziej przekonany, że jedynym słusznym wyborem jest szkoła z internatem. Zwłaszcza teraz, kiedy dziewczynka ostentacyjnie zignorowała jego polecenie i zamiast je spełnić, podeszła pogłaskać konia.

Niech to szlag!

Obie dłonie wczepił we włosy, byle tylko powstrzymać się przed wymierzeniem solidnego klapsa w tylną część ciała nieznośnej pierworodnej. Niecierpliwe „Hm, hm” nakazało mu znów zwrócić się ku oburzonej sąsiadce.

— Tak, nie zapomniałem o pani. Proszę mi powiedzieć, co Clarissa zrobiła, a zadbam o zadośćuczynienie za pani kłopoty.

- Ukradła moje wiadro na wodę, milordzie. Jak również koszyk, koc, przyznaję, stary i często naprawiany, oraz moją ławkę ogrodową. Na co jej były potrzebne te rzeczy, nie śmiem zgadywać. A dzisiaj dzisiaj ukradła naszego psa! —

wypchnęła przed siebie jasnowłosą dziewczynkę trzymającą szczeniaka. — Serce o mało nie pękło Helen, kiedy odkryłyśmy, że go nie ma.

- Wiadro, koc i ławka. Myślę, że funt wystarczy na pokrycie strat. A może gwinea?

Na wsi nieczęsto widywano gwinee i już dawno temu zorientował się, że posiadanie gwinei przydaje jej posiadaczowi szacunku. Jednak na tej kobiecie zdawało się to nie robić wielkiego wrażenia.

— Zapomniał pan o koszyku. Moja babka sama uplotła ten koszyk, milordzie. Jej prababka — dodała, wskazując na milczące dziecko przytulone do jej boku.

James spojrział na nią spod przymrużonych powiek. Czy ona próbuje wydusić z niego więcej pieniędzy? Jeśli tak, to nie mogła wybrać sobie gorszej pory. Przed wyjazdem z Londynu zdawało mu się, że najokropniejszy był ostatni tydzień jego pobytu w tym mieście, z zamętem spowodowanym rozwiązaniem kontraktu przedmałżeńskiego, z bolesnym końcem jego aspiracji politycznych i z plotkami, dla których pożywką było jedno i drugie. Dopiero jednak pierwszy tydzień na wsi stał się prawdziwym piekłem. Brak snu, nieznośne dzieci, krnąbrna służba. A teraz jeszcze jego córka, którą uchronił przed najędzniejszym losem w Seven Dials, dziękuje mu w ten sposób, że okazuje się bachorem o plugawym języku, niepoprawną kłamczucha i pospolitą złodziejką.

Co prawda niczego innego nie mógł oczekiwać, odkrywszy, że jej matka przepijała co do pensa hojnie łożone pieniądze na utrzymanie, jakie przysyłał przez ostatnich dziesięć lat, ale nie spodziewał się, że dziecko będzie go nienawidzić.

— Proszę wybaczyć - powiedział do sąsiadki, zbyt zirytowany całą sytuacją, aby zdobyć się na prawdziwie przeproszający ton. - Wygląda na to, że zapomniałem o manierach. Pani z pewnością domyśliła się mojej tożsamości. Czyja mógłbym spytać,

z kim mam przyjemność?

Wojowniczo uniosła brodę.

— Phoebe Churchill — odparła tonem nie mniej cierpkim niż jego. Nawet dygnięciem udało się jej okazać wzgardę.

Jak na prostą, wiejską kobietę, z włosami w nieładzie, w ubłoconej spódnicy, ze żdźbłami trawy i liśćmi, które przyczepiły się do jej stanika, była niebywale wyniosła. Polowa wielkich dam Londynu mogłaby jej tej wyniosłości pozazdrościć.

Nie miał zamiaru wdawać się w pogawędkę z tą osobą.

— Dziękuję, pani Churchill, że przyprowadziła pani Clarissę...

— Izzy! — wrzasnęła dziewczynka.

Nie zwracając uwagi na pyskatego ulicznika, jakim była jego córka, sięgnął do sakiewki.

— Proszę, oto gwinea. Jeśli nie uda nam się odnaleźć pani koszyka, przyślę przez kogoś ze służby więcej pieniędzy. Gdzie pani mieszka?

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, nie odwracając wzroku. Odniósł niepokojące wrażenie, że został zważony i zmierzony, że dostrzeżono jego wszystkie braki.

- Na Śliwkowym Wzgórzu - odparła, po czym nie biorąc od niego monety, zwróciła się do Clarissy, najwyraźniej uważając jego rolę za skończoną.

Zmarszczył brwi na to zuchwalstwo, ale czekał, przewidując z góry, co się stanie, kiedy kobieta podejdzie do jego dzikuski.

- Chciałabym dostać z powrotem moje rzeczy - powiedziała do dziewczynki.-

Jutrzejszy dzień mi odpowiada. Kiedy mogę się ciebie spodziewać?

Choć raz Clarissie odebrało mowę.

- No? - przynaglała kobieta. - O której? Rano będę piec ciasto, więc może

zechcesz przyjść, kiedy szarlotka będzie już gotowa?

Chociaż jedyną odpowiedzią Clarissy była naburmuszona mina, nie mogła

całkowicie przesłonić faktu, że zaproszenie pani Churchill zbiło ją z tropu. Ostatnie słowo należało zatem do tej kobiety, która teraz wzięła za rękę towarzyszącą jej małą dziewczynkę i zaszczywszy Jamesa zdawkowym skinieniem głową, zbierała się do

odejścia.

- Będziemy w domu przez cały dzień, Izzy, więc możesz przyjść, kiedy

zechcesz. Drogę znasz - powiedziała jeszcze na odchodnym i razem z małą ruszyły w drogę powrotną przez ugór.

- Zaczekaj!

Wszyscy spojrzeli na umorusaną Clarissę.

- Nie zostawisz mnie z nim, prawda? — wykrzyknęła.

Zarysowane łukowato brwi kobiety zbiegły się, a i ona rzuciła podejrzliwe spojrzenie na Jamesa.

- A nie powinnam? To twój ojciec.

- Ale... - Dziewczynka rzuciła oglupiałemu Jamesowi nienawistne spojrzenie.

— Ale on mnie bije.

- Niczego takiego nie robię! Nigdy nie podniosłem na nią ręki -zaklinał się James przed panią Churchill. - Choć nieraz mnie świerzbiła - dodał, nacierając na Clarissę.

W tej chwili sąsiadka stanęła dokładnie pomiędzy nim a jego przebiegłą latoroślą.

Spoglądając na niego podejrzliwie, zwróciła się do Clarissy:

- Co to znaczy „on mnie bije”?

— Nie biję jej! — zaprzeczał James.

— Biję! Biję!

Jak kameleon Clarissa przemieniła się z oskarżonego złodzieja w budzącą litość ofiarę. Jednocześnie pani Churchill z rozgniewanej sąsiadki stała się opiekuńczą matką. Przykucnęła przed Clarissa.

— Skrzywdził cię?

— Nie skrzywdziłem jej! — protestował James.

Pani Churchill podniosła się i gwałtownie odwróciła do niego.

— Proszę zamilknąć, lordzie Farley. Proszę nic nie mówić i pozwolić mnie się tym zająć.

Po tych słowach znów odwróciła się do niego tyłem. James dławił się z wściekłości.

Niech to diabli! Miał nieodpartą chęć udusić tę łatwowierną, wścibską babę.

— A teraz, Izzy — powiedziała, jakby go tam wcale nie było — opowiedz mi dokładnie, co się stało.

James nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Jego dziecko, które wyciągnął z rynsztoka i uchronił przed przeklętym losem, oskarża go o złe traktowanie. A ta druga dziewczynka, tuląc do siebie pieska, wpatruje się w niego wytrzeszczonymi oczami, jakby był diabłem z rogami, ogonem i kopytami.

— On mnie bije pasem - kłamała Clarissa, rzucając mu spojrzenie pełne urazy.

— I nie dałby mi kolacji. Ani śniadania.

— Rzeczywiście jesteś chuda - litowała się nad nią pani Churchill.

— Ma kuchnię pełną jedzenia. - James z trudem panował nad sobą.

— Wszystko, czego tylko mogłaby zapragnąć.

Pani Churchill uniosła dłoń, żeby go uciszyć, ale nie spuszczała wzroku z dziecka.

— Założę się, że bicie pasem musi boleć.

Dziecko skinęło głową, żywy obraz smutku.

— To było straszne. Po prostu straszne. Płakałam i płakałam, i błagałam go, żeby przestał. Ale on nie chciał.

— Ja nigdy... - zaczął znów James.

— Musisz mieć okropne siniaki - podsunęła pani Churchill.

— Tak, i potwornie bolą... — Dziewczynka urwała w pół kłamstwa. W tym samym momencie James zorientował się, dokąd prowadzą te indagacje.

Przyglądał się kobiecie z niechętnym szacunkiem, a ona pogładziła dziecko po głowie.

— Pokażesz mi swoje siniaki, prawda?

Dziewczynka spojrzała spode łba i odtrąciła jej rękę.

- Nie chcę.

— Czemu nie? — Pani Churchill wpatrywała się w twarz naburmuszonego dziecka.

— Czy może dlatego, że to wszystko zmyśliłaś?

Sądząc po zaciętym wyrazie twarzy córki, James był pewien, że Clarissa będzie się upierać przy swoim kłamstwie. Ona jednak była zupełnie nieprzewidywalna.

- Odczep się! - burknęła i bez uprzedzenia popędziła pod górę, w kierunku Farley Park.

Przez chwilę patrzył za nią. Przynajmniej uciekała w stronę domu, a nie w przeciwnym kierunku. Ale cała ta konfrontacja przygnębiła go na nowo, kiedy uświadomił sobie ogrom zadania, jakiego się podjął. Clarissa go nienawidzi. Walczy z nim na każdym kroku, a on nie wie, co ma z tym począć.

Za sobą usłyszał chrząknięcie pani Churchill.

— To my już pójdziemy — powiedziała, kiedy spojrzał na nią. — Mówiłam poważnie, zapraszając ją, żeby mnie odwiedziła. Mam nadzieję, że pozwoli jej pan

przyjść.

Skinął głową.

- Oczywiście. I dziękuję. — Zawahał się, po czym mówił dalej. — Chciałbym, żeby pani wiedziała, że nigdy nie podniosłem na nią ręki. Nigdy.

Uśmiechnęła się lekko, ale na tyle wyraźnie, że z ciekawością zaczął się jej przyglądać bliżej.

- Wiem. — Jej twarz spoważniała. — Co nie zmienia faktu, że ona chyba niezbyt pana lubi. Prawdę mówiąc, wcale, i to każe mi zastanawiać się dlaczego.

Nie dając mu czasu na wyjaśnienie sytuacji, odwróciła się, wzięła córeczkę za rękę i odeszła.

James patrzył w ślad za nią, zauważając za późno szczegóły, których nie dostrzegł

do tej pory. Kiedy schodziła ze wzgórza, widział jej proste, smukłe plecy, linię bioder i długie nogi okryte suknią, po kolana zanurzone w zeszłorocznej trawie na łące. Jej włosy miały odcień głębokiego brązu połyskującego czerwienią w coraz silniejszych

promieniach południowego słońca.

A oczy? Jakie ona ma oczy? Bursztynowo-brązowe, rozświetlone, pełne życia, przypominał sobie. Nie piękność, ale frapująca kobieta, zapadająca w pamięć.

Zwłaszcza kiedy się uśmiecha.

Dopiero na wspomnienie, że jest mężatką i ma dziecko, odwrócił wzrok od oddalającej się postaci. Ale nawet wtedy wymagało to od niego siły woli. To przez zadawanie się ze zbyt wieloma kobietami znalazł się w obecnej sytuacji. Nie może sobie pozwolić na to samo tutaj, zwłaszcza kiedy cała okolica śledzi każdy jego krok.

Ale też, jeśli nie znajdzie jakiejś przeciwwagi dla ogarniającej go frustracji, Bóg jeden wie, kiedy i gdzie wybuchnie,

Tymczasem musi się wziąć do swojej nieokrzęsanej córki.

Tłumiąc przekleństwo, czując się o wiele starszej niż na trzydzieści cztery lata, chwycił pasącego się konia za uzdę, dźwignął się na siodło i ruszył za swoim dzieckiem.

- Czy to był jego lordowska mość? - spytała Helen, kiedy znalazły się w

połowie drogi w dół stoku. Pograżona w myślach Phoebe nie odpowiedziała od razu.

- Tak, ale naprawdę nazywa się James Lindford, wicehrabia Farley. Jeśli

kiedykolwiek zwróci się do ciebie, masz dygnąć, powiedzieć „milordzie” i okazać swoje najlepsze maniery.

Schodziły dalej w dół, a Helen przetrawiała te informacje. Przed nimi podskakiwały

świerszcze, unosiły się chmarą komary i inne brzęczące owady, a suche źdźbła

zeszłorocznej trawy szeleściły

o spódnicę.

- Jego córka, ta dziewczynka Izzy, ona nie ma bardzo dobrych manier. I jest kłamczucha, prawda?

— Obawiam się, że tak. Ale myślę, że ona zachowuje się w ten sposób tylko

dlatego, że nikt nie nauczył jej niczego lepszego.

— Czy to znaczy, że jej ojciec nie jest bardzo dobrym ojcem?

Na to by wyglądało. Ale Phoebe odpowiedziała krótko:

— Nie jestem pewna, jakie są między nimi relacje. — Była jednak

wystarczająco zaintrygowana, żeby mieć ochotę się dowiedzieć.

— Ciekawa jestem, gdzie jest jej matka.

Jej matka, która nie jest żoną lorda Farleya. Jak dotąd, co wiedział każdy,

wicehrabia był kawalerem. A mimo to bez skrępowania nazywał Izzy swoją córką.

To by potwierdzało pierwsze domysły Phoebe, że Izzy musi być nieślubnym

dzieckiem.

Tak jak Helen.

Współczucie Phoebe dla nieszczęśliwej dziewczynki natychmiast wzrosło.

Zważywszy na dziki wygląd i zachowanie, czy nie mogło być tak, że pojawiła się w

domu lorda Farleya dopiero teraz? Do Helen powiedziała:

— Sądząc po akcencie, dziewczynka i jej matka prawdopodobnie mieszkały w Londynie.

— W Londynie? Och, to może ona zna moją matkę!

Phoebe pochyliła się i przytuliła Helen. Nieustanna tęsknota siostrzenicy za nieobecną matką była dla nich obu źródłem ciągłego bólu, który podsycił urazę tłącą się w sercu Phoebe. Nie była w stanie pojąć, jak Louise mogła tak całkowicie zaniedbać własną córkę. Nigdy tego nie pojmie.

— Obawiam się, że to mało prawdopodobne, żeby się znały, kochanie. Londyn to ogromne miasto, wiesz, wielkie jak sto Swansford. Może nawet tysiąc.

— Tysiąc?

Phoebe pokiwała głową.

— A co byś powiedziała, żebyśmy się potoczyły z górki? Byle tylko odwrócić uwagę Helen od tematu Londynu i matki, która nigdy nie przyjeżdża jej odwiedzić.

Izzy nie przysłała następnego dnia na szarlotkę, czym Phoebe była bardzo rozczarowana.

- Cieszę się, że ona nie przysłała - powiedziała Helen, zlizując z palców słodkie okruchy ciastka. - Jest podła i nie lubię jej.

- To, co zrobiła, było podłe. Ale domyślam się, że nie zawsze jest podła. To pewno dlatego, że nie ma tu żadnych przyjaciół.

-

Ja też nie mam żadnych przyjaciół, a nie jestem podła..

- Ty masz mnie.

Helen zachichotała.

- To co innego. Ty jesteś moją ciocią.-W zamyśleniu zmarszczyła czoło.— Ciekawa jestem, czy ona ma taką ciocię jak ty. Phoebe wzruszyła ramionami, dojadając swój

kawałek szarlotki.

- Izzy wyglą

ą a na bardzo samotn

ą mał

ądziewczynek .

ę Mo e

ż potrzebuje przyjaciół k

ł i

albo dwóch. Helen zmarszczyła

ł nosek.

- Tylko nie mnie.

Phoebe nie drążyła dalej tematu, ale nie rezygnowała z pomysłu. Izzy i Helen miały ze sobą wiele wspólnego. Obie były nieślubnymi dziećmi i inne dzieci mogły im z tego powodu dokuczać. Choć dzieci ze Swansford powtarzały tylko to, co słyszały od rodziców, ich słowa raniły uczucia tak wrażliwego dziecka jak Helen, i to jeszcze długo po tym jak zostały wypowiedziane. Dlatego Helen nie znosiła szkoły w Swansford i dlatego też Phoebe wzięła na siebie obowiązek zajęcia się jej edukacją. Dwie dziewczynki pozbawione matek i pogardzane przez rówieśników. Mimo że jedna wyrosła na zbyt hardą, a druga była chowana pod kloszem, każda z nich mogła być dokładnie tym, czego potrzebowała druga.

Może powinna zwrócić się z tym do lorda Farleya, myślała Phoebe, kiedy następnego ranka szły do Swansford. Dzień był mglisty, mgła snuła się w dolinach pomiędzy wzgórzami. Kiedy minęły Nester Hill, Phoebe spojrzała na drogę prowadzącą do dwupiętrowego budynku z piaskowca stojącego pośrodku Farley

Park. Jednak wspomnienie srogiej twarzy wicehrabiego odwiodło ją natychmiast od tego niemądrego pomysłu. Z pewnym wysiłkiem skupiła się na krętej ścieżce, którą szły. Najlepiej zrobi, trzymając się z daleka od lorda Farleya. Bez wątpienia ma on odpowiednią guwernantkę czy opiekunkę, albo jakiś inny personel do zajmowania się Izzy

— Pospiesz się, Helen! - zawołała, bo dziewczynka pobiegła za Brunonem, który pogonił za żółtym motylem. - Pani Leake chciałaby dostać jajka wcześniej, zanim klienci przyjdą i sobie pójdą.

Pani Leake siedziała na taborecie w obficie zaopatrzonym sklepie, zliczając kolumnę cyfr w księdze rachunkowej. Ujrzawszy Phoebe i Helen, wstała i odłożyła podniszczoną księgę. Przywołała je i odwracając uwagę Helen karmelkiem, spytała bez zbędnych wstępów:

— Czy to prawda? Oskarżyłaś dziecko lorda Farleya o to, że cię okradło?

Phoebe postawiła koszyk z jajkami na wypolerowanej drewnianej ladzie.

— Ona mnie naprawdę okradła. Złapałam ją na gorącym uczynku. Ale spodziewam się, że w końcu...

— No ale z pewnością nie zaciągnęłaś jej siłą do domu i nie zażądałaś od niego zadośćuczynienia?

— Nie. To znaczy, niczego nie żądałam. I nie zaciągnęłam jej siłą. Po prostu odprowadziłam ją do domu. To wszystko. A on rzeczywiście szukał dziecka i spotkałyśmy go, kiedy już dochodziłyśmy do parku. Swoją drogą, gdzie pani słyszała takie rzeczy?

Pani Leake usiadła z powrotem na taborecie.

— Wszystko jedno. Cieszę się, słysząc, że jednak nie postradałaś rozumu. -

Zanim Phoebe zdążyła odpowiedzieć na tę uwagę, sklepikarka pochyliła się do przodu i powiedziała konspiracyjnym szeptem. -Wszyscy o tym mówią, wiesz, o tych jego dzieciach.

— Jak to o dzieciach? Chce pani powiedzieć, że on ma ich więcej?

— W rzeczy samej. Tę okropną małą z Londynu i - zniżyła nieco głos - ciemnoskórą niemowlę. Oboje nieślubne — dodała, porozumiewawczo kiwając głową.

Phoebe wyduła wargi. A zatem miała rację. Z tym że pani Leake najwyraźniej zapomniała, do kogo mówi, i Phoebe nie omieszkała jej o tym przypomnieć.

— Jestem więcej niż pewna, że dzieci nie ponoszą winy za to, kim są ich rodzice. Czerstwe policzki pani Leake poróżwiały natychmiast.

— Mój Boże, wybacz, dziecko. Wiesz, że nie winię Helen za to, co zrobiła ta twoja nieodpowiedzialna siostra. Przecież każdy wie, że Helen jest najśłodszą istotką na świecie.

— Owszem, jest.

— I to wszystko twoja zasługa. Masz na nią dobry wpływ. Wychowałeś ją, jak trzeba. Nie to, co ta mała ulicznica z Farley Park. Żebyś ty słyszała, jakie wieści stamtąd dochodzą. Jedna z pokojówek rzuciła posadę i powiedziała nam, że opiekunce, co to ją przywieźli z Londynu, kazano się wczoraj pakować. —

Przycisnęła dłoń do policzka. -A może to było przedwczoraj?

— Dobry Boże.

— Z tego co słyszałam, niemowlę płacze całymi nocami, a ta druga całymi dniami gania samopas. - Pani Leake pokręciła głową. - Wygląda na to, że jego samego plotki wyгнаły z Londynu. To dlatego przyjechał tutaj po tak długiej

nieobecności.

— Wątpię, żeby plotki mogły wygnać go i stąd — powiedziała Phoebe dość cierpko.

Pani Leake nie zauważyła ironii. Choć miała dobre serce, miała też przemożną potrzebę wścibiania nosa w cudze sprawy. Prawdopodobnie brało się to stąd, że prowadziła największy sklep w mieście. Mężczyźni plotkowali w pubie i u kowala, kobiety zaś w sklepie pani Leake. A teraz głównym tematem plotek był lord Farley. Phoebe pomyślała, że powinna się cieszyć, że w okolicy pojawił się ktoś, czyje naganne zachowanie przewyższało nawet wybryki Louise.

— Jakże to kawaler ma wychowywać dwie małe dziewczynki? -kontynuowała pani Leake. — To mnie zastanawia. I co on zamierza zrobić z tą małą złodziejką, którą tu nam sprowadził?

Przerwała, bo zadźwięczał dzwonek nad drzwiami. Z niewinną miną i zasznurowanymi ustami pani Leake zajęła się wycieraniem nieskazitelnie czystej lady.

Do sklepu wszedł mężczyzna, który zdjęwszy kapelusz, zbliżył się do nich. Skinął głową Phoebe, po czym zwrócił się do pani Leake:

— Dzień dobry. Przychodzę z Farley Park z ogłoszeniem jego lordowskiej mości.

Prosi, żeby była pani tak dobra i umieściła to w widocznym miejscu.

Podał jej kartkę, a ona przebiegła ją wzrokiem i pokiwała głową.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Możesz powiedzieć swojemu panu, że pani Leake jest zaszczycona, mogąc umieścić każde ogłoszenie, jakie tylko sobie on życzy. Absolutnie każde.

— Powiem, proszę pani. Dziękuję pani.

Kiedy wyszedł, pani Leake odwróciła się i z wyrazem oczekiwania na twarzy wetknęła ogłoszenie w dłoń Phoebe.

Potrzebna guwernantka

do sprawowania opieki nad dwojgiem dzieci.

Wymagane referencje. Zgłosić się w Farley Park.

Pani Leake uniosła brwi, a jej czoło zmarszczyło się tak, że przypominało świeżo zoraną ziemię.

— A nie mówiłam? Opiekunka odeszła i cały dom stoi na głowie

- mruknęła, po czym dodała: — Wiesz, Phoebe, ty się najbardziej nadajesz na tę posadę. Taka dobra, bogobojna dziewczyna. I urodzona z ciebie opiekunka. Zawsze to powtarzam. Najpierw opiekowałaś się swoim niedomagającym ojcem, potem małą Helen, wreszcie swoją matką. W dodatku te maniere, których cię nauczyła matka, to czytanie książek, to, jak cię wychowała, tak jak się należy, na damę.

Szperała w poszukiwaniu pineski i młotka.

— Twoja matka może i nie była najłatwiejsza w obejściu, Panie świeć nad jej duszą, ale nikt nie zaprzeczy, że ze wszystkich tutaj to ona była prawdziwą damą, przynajmniej odkąd mama młodego lorda się wyprowadziła. — Przyczepiwszy ogłoszenie, spojrzała wprost na Phoebe. — Przecież uczysz Helen w domu. Czemu nie zająć się też córkami lorda Farleya? Dla nikogo tu nie jest tajemnicą, że przydały-by ci się pieniądze.

Więc wszyscy wiedzą o jej trudnościach finansowych. Phoebe nie była zaskoczona, niemniej jednak poczuła się upokorzona. Słowa pani Leake prześladowały ją przez całą drogę do domu. Ona sprawująca opiekę nad dwojgiem dzieci? Dzieci wicehrabiego?

Nigdy przedtem nie zastanawiała się nad podjęciem pracy guwernantki. Ale też

nigdy dotąd taka posada nie była osiągalna w okolicy.

A teraz jest.

On potrzebuje guwernantki, a jeśli ona ma nie stracić farmy, potrzebuje większego dochodu niż ten, jaki mogą jej zapewnić jajka, sery i miód. Czy ma ubiegać się o tę posadę? A jeśli ją dostanie, to czy będzie musiała zamieszkać w Farley Park? Tego z pewnością nie chciałyby.

Z drugiej strony, jeśli nie zapłaci podatku od ziemi, będzie zmuszona sprzedać farmę i przenieść się do miasta, a tego również nie chce. Lepiej być czyjąś guwernantką, uznała, niż czyjąś praczką czy pod-kuchenną, choć być guwernantką

Izzy, próbować nauczyć ją czegoś i ukształtować ją na przyzwoitą młodą damę wydawało się przedsięwzięciem ponad siły.

Ale przecież i matką wcale nie było łatwo się opiekować. Może powinna przyjąć tę posadę.

- Nie mów hop, póki nie przeskoczysz - powiedziała głośno.

- Co? — spytała Helen, machając kawałkiem sznurka przed nosem Brunona.

Podskakiwał i starał się złapać go zębami, ale bez powodzenia. Helen bawiła się tak z nim bezustannie, co wywoływało uśmiech na twarzy Phoebe.

-

Jak ten Bruno urósł — powiedziała, zmieniając temat.

- Nie tak bardzo jak jego bracia i siostry. Martin dziś pozwolił mu się z nimi pobawić.

- Bruno mo e

ż nie jest najwi k

ę szy z ca e

ł go miotu, ale jestem pewna, e

ż

najm d

ą rzejszy, prawda? Helen m

ś ia a

ł si

ę i podskakiwa a

ł uszczę l

ś iwiona.

- Tak, to najmądrzejszy szczeniak z nich wszystkich!

Przez resztę drogi podskakiwały i tańczyły gnane wiatrem i ledwo zdążyły do domu przed gwałtowną wiosenną burzą.

Następnego ranka, kiedy Phoebe poszła wydoić kozy, odkryła, że trójnożny stołek do dojenia zniknął.

- Izzy! — wykrzyknęła cicho. Nie mogła ochłonąć, dojąc kozy na kolanach. Nie dość, że dziewczynka nie zwróciła innych rzeczy, to jeszcze ukradła kolejną.

Uporały się z obrządkiem w rekordowym tempie. Poranne cienie wciąż jeszcze były długie, kiedy Phoebe szybkim krokiem zmierzała w stronę Farley Park, a Helen starała się za nią nadążyć. Odległość wynosiła niecałe pięć kilometrów, ale do przedwczoraj Phoebe nie chadzała tą drogą przez wiele lat. Nie było po temu powodu. Jej niewielkie grunta graniczyły z włościami Farleya, ale las oddzielał domowników Farley Park od jej chaty na smaganym wiatrem Śliwkowym Wzgórzu.

Gdzieś w tym lesie, bez wątpienia dobrze ukryte, znajdowały się skradzione sprzęty. Tylko czemu Izzy wybierała niepotrzebne jej przedmioty? Kradzież koca i psa Phoebe mogła zrozumieć, może nawet koszyka. Ale ławka, stołek i wiadro to

sprzęty gospodarskie. Jaki pożytek może mieć z nich dziecko...

Nagle zrozumiała. Oczywiście! Izzy nie kryła niechęci wobec ojca, który wyrwał ją z jej dotychczasowego życia. Może dziewczynka próbuje urządzić sobie własne gospodarstwo, kryjówkę, w której mogłaby mieszkać - czy wydaje się jej, że mogłaby mieszkać - sama?

Ta myśl była tak przejmująco smutna, że cały gniew Phoebe wyparował. Co za nieszczęśliwe dziecko. Niemniej jednak Phoebe nie mogła pozwolić, żeby ten proceder trwał. Nic dobrego nie wynikłoby z tego dla Izzy, a poza tym Phoebe musiała odzyskać swoje rzeczy. Były jej codziennie potrzebne.

Idąc dalej, rozglądała się. Jakie miejsce wybrałaby dziewczynka taka jak Izzy na schowek? Dobrze ukryte. I blisko wody. Może nad kamienistym strumykiem spływającym do rzeki. A może w pobliżu stawu Wildfen.

Gdziekolwiek to jest, Phoebe poprzysięgła sobie, że jeszcze tego dnia odzyska swoją własność, z pomocą Izzy czy bez niej. Wielki dom pośrodku Farley Park wydawał się cichy i spokojny, kiedy Phoebe i Helen wspięły się na wzgórze. Słabe promienie

marcowego słońca odbijały się w potrójnym rzędzie okien wychodzących na wschód, kilka koni pasło się na porośniętym łąką zboczu od zachodu. Nad głowami krążyły dwie jaskółki, ale Phoebe nigdzie nie dostrzegła ludzi. Nikogo nie było w otoczonym murem ogrodzie ani w ogródku przy kuchni. Nawet stajnie za domem wydawały się opustoszałe. Gdyby nie smuga dymu unoszącego się z kuchennego komina, Phoebe pomyślałaby, że dom jest pusty lub jeszcze się nie obudził.

Kiedy jednak podeszły bliżej do frontowego dziedzińca, rozległ się krzyk, a zaraz potem szczęk - gliniany garnek rozbił się o kamień, domyśliła się Phoebe. Po chwili

do jej uszu dobiegł przenikliwy płacz dziecka.

W Farley Park bez wątpienia nie spano. Czując się tak, jakby podsłuchiwała,

Phoebe zawahała się, którądy ma wejść. Od frontu czy od kuchni?

Od frontu, powiedziała sobie. W końcu jest osobą poszkodowaną, która przychodzi w ważnej sprawie — przynajmniej ważnej dla niej.

-Poczekaj tu, przy fontannie — powiedziała do Helen. - To nie potrwa długo.

"Weszła po szerokich kamiennych schodach i zastukała do drzwi trzy razy kołatką.

Po czterech minutach i dwunastu kolejnych stuknięciach drzwi otworzyły się gwałtownie.

- Przyszłam zobaczyć się z lordem Farleyem - powiedziała do pokojówki, która otworzyła drzwi. Potem już tylko patrzyła. Pokojówka wyglądała rozpaczliwie, z włosami opadającymi spod czepka i wielką, zieloną plamą na fartuchu.

- Poszedł na spacer - odpowiedziała dziewczyna, ocierając oczy. —Jest chyba za domem. Po tych słowach zamknęła drzwi — a raczej zatrzasnęła - zostawiając Phoebe oniemiałą na widok takiego grubiaństwa. Co tu się dzieje? Sytuacja wyglądała na jeszcze gorszą, niż to opisała pani Leake.

Ale ona nie po to przeszła taki kawał drogi, żeby dać się odprawić z kwitkiem.

Skierowała więc kroki za dom. Żwir chrzęścił pod jej

stopami, a ona zastanawiała się, dokąd to mógł się udać pieszo wicehrabia Farley w chwili, kiedy jego dom najwyraźniej się wali.

Doprowadził ją do niego płacz dziecka, słaby, ale chwytający za serce. Kiedy

wyszła zza strzyżonego cisowego żywopłotu, przystanąła i nie odrywała oczu od

widoku, który ukazał się jej oczom. Mężczyzna był taki wysoki i szeroki w

ramionach, a niemowlę w jego objęciach wydawało się takie maleńkie. A może to

maleństwo sprawiło, że wydawał się większy, niż go zapamiętała.

W każdym razie widok był poruszający do głębi. Phoebe nigdy przedtem nie

widziała mężczyzny w roli niańki. Z tego, co pamiętała, jej ojciec nigdy w ten sposób nie wziął na rękę maleńkiej Helen. I z pewnością nigdy nie poświęcał szczególnej

uwagi jej czy Louise.

A tu potężny wicehrabia, w samej koszuli, potargany i z cieniem zarostu na twarzy,

przechadza się po wysypanej żwirem ścieżce, kołysząc na ramieniu ciemnowłose

niemowlę i podśpiewując piosenkę, która nie przypomina żadnej ze znanych jej

kołysanek.

— ...statki do portu wchodzą, statki z portu wychodzą, nic mnie te statki nie

obchodzą...

Głos miał schrypnięty i zmęczony. Nie potrafiła stwierdzić, czy fałszuje. Tak

czy inaczej, na dźwięk tego śpiewu dziecku coś w Phoebe pękło. Tak bardzo się

starał ulżyć nieszczęśliwemu maleństwu. Wystarczyło spojrzeć, żeby wiedzieć, że

stara się tak już od dłuższego czasu.

— Czy mogę? - spytała, podchodząc do niego z wyciągniętymi ramionami.

Spojrzał zaskoczony, po czym na jego twarzy odmalowała się wyraźna ulga. Bez

słowa podał jej dziecko i opadł na murek otaczający ogródek ziołowy.

— Nie chce spać - powiedział, rozcierając sobie kark. - Nie śpi dłużej niż

godzinę czy dwie, ale i wtedy trzeba z nią chodzić i kołysać ją, żeby nie płakała.

Phoebe szybko sprawdziła, czy ubranko dziecka było suche. Było.

— Może ma wysypkę? Rozumie pan, na ciałku? — dopytywała się, nie licząc

specjalnie, że mógłby to wiedzieć.

- Nie. Ani gorączki. Doktor badał ją dwa razy i mówił, że wygląda

na zdrową. Przypuszcza, że płacze tak przez zmianę klimatu. Phoebe

pokręciła głową.

- Je dobrze?

- Zachowuje się, jakby była głodna, ale potem kaprysi. Phoebe przytuliła słodko pachnące maleństwo i otarła policzek o jedwabiste włoski.

- Jak jej na imię?

- Leya.

- Leya. — Brzmiało obco, ale pasowało do malutkiej dziewczynki o oliwkowej cerze. — Witaj, Leyo - zagruchala Phoebe do dziecka, które na chwilę umilkło. - Jakaś ty piękna.

Nagle twarzą Lei skrzywiła się, ale zanim dziewczynka zdążyła rozpłakać się na nowo, Phoebe odwróciła ją i posadziła sobie tyłem na biodrze, podtrzymując mocno za brzusek. Odetchnęła z ulgą, dziecko bowiem nie zaczęło znów płakać. Przechadzając się w tę i z powrotem, Phoebe uśmiechnęła się na widok zdumienia lorda Farleya.

- Co pani zrobiła?

- Moja siostrzenica bardzo kaprysiła jako niemowlę, ale zawsze czuła się lepiej, kiedy tak ją trzymałam. Prawdopodobnie boli ją brzusek, a ucisk mojej ręki przynosi jej ulgę. Co jadła?

Podniósł się i zaczął chodzić razem z nią.

- Nie wiem. Jakiś kleik. Przecierane warzywa. Ale głównie mleko.

- Krowie mleko?

- Tak sądzę. Czy nie to trzeba im dawać, to znaczy, kiedy nie ma matki, żeby...

ach... żeby zajęła się tymi sprawami? Spojrzała na niego, rozbawiona jego

zażenowaniem rozmową

o „tych sprawach”.

Wyciągnął do Lei rękę, a dziecko chwyciło go mocno za palec Phoebe poczuła nagle uderzenie gorąca, nieoczekiwane i niepokojące. On był za blisko. Taka niemądra myśl przeszła jej przez głowę.? Był za blisko i choć to było jego dziecko, które miał całkowite prawo dotykać, czuła się tak, jakby w jakiś sposób dotknął jej także.

Zupełnie zbita z tropu zatrzymała się i oddała mu Leyę.

— Proszę, niech pan spróbuje.

Przy przekazywaniu dziecka jego dłoń musnęła jej dłoń i znów poczuła zdumiewający dreszcz. Zaczepnęła powietrza i odsunęła się, przenosząc wzrok z niego na dziecko. Przez moment maleństwo sprawiało wrażenie, jakby gotowe było znów się rozplakać, ale kiedy lord Farley umieścił je we właściwej pozycji, westchnęło tylko. Zupełnie jakby Leya wiedziała, komu zawdzięcza ulżenie jej cierpieniu, patrzyła bowiem na Phoebe szeroko otwartymi, dziecięcymi oczami, bez mrugnięcia. I w tej samej chwili Phoebe ją pokochała. Leya była tak idealnie, egzotycznie piękna, ze swoimi błękitnoszarymi oczami, złocistą cerą i lśniąco-czarnymi włosami.

Spojrzenie Lei wyraża ufność, akceptację, zadowolenie. Życie nie stłamsiło jeszcze w niej duszy i niech Bóg da, żeby to się nigdy nie stało.

— I znów stałem się pani dłużnikiem, pani Churchill - powiedział lord Farley, zwracając na siebie jej uwagę. Jego szczery uśmiech pokrywający znużenie sprawił, że Phoebe poczuła się zdezorientowana. Przez chwilę mogła tylko wpatrywać się w niego. W nieogolonej twarzy zęby błyskały bielą. Włosy porastające pierś, widoczne

w rozchyleniu koszuli, nadawały mu pierwotnej męskości. Doprawdy, jego niedbały wygląd sprawił, że poczuła się dziwnie, jak jeszcze nigdy dotąd - małą bezbronną kobietką, choć to przecież nie miało sensu.

Wtem dobiegło ją echo surowego głosu matki napominającej ją, że pod żadnym pozorem kobieta nie może pozwolić na przebywanie sam na sam z mężczyzną ubranym tylko w koszulę. Nawet jeśli miałyby to być całkowicie niewinne.

Phoebe wiedziała, że musi przedłożyć swoją sprawę i czym prędzej stąd odejść. Zatem zebrała się w sobie, skrzyżowała ramiona i zmarszczyła brwi.

— Ależ nie jest pan moim dłużnikiem, lordzie Farley. Niemniej jednak, przyszedł tu dziś w pilnej sprawie. Wygląda na to, że Izzy zaatakowała znowu.

- Co takiego?

- Ukradła

ł mój stoł

ł k do dojenia, w ka d

ż ym razie zak a

ł dam, e

ż to ona. Wyraz

wdzi c

ę zno c

ś i na jego twarzy ust p

ą i

ł bezradno c

ś i.

- Do diabła - zaklął.

Phoebe musiała znaleźć w nim jakąś skazę, więc uchwyciła się tego.

- Jeśli przeklina pan w obecności swoich dzieci, nie może ich pan winić, że powtarzają to, co słyszą. Sądzę, że język Izzy jest i tak wystarczająco ordynarny.

Nawet dla niej samej ton jej głosu zabrzmiał zbyt surowo. Mówiąc prawdę, zachowała się jak jej własna, surowa i doszukująca się winnych matka.

Lord Farley nie zareagował jednak na słowa krytyki na szczęście. Zamiast tego zaczął znów się przechadzać. Po chwili dołączyła do niego.

- Nie wiem, co robić z tą dziewczynką. Nienawidzi mnie i całej służby. O cokolwiek ją prosimy, robi na odwrót. Przeklina, nie chce się kąpać. Wrzeszczy i niszczy rzeczy. Ucieka i, jak pani wie, kradnie wszystko, co nie jest przyśrubowane. Mimo niepokojującym napawał ją wicehrabia, niezręcznej sytuacji, napięcie Phoebe nieco ustąpiło. Przynajmniej próbował troszczyć się o swoje dzieci. Uniosła brodę i odetchnęła, odzyskując równowagę.

- Może to zbyt śmiałość, ale czy wolno mi zapytać, od jak dawna córki są z panem? Spojrzał na nią, po czym odwrócił wzrok.

- Leya od kilku miesięcy. Ale Clarissa od... jakichś sześciu tygodni.

- Czy mogę pytać dalej, o ich matki?

Pogładził włoski Lei i pocałował ją w czubek głowy.

- Matka Lei umarła, kiedy ona miała dwa miesiące. Clarissy... -

Zacisnął szczęki. — Matka Clarissy jest... - przerwał. - Prowadzi życie

nieodpowiednie do wychowywania dzieci. - Mięśnie jego twarzy się

napięły. - Wykorzystywała Clarissę do... na posyłki, powiedzmy. Clarissa miała dbać

o tę kobietę i pilnować jej innych dzieci.

- Rozumiem - wyszeptała Phoebe, choć nie rozumiała. Niezupełnie. Ale czymkolwiek by te „posyłki” były, musiały być czymś niestosownym dla dziesięcioletniej dziewczynki. -Więc... więc Izzy ma jeszcze inne rodzeństwo?

- Tak. A Izzy to jej dawne imię, z jej dawnego życia. Ja chcę, żeby teraz nazywała się Clarissa. Phoebe westchnęła i splotła dłonie.

- To, co pan robi dla nich, wydaje się godne najwyższej pochwały, lordzie Farley. Ale zastanawiam się, czy może nie próbuje pan osiągnąć zbyt wiele i zbyt szybko z tą dziewczynką.

- To, co próbuję robić, to ustrzec ją przed przeklętym losem, jaki wybrała jej matka.

- Tak, i jest to jak najbardziej chwalebne. Ale czy nie widzi pan, jak bardzo ona jest przerażona? Zachnął się.

- Przerażona? Nie widziałem jeszcze, żeby to dziecko bało się czegokolwiek. Nawet groźba lania jej nie powstrzymuje. Spojrzała na niego ostro.

- Powiedział pan, że nigdy nie podniósł na nią ręki.

- Bo nie zrobiłem tego. — Zatrzymał się i zwrócił się twarzą do niej. —

Zasadniczo jestem przeciwny biciu dzieci, pani Churchill, ale póki co, wszystko inne zawiodło, a teraz w dodatku słyszę, że znowu coś ukradła.

Stali na skraju strzyżonego trawnika, gdzie żwirowa ścieżka przechodziła w wykoszony pas trawy prowadzący przez łąkę. Chociaż ten mężczyzna potrafił wprawić ją w drżenie samą siłą swojego wzroku, Phoebe starała się nie zwracać na to uwagi. Jak mogłaby się bać mężczyzny trzymającego w ramionach szczęśliwe, gaworzące niemowlę?

Jednak on nie jest tylko zmagającym się z przeciwnościami ojcem, upomniwała

siebie samą. Może się stara dbać o własne córki, ale nie postępował tak szlachetnie z ich matkami. Na samą myśl o tym, co musiał robić z każdą z nich, sposepniała. Czyż

matka nie ostrzegała jej

bezustannie przed właśnie takimi, nastawionymi wyłącznie na zaspokojenie własnych zachcianek, mężczyznami?

Zdecydowana nie myśleć o nim ani o jego niechlubnej przeszłości, zerwała długie źdźbło trawy i machając nim przed Leyą, skierowała myśli z powrotem ku bieżącym kłopotom.

- Staralam się dociec, dlaczego Izzy znów mi coś ukradła, wiedząc, że domyśle się, że to ona. Zaczynam myśleć... — Pokręciła głową.

— To zabrzmiało perwersyjnie, wiem, ale zastanawiam się, czy może ona chciała, żebym tu przyszła i oskarżyła ją.

- Czemu miałaby tego chcieć?

- Nie jestem pewna. Może dlatego, że jestem pierwszą osobą, która nazwała ją Izzy? W końcu jest to imię, które uważa za swoje. Proszę spróbować postawić się na jej miejscu. Straciła całe swoje dawne życie. Mogło być ono złe, jednakże było wszystkim, co знаła. Czy to zbyt 'wiele pozwolić jej zatrzymać imię, jakie chce nosić?

Zmarszczył brwi, ale nie zaprotestował.

- Myślę także - ciągnęła dalej Phoebe - że mogła się poczuć zbita z tropu, kiedy okazałam jej przychylność i zaprosiłam na moją farmę. To ją zaintrygowało. Prawdę mówiąc, byłam zawiedziona, że nie przyszła.

- Myśli pani, że miała ochotę przyjść?

- Być może.

Westchnął.

- Może. Jednego jestem pewny: to dziecko jest bardzo bystre, choć brak jej ogłady i wychowania. Ma pani rację. Wiedziała, że pani tu przyjdzie, kiedy zginie stołek do dojenia. Pytanie tylko, dlaczego chciała, żeby pani przyszła? - znów westchnął. - Ja k pani widzi, moja cierpliwość wobec Clarissy się wyczerpała. Wobec Izzy — poprawił się z ironicznym skrzywieniem warg. Na biodrze kołysał maleństwo, które wyglądało na bardzo zadowolone. - Chyba rozwiązała pani problem Lei. Może ma pani rację i co do Izzy.

Powiedziawszy to, uśmiechnął się do niej, a właściwie na wpół uśmiechnął, ale w jego przejrzystych, błękitnych oczach było ciepło, które ją poruszyło.

Phoebe natychmiast odwróciła wzrok. Jak szybko potrafił sprawić, że miała świadomość jego obecności, nadmierną świadomość jego fizycznej bliskości. Było to niepokojące, wprawiało ją w zmieszanie i ani trochę się jej nie podobało. Odczuła ulgę, kiedy zawrócił w stronę domu.

— Znajdźmy Izzy — powiedział — i przekonajmy się, co ma do powiedzenia.

Dopiero w tym momencie Phoebe przypomniała sobie, że zostawiła Helen z Brunonem przy fontannie na frontowym dziedzińcu. I dopiero kiedy odkryła, że ich tam nie ma, uświadomiła sobie, jak okropny popełniła błąd.

3

Phoebe z niepokojem zmarszczyła brwi, rozglądając się po pustym dziedzińcu.

— To niepodobne do Helen, żeby sama się oddaliła.

— Izzy - mruknął lord Farley. - Przeklęty bachor.

Tym razem Phoebe nie zwracała sobie głowy karceniem go za przekleństwo.

Miała ochotę powiedzieć to samo. To była sprawka Izzy. Nadal jednak nie wierzyła, by Izzy mogła posunąć się do zrobienia krzywdy Helen.

— Może Bruno uciekł i Helen pobiegła za nim.

— A może to Izzy znów go zabrała.

Wciąż z dzieckiem na rękę, podszedł szybkim krokiem do drzwi frontowych, otworzył je gwałtownie i ryknął na kogoś o nazwisku Benson. Natychmiast pojawił się przysadzisty mężczyzna, w biegu wciągający na siebie okrycie.

— Proszę wziąć Leyę — nakazał lord Farley. — W ten sposób. — Zademontrował, jak Phoebe trzymała dziecko, i wepchnął je w niechętnie ramiona mężczyzny. - Zawiadom służbę, że Izzy i córka pani Churchill, Helen...

— Ona nie jest moją...

— ...zgubiły się. Również szczeniak o imieniu Bruno. I komukolwiek oddasz Leyę, każ mu trzymać ją w ten sposób. Potem, nadal w samej koszuli, podążył na tyły domu, gdzie znajdowało się mnóstwo zabudowań gospodarczych.

Phoebe wahała się tylko przez chwilę, po czym ruszyła za nim, unosząc spódnicę, by biegiem nadążyć za jego długimi, gniewnymi krokami.

— Ona lubi stajnie. Lodownię też - mamrotał. - Proszę nie pytać mnie dlaczego.

— Zaczynam sądzić, że może urządziła sobie kryjówkę gdzieś w lesie, w pobliżu mojego domu.

— Nie rozumiem tej dziewczynki.

— Ani ja. Ale skoro pan jest ojcem, musi się pan tego nauczyć - powiedziała Phoebe, wchodząc za nim do stajni.

Rzucił jej ostre spojrzenie, a ona odwróciła wzrok, żeby nie patrzeć mu prosto w oczy. Przypomniało jej to o czymś, o czym powinna była pamiętać: on jest wicehrabią, a ona zaledwie córką farmera. Niepotrzebna była wymagająca matka,

żeby upomnieć ją, że nie do niej należy pouczanie go, co ma robić, a czego nie.

Problem w tym, że do tej pory nie miała do czynienia ze szlachetnie urodzonymi.

Mimo niekończących się nauk matki na temat właściwego zachowania się w eleganckim towarzystwie, niewiele miała okazji, by wykorzystać te nauki w praktyce.

Z drugiej strony to jego córka sprawiała kłopoty, a nie Helen, którą on wciąż uważał za jej dziecko. W końcu będzie musiała wyprowadzić go z błędu.

W głównym pomieszczeniu stajni nie znaleźli śladu dziewczynek. Po sprawdzeniu kilku boksów i siodłami Phoebe wspięła się po drabinie na strych. Tu również nie było dzieci, ale za to odkryła ślady niedawnej obecności Izzy. Pusty kubek.

Prześcieradło. Lalka i łóżeczko dla lalki.

— Proszę na to spojrzeć — zawołała do lorda Farleya.

Natychmiast znalazł się przy niej, w zakurzonej części strychu pod niskim sufitem.

Podniósł lalkę o popękanej twarzy, w spłowiałej sukience w kratkę.

— Jeśli mnie pamięć nie myli, to jedna z lalek Sarah.

— Sarah?

— Mojej najmłodszej siostry.

Phoebe przypomniała sobie, co mówiła pani Leake, że lord Farley ma dwie siostry.

Przyrodnie siostry. Tak jak Izzy miała przyrodnią siostrę w Lei, a także inne

przyrodnie rodzeństwo ze strony matki, które pozostało w Londynie.

— Biedna Izzy — powiedziała, wyjmując mu z rąk prawie całkowicie wyłysiałą

lalkę. — Musi być bardzo samotna. Przypuszczam, że tęskni za rodziną, nawet jeśli

ta rodzina nie jest idealna. Wie pan, zaczynam myśleć, że ona usiłuje stworzyć tu coś własnego, rodzinę, w której mogłaby czuć się bezpieczna. — Popatrzyła na niego. —

Być może dla tego brała tę lalkę i dlatego też próbowała odebrać nam szczeniaka.

Przeczesał palcami włosy.

— Jeśli chce mieć szczeniaka, 'wystarczy, że mnie o niego poprosi.

— Czy pan tego nie widzi? Dla niej to pan jest tym, który odebrał jej całe dotychczasowe życie. To pan jest tym, przeciwko któremu próbuje się buntować. Spojrzał jej prosto w oczy i nawet w przyćmionym świetle strychu dostrzegła w jego pociemniałych oczach ból.

— Nie mogę pozwolić jej wrócić do tego okropnego życia —jęknął.

— Nie zrobię tego.

— Oczywiście, że nie. Ale oboje nie możecie ciągnąć tego w ten sposób. Do pana należy znalezienie nici porozumienia z Izzy.

Phoebe pochyliła się, żeby odłożyć lalkę do łóżeczka. Kiedy się wyprostowała, on był bliżej niż przedtem, i wpatrywał się w nią intensywnie.

— Pomoże mi pani? — spytał. — Potrzebuję guwernantki. Czy obejmie pani tę posadę? Phoebe poczuła nerwowe trzepotanie w żołądku.

— Ja... hm... Ja nie wiem.

— Przypuszczam, e

ż musi pani omówi

ć to z mę e

ż m. Mog

ę zapewni ,

ć e

ż

b d

ę zie to warte zachodu. — Przysuwa

łsi

ę coraz bli e

ż j. — I je l

ś i pani sobie y

ż czy,

mo e

ż pani zabra

ć ze sob

ą córk .

ę

— Helen nie jest moją córką — powiedziała Phoebe, a trzepotanie się nasiliło.

Odwróciła się gwałtownie i zaczęła schodzić po drabinie.

— Nigdy ich nie znajdziemy, jeśli nie będziemy szukać.

— To nie jest pani córka?

Kiedy stanęli na dole, to ona ruszyła przodem, a on podążał za nią.

— Helen jest moją siostrzenicą, dzieckiem mojej siostry, które wychowuję.

— Rozumiem . Ma pani własne dzieci?

- Nie jestem zamężna, milordzie. - Czem u jej żołądek zacisnął się w supeł przy tym

wyznaniu? — Proszę, czy moglibyśmy skupić się na tym, co mamy do zrobienia?

Ale on nie należał do tych, których można zbyć.

— Nie jest pani zamężna? Więc... to znaczy, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby

została pani guwernantką Izzy i Lei.

Phoebe westchnęła. Absolutnie nic nie stało na przeszkodzie i powinna wpaść w

euforię, że dano jej tę możliwość. Doprawdy, powinna zgodzić się natychmiast, żeby

nie zdążył zmienić zdania. To by jej umożliwiło opłacenie zaległych podatków,

utrzymanie domu i farmy, skromne, co prawda, ale własne.

Jednak coś wewnątrzjakiś nieznany impuls pochodzący z jej duszy, ostrzegał ją przed tym mężczyzną. Jakby wiedziała, że nie będzie to po prostu objęcie posady w wielkim domu. Nie jeśli lord Farley miał z tym jakiś związek.

— Ja... musiałabym o tym pomyśleć. Najpierw znajdziemy Izzy i Helen, dobrze? Przez chwilę Phoebe spodziewała się, że będzie nalegał. Ale choć na jego twarzy nadal rysował się upór, skinieniem głowy wyraził zgodę.

Sprawa została odroczone, ale nie na długo. Prawdę mówiąc, obawiała się, że lord Farley dopiero zacznie drażnić temat guwernantki dla dwójki swoich trudnych dzieci. Kiedy zbliżyli się do lodowni, usłyszeli piskliwe, szczekanie Brunona. Za niską, krytą strzechą komórką stała Izzy trzymając szczeniaka, zaś szlochająca Helen na próżno starała się go odzyskać.

— On jest mój - zawodziła Helen. -Oddaj mi go.

— Przecież nie zrobię mu krzywdy — zarzekała się Izzy.

— Teraz mu robisz krzywdę!

— Nie robię! Przestań się zachowywać jak dzidzius.

— Nie jestem dzidziusiem!

— Izzy! — ryknął lord Farley, podchodząc bliżej.

Bez zastanowienia Phoebe położyła ostrzegawczo dłoń na jego ramieniu.

— Łagodnie, milordzie, łagodnie.

Izzy gwałtownie odwróciła się w ich stronę. Strach, który mogła poczuć, skryła pod pogardliwą miną i wyzywająco wysuniętą brodą. Ani nie puściła pieska, ani nie uciekła.

Phoebe poczuła, jak pod jej dłonią stężały mięśnie przedramienia wicehrabiego, a

po chwili, jakby po d wpływe m nakazu woli, rozluźniły się. Natychmiast cofnęła rękę, ale za późno . W ręce położonej na jeg o ramieniu odczuła jakieś dziwne ciepło. Rozpoznawała jeg o emocje, doradziła jemu , mężczyźnie — wicehrabiemu! — którego ledwo znała, co ma zrobić. A on usłuchał jej rady.

To było niezmiernie niepokojące doznanie.

— Izzy — zaczął znowu — musisz oddać Hele n jej pieska.

Ujrzawszy dwoje dorosłych, Hele n z płaczem podbiegła do nich i wtuliła buzię w spódnicę Phoebe .

— Ni e zrobiłam mu krzywdy! — krzyknęła Izzy do ojca.

— Ni e mówię, że zrobiłaś. Ale nie możesz tak po prostu zabierać rzeczy, które nie należą do ciebie. A teraz pani Churchill, panna Churchill mów i mi, że zabrałaś...

Znów Phoebe powstrzymała go, kładąc dłoń na jego muskularnym ramieniu.

— Brakowało mi ciebie dwa dni temu, Izzy. Miałam nadzieję, że przyjdiesz nas odwiedzić na Śliwkowe Wzgórze. Gniewny wzrok Izzy przeskoczył z ojca na Phoebe .

— To głupia nazwa, Śliwkowe Wzgórze. Ni e widziałam tam żadnych śliwek.

— Bo śliwki dojrzewają dopiero na jesieni. Ale to nie dlatego nasze wzgórze nazywa się Śliwkowe Wzgórze.

Dziewczynka miała ochotę spytać, skąd wzięła się ta nazwa. Phoebe widziała to na jej twarzy i znó w nabrała nadziei, że uda się jej nawiązać z nią nić porozumienia.

Odwróciła się do wicehrabiego, lecz spostrzegła, że wciąż dotyka jeg o ręki.

Szarpnęła dłoń w tył, ale spojrzenie jeg o żywych, błękitnych oczu mówiło, że zauważył tę poufałość.

Chwała Bogu, że wicehrabia nie wiedział, jak głębokie wrażenie wywarł na niej ten

dotyk. Miała nadzieję, że nie wiedział. Serce tłukło się jej w piersi, w głowie miała mętlik, zaschło jej w gardle.

Na szczęście zdołała jakoś wydobyć z siebie głos.

— Jeśli to panu odpowiada... milordzie, może Izzy mogłaby odprowadzić Hele n i mni e na Śliwkowe Wzgórze?

— Nie! - krzyknęła Helen, unosząc zalaną łzami twarzyczkę i spoglądając z przerażeniem na Phoebe . - Ja jej nie lubię.

— Też ciebie nie lubię, ty wielki, rozmazany dzidziusiu — odszczek-nęła się Izzy. - A w ogóle, to ile ty masz lat? Dwa?

Hele n rozsłochała się znow u i przytuliła twarz do kolan Phoebe . Przez chwilę Phoebe była rozdarta. Czy dwoje dzieci mogłoby bardziej się różnić?

Lord Farley chrząknął.

— Może Izzy i ja moglibyśmy razem odprowadzić was do domu? On ? W jej prostej chacie o czterech izbach? Serce Phoebe znów zaczęło boleśnie tłuc się w piersi. Jak sprawy mogły tak całkowicie wymkną ć się jej spod kontroli? Zupełnie nie to miała na myśli, wyruszając w gniewie do Farley Park. Wtedy chciała tylko odzyskać stołek do dojenia i resztę swoich zawłaszczonych przedmiotów. I oto chwytając wicehrabiego za ramię, udziela mu nieproszona rad i zupełnie nie może się pozbierać w jego obecności. A teraz on chce złożyć wizytę w jej skromnej, małej chacie.

— Hm.. . nie sądzę, żeby to było konieczne — wykrztusiła.

— Ale ja chciałbym - upierał się. Uniósł jedną brew, jakby chciał powiedzieć, że przecież mu nie odmówi . I, rzecz jasna, nie mogłaby.

— Och . Cóż . Przypuszczam... To znaczy... jeśli jest pan pewien.

— Jestem. — Kiedy wreszcie przeniósł badawcze spojrzenie na Izzy, Phoebe odetchnęła głęboko. — No więc, Izzy — kontynuował - co powiesz? Odprowadzimy

je do domu?

Dziewczynka odgarnęła z czoła splątany kosmyk włosów i podejrzliwie spoglądała na niego spode łba.

- Czemu już nie mówisz na mnie Clarissa? - z pogardą wycedziła znieawidzone imię. Wzruszył ramionami.

- Teraz wiem, że nie powinienem tego robić. Jeśli życzysz sobie nazywać się Izzy, niech będzie Izzy. Więc - ciągnął dalej - idziemy na Śliwkowe Wzgórze?

Uniosła w górę zadowolonego szczeniaka.

- Możemy wziąć wózek z kucykiem?

— Wózek z kucykiem?

— Widziałam go w stajni. Możemy nim pojechać? Mogę powozić?

Phoebe spojrzała z ukosa na wicehrabiego. Powiedz tak, nakłaniała go bezgłośnie.

Ona rzuca ci gałązkę oliwną, więc się zgódź.

— A ty wiesz, jak się powozi koniem?

Tym razem Izzy wzruszyła ramionami, podobnie jak ojciec, co kazało Phoebe się uśmiechnąć.

- Pewno. Co w tym może być trudnego?

- To rzeczywiście nie jest trudne - powiedział, podchodząc do niej. —Ale dobry woźnica wie, jak kierować zwierzęciem, nie robiąc mu krzywdy. Konie mają bardzo wrażliwe pyski. — Podrapał Brunona za uszami. — Chodźmy. Przygotujemy wózek i zaprzęgniemy konia.

Izzy postawiła na ziemi Brunona, a on natychmiast gdzieś pobiegł z nosem przy ziemi. Dopiero wtedy Helen oderwała się od Phoebe i pognęła za nim, cały czas jednak rzucając ponure spojrzenia na Izzy.

Lord Farley ruszył w kierunku stajni, Izzy po chwili za nim. Przy rogu lodowni zwolnił i się obejrzał.

— Chcesz nam pomóc, Helen?

Helen pokręciła schowaną w ramiona głową. Phoebe wpadła na inny pomysł.

— Obie wam pomożemy. Chodź, Helen. Chodź, Brunonie.

Izzy się naburmuszyła.

— Po co ona ma pomagać? Pewn o boi się koni.

— Nieprawda!

— Phi. - Izzy puściła się biegiem. - To ja chcę zabrać też Leyę. Jej się tu nie podob a tak samo jak mnie.

Stanowili razem dziwną zbieraninę. Wicehrabia, swobodny jak farmer, z szerokimi ramionami okrytymi samą koszulą; Phoebe w codziennym fartuchu przypiętym do prostej, znoszonej, wełnianej sukni. Brudna, nieuczesana Izzy powoziła, podczas gdy Helen o wyglądzie obrażonego anioła mocno trzymała popiskującego szczeniaka. Jasnooka Leya gaworzyła usadowiona na kolanach Phoebe, której ręka przyciskała jej brzuszek, przynosząc ulgę. Wychylała się do przodu i chichotała z zachwytem za każdym razem, kiedy wózek podskakiwał na dziurze czy kamieniu.

Phoebe była wdzięczna losowi, że nie spotkali nikogo na drodze u podnóża a wzgórz ani w lesie. Tego by tylko brakowało, żeby ludzie ze Swansford zaczęli plotkować o niej i wicehrabim, zwłaszcza zważywszy na reputację kobiety rozwiązłej, jaką miała jej siostra.

Z drugiej strony każdy, kto by ich nie znał, mógłby wziąć ich za rodzinę na przejażdżce - ojciec, matka i dzieci.

Przygryzając policzek, odwróciła się od władczo męskiego wicehrabiego i zapatrzyła się na wschód, gdzie za ostatnimi zielonymi, pozbawionymi drzew wzgórzami leżało

bezkresne morze. Czowała się nieswojo, myśląc o lordzie Farleyu w ten sposób.

Niezwykłe uczucie nie dawało jej spokoju.

To z powodu dzieci, powiedziała sobie. Kochała dzieci - maleństwa jak Leya, aniołki jak Helen. Nawet nieznośne małe diablęta jak Izzy można pokochać, jeśli tylko ma się dość cierpliwości, by spojrzeć głębiej, pod kanciastą powłokę zewnętrzną.

Burza uczuć, jaką wzbudza w niej lord Farley i jego dzieci, jest całkowicie normalna u kobiety w jej wieku, mówiła sobie. Miała nadzieję, że kiedyś będzie mieć własne dzieci.

Ale najpierw trzeba ci męża.

Mąż. Pan Blackstock z pewnością zgodziłby się z tym. Jednakże perspektywami, jakie miała w Swansford, nie była zachwycona bardziej niż jej matka, choć z innych powodów. Rzuciła okiem na lorda Farleya i znów odwróciła wzrok. Jej matka bez wątpienia zaaprobowałaby wicehrabiego dla jednej z córek. Ale Phoebe odrzuciła tę myśl, zanim zdążyła się ona uformować. Matka zawsze miała nierealistyczne oczekiwania co do córek. Phoebe wiedziała, że bogaty wicehrabia jest poza zasięgiem takiej wiejskiej dziewczyny jak ona, nawet jeśli skłócony z jej matką wuj był baronem.

Co ważniejsze, prawdopodobnie nie mogłaby być szczęśliwa z mężczyzną o tak bujnej, obfitującej w romanse przeszłości, jak lord Farley.

Starając się zająć myśli czymś innym, zwróciła się do Helen, która siedziała tuż przy niej w otwartym, wyplatany koszu powozika.

- Chcesz potrzymać Leyę na kolanach?

Nieszczęśliwa twarzyczka Helen rozjaśniła się promiennym uśmiechem.

- Och tak!

Izzy odwróciła się na koźle i popatrzyła na nie groźnie.

- Leya to moja siostra, nie twoja.

Helen spojrzała na Phoebe oczami znów pełnymi łez.

- A ona trzymała Brunona bez pytania.

Phoebe pogładziła czubek złocistej główki Helen.

- Wiesz, bardzo trudno jest dzielić się tym, co kochamy. Ty kochasz Brunona, a Izzy kocha Leyę. Kochasz Leyę, prawda? - zagadnęła Izzy.

Dziewczynka naburmuszyła się i uciekła wzrokiem, po chwili jednak z ociąganiem przytaknęła skinieniem głowy. Phoebe nie mogła się nie uśmiechnąć. Cóż za doniosłe ustępstwo! Bez zastanowienia poszukała wzrokiem lorda Farleya, który wpatrywał się w Izzy w zdumieniu. Następnie podniósł oczy, napotkał spojrzenie Phoebe i uśmiechnął się, a ona znów poczuła to niepokojące gorąco w brzuchu. Sytuacja zaczynała być niebezpieczna.

Natychmiast skoncentrowała się znów na Helen.

— Rzecz w tym, że Leya wróci do domu z Izzy, a Bruno zostanie z nami. Jeśli chcesz dziś pobawić się z Leyą, musisz pozwolić Izzy pobawić się z Brunonem. I vice versa - dodała w kierunku Izzy. — Wiesz, co to znaczy?

Izzy z irytacją strzeliła lejcami, by przynaglić masywnego konia do szybszego biegu.

— To znaczy, że mazgaj musi pozwolić mi bawić się z Brunonem.

- Rzuciła Helen triumfujące spojrzenie. - Mam nadzieję, że Leya zmoczy ci sukienkę.

Phoebe westchnęła. Pierwsze koty za płoty. I przynajmniej lord Farley przyznał jej rację w kwestii imienia Izzy.

Kiedy znaleźli się na ostatnim odcinku drogi prowadzącej pod górę na Śliwkowe Wzgórze, Phoebe rozejrzała się po otoczeniu swojego domu, miejscu, gdzie spędziła

całe życie. Wyglądało jak zawsze, niezmiennie, jeśli nie liczyć zmian scenerii dyktowanych przez pory roku.

Dziś jednak patrzyła na wszystko innymi oczami, próbując zobaczyć to tak, jak on mógł widzieć, i dostrzegając wszystkie niedostatki, jak to miała w zwyczaju jej matka. Dach kryty łupkiem ugiął się po jednej stronie komina, wiatrownicom przydałoby się malowanie, tego samego wymagały okna i drzwi. Wąska ścieżka prowadząca do domu była zarośnięta i pełna kałuż. Potrzebny był nowy daszek nad studnią, a stodoła poszarzała ze starości przechyliła się w lewo od czasu gwałtownej burzy w sierpniu zeszłego roku.

Ale ogród był schludny i zadbany, sad też. Wczesne róże przy drzwiach frontowych zieleniły się ładnie. Na pobliskiej łące pasła się Posie i pozostałe kozy, dzięki czemu jej mała farma emanowała atmosferą spokoju i bezpieczeństwa.

Chata na Śliwkowym Wzgórzu mogła sobie być niczym w porównaniu z rozmachem i wspaniałością Farley Park, ale mimo niedostatków była solidna i przytulna, komin ciągnął dobrze i Phoebe nie miała się czego wstydzić. Jej matka byłaby gorzko rozczarowana skromnymi warunkami, ale Phoebe kochała ten dom z jego łuszczącą się farbą i całą resztą.

Bruno poszczekiwał, wyczuwszy znajome kąty, i Helen zeskoczyła z nim na ziemię, kiedy tylko Phoebe wzięła Łeyę. Izzy także zeskoczyła, ale lord Farley chwycił ją za ramię.

- Chwileczkę, młoda damo. Do twoich obowiązków jako woźnicy tego pojazdu należy zadbanie o potrzeby konia. Gdzie możemy go напоić? - zwrócił się do Phoebe.

- Mam garnek przywiązany na linie do studni. Garnek, ponieważ nadal nie mam wiadra - wyjaśniła, kierując tę uwagę do Izzy. - Muszę je odzyskać.

- Tak. I co z tym wiadrem? — spytał wicehrabia. - A także z innymi rzeczami, które

ukradłaś pannie Churchill. Izzy przewróciła oczami.

- Są w lesie. - Wykonała nieokreślony gest dłonią. — Nie wiem dokładnie gdzie.

- Owszem, wiesz - nie ustępował lord Farley.

- Tak. Jestem pewna, że wiesz — wtrąciła się Phoebe. — Prawdę mówiąc, to czemu nie miałabyś przynieść wiadra i stołka teraz, Izzy? Później mogę ci pokazać jak ich używać. Na pewno nie zajmie ci to dużo czasu, a pod twoją nieobecność ja przygotuję słodkie mleko i świeży chleb z powidłami. Wszystko będzie gotowe, akurat jak wrócisz.

Izzy bez słowa podprowadziła konia do studni. Lord Farley wziął się pod boki i patrzył na nią, marszcząc brwi.

- Jeżeli próbuje ją pani przekupić chlebem z powidłami, nie sądzę, żeby to się udało.

- To oczywiste, że pańskie groźby były nieskuteczne. Może moje nagrody będą.

Przyglądał się jej badawczo.

- Tak, ale chleb z powidłami? Wczoraj wieczorem jadła na deser ciastka francuskie z kremem czekoladowym. Dlaczego miałaby się dać skusić chlebem z powidłami, skoro może mieć ciastka i inne słodczyce, kiedy tylko wróci do domu?

Phoebe rzuciła mu spojrzenie pełne irytacji.

— Dlatego, że nie próbował pan mojego chleba z powidłami. — Bez ostrzeżenia wetknęła mu w ramiona Leyę. — Sądzę, że pańskiej córce należy zmienić pieluszkę. Jęcząc w duchu, Phoebe umknęła do kuchni. Co ona sobie myśli, chełpiąc się swoją prostą kuchnią, kiedy on ma kucharza, który spełnia wszystkie jego zachcianki? Do tego jeszcze wręczyć mu dziecko z taką złością? To nie głupkowaty farmerski syn, którym mogłaby dyrygować. To wicehrabia Farley, największy posiadacz ziemski w tej okolicy. Wykształcony, bywał w świecie i bogaty ponad wszelkie wyobrażenie.

Urodzony do przywilejów, jakie tylko może dać przynależność do angielskiej arystokracji.

Za kogo ona się ma, żeby traktować go tak poufale?

To tylko dlatego, że wytrącił ją z równowagi swoim bezpośrednim spojrzeniem i zbyt swobodnym odzieniem. Nie tłumaczyło jej to jednak i wiedziała o tym. Postanowiła, że nie pozwoli, żeby tak na nią działał, i zaczęła się krzątać po kuchni. Najpierw roznieciła ogień, dodając dwa polana, następnie naląła świeżego koziego mleka z dzbanka, który trzymała w chłodzie w głębokiej miednicy z wodą. Ukroiła cztery pajdy chleba z chrupiącą skórką i opiekła je, po czym rozgrzała trochę powideł. Jednak kiedy wyrzała przez okno i zobaczyła lorda Farleya, jak trzymając Leyę, rozmawia z Helen, zamęt uczuć powrócił, by ją znów dręczyć. Jak ma traktować go z należyty szacunkiem, którego wymaga jego tytuł, skoro on uparcie zachowuje się jak zwykły człowiek? W jednej chwili w samej koszuli powozi wózkiem i rozpaczliwie potrzebuje jej pomocy, zaraz potem cały jest Ciastkiem Francuskim z Kremem Czekoladowym, daleko poza jej zasięgiem.

Cóż, zobaczymy, czy nie uzna, że jej chleb z powidłami dorównuje jego wyszukany deserom. A w ogóle, to skoro tak świetnie wie, czego dzieciom potrzeba, czemu błagają o pomoc?

I czemu tak się złościł? chciał wiedzieć głos rozsądku. Ten mężczyzna może nie mieć pojęcia o wychowywaniu dzieci, ale przynajmniej chce spróbować. Ojciec Helen nigdy nie przejawiał najmniejszego zainteresowania swoją córką.

Ale czy ojciec Helen w ogóle wie, że ma dziecko? Biorąc pod uwagę wybryki Louise, może ona nie być pewna, z kim poczęła Helen. Czyż to nie smutna i odrażająca myśl?

Ogarnięta zbyt wieloma sprzecznymi emocjami, Phoebe postanowiła zająć się tym, co ma do zrobienia i niczym innym. Zdjęła więc opieczzone kromki z paleniska i ułożyła je na dużym talerzu. Może czekając na powrót Izzy, powinna sprawdzić, co z Leyą, zanim lord Farley narobi bałaganu.

Znalazła go pochylonego nad leżącą na ławeczce wózka Leyą i bez powodzenia usiłującego przewinąć piszczące maleństwo. Ale było to radosne piszczenie. Helen przysiadła obok Lei i machała źdźbłem trawy nad jej główką. Za każdym razem, kiedy trąciła nosek Lei, niemowlę wybuchalo śmiechem. Śmiała się też Helen.

Lord Farley również.

Głęboki dźwięk jego śmiechu przenikał Phoebe, poruszał każdy jej nerw, sprawiał, że żołądek zaciskał się w węzeł. To było jak mdłości, tylko inne. Gorsze.

Nagle Phoebe pojęła, jak niebezpieczny jest ten mężczyzna. Zachowuje się jak zwykły człowiek, ale prawda jest taka, że nim właśnie nie jest. Może się nie wywyższać, może nawet zniżać się do tego, do czego zniżyłoby się niewielu mężczyzn. Przez to jednak staje się dla niej tym bardziej pociągający i dlatego

znalazła się w niebezpieczeństwie. Prostej wiejskiej dziewczyny, takiej jak ona, nie powinien pociągać taki bogaty lord jak wicehrabia Farley. Tylko rozczarowanie

- lub katastrofa — może z tego wyniknąć. Objęła się rękami za brzuch, starając się zapanować nad rozkołysanymi uczuciami. Nie może pozwolić, żeby tak działał na nią jego głęboki śmiech, ani jego piękna, męska twarz, ani swobodne obejście.

Wiedziała jednak, że to na nic, bo dalej stała, wpatrując się w lorda Farleya, który z niewielką pomocą Helen zdołał wreszcie przewinąć Leyę. Podniósł niemowlę do góry, a po chwili podrzucił je wysoko nad głowę.

Phoebe zapało dech w piersi, ale Leya zapiszczała z zachwytu. Helen klasnęła w ręce i wybuchnęła niepowstrzymanym chichotem. Zrobił to znowu, śmiejąc się razem

z nimi, potem jeszcze trzeci raz. Przestał dopiero na dźwięk krzyku Izzy, który rozległ się na całym podwórzu.

— Nie zrób krzywdy mojej siostrze! — Dziewczynka pędem minęła Phoebe, rzucając w biegu wiadro i stołek.

— Ale jej się to podoba - powiedziała Helen. — I kto teraz jest bojący dudek?

— Zamknij swoją cholerną gębę - wrzasnęła Izzy, a jej pierś falowała ze wzburzenia.

— Nie chciałem cię przestraszyć, Izzy — powiedział ojciec. — Możesz potrzymać Leyę, jeśli chcesz. I jeśli masz ochotę - dodał, kiedy Izzy wzięła od niego Leyę - ciebie też mogę tak podrzucić w powietrze.:

Izzy odwróciła się bez słowa. Wtedy dostrzegł Phoebe. Jeszcze raz uśmiechnął się do niej.

— A zatem, czy pani słynny chleb z powidłami jest gotów?

Phoebe usiłowała nie odpowiedzieć mu uśmiechem, ale na próżno. Rozsądek nie był w stanie zwyciężyć nad emocjami.

— Gotów — odparła, czując, że rumieniec wypływa jej na policzki.

4

James przyglądał się, jak Izzy chwyciła wymię kozy i szarpnęła w tył. Zwierzę odwróciło łeb z głośnym, żalonym meczeniem. Helen roześmiała się, na co Izzy zgromiła ją wzrokiem, ale też wyglądało na to, że wzmogło to jej determinację.

Mogła sobie być kłamczucha, złodziejką i najbardziej krnąbrną istotą, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia, ale nie można było odmówić Clarissie Elizabeth Lindford odwagi. Zdawało się, że przeciwności podsycają jej upór. Gdyby tylko udało mu się skierować tę jej siłę woli w stronę czegoś dobrego. .

- Nie tak mocno, Izzy — pouczyła ją Phoebe. — Bella to starowinka i lubi, żeby się z nią obchodzić łagodnie. Jak większość kobiet. James przeniósł spojrzenie z Izzy na

kobietę klęczącą na słomie koło niej.

Co on ma myśleć o Phoebe Churchill, pannie Phoebe Churchill? Choć mówiła z zaśpiewem z Yorkshire, w jej wymowie było coś, co sprawiało wrażenie wyrafinowania, którego trudno się spodziewać po wieśniaczce. Ale nie tylko to.

Pozwolił sobie przyrzeć się jej wnikliwie, w sposób, w jaki jeszcze na nią nie patrzył. I w jaki nie powinien patrzeć na nią teraz. A jednak to zrobił. Ubierała się jak wieśniaczka, nosiła suknie z mocnej wełny i praktyczne obuwie. Zawsze nosiła fartuch przypięty do stanika i w pasie.

Czy kiedykolwiek widział swoją arystokratyczną matkę w fartuchu? Zaśmiał się w duchu na samą myśl, że Augusta, lady Acton, mogłaby mieć taką pospolitą część garderoby. Jego siostra Olivia miała fartuchy i używała ich. Ale też Olivia, mimo powodzenia w towarzystwie, była szczęśliwa, zostając żoną szkockiego barona, i więcej niż chętna zakasać rękawy, kiedy trzeba było brać się do roboty.

Nawet najmłodsza siostra, piękna i uparta Sarah, nie miała nic przeciwko pobrudzeniu sobie rąk, przynajmniej kiedy miał z tym coś wspólnego jej ukochany Marsh. Bez wątpienia jego siostrom spodobałaby się Phoebe i jej praktyczne podejście do życia.

Była jednak różnica. Siostry mogły być mniej wybredne od matki, jeśli chodzi o prowadzenie gospodarstwa, ale były takie z własnego wyboru. Wciąż miały służbę na skinienie.

Sądząc po skromnej chacie i zabudowaniach, które składały się na siedzibę Churchillów, Phoebe takiego wyboru nie miała. Ani teraz, ani nigdy. Doiła kozy, gotowała i zajmowała się wszystkimi sprawami gospodarskimi. Jego wzrok prześlizgnął się po wdzięcznej szyi, smukłych plecach, wciętej talii i biodrach ukrytych pod prostą spódnicą z tkaniny o mocnym, ukośnym splocie. Posiadała

niewiele i zdawała się nie oczekiwać więcej. Jak mogłaby zareagować na odrobinę pochlebstwa, kilka małych podarków, obietnicę kwartalnej pensji i może hojny fundusz na stroje i inne cacka, które kobiety tak uwielbiają?

Jego bryczesy zrobiły się przyciasne na tę myśl, więc niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. Co też mu chodzi po głowie? Nie da się złożyć tego rodzaju propozycji

takiej przyzwoitej kobiecie jak ona.

Zakładając, że jest przyzwoitą kobietą.

Może powinien dyskretnie rozpytać tu i ówdzie.

Jakby wyczuwając, że myśli o niej, spojrzała na niego z uśmiechem.

- Zaczyna pojmować, w czym rzecz.

Na szczęście odwróciła się z powrotem do Izzy, która z coraz wiek-1 szą wprawą strzykała strumykami ciepłego koziego mleka do metalo-i wego garnka. Ale obraz uniesionej twarzy Phoebe, jej ślicznych ust z niewymuszonym uśmiechem, rozpałił wyobraźnię Jamesa na nowo.1 Choć nie robiła nic, żeby go otwarcie kusić, jednak ta urocza wiejska! dziewczyna sprawiała, że poczuł ból w lędźwiach. Powinien sobie I tego zakazać, ale nie potrafił. j Czy ona zdaje sobie sprawę, co z nim wyprawia?

Niestety, podejrzewał, że nie. Byłoby o wiele lepiej dla niego, gdyby wiedziała.

Matkowanie siostrzenicy i jego dwóm córkom mogło jej przychodzić naturalnie, ale flirtowanie z rozgrzаныmi młodymi lordami — już nie. Wyobrażanie sobie, że jest inaczej, pozostawało w sferze życzeń. Bez względu na bezmiar jego frustracji i jej wdzięk, ona nie należała do tego gatunku kobiet. Nie musiał nawet zasięgać języka, żeby być tego pewnym.

Powinien trzymać na wodzy swoje myśli i pamiętać, czego naprawdę potrzebuje od tej kobiety. Jeśli tylko zechce, damskie towarzystwo znajdzie gdziekolwiek. Co innego dobrą guwernantkę, która poradzi sobie z kapryśnym niemowlęciem i

samowolną dziesięciolatką. Takie zdarzają się piekielnie rzadko. Najlepiej będzie, jeśli skupi się na tym, do czego najbardziej jest mu potrzebna Phoebe Churchill, i nie zaprzepaści całej sprawy tylko dlatego, że jego księżę staje na baczność, kiedy ona jest w pobliżu.

- Wyjdę na zewnątrz. Sprawdź jak się ma koń — powiedział, kiedy Izzy omiotła go wzrokiem.

- Nie uważa pan, że Izzy świetnie sobie radzi? — spytała Phoebe, wpatrując się w niego z napięciem. - Wydaje mi się, że ma naturalny talent do hodowli zwierząt.

- Ach... tak. Owszem, ma — zgodził się, niemal w ostatniej chwili odczytując jej nieme przesłanie. - Jesteś bardzo dobra w dojeniu

- pochwalił Izzy. - I bardzo bystra, skoro tak to szybko pojęłaś.

Ale dziewczynka odwróciła się i skuliła chude plecy, jakby chciała się od niego odgradzić. Cholera, ależ on jest durny w tych ojcowskich sprawach. Myśli o rozkoszach cielesnych, kiedy powinien myśleć o swoich dzieciach. Zbyt wiele myślenia o rozkoszach cielesnych

- i angażowania się w nie — i oto ma troje nieślubnych dzieci. Jeśli ma unikać kolejnych, to niechże się skupi na tym, co ważne. Phoebe Churchill będzie idealną guwernantką. Nikim więcej. I nikim mniej.

- Możemy wrócić tu jutro? - Izzy spytała Phoebe pół godziny później. Słońce już zaczynało chylić się ku zachodowi i pora było wracać do Farley Park.

James czekał bez słowa na odpowiedź Phoebe.

- Jestem pewna, że twój ojciec ma coś lepszego do roboty, zamiast spędzać dzień tutaj - powiedziała w końcu, kiedy nie reagował na jej spojrzenia.

- Nie ma. - Dziewczynka nawet nie spojrzała na niego dla potwierdzenia.

James nie dał się wyprowadzić z równowagi tym jej stwierdzeniem. Jedno krótkie

popołudnie wystarczyło mu, żeby nabrać pewności, że Phoebe ma słabość do dzieci.

Kiedy będzie się starał namówić ją, żeby zgodziła się zostać guwernantką, Izzy i

Leya będą jego atutem.

- Poza tym - ciągnęła Izzy - tylko ty potrafisz tak zrobić, żeby Leya nie płakała cały czas. Ona lubi cię bardziej niż te wszystkie suki, chciałam powiedzieć garkotłuki, to znaczy te zrzędzące staruchy w Farley Park.

Helen zachichotała nerwowo na taką impertynencję, ale pod surowym spojrzeniem

Phoebe zamilkła. James życzyłby sobie, żeby Izzy było równie łatwo poskromić.

- Jeśli zrzędzą, to podejrzewam, że dlatego, że ty im dostarczasz powodów -

powiedziała Phoebe.

- Ale ty nie zrzędzisz.

James udał, że kaszle, żeby pokryć śmiech. Tu cię ma, panno Phoebe Churchill.

Phoebe zignorowała ostatnią uwagę dziewczynki.

- Leya była nieszczęśliwa tylko dlatego, że bolał ją brzusek. Teraz będzie o wiele

bardziej zadowolona, kiedy dostanie kozie mleko zamiast krowiego. Dopilnujesz

tego, prawda, Izzy?

- O tak. - Izzy przycisnęła do siebie bańkę koziego mleka, którą Phoebe dała im do

domu. - Każdy, kto da jej krowiego mleka, odpowie mi za to. Aleja chcę, żebyśmy tu

znów przyszli jutro.

Nieustępliwa jak buldog, pomyślał James. Odchrząknął.

- Mam pomysł. Jeśli cię to interesuje, Izzy, od jutra zacznę uczyć cię jeździć konno.

Dziewczynka spojrzała na niego z ostrożnym zainteresowaniem, ale ani trochę z

takim entuzjazmem, jaki kierowała do Phoebe,

- Jesteś już dość duża, żeby nauczyć się jeździć i może wpadniemy tu do panny

Churchill po kozie mleko. Czy to pani odpowiada? — zwrócił się do Phoebe.

Pod bacznyim spojrzaniem lorda Farleya Phoebe ogarnęły mieszane uczucia.

Niechciana przyjemność i niechciana panika. Splotła dłonie pod fartuchem.

- Oczywiście, możecie wpaść. A ja z radością będę wam dostarczać tyle koziego mleka, ile tylko Leya potrzebuje. Czowała się jak gąska, onieśmielona i nieporadna, czego bez wątpienia oczekiwał po prostej mleczarce.

Skinął głową i się odwrócił. A czego innego się spodziewała? Nie może pozwolić sobie na snucie bajek o mężczyźnie takim jak on, podczas gdy ma przed oczami żywe dowody jego swobodnego trybu życia.

Patrzyły z Helen, jak wsiadł do wózka z Leyą i znów pozwolił Izzy powozić.

Odpowiedziały machaniem na jego machanie, potem w milczeniu przyglądały się, jak wózek z pasażerami powoli oddala się rzadko używaną dróżką dla wozów prowadzącą do głównej drogi.

Helen oparła główkę o rękę Phoebe.

- Myślisz, że jego lordowska mość nauczy mnie powozić? — spytała. — A może i jeździć na koniu?

Phoebe dosłyszała nutę nostalgii w głosie siostrzenicy, której wolałaby nie słyszeć.

To było pierwsze prawdziwe spotkanie Helen z jakimkolwiek mężczyzną poza Martinem i pastorem Peggersonem w kościele. Ale Martin był prostoduszny jak dziecko, a pastor surowy i groźny jak babka Helen.

Lord Farley natomiast był miły i łagodny wobec swoich córek. Phoebe to zauważyła; niemożliwe, żeby Helen tego nie widziała.

- Lord Farley jest ważną osobą i prawdopodobnie jest bardzo zajęty, kochanie.

- Tak, ale... możejeśli ładnie poproszę.

- Owszem, myślę, że mógłby. Zwłaszcza jeśli postarasz się być miła dla Izzy.

Helen zmarszczyła nosek, po czym westchnęła ciężko, z rezygnacją.

- Dobrze, postaram się. Ale ona nie jest zbyt miła dla mnie.

- Wydaje się, że się poprawia. Nie sądzisz?

Po dłuższej chwili Helen skinęła głową.

- Troszeczkę.

Następny dzień wstał mokry i zimny, z gwałtownym wiosennym sztormem rozbijającym fale morskie o skały poniżej domu. Dla Phoebe mokre rozbryzgi i szum były znajome jak kołysanka, bardziej wichru niż deszczu.

Helen z Brunonem została w domu, podczas gdy Phoebe oporządzała kozy i kury.

Dziś nie będzie prania, co nie znaczyło, że nie ma innych domowych zajęć. Drewno na opał zgromadzone na zimę kończyło się, trzeba więc będzie zamówić u Martina nową dostawę, a to oznaczało dużo szycia w zamian.

Może dziś mogłaby posprzątać w szafkach, dzięki czemu będzie miała z głowy tę część wiosennych porządków. Mogłaby też zacząć robić nowy ser.

Wzięła koszyk z jajkami i wiadro z mlekiem i schylając głowę przed zimnymi ukąszeniami nieznośnego deszczu, pobiegła przez błotniste podwórze z powrotem do domu.

Wewnątrz było przytulnie i ciepło. W milczeniu zajęły się z Helen każda swoimi sprawami. Wziąwszy pod uwagę pogodę, zwątpiła w dzisiejsze odwiedziny, a w miarę jak dzień mijał, była już pewna, że goście się nie pojawią.

Po południowym posiłku Helen zdrzemnęła się w wielkim wyściełanym fotelu w bawialni, z książką na kolanach, zaś Phoebe zajęła się serem. Podpuszczka, zsiadłe mleko, szmatka do sera. Przyjemny kwaśny aromat podobnie jak rozbijające się fale stanowił ośnowę dla wątku jej życia. Jej matka nie znosiła jednego i drugiego, Louise tak samo. Co do ojca, trudno powiedzieć, bo odzywał się rzadko i to wyłącznie w

kwestiach praktycznych.

Czy Helen, dorastając, będzie cieszyć się codziennymi dźwiękami i zapachami prostego życia? Czy może któregoś dnia zapragnie uciec tak jak jej matka?

Phoebe wmieszała łyżkę zsiadłego mleka do świeżego i przykryła miskę szmatką, zawiązując mocno, żeby nie dostały się do środka żadne owady i kurz. Na dworze deszcz rozpadał się na dobre — dźwięcznie stukał w szyby okienne, bardziej głucho bębnił w okiennice i drzwi i szemrał, spływając po łupkowym dachu.

Phoebe uśmiechnęła się do siebie, wycierając ręce, po czym wyczyściła solidny stół kuchenny. Bycie samej we własnym domu wciąż było dla niej nowością, skradzioną radością, którą odkrywała.

Oczywiście nie była sama. Helen spała zwinięta w fotelu przy kominku, z Brunonem skulonym koło niej. Pochrapywanie dziewczynki i pieska wzmacniało tylko domowy nastrój w przytulnej chacie. Było to spartańskie życie, pozbawione luksusów, ale spokojne i bezpieczne -a przynajmniej takie by było, gdyby nie wisiała nad nią groźba niezapłaconych podatków.

Myśl o podatkach kazała jej rozważyć kuszącą propozycję objęcia płatnej posady, złożoną jej przez lorda Farleya. Powinna się zgodzić. Czemu tak się boi to zrobić?

Po prostu się bała. Bez logicznego powodu, mając za to wiele powodów nieracjonalnych. Jego męska sylwetka, zwłaszcza na koniu; jego oczy, które zdawały się sięgać wzrokiem o wiele głębiej niż powierzchnia jej skóry; jego szczere wysiłki działania dla dobra dzieci.

Phoebe stłumiła jęk. Nie chciała tracić popołudnia, śniąc na jawie o mężczyźnie takim jak on: którego ani nie mogła mieć, ani nie powinna chcieć.

Usiadła po turecku na podłodze przed jedną z szafek i zabrała się do pracy.

Ledwo zaczęła, kiedy zaalarmowało ją nagle walnięcie w drzwi kuchenne. Zanim

zdażyła zareagować, drzwi otworzyły się, wpuszczając podmuch zimnego, mokrego powietrza i równie zimną, mokną Izzy.

— Jesteśmy! — oznajmiła radośnie spod czerwonego szala i ciemno zielonego, za dużego kaptura od deszczu. Phoebe wstała. My?

— On wprowadza konie do stajenki dla kóz - powiedziała dziewczynka, odrzucając do tyłu ociekający wodą kaptur.

Natychmiast błogostan Phoebe się ulotnił. Lord Farley tu jest. Czemu, u licha, jechał w taką okropną pogodę, żeby nawiedzić jej skromne progi?

— Zamknij drzwi, Izzy, bo poprzeziębiamy się na śmierć. Chodź, zdejmij z siebie te mokre rzeczy.

— Widzę, że dzidzius sobie drzemie - stwierdziła Izzy z uśmiechem. — Mogę teraz sama pobawić się z Bruneonem.

Phoebe wzięła od Izzy pelerynę i strząsnąwszy z niej krople deszczu, powiesiła ją na haczyku wbitym w ścianę.

— Dwie sprawy, Izzy. Jako gość, najpierw pukasz. Potem czekasz, aż ci otworzą, a nie wpadasz tak, jak to zrobiłaś.

— Ale pada i zmarzłam.

— Po drugie, pytasz gospodynię, zanim uznasz, że możesz się pobawić czymkolwiek, co do niej należy.

Izzy spojrzała na nią spode łba i Phoebe skarciła się za swój wybuch. Ale ku jej zaskoczeniu Izzy przybrała, choć z wysiłkiem, miły wyraz twarzy.

— Przepraszam. Czy mogę pobawić się z Brunonem?

— Tak. Oczywiście, że możesz. Idź i usiądź przy ogniu. Masz mokre stopy?

— Trochę.

— To zdejmij buciki i postaw je przy kominku do wyschnięcia.

Zajęta była usadzeniem Izzy, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Zamarła przykucnięta przed paleniskiem, kiedy zapukał ponownie i uchylił drzwi.

— Jest tu kto?

Phoebe cofnęła się, kiedy zajrzał do środka. Mój Boże, ubrana jest jak pomywaczka.

— Jest zimno - zawołała Izzy. -Zamknij drzwi.

Już był w środku, tupiąc, zostawiwszy za drzwiami zimno i wilgoć, wypełniał jej przytulną chatę nieznaną, męską aurą. Przez chwilę kręciło się Phoebe w głowie.

Uklękała na twardej podłodze, nadal czując się oszołomiona, jakby miała się zaraz przewrócić.

— Dzień dobry, panno Churchill - powiedział, gdy ona wpatrywała się w niego w milczeniu.

Udało jej się wreszcie niezręcznie wstać. Wygładziła spódnicę i fartuch, byle tylko uniknąć patrzenia na niego. Czy bardzo było to śmieszne?

— Dzień dobry, lordzie Farley. — Przynajmniej głos nie drżał jej tak jak ręce.

Splotła dłonie. — Czy mogę wziąć pańską pelerynę?

— Dziękuję.

Jednym ruchem uwolnił się z ciężkiej peleryny z kapturem, a ona sięgnęła po nią. Już lepiej. Pamiętaj tylko, co ci matka mówiła o manierach, gościach, pogawędkach i tym wszystkim.

Niestety, nie wzięła pod uwagę wrażenia, jakie zrobi na niej peleryna, jeszcze ciepła od jego ciała, roztaczająca subtelną woń. Wełna i skórzane siodło, konie i deszcz. Ale było tam coś jeszcze, czego nie potrafiła nazwać, coś oszałamiającego i potężnego,

co znów przyprawiło ją o zawrót głowy.

Trzymała pelerynę trochę za długo, przyciskając ją do piersi i starając się odzyskać oddech. Zachowujesz się jak głupia!

Kiedy się odwróciła, żeby powiesić jego doskonale skrojony ubiór na kołku, koło

własnej pospolitej peleryny, postanowiła skończyć z tym niemądrym, przesadnym reagowaniem na jego obecność. Kontrast pomiędzy dwoma wiszącymi koło siebie okryciami doskonale podsumowywał sytuację. Mieli sprawę do załatwienia i to wszystko. On przyjechał po kozie mleko i może jeszcze po jakąś radę w sprawie wychowywania dzieci. Ona była w stanie zapewnić jedno i drugie. Poza tym nie mieli ze sobą nic wspólnego.

Wzięła oddech i odwróciła się do niego.

- Już przestałam oczekiwać was dzisiaj. Pogoda jest taka okropna.

- Za nic mamy deszcz - odezwała się Izzy ze swojego miejsca przed kominkiem, gdzie siedziała z Brunonem. —Ja jestem przyzwyczajona. W Londynie ciągle pada.

- Racja. - Phoebe popatrywała to na ojca, to na córkę. - Powiedz mi, jak Leya sprawowała się w nocy?

- Spała przez całą noc — odpowiedział lord Farley. Pomasował sobie kark i uśmiechnął się ironicznie. —Już zapomniałem, jak dobrze jest przespać spokojnie całą noc. Dziękuję pani za to. Jestem pani dłużnikiem. Wszyscy jesteśmy.

Jego szczerość sprawiła Phoebe przyjemność, pilnowała się tylko, żeby nie uśmiechnąć się za szeroko.

- Co za ulga to słyszeć.

- Takie proste rozwiązanie kłopotów Lei — powiedział. — Czy mogę usiąść?

- Oczywiście. Napije się pan herbaty?

Usiadł na krześle przy stole.

- Czegokolwiek ciepłego.

Phoebe odwróciła się do paleniska i powiesiła imbryk nad ogniem. On może potrzebować czegoś na rozgrzewkę, ale ona z pewnością nie. Doprawdy, policzki

muszą jej płonąć.

- Jedyne problem, jaki mieliśmy z Leyą - mówił dalej - to kiedy wybieraliśmy się tutaj. Płakała, żebyśmy ją wzięli ze sobą, ale kucharka przestrzegała przed zabieraniem maleństwa na dwór w taką pogodę.

— Kucharka miała rację. Nie jestem nawet pewna, czy Izzy powinna wychodzić.

— A to, że ja przemokłem, pani nie obchodzi?

Spojrzała na niego znad odmierzanej herbaty.

— Nie to miałam na myśli.

— Nie. - Uśmiechnął się znowu i tym razem udało mu się przytrzymać jej spojrzenie.

— Wiem, że nie to miała pani na myśli. Ja tylko się z panią drocę.

Jednak było to coś więcej niż tylko droczenie się - albo bardziej na nią działało.

Phoebe nigdy jeszcze w całym swoim życiu nie była tak świadoma czyjejś obecności.

Był jak uosobienie siły, jak potężny wichur, który zmiata wszystko na swojej drodze.

Porwał jej zmysły i jej zdrowy rozsądek jak wiosenna wichura unosząca pozostałe pa zimie liście i trawy.

Niekoniecznie jest to coś złego, powiedziała sobie. Nie, dopóki on jest w stanie panować nad sobą. Uśmiechnęła się zatem i wróciła do przerwanej zajęcia.

— Izzy — zawołała - chodź, napij się z nami herbaty.

Łatwiej było siedzieć z nim przy stole, mając obok Izzy.

— Czy mam obudzić Helen? — spytał lord Farley.

— Nie. Zaparzę dla niej później. No, Izzy, czym się zajmowałaś? Zachowujesz się trochę lepiej?

Izzy skupiła się na swojej herbacie, do której wmieszała trzy solidne łyżki miodu.

— Niczego już nie zwinęłam, jeśli to chcesz wiedzieć.

— To pocieszające. Cieszę się, że mam z powrotem wiadro i stołek.

Kiedy mogę się spodziewać zwrotu innych rzeczy, które zabrałaś? Izzy spojrzała na nią dziko.

— Kiedy przestanie padać.

— To dobrze. Wtedy też może któregoś dnia będziesz mogła przyjąć łączyć się do mnie i do Helen, kiedy będziemy mieć lekcje nas dworze. I

- Lekcje? - Wyglądała na zainteresowaną, dopóki Phoebe nie wspomniała o lekcjach.

—Ja nie potrzebuję żadne lekcje.

- Żadnych lekcji - poprawiła Phoebe. -i owszem, potrzebujesz.

Bez ostrzeżenia dziewczynka zerwała się, przewracając krzesło, które upadło z głośnym stukiem.

- Nie potrzebuję!

Lord Farley szybkim ruchem chwycił ją za ramię.

- Izzy! Co to za zachowanie. Podnieś krzesło i przeproś.

Dziewczynka poderwała krzesło i postawiła je, ale jej twarz była studium dziecięcego uporu.

- Nie będę mieć żadnych lekcji. Mówiłam ci, że nie, i mówiłam poważnie.

- A co z dzisiejszą lekcją jazdy konnej? - przypomniała Phoebe, nie zmieniając łagodnego tonu. Izzy spojrzała na nią podejrzliwie.

- To co innego.

- Doprawdy? - Phoebe napiła się herbaty. - Nie widzę różnicy. A wczoraj, o ile sobie przypominam, miałaś lekcję powożenia. Czemu nie miałabyś jutro spróbować innych lekcji?

- Bo tobie chodzi o czytanie. I liczenie. I wszystkie te głupoty, które głupi nauczyciele próbują wtłoczyć człowiekowi i do głowy. Ja niczego takiego nie potrzebuję. Phoebe poczuła na sobie spojrzenie lorda Farleya, który czekał, co ona odpowie. Ale ona nie spuszczała wzroku z jego córki.

- Tobie się wydaje, że to nie będzie zabawne. A będzie. Spytaj tylko Helen.

- Tego dzidziusia? - prychnęła Izzy. Jednak zamiast uciec, usiadła z powrotem na swoim krześle.

Pod masywnym stołem dziewczynka machała nogą, wybijając niespokojny rytm o nogę krzesła. Sięgnęła po swoją przesłodzoną herbatę i dodała jeszcze jedną łyżkę miodu pękatego garnuszka.

Phoebe ukryła uśmiech. Izzy była zaintrygowana. Nie chciała być, a była.

Przez chwilę wszyscy siedzieli w milczeniu. Na zewnątrz uporczywy deszcz zelżał.

Bruno przeciągnął się i zaskomlał, żeby go wypuścić, więc Phoebe wstała, by mu otworzyć drzwi.

— Ja z nim wyjdę - powiedziała Izzy i zerwała się, chwytając swoją pelerynę.

Zanim zdążyli ją zatrzymać, już była za drzwiami i rozchlapwała błoto, biegnąc przez podwórze za szczeniakiem. Phoebe, stojąc w drzwiach i przyglądając się im, nie zauważyła, że lord Farley stanął tuż za nią, dopóki się nie odezwał.

— Czy pani propozycja, żeby Izzy uczestniczyła w lekcjach Helen, oznacza, że zdecydowała się pani przyjąć posadę jej guwernantki? Wzdrygnęła się, po czym narzuciła sobie spokój.

— Czym innym jest włączyć dziecko w nasze swobodne lekcje, a czym innym występować jako jej guwernantka. Choć traktuję to jako komplement z pańskiej strony, nie sądzę, żebym miała odpowiednie kwalifikacje do objęcia tej posady.

— Cóż, ja myślę, że pani ma. Tak samo uważa pani Leake ze sklepu. Szczególnie panią poleca. Poza tym za każdym razem, kiedy widzę, jak sobie pani radzi z Izzy, utwierdza mnie to w tym przekonaniu.

Phoebe czuła przyspieszone pulsowanie serca. Pochlebiał jej i to przynosiło skutek. Nadal jednak miała obiekcje.

To niemożliwe, żebym była guwernantką Izzy i jednocześnie prowadziła farmę. To niemożliwe, żebym pozostawała pod jednym dachem z mężczyzną takim jak ty przez cały dzień.

— Pensja, jaką gotów jestem płacić, pozwoli na wynajęcie służącej czy nawet robotnika rolnego. Proszę, Phoebe. Panno Churchill

— poprawił się, kiedy zerknęła na niego skonsternowana. Jedną ręką otoczył jej ramiona, zmuszając ją, by odwróciła się twarzą do niego.

— Potrzebuję pani pomocy. — Przerwał, patrząc jej prosto w oczy.

— Izzy i Leya pani potrzebują.

Było to błaganie przemawiające do każdej z jej słabości. Pomiędzy gorącym jego dotykiem, poufałym użyciem jej imienia a usilną prośbą w jego hipnotyzujących oczach, Phoebe zaparło dech. A nad tym wszystkim wisiała w dodatku nieodparta pokusa sporego dochodu.

Z drugiej strony należało brać pod uwagę jego reputację w kwestii kobiet. Kiepską reputację.

- Ja... ja nie mogę - wyszeptała. Dlaczego ona szepcze?

- Może pani — nalegał, a jego błękitne oczy pociemniały. — Zaproponowała pani, żeby Izzy brała tu udział w lekcjach razem z Helen. Jak moja prośba może być tak bardzo różna od tego?

Bo jest, chciała powiedzieć. Tylko jak to wyjaśnić? Na szczęście zza jego pleców dobiegł zaspany głos Helen.

- Phoebe?

Lord Farley natychmiast puścił jej ramię i odsunął się, a uwolniona Phoebe łknęła potężny haust powietrza - i zdrowego rozsądku. Ten mężczyzna jest w stanie przekonać kobietę do wszystkiego, napomniała samą siebie. Dziś prawie zgodziła się pracować u niego. Gdyby to zrobiła i ich ścieżki krzyżowałyby się na co dzień, do czego jeszcze inogłby ją przekonać?

Przełknęła ślinę i zapatrzyła się poza niego, tam, gdzie Izzy baraszkowała z

Brunonem. Wystarczyło spojrzeć na nieplanowane dzieci lorda Farleya, aby znać odpowiedź.

Odwróciła się do Helen i z ulgą ją uściskała.

- Witaj, śpiochu. Zobacz, kto nas odwiedził.

Helen zerknęła zawstydzona i zaróżowiona ze swojego ukrycia w fałdach spódnicy Phoebe.

- Dzień dobry. - Uśmiechnęła się sennie do lorda Farleya. — Przyniosłeś Leyę?

- Niestety, dziś jestem tylko ja i Izzy. Ale możesz odwiedzić Leyę, kiedy tylko zechcesz - dodał, zerkając na Phoebe. To nie w porządku, chciała krzyknąć na niego.

Zupełnie nie w porządku. Helen uniosła głowę.

- Izzy? - Wyciągając szyję, wyrzała zza Phoebe, a kiedy dostrzegła swojego wroga, zeszywniała. — Przez nią Bruno będzie cały mokry. I brudny.

- Ależ Helen, Bruno potrzebował wyjść na dwór. Powinnaś być z niego dumna. Stał pod drzwiami i skamlał, tak jak go nauczyłaś.

Helen oderwała się od Phoebe i chciała wybiec, ale deszcz zatrzymał ją w progu.

- Bruno. Bruno!

Izzy spojrzała w jej kierunku, Bruno nie.

— Brunooo!

Lord Farley przecisnął się na zewnątrz, ocierając się o Phoebe.

- Przyniosę go, Helen. Poczekaaj tutaj.

Helen patrzyła za nim niespokojnym wzrokiem i dopiero kiedy podniósł brudnego szczeniaka, jej szczupłe ramiona się rozluźniły.

- On jest miły - powiedziała. - Lubię go.

— Ja też - mruknęła Phoebe. Za bardzo.

Kiedy wszyscy wrócili do domu, Izzy była podniecona, nastawiona, na drażnienie się z Helen, domyśliła się Phoebe. Dziewczynki sprzeczały się w bawialni o to, która będzie suszyć pieska, zaś Phoebe czym prędzej napełniła bańkę świeżym mlekiem.

Oczywiście, wicehrabia nie omieszkał pójść za nią do kuchni.

— Jest pani właściwą osobą, żeby zająć się wychowaniem i nauką moich dzieci — stwierdził, zbierając się do wyjścia. - Będę pani płacił! osiem funtów kwartalnie.

Zapewnię pani i Helen wygodne pokoje w Farley Park i każę wyposażyć salę szkolną we wszystko, czego pani zażąda.

- Nie mogłabym mieszkać w Farley Park. Co z moimi kozami i kurami? Z moim

ogrodem?

- Może pani nadal mieszkać tutaj albo przenieść się do Farley Park. I spędzać ryle czasu, ile pani zechce tu i tam. Uczyć dziewczynki tu, uczyć je tam. Proszę tylko powiedzieć, że przyjmuje pani posadę, panno Churchill. O szczegółach możemy porozmawiać później.

W końcu udzieliła mu jedynej odpowiedzi, jaka mogła sprawić, żeby dał jej spokój.

— Pomyślę o tym. To wszystko, co mogę obiecać.

— To wszystko, czego chcę. - Ale kiedy już się odwrócił, Phoebe mogłaby przysiąc, że dodał: — Póki co.

5

W nocy rozpętała się burza. Wiatr wył za oknami, deszcz chłostał starą chatę, a morze rozbijało się o skaliste klify. W porównaniu z tym, okropna pogoda poprzedniego dnia wydawała się niemal przyjemna.

Helen poleżała we własnym łóżku pięć minut, ale po jeżącej włosy na głowie błyskawicy zanurkowała do łóżka Phoebe. Czując się bezpiecznie, szybko zasnęła.

Phoebe nie miała takiego szczęścia.

To przez burzę, mówiła sobie. Głośna, wściekła, nie można jej nie zauważyć. I Helen - jej ręce, nogi i ciche pochrapywanie - zajmowała w jej łóżku więcej miejsca, niż powinno zajmować jej szczupłe, siedmioletnie ciało. W dodatku Phoebe niepokoiła się o kozy w chwiejącej się, pochylonej stajence. Co będzie, jeśli burza dokończy dzieła zniszczenia zapoczątkowanego przez burzę sierpniową i ta nędzna namiastka stajenki w końcu się zawali?

Wtedy będziesz musiała skorzystać z propozycji lorda Farleya, choćby po to, żeby móc sobie pozwolić na nową stajenkę dla kóz. To skierowało jej myśli na

rzeczywisty powód bezsenności — był nim lord Farley. Wicehrabia Farley. James Lindford.

James.

„James”. Smakowała to imię, wymawiając je na głos. W odpowiedzi rozległ się przeciągły, niski pomruk grzmotu. Zirytowana własną głupotą, odwróciła się na drugi bok i poprawiła starą puchową poduszkę. Nie będzie myśleć o nim inaczej jak o lordzie Farleyu, największym posiadaczu ziemskim - w tej okolicy, mężczyźnie, o którym kobieta taka jak ona absolutnie nie może snuć jakichś fantastycznych marzeń. Z drugiej strony, co to szkodzi pomyśleć o nim w ten sposób. Nic nie robić w tym kierunku, rzecz jasna. Tylko sobie marzyć o nim, a raczej o mężczyźnie takim jak on. Westchnęła. Miała dwadzieścia cztery lata i przez ostatnie osiem lat wypełniała obowiązki, jakie ma każda pani domu. Opiekowała się starzejącymi się rodzicami, porzuconym przez siostrę dzieckiem, zajmowała się farmą i tysiącem codziennych spraw. Jedynym, czego nie robiła, było dbanie o męża.

Ani też nie miała męża, żeby dbał o nią.

Przeszedł ją dreszcz. Gorący dreszcz, który nie miał nic wspólnego z zimną, deszczową nocą. Co robi mąż z żoną, poza tym, co oczywiste?

Orientowała się, na czym polega współżycie i prokreacja. Z tego, co widziała u psów i drobiu, u kóz i nawet u bydła, nie wydawało się to szczególnie przyjemne dla samic tych gatunków. Z tego, co mówiła matka, jest to coś okropnego, z wszelkimi

straszliwymi konsekwencjami: mężczyzna może zniszczyć kobietę, ale ona jego nie; może sobie z nią poczynać do woli, a kobieta musi spełniać swój obowiązek.

Doświadcza bólu małżeńskiego łoża. Potem przychodzi cierpienie! ciąży, mdłości, ból pleców i strach. I nie wolno zapominać, ile kobiet umiera przy porodzie.

Istnieje ze sto powodów, aby oprzeć się pokusie żądzy, i w swoich' kazaniach matka

Phoebe wymieniała je wszystkie.

Ale też życie Emilean Churchill zrujnowała żądza. To Louise odkryła źródło goryczy ich matki, słuchając krążących po wsi plotek. Wyglądało na to, że ich matka była jedynym dzieckiem młodszej córki brata barona. Tyle wiedziały. Choć pokrewieństwo Emilean z arystokracją nie było bliskie, wychowywana była na damę i spodziewano się, że dobrze wyjdzie za mąż.

Wtem przystojny syn farmera zawrócił jej w głowie - choć Phoebe trudno było sobie wyobrazić, że jej mrukliwy ojciec był kiedyś młody i przystojny. Niemniej jednak z chwilą młodzieńczego zapomnienia się, życie Emilean odmieniło się na zawsze.

Zmuszona wyjść za mąż, przeprowadziła się ze świeżo poślubionym małżonkiem do małej chaty jego rodziców na Śliwkowym Wzgórzu i odtąd wyrafinowana i wykształcona młoda dama wiodła żywot wieśniaczki, który uważała za udrękę.

Oczywiście, Churchillowie nie byli chłopami. Posiadali własną farmę od czasów wojny domowej. Ale dla Emilean byli chłopami i nigdy nie zadała sobie trudu, żeby spojrzeć na nich inaczej. Celem jej życia stało się wydanie córek za mężczyzn o wyższym statusie społecznym niż jej własny mąż. Trzymała się surowych zasad, w jakich sama była wychowywana, i mściwie wpajała je córkom. Żadna z reguł nie była na tyle nieistotna, by ją pominąć, a każde odstępstwo wymagało natychmiastowej kary.

Żaden młody człowiek nie miał prawa pojawić się w pobliżu jej córek. Wszyscy to oszuści kierujący się jedynie żądzą. Tak ich widziała.

Phoebe, a przez jakiś czas i Louise, robiły, co mogły, żeby zadowolić matkę. Ale Louise szybko wyrosła na piękność, która nie mogła ujść uwagi miejscowych młodzieńców. Ponętną figurą i burzą złotych włosów przyciągała mężczyzn jak ogień

na brzegu przyciągają przemytników.

Im bardziej się kręcili w pobliżu, tym więcej było kazań Emilean i tym dziksza

stawiała się Louise. Phoebe miała czternaście lat, kiedy jej siostra uciekła z kapitanem statku, a szesnaście, kiedy Louise wróciła, żeby oddać maleńkie dziecko pod opiekę

matce. Wtedy przygnębienie zagościło na dobre w chacie Churchillów.

Przygnębienie, wstyd i milczenie.

Phoebe znów zadrżała i przewróciła się na drugi bok. Podciągnęła gruby wełniany

koc pod brodę. Problem w tym, że pomimo gorzkich oskarżeń matki pod adresem

mężczyzn i ich prostackiej, lubieżnej natury, Phoebe nasłuchiwała się z innych źródeł

dość, żeby wiedzieć, że niektóre kobiety lubią męskie towarzystwo. Jej siostra

najwyraźniej do nich należała. W czasie swojej ostatniej wizyty robiła mnóstwo

aluzji do tego, co dzieje się między kobietą a mężczyzną sam na sam, i śmiała się ze zdumienia i rumieńców Phoebe, jej zażenowania i ciekawości. Na samo wspomnienie

pikantnych historyjek Louise Phoebe odczuła, że zawiązuje się jej węzeł w żołądku,

od którego rozchodzi się fala gorąca. Znów zaczęła się kręcić i zepchnęła koc z

piersi. Niestety, nie tylko śmiałe słowa Louise były powodem gorąca. Chodziło

raczej o lorda Farleya. O lorda Farleya i jej nadmiernie pobudzoną wyobraźnię.

Ale czemu reaguje tak głupio na tak nieosiągalnego mężczyznę?

Nic takiego się z nią nie działo, kiedy Osmund Shepherd skradł jej całusa na targu

trzy lata temu. Wtedy bardziej martwiła się, że mógłby się jej oświadczyć, i tym, jak mu odmówić, nie raniąc jego uczuć. Nie oświadczył się jednak, a pół roku później

ożenił się z Elizą Perkins, najstarszą córką piekarza.

Nie reagowała w ten sposób także na Thomasa LeFarge, kapitana statku, o którym

powszechnie wiadomo, że trudni się przemytem francuskich win i koronek. Był

przystojny i z fantazją, ale Zupełnie nie w jej guście. Trzy pocałunki i żadnej reakcji poza, być może, lekkim niesmakiem.

Za to lord Farley... Wystarczyło, że spojrział na nią tymi poważnymi oczami, takimi błękitnymi i gorącymi i tak perwersyjnie niepokojącymi...

Kopnęła koc, odkrywając nogi i leżała w chłodnej ciemności swojego pokoju sypialnego na strychu, pozwalając, by obraz lorda Farleya zawładnął jej umysłem. James...

Gdyby tylko był zwykłym mężczyzną, powiedzmy, farmerem. Ma barki i ramiona zdolne do dźwigania bel siana i kierowania zaprzęgiem. Cóż, kiedy jest zbyt światowy jak na farmera.

Zatem notariusz. Przecież jest wykształcony i odcytany, z błyskiem żywej inteligencji w oczach. Ale notariusze, których znała, byli nieciekawymi ludźmi, drobiazgowymi, o niezdrowej cerze na skutek ślęczenia godzinami nad biurkiem w czterech ścianach.

Coś pomiędzy nieprzyzwoicie męskim farmerem a bardzo inteligentnym notariuszem. Nie kupiec. To zbyt przyziemne. Może zarządca majątku?

Zwinęła się na boku. Zarządca. Tak. Kierujący wielką posiadłością, co wymaga od niego, by zarówno był świetnym jeźdźcem, jak i dużo czytał, przynajmniej o uprawie ziemi i hodowli zwierząt. Umiałby też kierować ludźmi - służbą, dzierżawcami i robotnikami rolnymi. Gdyby zarządca miał się zenić, chciałby kobiety o pewnym wyrobieniu i wykształceniu, która znałaby się także na rolnictwie. I która kochałaby życie na wsi. Doskonale nadawałaby się na żonę zarządcy.

Gdyby on był zarządcą...

Tylko że nie jest.

Lord Farley jest lordem. "Wicehrabią. Członkiem Izby Lordów. Mężczyzną, który może wybierać wśród kobiet z najwyższej warstwy brytyjskiego społeczeństwa - i z najniższej, jeśli to, co sugerował na temat matki Izzy, jest prawdą.

Kobieta taka jak ona, usytuowana gdzieś pośrodku jego szerokiego zakresu gustów,

nie ma co wzdychać do mężczyzny takiego jak on.

Pożądać go, chciałaś powiedzieć.

Z zażenowaniem wymówiła te słowa głośno. Nie było innego wyjaśnienia dla jej rozgorączkowanej bezsenności.

Pamiętaj o matce i jej przestroгах.

Z tym że matka mogłaby być szczęśliwa, gdyby tylko sobie na to pozwoliła.

Dobrze, pamiętaj więc o Louise i jej haniebnym postępowaniu.

Gdyby Louise ograniczyła swoje żądze do jednego mężczyzny, zamiast zadawać się z wieloma, ona również mogłaby znaleźć zadowolenie w życiu.

Phoebe zmarszczyła brwi w ciemności niskiej sypialni, próbując pojąć kłopoty matki, siostry, a teraz własne. Żądza istnieje naprawdę i gnieździ się wewnątrz kobiety.

Skierowanie jej ku właściwemu mężczyźnie -jednem u właściwemu mężczyźnie - wydaje się jedynym rozwiązaniem. A skoro lord Farley nigdy nie będzie tym właściwym mężczyzną, ona musi poskromić nieopanowaną żądzę, która nią ostatnio zawładnęła.

Ale mimo strasznych przestróg i najszczerzej chęci, by chronić się przed zakazanym ukierunkowaniem sekretnych pragnień, Phoebe, zasnawszy, śniła o zaspokojeniu żądz z ogorzałym od słońca, ubranym w samą koszulę zarządcą.

O żądz zaspokojonej na pachnącym słodko sianem strychu i dającej prawdziwą, głęboką radość spełnienia.

Kiedy się obudziły, powitał je wymyty deszczem, słoneczny poranek, zarzucone naniesionymi przez wiatr śmieciami podwórko i na wpół zawałona stajenka dla kóz.

Phoebe szacowała szkody. Razem z Helen mogła uprzątnąć z podwórka połamane gałęzie i odciągnąć na bok potrzaskane deski z niebezpiecznie przechylonej stajenki.

Mogła zrobić odpływ dla błota i zasadzić na nowo wyrwane z korzeniami krzaki.

Mogła nawet przystawić drabinę do ściany domu i poprawić obluzowane dachówki z łupku.

Musiała jednak zatrudnić kogoś do odbudowy stajenki, w dodatku zrobić to szybko.

Zima co prawda minęła, ale nie było gwarancji, że nie nadciągnie kolejna burza jak ta zeszłej nocy. Posie, Belli i Fern należało się schronienie. Będzie musiała trzymać je w kuchni, jeżeli nie zwróci się do Martina... lub nie przyjmie propozycji lorda

Farleya.

- Idziemy do miasta - powiedziała do Helen, kiedy zjadły już poranną owsiankę.-

Włóż żałobną sukienkę.

Helen pobiegła za sklep pani Leake zobaczyć ostatnie szczeniaki, a Phoebe weszła do środka. Zgromadzone tam kobiety uniosły głowy, z minami, jakby zostały na czymś przyłapanie, ale na widok Phoebe poczuły ulgę.

- Och, to ty, Phoebe. Świetnie. Chodź i spójrz na to - powiedziała pani Leake. —

Musisz to zobaczyć.

Żona młynarza i wdowa Watling usunęły się, odsłaniając stos gazet rozłożonych na ladzie.

- Tutaj. - Pani Leake dźgnęła palcem artykuł w ozdobnej ramce. -1 tutaj. I tutaj. -

Przerzucała kolejne numery. - Moje gazety przyszły wczoraj wieczorem z Londynu, za cały miesiąc, jak zawsze, ale zajrzałam do nich dopiero dziś rano. Powiem ci, że trudno mi było strawić śniadanie, jak to przeczytałam.

Phoebe przebiegała wzrokiem artykuły, serię plotkarskich kolumn w gazecie słusznie nazwanej „London Tattler". Były to skandalizujące

nowinki, jakimi normalnie nie zawracałaby sobie głowy, a jeśli już by je przeczytała, śmiałyby się z pretensjonalności i słabostek zarówno

autora, jak i bohaterów.

Dziś jednak nie było jej do śmiechu. Lord Farley - ich lord Farley — był oficjalnie zaręczony jeszcze trzy tygodnie temu. Zaręczyny zostały następnie zerwane przez jego narzeczoną, bowiem wyszło na jaw istnienie kilkorga jego nieślubnych dzieci. Cóż, tylko dwojga, ale według autora artykułu zasadne jest podejrzenie, że może on mieć ich więcej.

— A nie mówiłam, że coś jest nie w porządku z tym młodym człowiekiem? - spytała pani Leake. - Nie mówiłam? Dwoje dzieci to już wystarczająco źle. Ale więcej? I spodziewać się, że ta nieszczęsna lady Catherine będzie je chować we własnym domu, razem z własnymi dziećmi, które on oczywiście zrobiłby jej prędzej niż kocur w rui...

- Przerwała pod gniewnym spojrzeniem Phoebe. -Wybacz, dziecko. Ciągle zapominam, że nadal jesteś niezamężna. - Poklepała Phoebe po ręce. -T o dobrze, że nie wzięłaś tej posady u niego. Bo nie wzięłaś, prawda?

- Nie, nie - zapewniła Phoebe, nie mogąc ochłonąć. Wiedziała, że lord Farley ma nieślubne dzieci. Dwoje z nich już niemal pokochała. Ale czy może ich być więcej? Prawdę mówiąc, to nie dzieci były powodem, że zacisnęła pięści, wbijając obcięte krótko paznokcie we wnętrze dłoni. Chodziło o zaręczyny.

Choć nie miało to za grosz sensu, fakt, że dopiero co był zaręczony z tą lady Catherine Winfield, odebrała prawie jak zdradę.

Zmuszając się do zachowania chwiejnej równowagi, Phoebe przeczytała artykuły jeszcze raz, głucha na spekulacje pani Leake i jej kompanek. Był za granicą, wrócił z Leyą, odnalazł drugie dziecko, Izzy, po czym przepędzono go z Londynu.

Jakaś część Phoebe podziwiała go tym bardziej za jego nieustępliwość w obliczu publicznej krytyki. Z kolei druga jej część, ta głupia, bujająca w obłokach, była na niego wściekła. Wściekła!

Ale dlaczego?

Złożyła gazety i odsunęła je od siebie. Była wściekła, ponieważ on był zaręczony.

Gorzej, był zaręczony z piękną, utytułowaną, młodą kobietą, którą najwyraźniej wszyscy uwielbiali. Bez wątpienia był w niej do szaleństwa zakochany, ale ona szybko znalazła sobie nowego zalotnika, tego jakiegoś Percivala Langleya.

Może lord Farley wycofał się na wieś nie ze względu na dzieci, ale po to, żeby leczyć złamane serce.

Na myśl o tym rozboleła ją głowa. Większość ostatniej nocy spędziła na wyobrażaniu sobie, że on zakocha się w niej, i choć wiedziała, że to głupie, przypominała sobie wszystkie przeczytane bajki i zaczynała wierzyć, że może takie sny mogą się spełnić na jawie.

Jawa zaś jest taka, że jej bohater z bajki prawdopodobnie nadal jest zakochany w pięknej lady Catherine. Po co miałby rozkochać ją w sobie tak perwersyjnie, kiedy jego serce należy do innej!

- ...i siostra żony kamerdynera powiedziała mi, że dostał list od jednego z tych z Bow Street. Wiecie, to tacy, co to ich wynajmują państwo, jak chcą wyśledzić, co tam

trzeba wyśledzić. — Pani Leake mądrze pokiwała głową. — A wiecie, po co miałby się wykosztowy-wać na osobę tego rodzaju? Powiem wam po co. Bo jest więcej dzieci tam, skąd się wzięło tych dwoje. Wspomnicie moje słowa. Ani się obejrzymy, a będzie miał cały sierociniec w Farley Park.

- Ale to nie są sieroty — powiedziała Phoebe. Trzy kobiety odwróciły się ku niej jak za pociągnięciem sznurka. - Nie są sierotami| ponieważ mają ojca, który chce o nie zadbać.

- To prawda — przyznała wdowa Watling, kiwając siwą głową, -i Przypuszczam, że to dobrze świadczy o mężczyźnie, że nie uchyla się od odpowiedzialności. Ale z drugiej strony ten akurat mężczyzna zmienia kobiety częściej niż dyliżans pocztowy

konie. A co z kobietami w naszej okolicy? Jak którakolwiek z naszych dziewcząt może się ustrzec przed takim mężczyzną? —Jej twarz ściągnęła się w wyrazie głębokiej dezaprobaty. - Czy to nie najstarsza dziewczyna pani Phillips pracuje w Farley Park?

- A wiesz, masz chyba rację - powiedziała pani Leake. -Lepiej ostrzeżmy ją, żeby się trzymała z daleka od tego mężczyzny, bo ani się spostrzeże, a będzie chodziła z bębniem.. — znów przerwała i spojrzała przeproszająco na Phoebe.

Ale Phoebe była zbyt poruszona, żeby zwracać uwagę na niewyparzony język pani Leake. Najszybciej jak tylko mogła, porzuciła plotkujące paskudnie kobiety, żeby poszukać Martina na podwórku. Nie chciała myśleć ani o lordzie Farleyu, ani o jego narzeczonej, ani o zatrudnianych przez niego niezliczonych pokojówkach, które mogłyby być bardziej skłonne ulec jego zwodniczemu urokowi niż ona.

Chciała tylko mieć odbudowaną stajenkę i udawać, że nigdy nie spotkała lorda Farleya.

Nie chciała też zastanawiać się, dlaczego tak ją zdenerwowały te wszystkie wieści.

To nie jej sprawa, a poza tym te wieści nie były dla niej nowością, z wyjątkiem tego, co dotyczyło narzeczonej.

Ku jej uldze Martin obiecał przyjść na Śliwkowe Wzgórze następnego dnia i odbudować stajenkę oraz przynieść ubrania swoje i matki do naprawy, przyjmując to jako zapłatę. Kiedy wróciła do sklepu, plotki na temat wicehrabiego trwały w najlepsze. Nowa grupa kobiet, nowe opinie. Nie zwracając na nie uwagi, Phoebe sprawdziła pocztę. Wciąż nic od Louise. Zaczęła zbierać się do odejścia, choć Helen chciała jeszcze zostać.

- Są jeszcze dwa szczeniaki. Jeśli je oddadzą, Bruno nie będzie miał z kim się bawić - martwiła się.

- Teraz ma ciebie, Helen. Chodź.

- Ale to nie to samo. Ja nie jestem psem. Gdybyśmy wzięły do domu jeszcze jednego...

- Jeden wystarczy.

- Ale Bruno mógłby...

- Nie!

Phoebe aż skuliła się w sobie, słysząc swój zbyt ostry ton. To nie Helen jest powodem jej złego humoru.

- Przepraszam, Helen. Jestem dziś trochę zła. Helen spojrzała na nią z urazą, jakby chciała powiedzieć „zła, zupełnie jak babcia”.

Co za okropna myśl, ale Phoebe wiedziała, że sobie na to zasłużyła. Brnąc mokrą ścieżką do domu, podjęła dodatkowy wysiłek, żeby niczym nie przypominać swojej nigdy niezadowolonej matki.

Ułożyła piosenkę o kolonii żab i kijanek mieszkających w stawie o nazwie Wielkie Błocko i udało jej się odzyskać łaski Helen. Przekonała się też, że jest całkowicie zadowolona z życia, jakie prowadzi.

Kiedy jednak skręciły za porośniętym mchem głazem granicznym ich farmy zadowolenie Phoebe porwało się w strzępy jak stary worek rZepy. Nawet z tej odległości mogła zobaczyć, że mizerne schronienie dla kóz leży teraz w kompletnej ruinie. Nie za sprawą burzy jednak, a dzięki wysiłkom dwóch potężnych robotników. Już rozsortowali drewno na dwie sterty, jedną składającą się z belek jo powtórnego użytku i drugą — połamanego i przegniłego drewna. Obok leżała trzecia sarta - świeżych desek.

- Co wy robicie? - krzyknęła, biegnąc przez błotniste podwórko.

- Nie martw się, panienko — powiedział starszy z mężczyzn. — Do jutra wieczorem będzie stało z powrotem.

- Nie rozumiem. Kto kazał wam to robić?

Mężczyzna wyszczerzył się w uśmiechu.

- Lord Farley. Wicehrabia. Powiedział, że jest ci coś winien.

Lord Farley? Phoebe odwróciła się, żeby nie zauważył rumieńca ogarniającego jej policzki. Udała zainteresowanie stertą świeżych desek, podczas gdy w jej głowie kłębiły się myśli. O co chodziło lordowi Farleyowi, kiedy powiedział, że jest jej coś winien? A co ważniejsze,

o sobie pomyśleli robotnicy, kiedy to usłyszeli? Helen z Brunonem przyglądali się, jak robotnicy kopią doły pod słupy a następnie podnoszą słupy i osadzają je w tych dołach, umacniając żwirem. Phoebe przygotowywała herbatę dla mężczyzn i się zamartwiała. Uspokoiwszy się, wyniosła robotnikom herbatę, miód i śmietankę.

- Nie, to ja muszę wam podziękować - sprzeciwiła się, kiedy zaczęli wyrażać wdzięczność. - Nie przypuszczałam, że moja skromna pomoc przy jego dwojgu dzieciach spotka się z tak hojnym gestem ze strony wicehrabiego.

- No, jasno się wyraził, panienko. Powiedział, że nie myśli, żeby twoja stara stajenka ostała się po wichurze zeszłej nocy, i wychodzi na to, że miał rację. No i mówi nam, że mamy odbudować stajenkę, tak żeby żaden wichur jej nie zdmuchnął.

Podawała im obiad, a później kolację na zimno. Do tej pory widać już było, że nowa budowla będzie prawie dwa razy większa od starej. Jasne też było, że musi pójść do Farley Park, żeby podziękować swojemu dobroczyńcy.

Następnego dnia przyszedł Martin obciążony swoimi i matki rzeczami do naprawy, ale nie było potrzeby naprawiać stajenki. Zamiast tego Phoebe kazała mu narąbać drwa na opał, pomalować drzwi frontowe i dopilnować Helen, sama zaś poszła do Farley Park.

Wybrała sukienkę w kolorze zielonych jabłek, swoją ulubioną, którą oszczędzała na niedziele. To tylko przejaw dobrych manier ubrać się przyzwoicie, idąc z wizytą do najwyższej rangą osobistości w okolicy, powiedziała sobie. Z pewnością tego właśnie wymagałaby od niej matka.

Phoebe podejrzewała jednak, że wybór stroju podyktowany był bardziej próżnością niż dobrymi manierami. Lord Farley przyzwyczajony jest do eleganckich dam w najmodniejszych strojach. Chciała dać mu do zrozumienia, że pomimo skromnych warunków życia została wychowana na damę — i musi ją traktować jak damę.

Kamerdyner zaprowadził ją prosto do gabinetu pana domu, zupełnie jakby otrzymał takie polecenie, zanim się pojawiła. Lord Farley prawdopodobnie spodziewał się tej wizyty. Nie poprawiła jej nastroju świadomość, jak łatwo przewidział, co ona zrobi. Nie dodało jej pewności siebie ujrzenie po raz pierwszy wnętrza Farley Park. Sam hol był dwa razy większy od jej całej chaty, i wszystko, na co tylko spojrzała, stanowiło kolejny dowód jego bogactwa i pochodzenia. Portrety, posągi, dywany o barwach klejnotów, tłumiące jej kroki.

Kamerdyner zapukał do ciężkich drzwi, otworzył je przed nią, po czym zamknął, pozostawiając ją, głupią, oniemiałą z zachwytu, wiejską dziewczynę sam na sam z potężnym lordem.

Lord Farley uniósł głowę, kiedy weszła, następnie wstał. Ubrany był w białą koszulę bez kołnierzyka, rozpiętą kamizelkę i bryczesy w naturalnym kolorze byczej skóry.

- Dzień dobry, panno Churchill. Cieszę się, że panią widzę. Czy przyszła pani przyjąć posadę guwernantki?

- Nie - powiedziała, zdumiona zarówno jego bezpośredniością, jak i strojem. Czy on nigdy nie ubiera się tak, jak przystało na lorda? Odchrząknęła. — Przyszłam, aby podziękować za przysłanie mi cieśli do odbudowy mojej stajenki dla kóz. Skąd pan

wiedział, że to konieczne?

- Zapomniała pani, że trzymałem tam konia. Sądziłem, że burza nie poprawiła kondycji stajenki. Czy są jakieś inne szkody?

- Nie.

- Jeśli są, proszę tylko powiedzieć moim ludziom.

Phoebe bezradnie skrzyżowała ramiona na piersi.

- Trudno mi będzie wypłacić się panu za to, co już zrobili. Oczywiście nie mogę sobie pozwolić...

- Nie oczekuję zapłaty.

Wyszedł zza biurka, dzięki czemu zyskał przewagę w tej rozmowie. Jeśli wydawał się nadmiernie męski i przytłaczający w jej małej kuchni, to co dopiero tutaj, w otoczeniu rekwizytów świadczących o jego statusie. Uśmiechnął się do niej znowu.

- Pani rada, by dawać Lei kozie mleko, uczyniła życie w Farley Park nieskończenie bardziej przyjemnym. W porównaniu z tym odbudowa pani stajenki jest niczym.

Szczery wyraz jego twarzy i podziw w oczach rozbiły w pył argumenty, jakie sobie przygotowywała po drodze. Ona pomogła jemu, on pomógł jej. Z tego punktu widzenia była to po prostu dobrosąsiedzka pomoc.

Wtem jego wzrok przesunął się po niej. Bardzo szybko. Trwało to moment. Wyraz jego twarzy się nie zmienił. Natychmiast jednak zmieniło się wszystko inne. Z powodu, którego Phoebe nie umiała wyjaśnić, zdołał rozpalić w niej nieposkromiony płomień - tak samo, rzecz jasna, jak czynił to wobec wszelkiego rodzaju kobiet na całym świecie, napomniała siebie. Jak na ironię, zaczynała rozumieć, czemu tak wiele z tych kobiet mu uległo.

Nie znaczy to wcale, że ona ulegnie. To tylko ostrzeżenie, żeby trzymać się od niego z daleka. Nie może pozwolić, by ten mężczyzna oddał jej jeszcze kiedyś jakąkolwiek

przysługę. Żadnej. Musi tylko pamiętać o jadowitych plotkach wywołanych tymi artykułami w gazecie i o tym, jak łatwo takie wieści rozchodzą się w ich małej społeczności.

Przecież Martin opowie matce o cieślach lorda Farleya pracujących na jej farmie. Phoebe zadrżała na myśl, jak mylnie ten fakt może być interpretowany. Pani Leake dość ją lubi, nigdy jednak nie zapomni, że jest siostrą Louise. Tak samo jak nie zapomni o tym nikt w Swansford. Jest winna przez pokrewieństwo. Ulepiona z tej samej gliny.

Nie. W swoich stosunkach z lordem Farleyem musi zachować jak najdalej idącą ostrożność, a pozwolić mu odbudować najważniejszy z jej budynków gospodarczych to już było za wiele. Przez lata starała się dowieść, że hańba, jaką było karygodne postępowanie siostry, jej nie dotyczy. Nie pozwoli, żeby ten mężczyzna zaszkodził jej dobremu imieniu, nawet jeśli jego intencje są czyste. Czy faktycznie są, nie była pewna.

- Lordzie Farley, doceniam uprzejmość, jaką chciał mi pan okazać. Ale czas, który spędziłam z Leyą, nie da się porównać z pracą jaką wykonują pańscy ludzie. Nalegam na zwrócenie panu kosztów ich trudu.

- Doskonale. Chodźmy zobaczyć salę szkolną. — Podszedł do drzwi gabinetu i przytrzymał je otwarte. — Może doradzi mi pani, jak ją wyposażyć.

Zbyt późno Phoebe zorientowała się, że wpadła w pułapkę. Bardzo dobrze obmyślaną pułapkę. Stojąc bez ruchu, wpatrywała się w niego.

- Myślałam raczej o naprawie garderoby czy tego rodzaju zadaniach.

- Nie mam garderoby do naprawy.

- Izzy ma.

- Kupuję jej nowe rzeczy, coś bardziej wytrzymałego.- Jeszcze raz uśmiechnął się do

niej, aż dreszcz przeszył ją od stóp do głów. - Farley

Park jest samowystarczalnym gospodarstwem, panno Churchill. Jedyne, czego nam naprawdę trzeba, to opiekunki i guwernantki. Uniósł jedną brew wyczekująco i mogłaby przysiąc, że dostrzegła w jego oczach błysk triumfu. Zacisnęła zęby.

— Dobrze. — Minęła go w drzwiach, wychodząc do holu. — Zerknę na pańską salę szkolną i wyrażę swoje zdanie. Ale nie mogę być tu guwernantką. Nie mam czasu.

— Jak sobie pani życzy — mruknął.

Wiedziała, że myślał coś zupełnie przeciwnego. Na razie starał się nie sprzeciwiać jej, ale nie zrezygnował z walki o zatrudnienie jej u siebie.

Ze wstydem, który miał jej nie opuścić, Phoebe odczuła perwersyjny dreszcz. Miała do czynienia z siłą, jaką stanowił ten mężczyzna obarczony dwojgiem nieślubnych dzieci. Ale ona też jest silna. Jemu się wydaje, że może pojawić się w Yorkshire i zażądać, by uległa mu każda napotkana kobieta. Ale ona jest mądrzejsza niż większość kobiet.

Mógł sobie nawet wygrać tę potyczkę, ale całej bitwy nie wygra nigdy.

6

Sala szkolna w Farley Park zajmowała koniec drugiego piętra we wschodnim skrzydle. Z ogromnymi oknami sięgającymi prawie sufitu po trzech stronach zapewniała -wspaniałą widok na kraj obraz Yorkshire. Z jednej strony łąki i lasy ciągnęły się po horyzont. Z drugiej strony Phoebe ujrzała stajnie, pralnie i wszelkiego rodzaju zabudowania gospodarcze, jakich wymaga posiadłość wielkości Farley Park.

Za nimi wiała się wąska ścieżka prowadząca do grupy bielonych chat ocienionych rzędem wiązów. Wypatrzyła największą chatę, w której mieszkał zarządca Farley Park.

Phoebe wpatrywała się w solidny, kryty strzechą dom, z tej odległości wyglądający

jak zabawka. Do chaty należał otoczony płotem ogród. Na podwórku suszyło się na sznurze pranie.

Dwukrotnie już spędziła noc, oddając się marzeniom o wysokim, przystojnym zarządcy, uroczo niepokojącym marzeniom, które napełniały ją nienazwaną tęsknotą.

Tyle tylko, że ta tęsknota wcale nie była nienazwana. Słowo „żądza” rozbrzmiewało jej w głowie, wypowiedane pełnym potępienia tonem matki, dręczące ją wstydem.

Żądza była źródłem tych zakazanych marzeń i żądza doprowadzi ją do katastrofy, jeśli jej na to pozwoli.

Ale jak uciszyć biedny, rozgorączkowany umysł błędzący nocą?

Odwróciła się od okna po to tylko, by napotkać widok jeszcze bardziej niepokojący.

Lord Farley stał pośrodku dawno zapomnianej sali szkolnej, wśród pamiątek swojego dzieciństwa, ale bacznie przyglądał się jej, a nie sali. Ręce wsparł na biodrach - szczupłych biodrach wieńczących silnie umięśnione nogi opięte skórzanymi bryczesami. To, wraz z tweedową kamizelką i niewyszukaną koszulą bez kołnierzyka, rozchyłoną pod szyją upodabniało go do ciężko pracującego zarządcy, obiektu jej nocnych tęsknot.

— Co pani myśli? - spytał.

Myślę, że uwodzisz mnie, nawet się o to nie starając. I dobrze ci to idzie.

— Myślę, że jest idealnie — powiedziała głosem, w którym pobrzmiwało napięcie.

Zaczęła obchodzić salę, kiwając głową nazbyt żywiołowo i udając zainteresowanie wszystkim, co zobaczyła. Globus. Słownik. Kałamarz, w którym atrament dawno zasechł.

— Wszystko trzeba by gruntownie wyczyścić. — Podniosła bezużyteczne, zużyte gęsie pióro. - Czy chce pan, żeby Leya przebywała tu razem z Izzy? Jeśli tak, to przydałby się kącik do zabawy i łóżeczko, żeby mogła się zdrzemnąć.

— A co z książkami?

Wyprostowała się i zaczerpnęła tchu. Trzymaj się, Phoebe.

— Decyzję pozostawiłabym guwernantce, którą pan zatrudni. Może mieć swoje wymagania pod tym względem.

Wpatrywał się w nią. Nie musiała patrzeć na niego, żeby wiedzieć, że śledzi każdy jej ruch. Czowała moc jego wzroku.

- Sześćdziesiąt funtów - powiedział.

Nie była pewna, czy się nie przesłyszała, zanim odwróciła się i dostrzegła triumfujący uśmiezek na jego twarzy. Właśnie zaproponował jej sześćdziesiąt funtów za to, że będzie u niego pracować? Widać było, że książęca suma, którą tak swobodnie rzucił, nie robi na nim najmniejszego wrażenia, ale na Phoebe z pewnością wrażenie zrobiła. Gapiła się na niego osłupiała.

- Sześćdziesiąt funtów? Czy pan oszalał? Za taką sumę może pan zatrudnić trzy guwernantki.

- To pani tak myśli. Ale kobieta, o którą mi chodzi, stawia twarde warunki. Phoebe pokręciła głową.

- Zapewniam pana, że jeśli zamieści pan ogłoszenie w którejś z gazet w Yorku, wymieniając tę sumę, będzie pan obleżony przez chętne kandydatki.

Teraz on pokręcił głową.

- Chcę, żeby to pani uczyła moje dzieci. Nikt inny.

Ich spojrzenia się spotkały. Chociaż Phoebe chciała się gniewać za to nastawanie na nią z pozycji silniejszego, czuła, że w jakiś perwersyjny sposób jej to pochlebia.

Jakże mogłoby być inaczej? Sześćdziesiąt funtów to prawdziwy majątek. Przy takim dochodzie z łatwością mogłaby sobie pozwolić na dziewczynę do wszystkiego, jak również robotnika, który zajmowałby się ogrodem, zwierzętami i wszelkimi

naprawami w obejściu. Mogłaby kupić nowe ubrania dla Helen, zamiast ciągle

przerabiać stare, i stać by ją było na odłożenie wystarczającej ilości pieniędzy, żeby kiedyś posiać ją na dobrą pensję dla panien.

Mogłyby nawet pojechać na wycieczkę do Londynu, a kiedy już tam będą, odwiedzić

Louise. Czy starsza siostra nie oniemiałaby, widząc Phoebe i Helen elegancko

ubrane, dysponujące pieniędzmi na przyjemności?

Ta wizja zgasła równie szybko, jak się pojawiła. Helen jest o wiele za mała, żeby

zobaczyć, jak żyje jej matka.

Phoebe opamiętała się i dotarło do niej, jak niemądra była, wyobrażając sobie te

wszystkie rzeczy. Gdyby przyjęła posadę guwernantki dzieci lorda Farleya, zaczęła

zatrudniać służbę i ubierać się ponad stan, to dopiero byłby temat do plotek,

przedstawiających jej związki z lordem Farleyem w wątpliwym świetle, zwłaszcza

gdyby wyszła na jaw oburzająca wysokość jej wynagrodzenia. Wszyscy w Swans-

ford byliby przekonani, że jej dobrobyt jest w istocie zapłatą za życie w grzechu.

Przecież wszyscy wiedzą o rozpustnym żywocie, jaki on wiódł do tej pory. Co do

niej, to przez ostatnie osiem lat starała się, by na niej jako siostrze Louise nie ciążyło odium skandalu. Nie może pozwolić sobie na żadne potknięcie.

Odchrząknęła.

— Jestem pewna, że pańska hojna propozycja miała być komplementem, lordzie

Farley...

— To żaden komplement. Ja w ten sposób prowadzę interesy. Sześćdziesiąt funtów

to praktyczna, rozsądna oferta zatrudnienia. Nic więcej, nic mniej.

— Może dla pana — powiedziała, decydując, że przyszła pora, by mówić bardziej

otwarcie. — Ale dla tutejszych ludzi będzie to wyglądało o wiele gorzej. Mówiąc bez

ogródek, ma pan pewną... reputację, powiedzmy. Gdyby nagle zaczął pan przepłacać

pracującą dla pana kobietę, naraziłby pan na szwank jej reputację.

Między jego brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka.

— Chce pani powiedzieć, że reputacja mojej ochmistrzyni, licznych pokojówek, kucharek i praczek, wszystkie dobrze wynagradzane, mogę dodać, a kilka z nich jest samotnych, jest nadszarpnięta?

— Ależ nie. Wszyscy wiedzą, że pracują tu od dawna. Ale nowo zatrudniona... zwłaszcza guwernantka.

— Czyż ci sami ludzie nie znają pani od dziecka? Dlaczego mieliby gorzej o pani myśleć?

Postanowił udawać, że nie rozumie, tak? Cierpliwość Phoebe się wyczerpała. Wzięła się pod boki.

— Dlaczego? Powiem panu dlaczego. Dlatego, że moja starsza siostra uciekła z mężczyzną, nie zawracając sobie głowy tym, żeby wpraw go poślubić. Dlatego, że szybko go porzuciła dla innego, a tego dla następnego. Dlatego, że moja siostrzenica Helen nie ma ojca.

Powinna była na tym poprzestać. Ale jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B.

— Do tego jeszcze moja matka, przez młodzieńczą niefrasobliwość zmuszona była do mezaliansu. Nawet wtedy zawsze uważała się za kogoś lepszego od wszystkich w okolicy. Jej wuj był baronem, rozumie pan? Mimo że cała jej rodzina odwróciła się od niej, nigdy nie pozwoliła, żeby ktokolwiek w Swansford zapomniał o jej pochodzeniu. W rezultacie, omawianie potknięć jej córek dostarcza ludziom wielkiej satysfakcji. Jestem pewna, że zrozumie pan, lordzie Farley, dlaczego nie mogę pozwolić sobie na żadne potknięcia, prawdziwe czy wydumane.

Cisza, jaka zapadła po jej wybuchu, wypełniła całą zakurzoną salę szkolną. Gdzieś, dwa piętra niżej, słychać było wołanie mężczyzny. Po chwili odpowiedział mu

kobiecy głos. Wiatr przyniósł krzyk przerażonego ptaka. Ale w pustce tej dawno zapomnianej sali była tylko ona, lord Farley i dzwoniąca cisza.

Usłyszała jego głęboki oddech.

— Rozumiem pani sytuację, panno Churchill. Ale poznała pani moje dzieci. Wie pani, jak bardzo potrzeba im guwernantki. Zapewniam, że propozycja, którą pani złożyłem, jest uzasadniona.

Phoebe sztywno skinęła głową.

— Nie mam wątpliwości, że taka była. I życzę panu z całego serca, by znalazł pan dla nich odpowiednią osobę. — Odetchnęła. Jeśli o nią chodzi, sprawa była zamknięta. — A co do sali, to nie wyobrażam sobie przyjemniejszego miejsca, w którym dzieci miałyby spędzać kilka godzin dziennie.

Odwróciła się do drzwi, ale się zatrzymała. Omal nie zapomniała o głównym celu swojej wizyty.

- Dziękuję, że przysłał pan ludzi, żeby odbudowali moją stajenkę dla kóz. Na przyszłość jednak lepiej będzie, jeśli pozwoli mi pan prowadzić moją farmę tak, jak ja uważam za najlepsze.

Odczuła ulgę, że nie zaoponował. Trzymając wysoko głowę, niewzruszona, Phoebe ruszyła ku drzwiom. Mama byłaby dumna.

Efekt jej wyjścia w aurze wyższości został jednak zniweczony przez rozpędzoną Izzy. Tupiąc butami po niepokrytej dywanem podłodze, chude dziecko wpadło do pokoju i rzuciło się na Phoebe, nieomal przewracając je obie.

- Tu jesteś — powiedziała Izzy, odzyskując równowagę i odgarniając kosmyk splątanych włosów opadający jej na czoło. Spojrzała gniewnie na ojca. - Czemuś mi nie powiedział, że ona tu jest?

- Jestem pewien, że panna Churchill nie miała zamiaru wyjść, nie zobaczywszy się z tobą. Prawda, panno Churchill? Na spojrzenie Phoebe odpowiedział triumfującym uśmiechem, bynajmniej nieskruszony.

Nie zwracając na niego uwagi, Phoebe zagarnęła nieposłuszny lok za ucho Izzy.

- Właśnie szłam na dół, żeby cię poszukać.

Kłamstewko, ale nieszkodliwe.

- Żeby mi powiedzieć, że tu zamieszkasz i będziesz moją guwernantką? -Z oczami roziskrzonymi nadzieją dziewczynka przestępowała z nogi na nogę. — Moją i Lei?

Phoebe zacisnęła wargi. Czy to jest to samo dziecko, które poznała zaledwie kilka dni temu? Zerknęła na lorda Farleya, ale nie znalazła w nim oparcia. On również czekał na jej odpowiedź.

- Ja...Widzisz, ja nie mogę tu zamieszkać i być waszą guwernantką, Izzy. Po prostu nie mogę. Ale ty możesz przychodzić do mnie na Śliwkowe Wzgórze. Będę cię uczyć o kozach i pszczołach. Nie widziałaś jeszcze mojej pasieki. I pokażę ci, jak się łowi ryby. Twarz Izzy się wydłużyła. Nie była to odpowiedź, jaką chciała usłyszeć. Odwróciła się do ojca, miotając na niego pioruny wzrokiem.

- To wszystko twoja wina. Czemuś nie dał jej tyle forsy, żeby się zgodziła?

— Dałem..

— Tu nie chodzi o pieniądze — wtrąciła się Phoebe. Ujęła Izzy za ramiona i przykucnęła, żeby móc spojrzeć jej w oczy.—To dlatego, że mam inne obowiązki.

— Chodzi ci o Helen. To wszystko przez nią. Nie lubisz mnie przez nią.

— Nieprawda. Lubię cię, Izzy Bardzo cię lubię.

Ale dziewczynka się wyszarpnęła.

— Kłamiesz - wysyczała z pogardą. - Chciałaś tylko z powrotem swój głupi koszyk i inne śmiecie. Tylko dlatego byłaś dla mnie miła!

— Izzy! To nieprawda.

— Zamknij się! Zamknij się! Zamknij się! - Śmignęła obok Phoebe i pognęła ku schodom. - Nienawidzę cię, ty dziwko! Ty suko! — Jej piskliwy wrzask rozległ się echem, kiedy pędem zbiegała po schodach. — Nienawidzę was wszystkich'.

Phoebe była zbyt oniemiała, żeby zareagować. Od słodkiej, dziecięcej ufności do wściekłości pełnej takiego rozgoryczenia, jakiego nie powinno czuć żadne dziecko — a wszystko z jej powodu.

Jakby czytając jej w myślach, lord Farley podszedł bliżej.

— Ona tak naprawdę nie miała na myśli tego, co powiedziała. Przypuszczam, że czuje coś wręcz odwrotnego.

Phoebe знаła się na dzieciach na tyle, żeby podejrzewać, że on ma rację. Mimo to jednak bolesne uczucia sprawiły, że jej oczy zaszyły łzami. Czy to egoizm z jej strony odmawiać Izzy wsparcia jakiego tak rozpaczliwie potrzebuje, a Lei matczynej opieki, jaka się jej należy? Bardziej obchodzą ją ewentualne plotki na swój temat niż potrzeby dwóch małych dziewczynek? Trzech małych dziewczynek, jeśli doliczy Helen, która mogłaby tylko skorzystać na finansowym bezpieczeństwie oferowanym przez lorda Farleya.

Zniecierpliwionym gestem otarła łzy.

— Absolutnie nie chcę jej zranić.

— Wiem o tym, Phoebe.

Spojrzała na niego mokrymi oczami i tym razem, zamiast dzielących ich różnic, dostrzegła łączące ją z nim podobieństwo. Oboje chcą dla Izzy i Lei jak najlepiej. On miał odwagę stawić czoło londyńskim plotkom dla dobra swoich dzieci. Czy ona zechce zachować się tak samo wobec plotek w Swansford?

Zadrżała, odkrywając niebezpieczną prawdę. Choć stało to w sprzeczności z latami

pilnowania się na każdym kroku, jakaś cząstka jej chciała tego.

Jakby ta prawda jak iskra przeskoczyła pomiędzy nimi, chwycił ją za ramiona i odwrócił ku sobie. Było coś jeszcze, czego chcieli oboje, i ostra świadomość tego pozbawiła ją tchu. Patrzyła na niego coraz szerzej otwartymi oczami. Chcieli się nawzajem. On chciał jej tak samo mocno, jak ona jego.

A teraz zamierzał ją pocałować.

Phoebe stała spokojnie, nie oddychając nawet, kiedy pochylił głowę. Była już całowana przedtem. To nic więcej nie znaczy, powiedziała sobie. Nie miał jej przecież zniewolić, nie pozwoliłaby, żeby sprawy zaszły tak daleko. Chciała tylko, żeby ją pocałował, chciała dowiedzieć się jak to będzie i dlaczego tego chce. Ale też chciała odwzajemnić jego pocałunek.

Jego palce zacisnęły się na jej ramionach. Silne, zręczne palce. Palce ciepłe i zaborcze. Przyciągnął ją do siebie, a ona wstrzymała oddech w oczekiwaniu.

Jego oczy były tak intensywnie błękitne. Rzęsy wydawały się za długie i za gęste, by mogły należeć do mężczyzny.

Westchnęła. To był mężczyzna z jej nocnych marzeń. Po prostu mężczyzna, nie lord.

Jej wyjaśniony zarządca. Zamknęła oczy, a wszystkie te niemożliwe marzenia się ziściły. Jego usta spotkały się z jej ustami. Były ciepłe i łakome i rozpały w niej uśpiony ogień. Nie odrywając warg od jej ust, przechylił głowę na bok i było to za-równo przerażające, jak i podniecające. Przesunął dłoń po jej ramieniu i ujął jej

policzek. Był to długi, powolny ruch, przypominający płomień lizący rozżarzone polana.

Chciała więcej -większej bliskości, więcej czegoś - a on dostosował się do jej chęci.

Niemal niezauważalnym naciskiem kciuka na kącik jej ust skłonił ją, by rozchyliła wargi, i -w tym momencie ogień buchnął z całą mocą.

Chciała się cofnąć. Powinna się cofnąć. Ale jeszcze bardziej chciała, by ogarnął ją

ten ogień, chciała czuć płomień obejmujący ją wyżej. Czula go już w udach i w dole brzucha i...

— Jasna cholera!

Odepchnął ją na długość ramienia. Jego głos stał się ochrypły, a na pociemniałej twarzy pojawił się wyraz zdumienia.

— Jasna cholera. To nie powinno było się stać.

Phoebe, dezorientowana, cofnęła się.

— Nie... to... nie powinno.

— To się nie powtórzy. Obiecuję ci. —W desperacji przesunął dłonią przez włosy. -

Nie wykorzystaj tego jako powodu, by nie zostać guwernantką moich dziewczynek,

Phoebe. Nie rób tego.

Moje dziewczynki. Sposób, w jaki wypowiedział te dwa słowa, dotarł do niej poprzez zamęt uczuć, które ją ogarnęły. Dla niego córki były na pierwszym miejscu. Gotów był oprzeć się skłonnościom ciała

— skłonnościom, którym, rzecz jasna, ulegał w przeszłości - dla dobra swoich dziewczynek.

A ona... To ona nie chciała przestać. Przepełniała ją dziwna, dręcząca tęsknota za nim. To on się powstrzymał, zdecydowany nie dostarczyć jej wymówki, jakiej potrzebowała, by trzymać się z daleka od Farley Park.

On się powstrzymał, nie ona.

Jeśli potrzebowała dowodu czystości jego intencji, ten był najlepszy. Czy to możliwe, żeby to ona niegodna była zaufania? W przeszłości mógł mieć do czynienia z

mnóstwem kobiet, ale wydawało się, że jej nie ma zamiaru do nich zaliczyć.

Doznała bolesnego rozczarowania. Bolesnego i perwersyjnego. Dlaczego on jej nie chce?

Walczyła z niepewnością, ale narastała ona i podkopywała jej wiarę w siebie. Nie jest piękna jak Louise ani bogata i utytułowana jak jego była narzeczona czy inne znane

mu kobiety. Czemu mężczyzna taki jak on miałby chcieć kobiety takiej jak ona?

— Nie - powiedziała. Czy tylko to jedno słowo zostało jej w głowie? Odchrząknęła. -

Nie, nigdy nie obwinie Izzy i Lei za to, co ty... co my... - Skrzyżowała ramiona na piersi i odetchnęła głęboko. — Za to, co się stało.

- Niech więc pani powie, że rozważy moją propozycję. Pani ustali wynagrodzenie. —

Znów przesunął ręką przez włosy—Widzi pani, jak Izzy się do pani przywiązała.

Phoebe zmuszała się, by myśleć o dzieciach, zamiast o mężczyźnie, który pocałunkiem doprowadził ją do utraty zmysłów.

-

Tak się do mnie przywiązała, że aż mnie nienawidzi.

- To nieprawda.

Trudno było dociec, co myśli Izzy.

- Może uda się panu przekonać ją, żeby przychodziła na Śliwkowe Wzgórze na lekcje. Spochmurniał, zgarbił się i wsadził ręce do kieszeni.

- Jeśli ona będzie przychodzić na pani farmę na lekcje, mnie nie będzie w pobliżu i zachowa pani swoją reputację wobec tutejszych plotkarek. Czy to dobry pomysł?

Uniosła brodę i napotkała jego zamyślane spojrzenie. - Uważam, że tak będzie najlepiej. Najważniejsze, co mam, po Helen, to moje dobre imię.

Mroczny i zamyślony jego wzrok przesunął się po niej od stóp do głów i z powrotem.

Było to niepokojące, Phoebe nie potrafiła bowiem odgadnąć, co on o niej myśli. Czy podoba mu się bardziej dla niej samej, czy dlatego, co może zapewnić jego dzieciom?

Co ważniejsze, z którego z tych powodów ona sama wolałaby się podobać? Skończ z tym!

- Doskonale — powiedział. — Każę ją codziennie przywozić do pani na lekcje.

Phoebe skinęła głową. Tak jest najlepiej, mówiła sobie. W ten sposób każdy dostał to, czego chciał: bezpieczeństwo finansowe dla niej i dla Helen, nauka dla Izzy.

Jednak kiedy schodzili po schodach obok siebie, przyszło jej do głowy, że lord Farley nie dostał tego, czego chciał. Jest mężczyzną przyzwyczajonym do towarzystwa

kobiet. Skoro ona nie będzie owym towarzystwem, to czy on nie znajdzie sobie kogoś innego?

Phoebe zachwiała się, ale chwyciła się za poręcz.

— Dobrze się pani czuje? — spytał.

— Dobrze — odpowiedziała, ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

— Nic mi nie jest.

7

Robotnicy lorda Farleya skończyli budowę stajenki dla kóz, pozostało tylko pokryć dach. Martin narąbał pół sągu drewna i ułożył go przy drzwiach kuchennych. Pokazał także Helen, jak uczyć Brunona, żeby siadał, warował i przychodził na wołanie.

Kiedy Phoebe wróciła wreszcie do domu po długim błąkaniu się po klifach, gdzie starała się pozbierać myśli, pozostało jej tylko rozpałić ogień i przygotować kolację, zanim nocny chłód rozpełźnie się po ziemi.

Z westchnieniem spojrzała na talerz duszonej marchewki i chleb z serem.

- Co byś powiedziała, gdybyśmy zatrudniły dziewczynę do pomocy w gospodarstwie? Helen podniosła wzrok znad swojego talerza.

- Czy to znaczy, że nie musiałabym już zamiatać schodów?

- To prawda. Ani czerpać wody ze studni i przynosić mleka od kóz.

Helen zazwyczaj więcej rozlewała, niż donosiła. Dziewczynka się uśmiechnęła.

- W takim razie powiedziałabym tak.

- Załatwione.

Helen popatrzyła na Phoebe, zlizując z palców roztopiony ser.

- Lord Farley zaproponował mi posadę nauczycielki Izzy i myślę że powinnam przyjąć tę propozycję.

- Nie. - Rozradowany uśmiech ustąpił miejsca minie wyrażającej zawziętość.—Ja jej nie lubię.

- Ależ Helen, jestem pewna, że dojdziecie do porozumienia.

- Ale to za daleko, żeby tam chodzić codziennie.

- Ona będzie przychodzić tutaj.

Rozzalenie Helen przeszło w rozpacz.

- Nie. Nie tutaj. Nie ona.

-Jej ojciec zaproponował mi bardzo dobre wynagrodzenie, Helen, a my bardzo potrzebujemy pieniędzy. Mając je, mogłabym wynająć tę dziewczynę i przez całą wiosnę odbywałybyśmy lekcje na dworze. Na łące, nad stawem Wildfen, nawet na plaży. Pomyśl tylko. Miałabym dużo więcej czasu dla ciebie, gdybym nie musiała zajmować się gotowaniem, praniem i zwierzętami.

Widziała walkę, jaka odmalowała się na ślicznej twarzyczce Helen: Liwolnienie od codziennych obowiązków domowych w zamian za stałą obecność Izzy Phoebe pochyliła się ku niej i drażyła sprawę:

- Wydaje mi się, że Izzy robi się już coraz miłsza. Na pewno też to zauważyłaś.

Przewiduję, że za tydzień, góra dwa, będziecie najlepszymi przyjaciółkami. Obiecuję, Helen. Będiesz z tego zadowolona. A do majowego święta zapomnisz, że

kiedykolwiek nie lubiłaś Izzy.

Helen zgarbiła się na krześle — żywy obraz przygnębienia.

- Czy Leya będzie z nią przychodzić?

- Może nie od razu. Przecież to jeszcze niemowlę. Ale jestem pewna, że zdołamy przekonać lorda Farleya, żeby ją też przysłał od czasu do czasu.

Wzmianka o lordzie Farleyu zelektryzowała Helen.

- Myślisz, że jego lordowska mość nauczyłby mnie jeździć na koniu? Phoebe pogładziła siostrzenicę po policzku.

- Jeśli tego chcesz, na pewno to zrobi.

- Poprosisz go?

Zakłopotana rumieńcem oblewającym jej twarz, Phoebe zajęła się swoją kolacją.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli sama go poprosisz. Wygląda na zgodnego człowieka. Jeśli chodzi o dzieci — dodała pod nosem.

James jadł kolację sam w swoim gabinecie, na biurku, przed trzaskającym w kominku ogniem. Pokój był ciemny i zimny, tak jak jego nastrój. Tak jak jego życie.

Dostał tego dnia cztery listy. Jeden od swojego przyjaciela Kerry'ego, z zapytaniem, jak mu się żyje na odludziu; drugi od matki, która zapewniała go, że plotki w mieście zaczynają cichnąć; trzeci od współpracowników lorda Basingstoke'a, informujący, że jego kandydatura na królewskiego doradcę do spraw zagranicznych została odrzucona. Nic w tym dziwnego, a jednak był rozgoryczony. Jak długo jeszcze będzie wykluczony z powodu swoich postępów, które nie były gorsze od tych, jakie popełniało trzy czwarte Izby Lordów?

Zdawał sobie sprawę, że karano go nie za to, że spłodził dzieci. Jego przestępstwo polegało na tym, że je uznał i ośmielił się sprowadzić do swojego domu.

Zaklął z bezsilności. Sprowadzenie Izzy i Lei do domu w Londynie było głupią, nieprzemyślaną decyzją. Z drugiej strony teraz nie wyobrażał sobie, jak mógłby postąpić inaczej.

Rozdrażniony zapatrzył się w ogień. Może trzeba było poślubić Catherine i dopiero

wtedy powiedzieć jej o dzieciach. Może.

Do stu diabłów, po co to roztrząsać? Co się stało, to się stało. Upokarzając córkę lorda Basingstoke'a, zamknął sobie drogę do uzyskania jego poparcia. Nie ma już sensu nad tym dumać. W tej chwili jego najpilniejsza troska dotyczy tego, co zrobić z Izzy.

Przez cały dzień dziecko uciekało przed nim jak dziki kot zdecydowany zachować swą wolność, nawet jeśli musi czaić się po kątach w nadziei na odrobinę stawy.

Zdaniem kucharki Izzy podkraǳła ze spiżarni dwa kawałki szarlotki, pół bochenka chleba i faskę masła. Potem przepadła w jakiejś kryjówce.

Przynajmniej Leya spała. Kozie mleko spowodowało ogromną zmianę zachowania dziecka. Brzuszek już jej nie bolał, a każdy, kto tylko się z nią zetknął, był

oczarowany jej jasnymi oczami i radosnym

uśmiechem. Każdy z wyjątkiem ochmistrzyni. Kwaśne usposobienie pani Gatling dorównywało jej kwaśnej minie.

W końcu będzie musiała odejść. Jasne było, że pochodzenie jego dzieci jest dla niej barierą, której nie pokona. Nie chce pokonać. Niech będzie przeklęty, że naraził dziewczynki na jej ciągłą dezaprobatę, choćby i wyrażaną w zawoalowany sposób.

Gdyby tylko ta kobieta umiała zaakceptować jego dzieci tak jak Phoebe.

Odsunął się z krzesłem, zapominając o posiłku. Phoebe. Przez cały dzień starał się wyrzucić z pamięci tych kilka chwil spędzonych w sali szkolnej. Na próżno. Ten pocałunek dręczył go na każdym kroku.

Pociągnął łyk wina. Przez większą część dorosłego życia zachowywał się jak niespełna rozumu w stosunku do kobiet. Może „impulsywnie” byłoby właściwszym

określeniem. Faktem jest, że lubił kobiety. Wszelkie kobiety: wysokie i niskie, krągłe i chude. Lubiał blondynki, brunetki i rude i nigdy nie rozumiał mężczyzn, którzy

ograniczają się do jednego typu urody.

W dodatku, dorastając między trzema kobietami, przywykł do kapryśków kobiecego charakteru. Można by więc pomyśleć, że orientuje się w braku konsekwencji u kobiet.

Jednak jedyna prawda jaką poznał była taka, że kobiet nie można zrozumieć. One nie myślą w ten sam sposób, co mężczyźni. Nauczył się za to, że jeśli mężczyzna będzie cierpliwy i uważny — oraz zdeterminowany — może odkryć kobiece słabości. Dla niektórych kobiet będzie to wyszukane pochlebstwo, dla innych - potrzeba bycia zdobywaną. Jedne pragną zbytkownych podarunków, inne dreszczu, smaku zakazanego owocu.

Ale najbardziej niebezpieczne są te kobiety, które żądają miłości.

Rozwiązał krawat i rzucił go na zabałaganione biurko. Naturalnie Phoebe Churchill należy do tej kategorii. Wystarczający powód, by człowiek honoru trzymał się na dystans. Do tego jeszcze nie ma doświadczenia z mężczyznami i jest sama na świecie. Zbyt bezbronna, by wdawać się we flirt z mężczyzną takim jak on.

Podstawowym powodem jednak, dla którego nie powinien był jej całować, są jego córki. Izzy polubiła Phoebe. Pomimo złorzeczenia i udawania, że tak nie jest, Izzy instynktownie zaufała jej, tak jak on. Faktem jest, że on potrzebuje Phoebe Churchill, żeby zaopiekowała się jego dziećmi, a nie nim.

Dopił wino i spojrzał ponuro w dogasający ogień. Kolejna długa, samotna noc w zimnym łóżku. Ta noc będzie jeszcze gorsza, wiedział o tym. Wciąż czuł smak ust Phoebe, jak wtedy, kiedy pogłębił pocałunek. Wciąż czuł tę słodką uległość, z jaką jej młode, zwinne ciało przywarło do niego. Jej skóra była delikatna jak maślanka, jej włosy pachniały kwiatami.

Jęknął w nagłym przyływie pożądania rozpalającego mu krew i sprawiającego, że bryczesy stały się za ciasne. Potrzebował kobiety, by ukoić jego frustrację, i to

szybko. Ale poza własnymi służącymi, z którymi nigdy sobie na nic nie pozwalał, nie było tu żadnej innej dostępnej kobiety. Kolejny powód, żeby nie cierpieć wsi.

Jasna cholera. Zerwał się na nogi, zdecydowany zdusić tę próżną tęsknotę. Najpierw poszuka Izzy. Gdziekolwiek się schowała, musiała już do tej pory zasnąć. Obudzi ją i wytłumaczy, że Phoebe chce być jej guwernantką, ale na Śliwkowym Wzgórzu, nie w Farley Park. Potem zanieś ją do jej pokoju.

Kiedy już to zrobi, otworzy ostatnią kopertę, tę od detektywa, którego wynajął w Londynie. Może tak się szczęśliwie złożyło, że ten człowiek ustalił miejsce pobytu jego trzeciego dziecka.

Miał tylko nadzieję, że to dziecko nie skomplikuje mu życia tak bardzo jak tych dwoje.

Izzy pojawiła się o dziesiątej rano, przywiana gwałtownym wiatrem, który obiecywał dzień zimny, ale bez deszczu. Zapukała raz, weszła, zatrzasnęła drzwi i spojrzała spode łba na Phoebe i Helen.

— Jestem, tak jak chciałaś, więc chodźmy na ryby.

Helen odwzajemniła jej spojrzenie spode łba.

— Ryby nie biorą w czasie sztormu. Czy ty o niczym nie masz pojęcia?

— Pocałuj mnie gdzieś.

— Izzy! - Obie dziewczynki odwróciły się, słysząc surowy ton Phoebe.

- Młoda damo, możesz albo natychmiast wyjść i zacząć ten dzień od nowa, albo możesz wracać do domu. Wybór należy do ciebie. Musisz zrozumieć jedną rzecz: nie pozwolę na ordynarny język ani na brak manier w moim domu.

Dziewczynka skierowała na nią śmiercionośne spojrzenie.

— I tak nie chciałam tu przyjść.

Phoebe pokryła gniew uśmiechem zawodu.

— Szkoda, bo naprawdę chciałam, żebyś mi dziś pomogła przy kozach. Trochę niepewnie się czują w nowej stajence i nie chcą dawać mleka. Ale myślę, że Helen i ja poradzimy sobie bez ciebie.

Phoebe przyglądała się spod opuszczonych rzęs na walkę, jaką toczyła Izzy Walkę pomiędzy tym, czego chce, a tym, co wydaje się jej, że chce. Kiedy dziewczynka szarpnęła drzwi na oścież i wypadła na zewnątrz, duch w Phoebe upadł. Ale po długiej, pełnej napięcia chwili rozległo się pukanie.

Phoebe otworzyła drzwi szeroko.

— Wejdz, proszę — powiedziała i nie zważając na naburmuszoną buzię dziecka, uściskała je mocno. — Tak się cieszę, że tu jesteś. Może zdejmiesz buciki i postawisz przy ogniu? I zobacz, to jest kołek na twoją pelerynę. — Uśmiechnęła się do Izzy -

Rozumiem, że Lei dziś z nami nie będzie.

— Kucharka mówi, że ona ma gorączkę. - Izzy położyła rękawiczki na bucikach i wsunęła stopy w drewniaki do chodzenia po domu.

- Jak dla mnie, to była tylko trochę ciepła i nie zachowywała się, jakby była chora.

Chciałam ją i tak zabrać, ale lord Farley powiedział, że nie.

Helen odezwała się od kuchennego stołu:

— Dlaczego nie mówisz na niego ojciec albo tata, albo tatuś, tak jak inne dzieci?

- Dlatego, że on chce, żebym go tak nazywała - powiedziała Izzy,

chytrze zerkając z ukosa na Phoebe. Phoebe ukryła uśmiech.

- To bardzo mądrze z twojej strony, Izzy. Całkowicie się z tobą zgadzam. Powinnaś nazywać go ojcem dopiero wtedy, kiedy zaczniesz czuć, że on naprawdę jest twoim ojcem. Muszę jednak powiedzieć, że jestem zbudowana, widząc, jak bardzo się stara. Wiesz, mimo że z początku odrzuciłam jego propozycję zostania twoją guwernantką, on nie chciał się poddać, dopóki się nie zgodziłam? Ale opowiedz mi

o Lei. Kiedy gorączka się zaczęła?

- Nie wiem.

Izzy podeszła do Brunona pochłoniętego ogryzaniem wielkiej wieprzowej kości.

- Czy ktoś jeszcze w Farley Park jest chory?

Izzy wzruszyła ramionami, ale kiedy Phoebe przyłożyła jej rękę do czoła, przyzwoliła jej na to.

- Jak się tu dostałaś? - spytała Phoebe, upewniwszy się, że dziecko nie gorączkuje. On mnie przywiózł. On. Phoebe sprzątnęła naczynia po śniadaniu.

Był tylko jeden on w życiu Phoebe i wyglądało na to, że w życiu Izzy też.

- Dziwi mnie, że nie przyszedł się przywitać.

- Ma sprawy w mieście.

No i dobrze, powiedziała sobie Phoebe, wyciągając dwie tabliczki do pisania i stary elementarz. Jeszcze lepiej niż dobrze. Zamierza więc trzymać się na dystans, tak jak zapowiedział. On będzie jej płacił, ona będzie uczyć jego córki. Przy odrobinie szczęścia ich drogi mogą nie krzyżować się tygodniami.

Miesiącami nawet.

To idealny układ. Jej modlitwy zostały wysłuchane. Dlaczego więc czuje się tak, jakby zawisła nad nią ciężka, burzowa chmura, pozbawiając koloru wszystko wokół niej?

Wtem pewna myśl rozświetliła mrok. Przywiózł tu Izzy, więc będzie musiał ją odebrać.

Jednak po południu to służący przyjechał po Izzy, prowadząc zamknięty powozik w głębokich koleinach drogi. Padało i było zimno, kiedy machały Izzy na do widzenia, a niskie chmury groziły, że otoczą Śliwkowe Wzgórze przejmującą chłodem mgłą.

Pogoda idealnie odzwierciedlała nastrój Phoebe.

Powinnaś być szczęśliwa. Zmusiła się, żeby wyliczyć wszystkie dobrodziejstwa, odhaczając je w głowie. Kozy nie mokną w nowej stajence. Na podwórku jest mnóstwo narąbanego drwa. Są z Helen w ciepłej, przytulnej chacie i nie grozi im wyrzucenie z niej. A przede wszystkim, wie teraz, że może ufać lordowi Farleyowi. Ale tu właśnie kryło się źródło jej złego nastroju. Mogła zaufać lordowi Farleyowi, że będzie się trzymał z daleka, że będzie ją szanował, że nigdy już jej nie pocałuje. Spojrzała w przedwcześnie pociemniałe niebo. Jak ma przeżyć resztę swoich szarych, bezbarwnych dni, jeśli nie może się spodziewać, że jeszcze kiedyś będzie tak całowana?

Następnego ranka Izzy zjawiła się wcześniej. Sama, pieszo, ze splątanymi włosami, bez rękawiczek na zlodowaciałych dłoniach i bez szalika na szyi. Znów wpadła bez pukania, ale rzut oka na jej twarz wystarczył, by powstrzymać się przed naganą.

Phoebe z niepokojem zaciągnęła ją bliżej ognia.

— Coś jest nie w porządku? Coś się stało?

Silne dreszcze wstrząsały drobnym ciałem dziewczynki.

— Leya obudziła się naprawdę chora. Jest gorąca jak cegła z pieca i bez przerwy wymiotuje. Jest taka chora, że nawet nie może płakać, Phoebe. Tylko leży i popiskuje.

- Izzy wpatrywała się w Phoebe blada z zimna, z przerażeniem w wielkich, błękitnych oczach. - Ona cię potrzebuje. Ja to wiem. Pójdiesz ze mną? Musisz pójść.

Strach zmroził Phoebe. Niemowlęta umierają z gorączki, to się zdarza ciągle.

- Czy ojciec posłał do Swansford po doktora?

— Tak, ale Leya potrzebuje ciebie. Tylko ty umiesz jej pomóc.

- Na pewno doktor będzie wiedział, co robić - powiedziała Phoebe, starając się pocieszyć zarówno Izzy, jak i siebie. Ale Izzy nalegała.

- Ty jej pomogłaś przedtem. Musisz przyjść natychmiast. Szybko. Bierz pelerynę i buty.

- Dobrze, pójdziemy Ale najpierw ty potrzebujesz czapki i rękawiczek. Helen, znajdź dla niej coś swojego.

Opatulone, przebyły pięć kilometrów w rekordowym tempie, bez marudzenia Helen.

Zaczynało mżyć, kiedy schodziły z ostatniego wzgórza, ale było im ciepło od energicznego na wpeł marszu, na wpeł biegu. Izzy poprowadziła je pędem przez kuchnię, potem schodami dla służby, do dziecięcych pokoi. W korytarzu natknęły się na ochmistrzynię wydającą rozkazy dwóm pokojówkom.

Ujrzawszy je trzy, wciąż w okryciach, z kryształkami lodu na ramionach i kapturach, kobieta skrzyżowała ramiona i groźnie spojrzała na Phoebe.

— I to mają być maniery, jakich chcesz nauczyć to dziecko? Wdzierać się niezapowiedziana, nieproszona, nie zdejmując nawet okrycia?

— Odwal się — rzuciła Izzy, chcąc minąć kobietę. Ale harpia w czerni chwyciła ją za ramię.

— O, co to, to nie. To jest pokój chorej. Nie wolno wchodzić żadnym gościom.

— Ręce przy sobie - zażądała Phoebe. - Izzy ma pełne prawo in-j interesować się siostrą. ;

Ochmistrzyni zmierzyła ją karcącym, pogardliwym spojrzeniem od ' stóp do głów. j

- Nie dziwi mnie, że z nią trzymasz. Wszystkie jesteście siebie warte. Ty. Ona. Ta twoja siostrzenica.

Na pierwsze złe słowo tej kobiety Helen uskoczyła za Phoebe i zalękniona przywarła do jej spódnicy Tylko to powstrzymało Phoebe przed spoliczkowaniem wstrętnej baby. Jak ona śmie sugerować coś tak nikczemnego! Zebrała się w sobie.

— Mówię, puść to dziecko, zjeżdż mi z drogi i trzymaj się ode mnie z daleka, kiedy przejdę przez te drzwi. Bo zapewniam cię - dodała, robiąc krok do przodu — że ja tam wejdę.

Podli ludzie są wszyscy tacy sami, pomyślała Phoebe, niezatrzymywana, gdy przechodziła przez drzwi. Wycofują się na pierwszy znak sprzeciwu. Ale satysfakcja ze zwycięstwa nad nikczemną ochmistrzynią Farley Park rozwiała się, kiedy tylko przekroczyła próg pokoju dziecięcego. Kwaśny zapach wymiocin, przegrzany pokój i ponury wyraz na wymiętej twarzy doktora rozmawiającego z lordem Farleyem, zapowiadały wroga o wiele trudniejszego do pokonania niż ziejąca jadem, zasuszona stara kobieta.

— Co to jest? - zwróciła się do doktora, zdejmując pelerynę i kapelusik.

— Dzień dobry, panno Churchill — powiedział doktor Ward, jakby było rzeczą najnaturalniejszą w świecie, że spotyka ją w Farley Park.

— Wydaje mi się, że złapała jakiegoś rodzaju ospę. Ale ta wysoka gorączka trochę tu nie pasuje, tak samo jak wymioty. Ospa. Słowo, którym doktor Ward określał wszystko, czego nie potrafił zdiagnozować. Leya może cierpieć na cokolwiek.

Phoebe zerknęła na lorda Farleya stojącego przy łóżeczku Lei. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie kładł się tej nocy — ciemnoblonde włosy sterczały na głowie, rozpięta kamizelka zwisała, koszula rozchylona pod szyją poplamiona była Bóg wie czym. Najgorsze było to, że twarz miał smutną, troska i wyczerpanie wyłobiły w niej głębokie bruzdy. Jak strasznie musiał się czuć, nie mając jasnej diagnozy choroby Lei.

Z wysiłkiem oderwała wzrok od niego i zwróciła się do dziewczynek, które z niepokojem zatrzymały się w wysokich drzwiach.

— Izzy zabierz, proszę, Helen do swojego pokoju. Albo do kuchni.

Gdzie chcesz. Izzy zmarszczyła brwi.

— A co z Leyą?

— Jest ciężko chora, ale zostanę z nią i zrobię, co mogę, żeby pomóc. Żebyście tylko ty i Helen się nie rozchorowały na domiar złego.

Jeśli chcesz pomóc siostrzyczce, musisz być zdrowa i robić dokładnie to, co powiem.

Możesz to dla mnie zrobić? Izzy przeniosła zalęknione spojrzenie z Phoebe na małe łóżeczko, w którym leżała jej przyrodnia siostra, potem znów na Phoebe.

- Przyjdiesz nam powiedzieć, jak ona się ma?

- Oczywiście, że przyjdę.

- No to dobrze. — Izzy skinęła głową i chwyciła Helen za rękę.

- Chodźmy, Helen. Pójdziemy do kuchni i powiemy kucharce, żeby zaparzyła dla wszystkich herbaty.

Phoebe uśmiechnęła się do śmiertelnie przerażonej Helen, starając się dodać jej odwagi.

- To by było wspaniale. - Spojrzała na lorda Farleya, który stał przy łóżeczku Lei, wpatrując się w apatyczne maleństwo. — Każ jej też przysłać śniadanie dla ojca.

Po odejściu dziewczynek doktor Ward odciągnął Phoebe na bok.

- To może być po prostu ta sama ospa dziecięca, która powtarza się co kilka lat. Większość dzieci przeżywa ją bez dalszych komplikacji. Będziemy wiedzieć na pewno, jeśli pojawi się wysypka. Nie wolno dotykać pęcherzy. I nie pozwalaj nikomu wchodzić do tego pokoju. Póki co zalecam, żeby próbować jej ulżyć, na ile to możliwe. I zbijać gorączkę.

Powiedziawszy to, wziął płaszcz i kapelusz i wyszedł, pozostawiając Phoebe i lordowi Farleyowi opiekę nad niepokojąco cichutką Leyą.

- Dziękuję, że pani przyszła. - Głos lorda Farleya brzmiał chrapliwie na tle odgłosu trzaskającego w kominku ognia. - Skąd pani wiedziała?

- Izzy — odparła Phoebe, stając przy nim nad łóżeczkiem. — Rozumiem, że pan jej po mnie nie wysyłał.

- Nie.

Phoebe pogłaskała rozpalony policzek Lei.

- Jestem przekonana, że Izzy kocha to dziecko. Jak długo zna Leyę? Od dwóch miesięcy? - Podniosła oczy i przyglądała się badawczo jego profilowi. — A już pokochała siostrzyczkę bardzo gorąco.

- Ja też. - Zwrócił ku niej twarz. - Nie spodziewałem się tego, a jednak. I nie mogę... -

Głos mu się załamał, zobaczyła, jak przełyka ślinę, przewyciężając emocje wzbierające w piersi. — Nie mogę jej stracić. Nie mogę.

- Proszę nie mówić o stracie. Dzieci zawsze wychodzą z takich chorób.

- Nie zawsze - powiedział głosem stłumionym przez lęk. — Nie zawsze. Pani wie, że ona pochodzi z Indii. A co będzie, jeśli jest bardziej wrażliwa na tego typu ospę czy cokolwiek to jest?

Phoebe nie wiedziała, jak podnieść go na duchu. Mogła tylko powiedzieć:

- Pomogę. Pomogę, jak tylko potrafię.

Wziął ją za rękę, a ona bez zastanowienia ucisnęła jego dłoń. Było to absolutnie niestosowne z tak wielu powodów, że nawet nie chciało jej się nad nimi zastanawiać.

Jednocześnie zdawało się to aż do bólu słuszne. Z dłonią w dłoni, z palcami splecionymi jakby w uroczystym pakcie, połączyli swoje ręce, wolę i siłę swoich ciał w walce o Leyę.

Miał to być bardzo długi dzień.

W naturalny sposób ustalili się między nimi tryb postępowania. Dzielili się

pomysłami i wysiłkami, nie ustając w zmaganiach. Phoebe wiedziała, że ważne jest, aby wlewać wodę do gardła niemowlęcia, gdyż wtedy gorączka nie strawi drobnego, rozpalonego ciała. Powoli, łyżka po łyżce poiła Leyę wodą, uważając, żeby żołądek się nie zbuntował.

Lord Farley widział w Indiach, jak zanurzano gorączkujące niebezpiecznie dziecko w zimnej kąpieli, byle tylko obniżyć zabójczą temperaturę. W krajach Orientu, mówił, uzdrowiciele zalecają zachowanie czystości, zarówno jeśli chodzi o pacjenta, jak i o opiekunów. Także pościel, ubrania, naczynia - wszystko, co ma mieć lub miało styczność z chorym, musi być skrupulatnie utrzymywane w czystości, prane i myte w gorącej wodzie z dużą ilością mydła.

Pośród tego wszystkiego Izzy i Helen przyniosły herbatę, bulion dla Lei oraz chleb i mięso dla nich.

- Musi pan odprawić ochmistrzynię — mruknęła Phoebe o wiele później, po południu, kiedy Leya spała.

Lord Farley siedział rozparty na siedzisku pod oknem, oczy miał zamknięte z wyczerpania, nogi wyciągnął przed siebie na podłodze. Ona opadła na wielki, wyściełany fotel.

- Wiem. Niestety, muszę z tym poczekać, aż znajdę odpowiednie zastępstwo.

Praca ramię w ramię, wspólna troska i modlitwa, walka z tymi samymi demonami, przełamały tyle barier między nimi, że Phoebe zawahała się tylko przez moment, zanim powiedziała:

- Nie sędzę, żeby należało z tym zwlekać. Trująca atmosfera, jaką stwarza ta okropna kobieta, jest czymś o wiele gorszym dla tego domu, niż gdyby miał kuleć przez parę

tygodni czy nawet miesięcy bez odpowiedniej gospodyni. Ona nie kryje, że nie cierpi Izzy i Lei, a prawdopodobnie i pana, za to, że musi mieć z wami do czynienia.

Słaby płacz Lei uprzedził jego odpowiedź. Oboje doskoczyli do łóżeczka, w którym

maleństwo trzęsło się, szczękało nielicznymi jeszcze ząbkami jego usteczka drżały.

Phoebe natychmiast podniosła dziecko razem z pościelą i przytuliła do siebie. Lord

Farley otulił starannie kocem ją i swoje dziecko. Zdarzyło się to już dwa razy.

Gorączka, potem dreszcze. Zimna woda, ciepły bulion.

Walczyli razem o Leyę w ciągu długich, nocnych godzin, zmieniając się,

przydrzemując na zmianę. Przed świtem Phoebe wyszła za potrzebą i odkryła, że

Helen z Izzy śpią pod drzwiami pokoju dziecięcego na materacu przyciągniętym z

jednej z sąsiednich sypialni. Kuliły się przytulone do siebie pod górą koców w zim-

nym korytarzu, w którym hulał przeciąg. Uśmiech zagościł na jej wargach.

Przypominały jej szczenięta, zupełnie jak Bruno i jego rodzeństwo. Wyglądało na to,

że w obliczu choroby Lei zapomniały o wzajemnej niechęci. Przynajmniej coś

dobrego wynikło z tej strasznej nocy.

Kiedy wróciła, lord Farley stał nad Leyą, z lampą w ręce i zatroskaną twarzą.

- Wystąpiły pęcherze. Niech pani spojrzy na jej policzki.

- Proszę pamiętać, że według doktora Warda to dobrze. To znaczy, że choroba

rozwija się tak, jak powinna. Im prędzej wystąpi wysypka, tym prędzej przejdzie i

tym prędzej ona wydobrzeje. Będziemy musieli obwiązać jej rączki. Jeśli rozdrapie

pęcherze, mogą zostać blizny.

- Co tam blizny, jeśli tylko będzie żyła. - Zamilkł na chwilę, po czym zwrócił się do Phoebe. —
Nigdy nie będę w stanie odwdziżyć się za to, co pani robi.

Nie powiedział nic więcej, ale i nie musiał. Moc jego uczuć, ich całkowita szczerłość, były w jego
oczach. W powietrzu pomiędzy nimi. Byli teraz związani w sposób,

który wykraczał poza ten jeden dzień i noc walki. Walczyli razem o życie dziecka i

Phoebe zaczynała wierzyć, że wygrali. Bez względu na to, co przyniesie przyszłość,

zawsze będzie ją łączyć z lordem Farleyem ta noc, to zwycięstwo.

Ale to sięgało głębiej, było pełniejsze, bardziej pierwotne. Ich spojrzenia się spotkały.

Choć zmęczona do cna, Phoebe czuła, jak ten moment przeciąga się, pełen napięcia, aż niewytłumaczalny, podskórny prąd staje się nie do pokonania.

Drżącą dłonią poprawiła potargane włosy. Nigdy do nikogo nie ciągnęło jej tak jak do niego — a jego zdawało się z równą mocą ciągnąć do niej. To nie może być tylko żądza, powiedziała sobie. Nie może. Żaden normalny mężczyzna nie może pożądać takiej potarganej i lecącej z nóg kobiety jak ona.

Czy to możliwe, by było między nimi coś więcej? Czy jemu może naprawdę na niej zależeć?

Jej biedne, ogłupiałe serce dawno już przestało odróżniać prawdę od marzeń. Tonąc w błękitnych jak morze głębinach jego oczu, zdołała tylko powiedzieć:

- Nie musi mi pan dziękować, lordzie Farley. Ja też pokochałam Leyę. — Tnęła w jego oczach i zaczynało jej brakować tchu. — I... i Izzy.

Cały świat skurczył się do tego pokoju i ich dwojga.

- Nigdy nie spotkałem kobiety takiej jak ty.

Zaśmiała się zduszonym śmiechem.

- Nie?

Oczywiście, że nie. Krążył po zupełnie innej orbicie niż ona. Pokręcił głową.

- Zostaniesz tu, w Farley Park, dopóki ona nie wyzdrowieje?

- Oczywiście — powiedziała stłumionym głosem.

- Mogę jeszcze dziś odprawić panią Gatling.

Skinęła głową.

- Ale będę potrzebował twojej pomocy. Znow przytaknęła. Zaprzęg koni pociągowych nie zdołałby jej stąd! odciągnąć.

Przysunął się bliżej. Tylko o krok, ale tym jednym krokiem zburzył mur, przekroczył granicę, w obrębie której do tej pory byli żołnierzami walczącymi ramię w ramię. Do tej pory.

Teraz już nie byli żołnierzami walczącymi w słusznej sprawie. Stali się tym, czym każde z nich było w swej najgłębszej istocie: mężczyzną i kobietą, boleśnie świadomymi tego, że wzajemny pociąg, jaki już odczuwali, nagle nabrał mocy. Nie był to już migający płomyk, a rozszalały ogień. Piekło...

8

Dla Jamesa stało się to bardzo ważne. Ta kobieta, tak niepodobna do Catherine, tak niepodobna do żadnej z wielu znanych mu kobiet, stała się dla niego bardzo ważna. Przyciągnął ją bliżej. Miała idealny wzrost, idealne rozmiary. Trzymając ją w ramionach, czuł, jak poddaje mu się bez oporu. Była dobra, wspaniałomyślna i uwielbiała jego dzieci.

I — najważniejsze - pragnęła go.

Ujął ją pod brodę i poszukał wzrokiem orzechowej głębi jej szeroko rozwartych oczu. Była taka niewinna. To jedno, niczym tama, powstrzymywało napór Ogarniającej go fali pewności. Zbyt niewinna, żeby wiedzieć, co jest dla niej najlepsze.

Nie zważał na to. On jej pragnął.

Nie, to było coś więcej. On jej potrzebował.

— Phoebe — wyszeptał jej imię z ustami na jej wargach i poczuł, że odpowiedziały mu.

— James.

Jedna sylaba, a nigdy jeszcze nie słyszał czegoś równie erotycznego, jak swoje imię wypowiedziane niskim, zdyszczanym głosem.

— A niech to - mruknął. Już przepadł. Znużenie opuściło go, zastąpione przez pełnię

pożądania. Jej piersi, miękkie i ciepłe, przyciśnięte do jego torsu, poddające się. Jej szczupła talia wpasowująca się w zgięcie jego ręki, i jej usta...

Jej słodkie, pełne usta, stworzone dla niego i jego rozkoszy. Jej niewinne i kuszące wargi zetknęły się z jego wargami, chętne, by lepiej się dopasować, i rozchylone, by przyjąć pchnięcie jego zachłannego języka.

Pragnął ją pożreć, pochłonać dla własnej, samolubnej rozkoszy, a jednocześnie zdecydowany był rozpaść w niej pożądanie.

Przeniósł ją na kanapę pod oknem i wziął na kolana. Objął ją ramionami, palce wplotł mu we włosy na karku. Uniósł ją lekko, a ona przewiesiła nogi przez poręcz kanapy. Przechylił ją w tył, trzymając w objęciach. Była jego i mógł ją wziąć, była jego, by zaspokoić trawiący go głód, a potem by mógł rozkoszować się nią po raz drugi, trzeci - nieskończoną ilość razy.

Jego pobudzona męskość domagała się więcej, więc przywarł do jej krągłych pośladków.

W odpowiedzi pocałowała go, tak jak on całował ją, badając wnętrze jego ust coraz śmieiej, coraz więcej żądając. Było to żądanie, na którego spełnienie był przygotowany.

Zsunął ją ze swoich kolan. Ona nie stawiała oporu, więc nie zatrzymując się nawet dla zaczerpnięcia tchu, położył na wąskiej kanapie i nakrył jej ciało własnym ciałem. Leżąc pod nim, Phoebe wyczuła zmianę. Było to jak zmiana wiatru, jak zmiana nachylenia osi ziemi. Do tej pory to ona miała władzę. W pewnym sensie. Teraz władzę przejął on. ,.

A może zawsze tę władzę miał. Może łudziła się tylko, że mogłaby powiedzieć „tak” lub „nie” temu mężczyźnie i panować nad dziką bestią, którą on w niej uwolnił.

Żądza. To słowo dźwięczało jej w głowie, wypowiedziane ostrym, potępiającym

tonem matki.

Wtem inny głos, młody i buntowniczy — jej własny — podpowiedział jej, że jeśli jej nieszczęśliwa, wiecznie niezadowolona, pozbawiona przyjaciół matka tak bezwzględnie potępiała żądzę, to żądza ta musi być czymś cudownym.

Na przekór wpajanym Phoebe przez całe życie przekonaniom, owa heretycka myśl już jej nie opuszczała. Emilean Churchill nienawidziła tylu rzeczy: muzyki, śmiechu, wszystkiego, co jasne i ekscytujące, pełne emocji. Ale matka się myliła co do tego

wszystkiego. Czy mogła się też mylić co do żądz?

Phoebe musiała się tego dowiedzieć, ponad wszystko bowiem nie chciała zamienić się w zgorzkniałą, niezadowoloną kobietę, jaką była jej matka.

Dlatego zgodziła się, by przygniotło ją męskie ciało, i upajała się świadomością, że James Lindford pragnie jej, Phoebe Churchill. Mógł mieć każdą kobietę, jakiej by

tylko zapragnął, ale pragnie właśnie jej, ponieważ mimo dzielących ich różnic, w głębi duszy są podobni. Wiedzą, co jest naprawdę ważne, i walczą o to. On dla swoich dzieci opuścił Londyn, ona wychowuje swoją siostrzenicę. A tej nocy połączyli wysiłki, by ocalić Leyę. Mężczyzna, który kocha dzieci tak mocno jak James kocha Leyę i Izzy, z pewnością równie mocno pokocha kobietę. Będzie dla niego skarbem.

Jakby na dowód, że się nie pomyliła, zaczął błądzić po jej ciele ustami, pocałunkami ogrzewać jej szyję, jej ucho, rozniecać niebывały ogień w głębi jej ciała.

- James - jęknęła, poruszając się niespokojnie pod nim, chcąc od niego tego, czego nie potrafiła wyrazić słowami.

On ją zrozumiał. Zrozumiał i odpowiedział na jej ciche błaganie pieśczołą dotyku. Zagłębienie łokcia. Wnętrze dłoni. Miejsce za uchem, które nie ma nazwy. Kiedy te zwykle, dobrze jej znane części ciała stały się tak wrażliwe?

Wtem jego kolano znalazło się między jej nogami. Rozsunął jej uda. Był to dziwny

ruch, niczym napaść, zawładnięcie. Przeszedł ją dreszcz. Jednocześnie jego dłoń przesunęła się w górę po jej talii, po żebrach, objęła pierś.

Och, tak. Nie przestawaj było jej wstydliwą, ale chętną odpowiedzią.

On też tego chciał, wyczuwała to, choć nie potrafiła ująć w słowa. Dotknął końcem kciuka wzniesienie jej piersi i ktoś jęknął. Czy to możliwe, że ona?

Kiedy zrobił to znowu, drażniąc paznokciem jej sutek i wzbudzając w niej dręczącą świadomość doznań, ponownie jęknęła.

- Phoebe — szeptał jej imię z ustami na jej ustach, na jej szyi, na delikatnym wgłębieniu pomiędzy piersiami, i wzmagał tę słodką torturę, aż zaczęła dyszeć z pragnienia, miotać się pod nim w męce ogarniającej jej wnętrze, grożącej wybuchem od naporu gwałtownych emocji.

Powiew zimnego powietrza prześlizgnął się po jej nogach i wtedy oprzytomniała na moment. Od dołu była zupełnie naga. Jak to się stało?

Odpowiedzią była jego dłoń, gorąca i śmiała, ujmująca ją pod kolanem. Ta zmysłowa, jakże zdrożna pieszczota sprawiła jej przyjemność zbyt wielką, by nakazać mu przestać. Jeśli to jest żądza, to obawiała się, że nigdy już nie będzie umiała jej się oprzeć.

Kiedy naparł biodrami na jej biodra, instynktownie zareagowała. Jak mogła kiedykolwiek uważać ten akt za odrażający? Jak mogła nim pogardzać? Bać się go?

Przesunął się na bok i jego dłoń powędrowała wyżej, ku miejscu, gdzie łączyły się jej rozsunięte uda. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Lęk i tęsknota zapulsowały w jej

żyłach, kiedy nakrył dłonią najbardziej intymne miejsce jej ciała. Lęk. Tęsknota.

Pragnienie. Musiała poznać całą resztę.

- Jesteś dziewicą? — wyszeptał jej do ucha gorąco i ochryple.

Wewnątrz topiła się od wrzących uczuć, ale udało jej się skinąć głową. Nie była w

stanie wypowiedzieć ani słowa. Tak, jest dziewicą. Ale jak długo jeszcze?

Może powinna go powstrzymać?

Wtedy on rozchylił włoski tam, na dole, i dotknął jej. Wszelka myśl

o rezygnacji z tych cudownych doznań wywietrzała jej z głowy. Och, tak. Och, tutaj.

Och, to cudowne... fantastyczne... niewiarygodne...

Zataczał dłonią niewielkie kręgi, tak jak przedtem robił to z sutkiem, teraz jednak te kręgi były o wiele bliżej wrzącego jądra jej tęsknoty. Jej żądy. Jego dłoń zataczała kręgi, a ona czuła gorąco i wilgoć

- i wtedy nie wytrzymała.

- Tak. Tak.

Słyszała swój powtarzający się krzyk, jej ciało wygięło się spazmatycznie w sposób

dla niej samej niepojęty. Przynaglał ją głaskaniem, aż stało się to nie do zniesienia, aż zaczęła lkać, z twarzą mokrą od nieznanych dotychczas łez. Choć nadal wstrząsał nią

dreszcz, on wsunął palec głębiej, wypełniając ją nowymi doznaniem. Wsuwał go i

cofał, pobudzając ją na nowo. Doznania były niby te same, a jednak inne.

Przestał na moment, na tyle tylko, żeby zdążyła zaczerpnąć tchu. Czy umarła? Czy to jest niebo?

Znów znalazł się nad nią i poczuła coś twardszego i większego.

Phoebe otworzyła oczy. Ujrzała jego twarz tuż przy swojej, jego

oczy pociemniałe, niepokojąco błękitne, zapatrzone w nią.

- To może zboleć - wymruczał. — Troszeczkę. Ale ból przejdzie. Obiecuję.

Naparł mocniej, wypełniając ją w nowy sposób, przerażający, ale konieczny.

- Phoebe?

Skinęła głową, nie odwracając wzroku. Zaczął więc szukać drogi do niej krótkimi

pchnięciami, a każde z nich było śmielsze, głębsze od poprzedniego. Wypełniał ją,

wciskał się w nią. Posiadł ją. Po momencie przerwy, nagłym pchnięciem wszedł w

nią zupełnie.

To nie bolało. Prawie nie bolało. Westchnęła nad nieodwołalnością tego aktu, nad niewyobrażalnym poczuciem spełnienia. Teraz należała do niego, a ta myśl napełniała ją radością.

Była jego. A on był jej. Patrzyli sobie nawzajem w oczy, kiedy powoli wycofał się, a potem wszedł w nią znowu.

— Och — westchnęła.

Cień uśmiechu zaigrał na jego wargach. Poczowała przemożną chęć pocałowania tych warg. Wchodził w nią coraz szybciej, coraz głębiej, w rytmie, który rozpoznała instynktownie i poddała się mu. Przyjmowała go do swego ciała, do swego serca, przyciągnęła jego głowę do swojej i ich usta złączyły się tak miłośnie jak ich lędźwia.

To była czysta rozkosz, całkowite spełnienie. Czy to możliwe, że tego tak się obawiała? Przysięgła sobie nigdy już się nie bać, to była bowiem doskonałość. To była radość. To była miłość i pożądanie, i pragnienie, i wieczność. A kiedy on kazał jej skoczyć w bezmiar wolności, triumfu i fizycznej ulgi, skoczyła gorliwie, doznając ostatecznego spełnienia równocześnie z nim.

Potem Phoebe nie była pewna, co się właściwie działo i w jakiej kolejności. Skłonna byłaby przypuszczać, że zemdląca, tyle tylko, że wcale nie zemdląca. Na pewno wiedziała jedynie, że leżał na niej ciężki i syty, a chwilę później już go nie było i nie zauważyła, kiedy to się stało.

Usiadła z wciśniętą jej do ręki wilgotną szmatką, żeby mogła się wytrzeć. To było niezręczne i sprawiło ją w zmieszanie. Wtedy on znów znalazł się przy niej, przyklęknął przed kanapą i się uśmiechnął. Ucałował jej dłoń, a potem wpatrywał się w nią z powagą.

— To nie było... - Przerwał i puścił jej dłoń. - Nie planowałem tego, Phoebe. Ta długa noc razem... - Znów przerwał. — Nie chcę się tłumaczyć. Co się stało, to się stało.

Choć powinienem, nie potrafię tego żałować. Mam nadzieję, że ty też nie.

Policzki Phoebe płonęły, chciała uciec wzrokiem, ale nie było ucieczki przed jego bacznym spojrzeniem.

— Nie żałuję — powiedziała.

Czy powinnam?

— To dobrze. Będziemy musieli o tym porozmawiać. Ale nie teraz. Nie tutaj, w dziecięcym pokoju. Zawołam pokojówkę i znajdę dla ciebie łóżko.

— A co z Leyą?

— Śpi. Nie ma potrzeby, żebyśmy oboje przy niej siedzieli. Ja prześpię się później.

Kiedy już upewnimy się, że wszystko z nią w porządku, porozmawiamy o tym, co się stało.

Miał oczywiście rację. Phoebe wolałaby porozmawiać od razu, zrozumieć to wszystko, ale zbyt była oszołomiona, zbyt przytłoczona i wyczerpana, żeby jasno myśleć. Poza tym Izzy i Helen spały za drzwiami...

Zesztywniała z przerażenia, które ją otrzeźwiło. Miała nadzieję, że one wciąż śpią.

Pamiętała, że zachowywała się okropnie głośno. W dodatku świt był blisko, ochmistrzyni i któraś z pokojówek mogły już być na nogach.

Przystała więc na jego sugestię, zwiesiła głowę i była wdzięczna, że odszedł wezwać pokojówkę.

Rozejrzała się po cichym pokoju, po czym dla sprawdzenia, czy utrzymają ją drżące nogi, wstała. Dobry Boże. Tym razem zrobiła to naprawdę, nieodwołalny krok w kierunku, którego nic już nie zmieni. Nigdy.

Chociaż cieszyła się i nigdy nie życzyłaby sobie, żeby przebieg tej nocy był inny, jednak w miarę jak sekundy rozciągały się w długie minuty, zaczął ją ogarniać nowy

lęk. Dla niej był to pierwszy raz, ale nie dla niego. On dokonał takiego samego aktu z wieloma kobietami. Co najmniej z trzema, ale prawdopodobnie z większą ich liczbą.

Dużo większą.

Zachmurzyła się, podeszła do żelaznego łóżeczka i spojrzała na jego śpiącą córkę.

Nie poślubił żadnej z tych kobiet, które urodziły jego dzieci. Czemu z nią miałby postąpić inaczej?

A co będzie, jeśli ona także za jego sprawą poczęła dziecko? Jej dłoń sama chciała dotknąć brzucha, ale wysiłkiem woli powstrzymała ją, zacisnęła w pięść i odsunęła.

Zamartwianie się tą

możliwością teraz było bezcelowe. Nie mogła się jednak oprzeć, żeby nie policzyć dni od ostatniej miesięcznej przypadłości. Dwa tygodnie? Nie, trzy. W każdym razie było to, zanim jeszcze spotkała Jamesa - lorda Farleya. Zanim powrócił do wiejskiej posiadłości ze swoją niepełną rodziną.

Kamień spadł jej z serca. Nic jej zatem raczej nie grozi, a za kilka dni będzie mieć pewność.

Znów spojrzała na Leyę. Poczowała nieoczekiwane ukłucie żalu - całkowicie

perwersyjne, niemniej jednak prawdziwe. Ona nie będzie mieć małej Lei i

powinna być za to wdzięczna losowi. Ale jeśli kiedyś jeszcze zrobią to znowu...

Nie. Nie może pozwolić, żeby to się wydarzyło. To zbyt niebezpieczne. Nieproszone

naszło ją wspomnienie przeżytej namiętności, jak echo ulubionej melodii. Jeśli nawet

nigdy już tego nie zrobią — jeśli nigdy za nikogo nie wyjdzie, nigdy w życiu nie

będzie już leżeć w ramionach mężczyzny — pamiętać będzie muzykę, jaką tworzyli

tej nocy, melodię namiętności i miłości. Fizycznej miłości, nawet jeżeli nie była to miłość prawdziwa.

Phoebe objęła się ramionami i pokręciła głową. Pozwalając sobie na takie myśli,

doprowadzi się do szaleństwa. Jest po prostu zbyt zmęczona i przytłoczona ostatnimi

kilkoma godzinami, żeby jasno myśleć. Potrzebuje wytchnienia, snu, musi uciec przed własnymi myślami, przynajmniej na chwilę.

Do pokoju weszła zaspana pokojówka. W milczeniu poprowadziła Phoebe korytarzem, obok dwóch dziewczynek skulonych na prowizorycznym posianiu, i dalej, dalej od Jamesa, który usiadł w fotelu przy łóżeczku Lei. Dano jej pokój na pierwszym piętrze, mały, ale przyjemnie urządzone, ze świeżo rozpalonym ogniem, próbującym przegnać chłód. Nie mówiąc wiele, pokojówka poprawiła pościel na łóżku i pokazała, gdzie jest nocnik i dzbanek z wodą.

Kiedy służąca wyszła, Phoebe odczuła ulgę. Trudno jej było spekulować, czy dziewczyna coś podejrzewa, czy nie, i patrząc na Phoebe, domyśla się, co zrobiła tej nocy i jak dramatyczna zaszła w niej zmiana.

O wiele łatwiej było być samej, rozebrać się i odcierpieć pokutę umycia się w lodowatej wodzie. Nawet prześcieradła były zimne jak lód, choć naciągnęła na siebie górę kołder. Leżała nieruchomo w piernatach, grzana wspomnieniami. Zanim łóżko rozgrzało się od ciepła jej ciała, Phoebe zasnęła, wyczerpana na ciele, duchu i sercu. Obudziła się pośród straszliwego harmidru. Najpierw Helen rzuciła się w poprzek łóżka Phoebe, łkając histerycznie. Potem przez otwarte drzwi dobiegły wrzaski rozwścieczonej Izzy.

— Wynoś się z mojego domu! Ty suko! Ty dziwko!

Phoebe zerwała się, ogarnięta paniką. One wiedzą, co zrobiła! Poczucie winy wypełniło ją bez reszty. One wiedzą, co robiła tej nocy z lordem Farleyem, a wkrótce będzie to wiedzieć całe Swansford!

Tymczasem Helen nie przestawała łkać.

— Nie zostanę tu. Nie chcę! On mnie nie może zmusić.

— Helen. Helen. - Phoebe zagarnęła roztrzęsione dziecko w ramiona, próbując

zrozumieć. - Cicho. Już dobrze. Jestem przy tobie.

Dziewczynka kulila się przerażona w objęciach Phoebe, w której panika ustąpiła miejsca dezorientacji. Dlaczego Helen jest taka zdenerwowana? Na pewno nie ma to nic wspólnego z furią Izzy. Ale dlaczego Izzy jest taka wściekła?

— Co tu się właściwie dzieje, kochanie?

— Nie zostawię cię - szlochała dziewczynka, jakby jej serce miało pęknąć. -

Nienawidzę jej. Ona nie może mi kazać cię zostawić. Phoebe nie mogła nic z tego pojąć.

— Helen. Posłuchaj mnie. Wiesz, że Izzy nie chciała ci zrobić nic złego. O cokolwiek by się wściekała, nie może cię to tak przerażać.

— Nie Izzy. - Dziewczynka wyrzuciła z siebie stłumione słowa, mocząc łzami pierś Phoebe. — Nie Izzy.

Gdzieś na dole rozległ się dźwięk tłuczonej porcelany. Phoebe usiłowała pomyśleć. To musi być w takim razie ochmistrzyni, ta okropna, nieczuła ochmistrzyni. Jeśli Izzy szaleje, a Helen płacze, powodem tego musi być pani Gatling.

— Przestań już płakać, Helen. Zajmę się wszystkim. Pozwól mi tylko wstać i się ubrać. Phoebe wyplątała się z kurczowych objęć dziecka, wyskoczyła z łóżka i narzuciła na siebie ubranie. Helen schowała się pod kołdrę. Tymczasem Izzy miotła się gdzieś na innym piętrze. Choć Phoebe nie potrafiła zrozumieć wyrzaskiwanych słów, Izzy niewątpliwie wpadła w furię.

No i dobrze, pomyślała Phoebe. Idąc korytarzem za odgłosami tyrady, spinała włosy. Miała zamiar dokończyć to, co mała Izzy zaczęła. Była śmiertelnie zmęczona dorosłymi lekceważącymi dziećmi dla spraw, którym nie są one nic winne.

U dołu schodów stał stary kamerdyner i tylko mrugał, ogłupiały. Dwie pokojówki kulily się we wnęce pod schodami, podczas gdy ochmistrzyni, taszcząc dwie tekstylne torby, z wściekłością zmierzała ku drzwiom. Mijając Phoebe, rzuciła jej jadowite spojrzenie.

- Siebie warte - mruknęła. -Wszystko dziwki.

Po czym zatrzasnęła za sobą drzwi.

Phoebe popatrzyła za nią, zdecydowana powiedzieć coś do słuchu nienawistnej babie, zanim ta zdąży uciec. W tej chwili jednak kamerdyner pokręcił głową i drżącą ręką wskazał w kierunku salonu.

- Sądzę, że tam jesteś bardziej potrzebna, panienko. Proszę.

Phoebe zatrzymała się i spoglądała to na błagającego kamerdynera, to na drzwi frontowe, to na salon. Co się dzieje w tym domu? Odwróciła się, słysząc Izzy.

- ...a ty jesteś najgorszy ze wszystkich! Nienawidzę cię!

Drzwi salonu otworzyły się z hukiem i wypadła z nich Izzy, kłębek nerwów i wściekłości. Nawet nie spojrzawszy na Phoebe, pognąła w głąb domu. Z salonu dobiegł głos lorda Farleya:

- Niech to wszyscy diabli. Izzy? Wracaj tu! Jasna cholera!

Ale nie te słowa, a kobiecy śmiech sprawił, że włosy zjeżyły się na głowie Phoebe.

Kobiecy śmiech? To dezorientowało Phoebe. Na pewno nie śmiała się tak żadna z pokojówek. Wtem przyszła jej do głowy straszliwa myśl. Tak potworna, że aż mdląca. Czy to ta lady Catherine z gazety? Ta, z którą on był zaręczony?

- No, no - mówiła tymczasem kobieta. — Wygląda na to, że nie próżnowałeś, milordzie. Ale ja nie narzekam. Prawdę mówiąc, byłam zachwycona, kiedy ten twój człowiek skontaktował się ze mną. Przynajmniej moja mała dziewczynka będzie

miała dwie siostrzyczki, z którymi się wychowa.

Więc nie lady Catherine, pomyślała Phoebe, w której serce zamarło. Ktoś inny.

Matka Izzy - ale nie, to nie ona. Kobieta wspomniała o dwóch siostrzyczkach swojej małej dziewczynki. Phoebe poczuła w piersi coś ciężkiego jak ołów. To musi być jeszcze jedna z jego kobiet.

Przełknęła ślinę, bowiem absurdalne rozczarowanie ścisnęło jej gardło. W plotkach była prawda. On rzeczywiście poszukiwał kolejnego ze swoich dzieci i wszystko wskazuje na to, że je odnalazł. A raczej matka dziecka odnalazła jego.

W pierwszym odruchu Phoebe chciała odwrócić się i odejść. Tak jak zrobiła to Helen. Odejść, -wrócić do domu i starać się udawać obojętność wobec faktu, że następna z jego wielu kobiet stanęła w progu jego domu.

Jednak kiedy on ukazał się w drzwiach, chcąc je zamknąć, zamarła. Ujrzawszy ją, zamarł również, z wyciągniętą ręką.

Sprawiał wrażenie kompletnie wykończonego — taka była pierwsza myśl Phoebe.

Znużonego nie do opisanego. Było też coś więcej w jego oczach. Szok, jakby nie mógł uwierzyć, że ona tu jest. I kiedy tak stał, wpatrując się w Phoebe, jego twarz zabarwiła się ciemnym rumieńcem wstydu.

Chciała, żeby się wstydził. Zarazem jednak przeważała w niej śmiałość, że nic jej do tego. Jego przeszłość to jego sprawa. Ją interesuje jego teraźniejszość i przyszłość i to też tylko o tyle, o ile dotyczy] również jej. Tak nakazywała logika, ale myśli Phoebe w tym momencie dalekie były od logiki.

- Czy ty mnie słuchasz, James? — niecierpliwiał się kobiecy głos.

- Ktoś tam jest?

Znow ogarnęła Phoebe przemożna chęć ucieczki, zwłaszcza kiedy usłyszała stukot lekkich kroków w salonie. Chciała uciec, ale jeszcze bardziej chciała utrzymać swoją pozycję.

To nic dla mnie nie znaczy, mówiła mu wyprostowaniem pleców i uniesieniem brody. Bałagan w twoim życiu i kobiety z twojej przeszłości to twoja sprawa. Ja idę do domu. Wtem zza pleców lorda Farleya wychynął gigantyczny kapelusz osadzony na bujnychjasnych lokach i wyjrzała spod niego śliczna twarz.

— Ależ to Phoebe - powiedziała kobieta, zbijając Phoebe do reszty z tropu. Skąd ta kobieta zna jej imię? - Miałam nadzieję, że to ty.

Wspaniała istota wyminęła lorda Farleya i zbliżała się z wyciągniętymi ramionami i uśmiechem na mocno umalowanych wargach.

- Och, wieki całe, Phoebe. Chodź, uściskaj siostrę.

Na moment świat się zatrzymał. Louise. Phoebe zamrugła powiekami, dopiero teraz rozpoznając siostrę. Louise tutaj? To nie ma sensu. Na pewno przyjechała, otrzymawszy list z wiadomością o śmierci matki. Ale skąd Louise wiedziała, że znajdzie je w Farley Park? Phoebe postąpiła do przodu, zmieszana, ale z przyjaznym uśmiechem

- i wtem dotarł do niej z całą mocą sens rozmowy pomiędzy siostrą a Jamesem.

Spadło to na nią jak okrutny cios, zadając jej taki ból, jakiego nie mógłby sprawić żaden cios fizyczny. Sztylet ohydnej prawdy ugodził ją w samo serce, tam, gdzie była najbardziej bezbronna.

Co ona powiedziała? „Moja mała dziewczynka będzie miała dwie siostrzyczki...

Jej mała dziewczynka. Helen. Słodka Helen, która nie ma ojca, która jest dzieckiem

Phoebe pod każdym względem, z wyjątkiem samego urodzenia. Izzy i Leya są jej siostrami?

To znaczy... lord Farley jest ojcem Helen.

Louise poczęła to dziecko z... z jej lordem Farleyem?

Phoebe cofnęła się i zachwiała pod brzemieniem straszliwej świadomości, przed

którą nie była w stanie uciec. To nie może być prawda. Nie może!

Jednak to była prawda. W holu zapadła cisza tak napięta, jakby zaraz miała pęknąć, nabrzmiała tą straszliwą, szaloną prawdą. Helen jest dzieckiem lorda Farleya, tym, którego poszukiwał.

A jeśli Louise wróciła do Yorkshire, to po to tylko, żeby oddać mu Helen - i zabrać ją jej.

9

Pozwól mi wyjaśnić — zaczął James, wychodząc do holu.

Ale Phoebe cofnęła się, przenosząc pełne zgrozy spojrzenie z niego na siostrę i znów na niego. Potem z bolesnym okrzykiem odwróciła się i uciekła na górę.

Chciał za nią biec, postarać się, żeby zrozumiała. Jednak u dołu schodów się zatrzymał. Co miałyby zrozumieć? Że wiele lat temu spłodził dziecko z jej siostrą?

Niestety, to już rozumiała sama. Aż za dobrze.

Stojąca w drzwiach salonu Louise roześmiała się tym samym rozbawionym tonem, który tak łatwo oczarował go, kiedy jako młodzieniec przebywał w Londynie, myśląc tylko o jednym.

Tym razem ten śmiech wcale go nie oczarował. Co najwyżej sprawił, że ścierpła mu skóra na karku. Louise LaFleur, ta o złotych włosach i złotym głosie — otoczona złotą aurą erotycznej obietnicy

- to w rzeczywistości Louise Churchill, siostra Phoebe. Niech to szlag!

Powinien był skojarzyć fakty. Spotkał Louise w Londynie, na przyjęciu po przedstawieniu, w którym grała. Podśluchał, kiedy mówiła, że pochodzi z Yorkshire, i wykorzystał to, że sam przyszedł na świat w tym hrabstwie, jako pretekst do nawiązania znajomości. Powiodło się i przez kilka następnych miesięcy spędzali ze sobą dużo czasu

- dopóki nie oznajmiła mu, że jest w ciąży. Jemu tymczasem zawróciła w głowie

następna piękność.

Czy naprawdę myślał, że pieniądze, jakich nie szczydził na swoje swawole, w pełni rozgrzeszą go z samolubnych decyzji, które podejmował jako dziarski kogucik parający dumnie po mieście?

Pokręcił głową, bowiem własna perwersja napełniała go niesmakiem. Teraz przyszło mu zbierać żniwo tamtych dni. Louise jest siostrą Phoebe. Boże, czy jakikolwiek mężczyzna był tak przeklęty?

- Doprawdy, Jamesie — dobiegł go złoty głos, w którym dźwięczał śmiech. - Musisz zupełnie nie rozumieć kobiet, jeżeli spodziewasz się, że moja pruderyjna siostrzyczka zniesie twoje wyjaśnienia. - Louise zbliżyła się do niego w chmurze nieco przyciężkiego zapachu piżma.

- Przypuszczam, że na mnie jest jeszcze bardziej zła niż na ciebie. Ale przejdzie jej. Zawsze jej przechodzi.

James spiorunował ją wzrokiem. Miał ochotę ją udusić, zarówno za jej nieczuły egoizm, jak i za to, że wybrała tak nieodpowiedni moment. Oboje jednak była służba, która przyglądała się im, a poza tym nieszczęście już się stało. Phoebe nie chce mieć z nim nic •wspólnego. Izzy miota się z wściekłości, Helen uciekła przerażona, a Leya...

Popędził po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz. W zamieszaniu wywołanym przybyciem Louise zapomniał o Lei.

- Ty nie znasz Phoebe tak jak ja - mówiła dalej Louise, drobiąc za nim kroczkami. -

Musi się podąsać i poobrażać przez dłuższy czas, zanim dojdzie do siebie. Ale to się ułoży. Zobaczysz. Moja siostrzyczka jest niezawodna. Możesz ją zatrudnić jako

guwernantkę Helen. Sytuacja właściwie się nie zmieni w porównaniu z tą, jaka jest teraz. W gruncie rzeczy...

- Moja najmłodsza córka ma gorączkę — przerwał jej. — Zaraziła się czymś, czego

doktor jeszcze nie zdiagnozował. - Spojrzał na nią ze szczytu schodów i z ponurą satysfakcją zauważył, że zatrzymała się w pół kroku. — Przypuszczam, że nie chcesz złapać tego, co może się skończyć dziobami na twarzy.

Czym prędzej przybrała postawę zatroskanej matki.

- Och, biedne maleństwo. — Cofnęła się o stopień niżej. - Mam nadzieję, że moja kochana Helen nie jest narażona?

- Też mam taką nadzieję.

Zostawił ją tam, piękną, ale bezduszną istotę zjawiającą się, by ciągnąć korzyści z dziecka, które w oczywisty sposób zaniedbywała przez

tyle lat. Energicznymi krokami zmierzał w kierunku pokoju dziecięcego. Jak mógł kiedykolwiek się nią zachwycić?

Teraz jednak miał poważniejsze problemy do rozwiązania. Leya. Phoebe. Izzy i Helen. W jego obecnym życiu każda istota płci żeńskiej, od niemowlęcia poprzez dziewczynki po kobiety stanowiła problem. Każda wymagała jego natychmiastowej uwagi. A najważniejsza była Leya.

Przestąpił przez porzucone pod drzwiami posianie dziewczynek i wszedł do ciepłego pokoju dziecięcego. Phoebe stała przy oknie, kołysząc w ramionach kwilące dziecko.

W niczym nie przypominała Louise. To spostrzeżenie uderzyło Jamesa jak pięścią między oczy. Zatrzymał się w drzwiach. Phoebe była szczuplejsza od siostry, wyższa i nie tak jasna. Ale to nie te fizyczne różnice zrobiły na nim największe wrażenie.

Niewiele kobiet mogłoby współzawodniczyć pod względem urody z aktorką Louise LaFleur. Jednak pięknem wnętrza, tam gdzie mieszka dobroć, troskliwość i bezinteresowność, Phoebe przyćmiewała starszą siostrę. Przyćmiewała każdą znaną mu kobietę.

Cicho zamknął za sobą drzwi. Znow zapragnął kochać się z nią. Natychmiast. Tu, gdzie reszta świata nie ma dostępu. To było szaleństwo i to ogromne. Przecież teraz ona go nienawidzi.

- Phoebe?

Pokręciła głową, ale się nie odwróciła.

- Nie próbuj niczego mi wyjaśniać. Nie chcę tego słuchać. Powiedz mi tylko prawdę: czy Helen jest twoją córką?

Zaczerpnął głęboko tchu i wyrzucił to z siebie.

- Tak

Dostrzegł, że jej ramiona opadły nieznacznie. Zaraz jednak, jakby chcąc temu zaprzeczyć, uniosła brodę.

- Od kiedy to wiesz?

- Właśnie się dowiedziałem. To znaczy, zawsze wiedziałem, że mam dziecko. Z nią - dodał, nienawidząc bólu, jaki sprawia Phoebe każdym słowem. Przesunął dłońią przez włosy. - Ale nie wiedziałem, że Helen jest tym dzieckiem. Ani że Louise jest twoją siostrą.

Z wolna Phoebe odwróciła ku niemu twarz. Przygotował się na ujrzenie łez. Nigdy nie radził sobie z kobiecymi łzami. Ale Phoebe nie płakała. Była wstrząśnięta, ale nie rozbita, jakby trzymanie w ramionach bezbronnej Lei w jakiś przewrotny sposób dodawało jej sił.

— Przez wszystkie te lata zaniedbywaliście ją, ty i Louise. A teraz oboje chcecie zabrać ją mnie, jedynej osobie, która zawsze się o nią troszczyła.

— Ja jej nie zaniedbywałem. Dostawała co miesiąc pokaźną sumę...

— Przerwał, kiedy straszne podejrzenie zakiełkowało mu w głowie.

— Czy ty i Helen nie dostawaliście tych pieniędzy? Phoebe pokręciła głową, gorzki

uśmiech wykrzywił jej wargi.

— wygląda na to, że Louise dobrze sobie żyła na twój koszt, lordzie Farley.

Przypuszczam, że teraz zażąda, byś okazał jeszcze większą hojność.

Leya drgnęła i zaczęła płakać. Phoebe natychmiast skupiła się na niej, oszczędzając Jamesowi konieczności odpowiedzi. Podszedł bliżej.

— Jak ona się ma?

Phoebe wzruszyła ramionami.

— Mniejsza gorączka, ale więcej pęcherzy. - Zaczęła się kołysać i łagodnie uciszać maleństwo. — Myślę, że to dobry znak.

Skinął głową, uspokojony pod tym względem. Właśnie odnalazł swoje trzecie dziecko. Nie chciał stracić tego.

— Myślisz, że będzie jadła?

— Nie wiem. Możemy spróbować.

— Kazałem, żeby ktoś poszedł wydoić twoje kozy.

Podniosła oczy i na długi moment ich spojrzenia się spotkały. Ona pierwsza uciekła wzrokiem, kierując go znów na Leyę.

— To dobry pomysł, ale może nie przyjąć nawet koziego mleka. Najpierw spróbuję dać jej wody, a dopiero potem mleka. Jeżeli będzie je tolerować, możemy spróbować z ciekim kleikiem.

James pocieszał się, że przynajmniej jednoczy ich troska o Leyę. Póki co, musiało mu to wystarczyć. Zadzwoił na pokojówkę, którą wysłał z dyspozycjami do kuchni, podczas gdy Phoebe przebierała Leyę i sprawdzała rozprzestrzenianie się pęcherzy na jej ciele.

— Ty ją nakarm - powiedziała, podając mu apatyczne niemowlę. — Ja muszę znaleźć

Helen. Była strasznie zdenerwowana.

Skinął głową. Phoebe była taka spokojna, taka zorganizowana. Może Louise miała rację: Phoebe po prostu potrzebuje czasu, żeby przywyknąć do nowej sytuacji, w jakiej znalazła się Helen. Potem już wszystko będzie dobrze.

— Porozmawiasz też z Izzy?

— Oczywiście. — Zatrzymała się w drzwiach i zerknęła na niego, po czym odwróciła wzrok. - Dlaczego przyjazd Louise tak rozwścieczył Izzy?

Zacisnął szczęki.

— Kiedy Louise przyjechała, Izzy natknęła się na nią. Zdaje się, że Louise wzięła Izzy za Helen. Izzy oczywiście posłała ją do diabła. Potem Louise zobaczyła Helen i powiedziała jej, że jestem jej ojcem i że ona może... - przerwał. — Powiedziała Helen, że teraz może tu mieszkać cały czas. To przeraziło Helen. Powiedziała, że chce mieszkać z tobą, na co Louise się sprzeciwiła i powiedziała, że teraz Helen musi mieszkać ze mną. Helen zaczęła płakać, a Izzy rzuciła się w jej obronie.

W końcu Phoebe spojrzała mu w oczy.

— Izzy broniła Helen?

James przytaknął.

— Umie być lojalna. Przynajmniej w stosunku do młodszych sióstr.

- Spojrzał na Leyę i pogłaskał ją po ciemnej, spoconej główce. — Ale mnie znów nienawidzi.

Phoebe przyglądała się głowie lorda Farleya pochylonej nad Leyą. Też chciała go nienawidzić. Za to, że ją zmamił, że się nim zachwyciła, że pragnie go.

Za to, że dał jej minioną noc.

Zacisnęła zęby na to wspomnienie. Nie chciała myśleć o minionej nocy ani nie miała ochoty pocieszać go z powodu córki. To on jest sprawcą tego całego bałaganu, więc

niech sam go teraz posprząta.

Odwróciła się w milczeniu i zostawiła go w pokoju dziecięcym. Helen i Izzy mogą nienawidzić lorda Farleya, a ona chce go nienawidzić. Ale czy to ma sens? To, co zaszło pomiędzy nim a Louise, wydarzyło się dawno temu. Ona nie ma z tym nic wspólnego. Nic.

Phoebe nie umiała jednak zagłuszyć bólu logiką. Sama świadomość, że robił z Louise to samo, co robił z nią...

Zagryzła dolną wargę, odpychając od siebie niemądre emocje, tłumiąc je, by nigdy już się nad nimi nie zastanawiać. Lepiej by było dla niej, gdyby widziała tego mężczyznę takim, jaki jest, gdyby uświadomiła sobie, że nie znaczy dla niego więcej niż Louise, niż każda z wielu kobiet, które uwiódł. Pora skończyć z tą głupią, romantyczną wizją jaką sobie stworzyła na jego temat. Jej zarządca. Znowu pokręciła głową.

Prawda jest taka, że lord Farley bardzo dobrze zna się na tych sprawach, na żądzy.

Bardzo dobrze. Przykro to przyznać, ale matka miała więcej racji, niż Phoebe mogłaby przypuszczać. Zamiast złości, powinna czuć ulgę, powiedziała sobie Phoebe. Przynajmniej poznała prawdę

o Jamesie Lindfordzie, wicehrabim Farleyu, zanim omotał ją całkowicie. Mogła mu oddać swoją niewinność, ale nie oddała mu serca.

Teraz jej najważniejszym zadaniem było poświęcenie całej uwagi Helen. Nic więcej.

Phoebe zawsze wiedziała, że jej siostra nie jest dobrą matką. Teraz natomiast stało się jasne, że Helen obchodzi ją tylko ze względu na pieniądze, jakie może wydusić z jej

ojca. Myśl o tym, jak musi się czuć biedna Helen, rozwścieczyła Phoebe. Tak długo

idealizowała nieobecną matkę, a Phoebe nie starała się jej w tym przeszkodzić. Teraz wyszła na jaw ohydna prawda. Louise nie tylko pozbawiała Helen matki, do której

dziewczynka tęskniła, ale też kradła pieniądze, które miały służyć jej dziecku.

Zimna, niepowstrzymana furia owładnęła Phoebe. Jak można być tak samolubnym i okrutnym?

Była zdecydowana uzyskać odpowiedź. Kiedy tylko znajdzie obie dziewczynki i uspokoi je, rozmówi się z Louise. Przez zbyt wiele lat dusiła w sobie rozczarowanie, niesmak i gniew. Nie miała zamiaru tłumić ich dłużej.

Było zimno, a one nie traciły czasu na wzięcie peleryn. Bieg rozgrzał Izzy i Helen.

— No chodźże — zawołała Izzy, kiedy Helen zaczęła zostawać z tyłu.

— Już nie mogę biec. Jestem za bardzo zmęczona.

— No to co. Ja też jestem zmęczona. Chodź — chwyciła Helen za rękę, ciągnąc ją za sobą.

— Ale w boku mnie boli -jęczała Helen. - Muszę odpocząć.

Izzy, zniesmaczona Helen, wściekła na cały świat, zatrzymała się i przewróciła oczami.

— Co za dzidzius z ciebie.

— Nieprawda.

— Ja to robię dla ciebie, a ty nie chcesz współpracować.

— O co ci chodzi? A w ogóle dokąd my idziemy?

Izzy wzięła się pod boki. Wspięły się na smagane wiatrem wzgórze i znajdowały się poza zasięgiem wzroku wielkiego domu, patrzącego oczami licznych okien. Nadal jednak każdy mógł je zobaczyć na otwartej przestrzeni.

— Uciekamy stąd, aż dostaniemy to, czego chcemy.

Helen zamrugała mokrymi rzęsami i otarła nos rękawem.

— A czego my chcemy?

Izzy otworzyła buzię i zamknęła. Czego ona chce? Po chwili powiedziała:

— Ja chcę, żeby ludzie przestali ciągle mną dyrygować. Każdy mówi mi, co mam robić, gdzie mieszkać. Ty tego nie chcesz? Helen pokręciła głową.

— Ja chcę tylko mieszkać z Phoebe na Śliwkowym Wzgórzu.

Izzy przygryzła dolną wargę.

— Ja też. I musimy zabrać ze sobą Leyę. W każdym razie, jak już wyzdrowieje. Przez moment dziewczynki patrzyły na siebie.

- Naprawdę jesteśmy siostrami? — spytała Helen cichym, nieśmiałym głosem.

Izzy przyjrzała się jej. Helen nie przetrwałaby dziesięciu minut w Seven Dials. Ale...

Wzruszyła ramionami.

— Myślę, że jesteśmy. To znaczy, jeśli on jest twoim ojcem i moim ojcem... -

przerwała. -Twoja matka to dziwka, wiesz. Powinnaś się cieszyć, że nigdy nie musiałaś z nią mieszkać.

Helen pociągnęła nosem.

- Ja chciałam mieszkać z nią w Londynie. Ale teraz cieszę się, że zawsze mieszkałam z ciocią Phoebe tutaj. Ty masz jakieś ciocie?

— Nie. To znaczy tak — poprawiła się Izzy. — Mój ojciec, nasz ojciec, ma dwie siostry. Tak przynajmniej mówi. Więc one są moimi ciotkami i twoimi też.

Odruchowo Izzy chwyciła Helen za rękę. Tym razem nie po to, żeby ją ciągnąć.

Uśmiechnęła się zawstydzona trochę.

— Jesteśmy siostrami wszystkie trzy. To znaczy, że musimy się troszczyć o siebie nawzajem. Dobrze? Helen odpowiedziała uśmiechem i ścisnęła jej dłoń.

— Dobrze.

- No to chodź. Idziemy.

Ruszyły w stronę lasu, ale zatrzymały się, słysząc piskliwe szczekanie.

— Bruno! - krzyknęła Helen, kiedy dzielny szczeniak zawzięcie wspinał się na wzgórze. - Pobiegnij za nami.

— Zapomniałam ci powiedzieć, że ktoś, kto poszedł wydoić kozy wczoraj

wieczorem, przyniósł go do Farley Park - powiedziała Izzy, biorąc pieska na rękę bez sprzeciwu ze strony Helen. Potem razem zbiegły ze wzgórza, które dopiero zaczynało się zielenić.

- Mam sekretną kryjówkę — oznajmiła Izzy. — Możemy tam pójść.

- Dobrze. Albo możemy pójść na Śliwkowe Wzgórze - zaproponowała Helen, szczękając zębami. - Tam jest kominek i kuchnia, i drewno. I jedzenie. Jestem głodna. Ty nie?

- Dobry pomysł - powiedziała Izzy, zmieniając kierunek. Uśmiechnęła się do Helen z aprobatą. - Dobry pomysł, siostrzyczko.

- Jak mogłaś?

Po gorączkowych poszukiwaniach w domu i wokół domu, nie znalazłszy żadnej z dziewczynek, Phoebe wróciła, żeby poszukać z kolei swojej godnej pogardy siostry. Natknęła się na nią w drugim salonie, wielkim pokoju ogrzanym buzującym w kominku ogniem. Żaden ogień nie był w stanie stopić lodowatej wściekłości w sercu Phoebe.

Louise spojrzała na nią z uśmiechem ze swojego wygodnego miejsca na obitym złotym adamaszkiem szezlongu. Miała czelność czuć się jak w domu w eleganckim salonie, jakby zasłużyła sobie na to, żeby podawać jej herbatę i biszkopty, przynosić poduszki i pledy, być obsługiwana przez kamerdynera i pokojówkę. Piękna istota, która żyje po to tylko, by ją wielbić i podziwiać.

Ale Phoebe nie miała zamiaru tego czynić. Dla niej była to osoba zła i amoralna,

którą wstydziała się nazwać siostrą. Wobec gniewu Phoebe uśmiech Louise zbladł.

- Jak mogłam co? Przyjechać do domu po śmierci mojej biednej, starej matki?

Odwiedzić moją własną córkę? Szukać mojej siostry tutaj, skoro nie mogłam jej znaleźć na Śliwkowym Wzgórzu?

- Nie próbuj udawać, że nie wiesz, o co mi chodzi. - Phoebe wkroczyła do pokoju, patrząc gniewnie na Louise. — Słyszałam, co mówiłaś. Przyjechałaś tylko dlatego, że lord Farley kazał cię szukać. Chcę wiedzieć, jak mogłaś okradać rodzone dziecko?

Jak mogłaś?

Twarz Louise stężała w wyrazie uporu.

- To były też moje pieniądze. To ja musiałam z nią chodzić w ciąży, utyc i zbrzydnąć.

Moja figura nigdy już nie była taka smukła jak przedtem. Nigdy! Zrozumiesz, o co mi chodzi, jeśli kiedykolwiek będziesz mieć własne dziecko.

Phoebe wbiła paznokcie we wnętrze dłoni. To był jedyny sposób, żeby powstrzymać się przed uderzeniem Louise w twarz. Czy naprawdę można być tak skoncentrowanym na sobie i nieczułym? Czy taka może być matka?

— Ty urodziłaś Helen, ale to ja ją wychowałam. To ja widziałam, jak tęskni za swoją prawdziwą matką. Za tobą. A ty w tym czasie zabawiałaś się, a co gorsza, pozbawiałaś ją wsparcia, o którym jej ojciec myślał, że jej zapewnia.

Louise zerwała się na nogi.

— To wcale nie było tak znowu dużo! Czy ty masz pojęcie, ile kosztuje życie w mieście? - Obciągnęła koronkowe mankiety modnej sukni. — Nie. Oczywiście, że nie masz pojęcia. Ponieważ ty całe życie mieszkałaś w tej głupiej chacie ze swoimi głupimi kozami i tym głupim ogrodem. Tymczasem ja musiałam harować jak wół, żeby tylko zachować pozory bogactwa.

— Tak. Widzę, jak się nacierpiałaś. Czy to brabancka koronka? — Phoebe trąciła

kosztowną kryzę pod szyją Louise. - A ta suknia. To francuski czy włoski jedwab?

Zielone oczy Louise stały się wąskimi szparkami.

— Nie jesteś w stanie zrozumieć, czego to wymaga, żeby związać koniec z końcem w Londynie.

— Nie? Może dlatego, że tak ciężko pracowałam, żeby związać koniec z końcem w Yorkshire. Może dlatego, że ciągle przerabiałam swoje stare sukienki na potrzeby rosnącego dziecka. Och, i po co ja to mówię?

Phoebe rozłożyła ręce i się odwróciła. Louise zawsze była próżna i samolubna — i chciwa. Tylko że Phoebe nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo. Nigdy się nie zmieni, tak jak nie można odmienić przeszłości. Ale przyszłość... Stanęła twarzą w twarz z Louise.

— No więc, jak przypuszczam, jesteś tu po to, żeby oddać mu Helen. Ile ci za nią zapłaci? Louise wysunęła do przodu szczękę.

— On jest jej ojcem, wiesz. Nie musi nic płacić za przejęcie opieki nad nią, bo jest wicehrabią i w ogóle. Każdy sąd w kraju mu ją przyzna. Naprawdę, nie mam wyboru...

Phoebe przerwała jej, unosząc rękę.

— Ile?

Louise uśmiechnęła się do niej bezczelnie.

- Już dobrze, dobrze. Daje mi dużo. Tyle ci powiem. Dużo. - Poprawiła kunsztowną fryzurę. - Szczerze, Phoebe. Nie wiem, czym się tak denerwujesz. Rozejrzyj się. —

Zatoczyła krąg ręką. — Dziewczynka będzie teraz dorastać w luksusie. Matka byłaby taka zadowolona. - Po czym: — Biedna matka. Byłam absolutnie zdruzgotana, kiedy dostałam twój list. Zamierzasz sprzedać chatę?

- Dobry Boże - wykrzyknęła Phoebe, przerażona bezmiarem chciwości siostry. -

Najpierw okradasz własne dziecko, potem sprzedajesz je w zupełnie obce jej miejsce.

A teraz chcesz sprzedać nasz dom rodzinny, nie oglądając się na mnie? No więc moja odpowiedź brzmi: nie. Nie sprzedaję Śliwkowego Wzgórza.

- Połowa jest moja, wiesz.

- Nie sprzedaję!

Louise przewróciła oczami.

- Och, doskonale. Nie musisz krzyczeć. I ja nie sprzedalam dziewczynki. Lord Farley jest po prostu hojny. Phoebe prychnęła pogardliwie.

- Owszem. Hojny.

Louise wygładziła nieistniejącą zmarszczkę na staniku.

- Jeśli tak go nie lubisz, to dlaczego tu jesteś?

U Phoebe natychmiast poczucie winy zaczęło rywalizować z furią.

- Potrzebował pomocy przy dzieciach, więc zaproponował mi posadę guwernantki. Louise zmrużyła oczy z chytrym wyrazem twarzy.

- Jesteś pewna, że to wszystko, czego on chce, siostrzyczko? - Zaśmiała się. — Jesteś taka naiwna. Wiem, że jesteś na mnie zła, ale przyjmij radę od tej, która coś wie o

życiu. Są pewni mężczyźni, którym po prostu nie można się oprzeć. Kiedy taki

spojrzy na kobietę, ona nie jest w stanie zrobić nic, żeby mu się oprzeć, i wicehrabia Farley zalicza się właśnie do takich mężczyzn. - Zaczęła obchodzić Phoebe,

oceniając ją wzrokiem. - Gdyby nabrał smaku na wiejską prostotę, obawiam się, że mogłabyś być w poważnym niebezpieczeństwie.

Każde słowo trafiało w Phoebe jak cios, jak uderzenie młotka wbijającego gwóźdź do

trumny, potwierdzając straszną prawdę, której chciałyby zaprzeczyć. Przełknęła ślinę przez ściśnięte gardło. Na szczęście Louise znajdowała się akurat za nią i nie mogła

-widzieć jej twarzy.

- Zapewniam cię - zaczęła z zaciśniętymi zębami - że nie mogła

bym zaakceptować takiego rozpustnika jak lord Farley. Louise się roześmiała. \.

- Tak mówisz.

- Tak myślę.

I rzeczywiście tak było. W tej chwili Phoebe nienawidziła Jamesa Lindforda. Był płytkim, samolubnym manipulantem. Do pary z jej siostrą.

- No to świetnie - stwierdziła Louise.—Ale nie ma powodu, żebyś nie miała czerpać korzyści z jego sytuacji, Phoebe. Jeśli chce, żebyś była guwernantką jego coraz liczniejszego potomstwa, niech ci płaci. Teraz, kiedy troje dzieci wymaga opieki,

musisz poprosić o wyższą zapłatę niż ta, którą ci zaproponował. I się zastanów. Jeżeli się ożeni, na pewno będzie miał jeszcze więcej bachorów. — Zachichotała do-myślnie. -Te n mężczyzna jest bardzo dobry w robieniu dzieci. Istny dzieciorób.

Oczywiście było straszne zamieszanie w mieście z tą jego narzeczoną. Słyszałaś o tym?

Odrętwiała po wszystkim, co się wydarzyło, Phoebe ledwo zdołała odpowiedzieć:

- Tak, słyszałam.

Od poczucia winy przez gniew do przygnębienia i z powrotem do gniewu - uczucia miotały nią jak rozszalałe morze wyładowujące złość na kruchej makreli. Ostatni przyływ poczucia winy pograżył ją, obracając gniew w wyczerpanie i rezygnację. Zgarbiła się i kręcąc głową, odwróciła się, żeby odejść. Musiała odnaleźć Helen i Izzy. Skoro nie znalazła ich w Farley Park, musiały uciec do lasu.

- Dokąd idziesz? - chciała wiedzieć Louise.

- Znaleźć Helen.

- Nie jesteś już za nią odpowiedzialna, Phoebe. Jej ojciec ma do tego służących. Oni ją znajdą.

Taka całkowita niezdolność do zrozumienia miłości rodzicielskiej nie wymagała

odpowiedzi. Jak nieszczęsne stworzenie wydające ostatnie tchnienie, tak umarła w

Phoebe resztką uczucia do siostry.

-Raczej powinnaś być wdzięczna, że ktoś inny będzie się o nią troszczył - mówiła

dalej Louise, wychodząc za Phoebe do holu. -Teraz, kiedy nie musisz już opiekować

się nią od świtu do nocy, możesz poświęcić więcej czasu sama sobie. Zadbaj o siebie, może nawet
znajdź sobie kawalera. Wciąż jesteś wystarczająco młoda, żeby złapać

męża, wiesz. Mogłabyś wyjść za mąż i mieć własne dzieci.

Phoebe tylko pokręciła głową.

- No już. Nie złość się na mnie, Phoebe. Pozwól, żebym ci pomogła. Mogę pokazać

ci, jak układać włosy. Nie jesteś wcale taka brzydka, wiesz. Kilka sztuczek z węglem i karminem.
Trochę pudru, żeby skóra była bielsza. Przecież mogę zrobić z ciebie

piękność.

Phoebe chciała jedynie uciec - od Louise, od tego domu, od tego koszmaru, w który

się wplątała. Wte m kątem oka dostrzegła ruch. U szczytu schodów przystanął lord

Farley — ojciec Helen, sprawca jej bólu i rozczarowania.

Tłumiąc nagły przypływ niechcianych emocji, odwróciła się do Louise, która

patrzyła na nią wyczekująco.

- Nie chcę wyglądać piękniejak to nazywaszjeśli miałoby to przyciągać ten

podrzędny gatunek mężczyzn, z jakimi ty się zabawiasz. Wiesz, takich, co to robią

kobiecie dziecko i porzucają ją.

Odeszła, przeklinając ich oboje za egoizm beztroskiego postępowania, a jej zimne

słowa zawisły w powietrzu.

Tylko jedno z nich poczuło ciężar tego oskarżenia. Tylko jedno z nich poczuło winę i wstyd.

I tylko jedno z nich zdało sobie sprawę, że wraz ze znalezieniem | zaginionego

dziecka może przepaść nadzieja na sklejenie kruchej, I malej rodziny.

James zapłacił Louise, żeby wyjechała jak najprędzej.

Dał jej pięćdziesiąt funtów na podróż oraz list do przedstawiciela prowadzącego jego interesy w Londynie z dyspozycją przelewu znacznej sumy na konto Louise, kiedy

tylko podpisze ona oficjalne zrzeczenie się praw rodzicielskich do Helen na jego rzecz. Na osłode i dla przyspieszenia wyjazdu oddał do jej dyspozycji powóz podróżny ze stangretem i lokajem, aby odwiózł ją do Londynu. Wszystko, byle tylko pozbyć się jej z Farley Park i odsunąć od Phoebe i Helen.

Kiedy jednak ciężki powóz wytoczył się z podjazdu, a stangret dostał wyraźną instrukcję, że ma ominąć z daleka Swansford i Śliwkowe Wzgórze, James nie poczuł ulgi. Stał w oknie, śledząc niewidzącym wzrokiem oddalający się powóz i dumiał nad swoją ponurą sytuacją. Problem w tym, że dotychczas oszukiwał się nieistotnymi szczegółami, teraz zaś przyszła pora, żeby spojrzeć prawdzie w oczy.

Owszem, chciał, żeby Louise LaFleur - niegdyś Louise Churchill

- znalazła się jak najdalej od niego i jego rodziny. Na sam widok tej kobiety robiło mu się niedobrze. Ale to nie ona tu zawiniła. To on sam. Louise była płytka i

samolubna, ale stanowiła zaledwie słabe odbicie tego, kim był on dotychczas.

Zuchwały. Pewny siebie. Lekkomysłny. Szedł przez życie, nie dbając o to, jakie szkody zostawia za sobą.

Pieniądze rozwiązywały wszystkie problemy. Taka była podstawa jego filozofii życiowej. I wyglądało na to, że nadal jest. Tak jak Louise, która polegała na swoich 'wdziękach, żeby uzyskać to, czego chce, on polegał na swoim tytule i pieniądzach.

Jeśli nie podobają ci się tarapaty, w jakie popadłeś, szastaj pieniędzmi, a problem zniknie.

Prawda jest taka, że są siebie warci, żalodne egzemplarze rodzaju ludzkiego w

najgorszym wydaniu. Z zewnątrz wyglądają wspaniale. Ale wewnątrz, kiedy chodzi o to, co się naprawdę liczy, są do cna przeżarci zgnilizną.

Wspólnym wysiłkiem udało im się zdruzgotać dwie osoby, które nie zasłużyły sobie na to, by sprawić im ból. Za oknem wał niskich chmur sunął po przedwieczornym niebie. Jaki paskudny dzień. Boże, czy wiosna nigdy nie nadejdzie?

Pokręcił szyją, zatoczył kilka kręgów ramionami, starając się rozluźnić napięte mięśnie. W końcu odwrócił się od okna i ze zwieszoną głową powlókł się na górę. Na szczęście Leya zasnęła. Pośród tego całego chaosu ona jedna jakimś cudem miała dobry dzień. Ale gdzie się podziała Izzy? A Helen?

Popatrzył na śpiące dziecko, najmłodsze z całej trójki. Po raz pierwszy tego dnia dopuścił do siebie myśl o średniej córce. Helen. Ta nieśmiała dziewczyneczka, taka niezwykła i delikatna, jest jego. Trzecia z jego córek, ta, której poszukiwał.

Miła była świadomość, że przynajmniej ona otrzymała dobre wychowanie, że przez te wszystkie lata była bezpieczna i kochana. Stracił pierwsze siedem lat jej życia.

Jakim strasznym był głupcem. Powinien był chociaż odwiedzać swoje dzieci, zadać sobie trud poznania ich wcześniej. Mógł uchronić Izzy przed podłym życiem, do jakiego była zmuszona. Mógł dać każdej z nich chociaż obraz ojca, którego mogłyby zachować w pamięci, pokazać im twarz człowieka, któremu na nich zależy.

Zamiast tego płacił ich matkom, udając, że spełnia obowiązek wobec dzieci, kiedy w rzeczywistości nic go one nie obchodziły. Cóż w tym dziwnego, że go nienawidzą?

Pogłaskał delikatny dziecięcy policzek Lei i uśmiechnął się, kiedy usteczka jak różany pączek zaczęły odruchowo poruszać się tak, jakby ssały. Przynajmniej opamiętał się w porę w przypadku Lei. Sprawia, że zawsze będzie wiedziała, że ojciec ją kocha.

A co do dwóch pozostałych... Spojrzał za okno na ponure niebo. Ma być dla nich ojcem, jest im to winien. Lepiej zacząć późno niż całkiem je zaniedbać. Ale przede wszystkim musi je znaleźć.

Dym z komina chaty porywał wiatr i gnał go na zachód. Spiesząca przez rozmokłe pole Phoebe odetchnęła. Są tu. Po raz pierwszy tego dnia poczuła się dobrze.

Kiedy wpadła do kuchni, w nozdrza uderzył ją swąd spalenizny. Najwyraźniej przypaliło im się jedzenie, które przygotowywały. Zbyt była uradowana, widząc ich zaskoczone miny, żeby się tym przejmować.

— Tak się martwiłam! - Padła na kolana pomiędzy ich krzesłami i uściskała obie. —

Nie wolno wam już nigdy tak mnie przestraszyć. Słyszycie?

Spojrzała surowo na Helen, potem na Izzy. Zaraz jednak zniweczyła cały efekt, znów je ściskając tak mocno, że Helen aż pisnęła.

— Przepraszam.

— Ja tam nie wrócę - zapowiedziała Izzy uwalniając się z uścisku Phoebe. - Nie możesz mnie zmusić.

— Ani mnie.

Izzy wzięła twardego, przypalonego biszkopta i posmarowała masłem. Helen zrobiła to samo.

— Wolę mieszkać tutaj — mówiła dalej Izzy. - Pozwolisz mi, prawda?

— Powiedz, że tak — prosiła Helen. - Ona jest moją siostrą, wiesz. Izzy znieruchomiała z biszkoptem w pół drogi do buzi.

— Aleja tu nie zostanę, jeśli ta suka przyjdzie tu mieszkać.

— Izzy!

Dziewczynka przewróciła oczami.

— No dobrze. Nie zostanę, jeśli ta... kobieta postanowi też tu zamieszkać. Jeśli ona przyjdzie na Śliwkowe Wzgórze, ucieknę i tym razem nikt mnie nie znajdzie. Nigdy.

— Ja też - zawtórowała jej Helen, chociaż odrobinę mniej pewnie niż Izzy

Pomimo całkowitej powagi ich grózb Phoebe uśmiechnęła się skrycie. Pośród dramatycznych wydarzeń tego okropnego dnia umknął jej uwadze fakt, który teraz uświadomiła sobie z całą wyrazistością.

Helen i Izzy są siostrami. Leya też. Na szczęście wyglądało na to, że ta zdumiewająca nowina zbliżyła dziewczynki do siebie.

Patrzyła, jak harda Izzy uśmiecha się do wrażliwej Helen, a Helen odpowiada jej uśmiechem. Tak jak przedtem Izzy okazała się opiekuńcza w stosunku do Lei, tak teraz zaakceptowała nową siostrę przyrodnią i przyjęła ją do swojej dziwnej, małej rodziny. Podobnie Helen zdawała się zapatrzona w starszą siostrę.

Stawały się rodziną. Brakowało tylko ojca i ich matek.

W tej chwili jednak Phoebe nie miała ochoty myśleć o podłych dorosłych, których dziełem był cały ten straszny zamęt. Dziewczynki są tutaj, bezpieczne. Lord Farley będzie się opiekował Leyą. Teraz chciała tylko usiąść i odpocząć. ,

— Izzy śpi ze mną w moim pokoju - zapowiedziała Helen.

Phoebe zdjęła buty i pelerynę.

- Dobrze.

Zasnęły na długo przed zmrokiem. Helen czytała Izzy bajkę przed kominkiem — zrzędzenie losu, o jakim Phoebe marzyła - i w trakcie czytania zapadły w drzemkę na dywaniku z zadowolonym Brunonem zwiniętym w kłębek między nimi.

Stojąc w drzwiach pomiędzy kuchnią a bawialnią, Phoebe zastanawiała się, czy ją i Louise kiedykolwiek łączyła tak mocna siostrzana więź. Nie przypominała sobie, żeby były sobie tak bliskie, jak bliskie w krótkim czasie stały się Izzy i Helen.

W piersi czuła bolesną wyrwę, ziejącą jak straszliwa otchłań bez dna. Są tu teraz,

dwoje niewinnych dzieci, których los zależy od kaprysów niestałych rodziców.

Niestety, nie będąc matką żadnej z nich, Phoebe nie miała tu nic do powiedzenia. Nie do niej należała decyzja, jak długo pozostaną pod jej dachem. W końcu Louise lub

lord Farley zjawią się po nie, a ona będzie musiała się z tym pogodzić.

Zdawać by się mogło, że tą myślą wywołała gościa, bowiem hałas na podwórku

oznajmił czyjeś przybycie. Bruno uniósł łeb, ale rozleniwiony zamachał tylko

ogonem, westchnął, przekręcił się na drugi bok i spał dalej. Zbierając się w sobie,

Phoebe odpięła fartuch i przy

gładziła włosy. Jeśli to jej nikczemna siostra, nie wpuści jej za próg. Jeszcze czego. \

Ale to był lord Farley...

— Są tutaj? - spytał, nie zsiadając z konia, kiedy otworzyła drzwi. Phoebe spojrzała na niego i skinęła głową. Gardło miała zbyt ściś

nięte, żeby się odezwać. Wpatrywał się w nią. Koń paraskał i grzebał kopytami.

— Czy mogę wejść?

— One drzemią.

— Będę cicho.

Miała ochotę go odprawić, ale to były jego dzieci. Obie. Palce Phoebe zacisnęły się na framudze drzwi.

— Zatem proszę.

Nie patrzyła, jak zsiada z konia i oporządza go. Ale nawet w ciepłe przytulnej,

znajomej kuchni jego obraz na koniu stał jej przed oczami. Wyglądał na zmęczonego.

Był też chyba trochę skruszony. Przycisnęła dłoń do brzucha, w którym czuła

zaciśnięty węzeł. On nie jest złym ojcem, napomniała siebie. Naprawdę nie jest. I

stara się być jeszcze lepszy. To tylko mężczyzna, który ciągle wiązał się z nie-

odpowiednimi kobietami.

Na tę myśl brzuch rozbolał ją jeszcze bardziej. Już wystarczająco przykra była świadomość jego bogatego doświadczenia z kobietami. A jeszcze kiedy jedna z nich przybrała realny kształt i okazała się jej siostrą... Phoebe zadrżała ogarnięta sprzecznymi uczuciami.

Chciała go nienawidzić i do tej pory udawało jej się to. Ale kiedy go ujrzała, kiedy zobaczyła, że jego troska o dzieci jest szczerą -jej nienawiść zbladła, osłabła i zaczęła mijać.

Tyle tylko, że nie mogła na to pozwolić.

Kiedy drzwi frontowe otwarły się, zajęła się sypaniem herbaty do zaparzaczk i

nalewaniem wrzątku do dzbanka. Słyszała, że zdejmuje okrycie, kapelusz i

rękawiczki, że zagląda do bawialni. Bruno zaskomlał na powitanie, ale żadne z dzieci się nie odezwało. Zbliżał się do stołu, a odgłos każdego kroku był złowieszczym

sygnałem, że przyszła pora stanąć z nim twarzą w twarz. .. >

— Louise odjechała — zaczął.

Dzięki Bogu. Jednak nawet ta dobra wiadomość nie była w stanie poprawić nastroju

Phoebe. Postawiła herbatę na stole.

— Jak ci się to udało?

Oczy miał pociemniałe, niezdradzające emocji. Wzruszył ramionami.

— Dałem jej to, po co przyjechała: pieniądze. Potem wyprawilem ją

do Londynu z fasonem. Phoebe zmarszczyła brwi.

— Z fasonem? A, jednym z twoich powozów.

— Tym dużym.

Phoebe zajrzała do dzbanka i poruszyła zaparzaczką.

— Jestem pewna, że ją to niezmiernie uradowało. Choć możesz już nigdy nie

zobaczyć ani powozu, ani stangreta.

— Nawet jeśli, to i tak uważam, że lepiej na tym wyszedłem.

Stali po przeciwnych stronach staroświeckiego stołu z solidnego angielskiego dębu.

Dzieliło ich jednak coś więcej niż tylko stary drewniany blat. Przepaść między nimi tworzyło społeczeństwo, obyczaj, a teraz jeszcze Louise.

Nadal łączyła ich Helen - Helen i ten nieszczęsny pociąg fizyczny. Phoebe wiedziała, że wbrew wzburzonym emocjom, musi mówić otwarcie.

— To, co się wydarzyło... — Oblała się piekącym rumieńcem i pokręciła głową, nie poddając się jego spojrzeniu. -T o nigdy nie może się powtórzyć.

Poczekwała, a kiedy nie odpowiadał, głośno odsunęła krzesło i usiadła.

— A teraz, kiedy już to uzgodniliśmy, przypuszczam, że przyjechałeś, żeby odebrać mi Helen. Usłyszała, jak westchnął i też usiadł.

— Helen ciebie potrzebuje, Phoebe. Izzy też. Nie jestem takim głupcem, żeby myśleć, że jest inaczej. Przyjechałem tu, żeby upewnić się, że mają się dobrze. I że ty masz się dobrze.

— Ja sobie poradzę. - Podniosła na niego wzrok. — Nie musiałeś tracić czasu na martwienie się o mnie, lordzie Farley. Radziłam sobie

bardzo dobrze przez wszystkie te lata i będę radzić sobie dalej, chyba że zamierzasz zabrać Helen do Londynu czy w jakieś inne równie odległe miejsce.

— Nie. Nie zrobię tego. W którymś momencie, oczywiście, będzie musiała pójść do dobrej pensji.

— Tak. Ja też tego dla niej chcę.

— Tymczasem chciałbym, żebyś była guwernantką ich wszystkich.

— Tutaj, na Śliwkowym Wzgórzu. Nie w Farley Park.

Nie była w sytuacji, w której mogłaby stawiać żądania, ale wiedziała, że nie może tam wrócić, do miejsca swojej kapitulacji wobec niego. Wiedziała też, że układ sił zmienił się tego dnia. On trzymał w ręku wszystkie karty i z pewnością zdawał sobie

z tego sprawę. On mógłby ostatecznie zatrudnić inną guwernantkę, podczas gdy jej nikt nie zastąpi ukochanej Helen.

Powoli pokiwał głową.

— Tak. Na razie najlepszym wyjściem byłoby, gdybyś uczyła je tutaj

- przerwał. — Bardzo są na mnie złe? Zaśmiała się niewesoło.

— Izzy zarzeka się, że nigdy nie wróci do Farley Park. A Helen zgadza się ze wszystkim, co powie Izzy.

— Rozumiem. Pomożesz mi odzyskać ich zaufanie? - Jego długie palce niespokojnie obracały filiżankę na spodku. - Czy zamierzasz je utwierdzać w ich buncie?

— Od ciebie zależy, czy zasłużysz sobie na ich zaufanie.

Jego dłonie z filiżanką znieruchomiały, nie spuszczał z niej wzroku.

— Myślisz, że mogę?

Phoebe nie spieszyła się z odpowiedzią.

— To tylko małe dzieci. Z czasem tak, wierzę, że możesz zdobyć ich zaufanie. Jeśli nie zrobisz niczego głupiego. Zaległa między nimi cisza. Potem on przerwał milczenie:

— Czy mogę odzyskać twoje zaufanie?

Pokręciła głową.

— Nie.

Nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwał. Ale i Phoebe nie była pewna, czy była to odpowiedź, co do której prawdziwości była przekonana.

- Nie?

Stawiła opór zwodniczym emocjom kłębiącym się jej w piersi. Tylko najgłupsza z kobiet mogłaby kiedykolwiek zaufać temu mężczyźnie.

- Ufam, że robisz, co możesz, dla swoich córek. Już okazałeś więcej troski o nie niż większość mężczyzn na twoim miejscu. Jego wargi poruszyły się w półuśmiechu.

- Ale ty mi nie ufasz.

- Czemu miałabym? — Spojrzała na niego wyzywająco.

- A gdybym powiedział, że chcę zmienić swoje dotychczasowe życie? Staram się stworzyć dobry dom dla moich dziewczynek. Czy to się nie liczy?

Phoebe z wysiłkiem przełknęła ślinę. Nie, jeśli uwodzisz pomoc, którą zatrudniasz.

Ale nie była gotowa na tego rodzaju dyskusję.

- Jeżeli twoja lady Catherine ci nie ufa, dlaczego ja miałabym?

Zmrużył oczy. Strzał był celny. Nie poczuła się od tego lepiej, ale zdobywała przewagę.

- Powiedz, kiedy twoje córki dorosną, jakich mężczyzn życzyłbyś sobie dla nich? Z irytacją ściągnął brwi.

- To nie w porządku, Phoebe. Sama powiedziałaś, że to tylko małe dzieci.

- Już niedługo. Za kilka lat młodzi mężczyźni zaczną się kręcić wokół Izzy. Niedługo potem wokół Helen. Zaakceptujesz mężczyzn takich jak ty?

Pochylił się do przodu z łokciami na stole.

- Wszyscy mężczyźni są tacy jak ja, Phoebe. Wszyscy.

- Nie są.

- Owszem, są.

- Może w Londynie. Ale nie tutaj.

- Wszędzie.

— Gdyby to miała być prawda, straciłabym moje... - przerwała zmieszana, zażenowana. Zagniewana. — Nie wszyscy są tacy jak ty.

— Wierz mi, że są. Różnica jest w kobietach. Niektóre mówią „tak”

łatwiej niż inne. Jej twarz spurpurowiała.

— Chcesz powiedzieć, że jestem łatwa?

— Ależ nie. Wcale nie.

— Kiedy to właśnie mówisz. Wystarczyły zaledwie dwa tygodnie.

— Drżąc, odsunęła się od stołu. — Nic z tego nie będzie. Myślę, że lepiej będzie, jak już sobie pójdiesz.

Stała z wyzywająco uniesioną brodą, zaciskając drżące dłonie na fałdach spódnicy.

Jeśli on zaraz nie wyjdzie, bała się, że wybuchnie łzami, robiąc z siebie zupełną idiotkę.

Powoli podniósł się także.

— Pójdę. Ale mylisz się, Phoebe. To się uda. Moje dziewczynki ciebie potrzebują. I myślę, że ty ich też potrzebujesz.

Coś wewnątrz niej zaczęło drzeć na nowo. Była tak roztrzęsiona, że obawiała się, iż kolana ugną się pod nią. Nie mogła dopuścić, żeby to wyczuł. Zdobyła się na chłodny, wyniosły ton:

— Może ty również ich potrzebujesz, inaczej nie poszukiwałbyś ich z taką determinacją. Wygląda więc na to, że mamy wspólną słabość, lordzie Farley. Ty możesz posiadać prawną władzę nad tymi dziewczynkami — dodała. -Ale to mnie one kochają.

Okrutne słowa i celne. Dostrzegła ból w jego oczach. Trzeba jednak przyznać, że tylko skinął głową, wpatrując się w nią badawczo i spokojnie.

— Wierz mi lub nie, ale nie przyjechałem tu, żeby się z tobą spierać, Phoebe. Ani cię obrażać.

— Doskonale. Przyjechałeś szukać dzieci i znalazłeś. Widzisz, że są bezpieczne, więc teraz możesz odejść.

— Miałem nadzieję porozmawiać z nimi.

— One śpią. Poza tym jest za wcześnie. Potrzebują czasu, żeby prze
trawić to, co się stało. Wszyscy potrzebujemy. Mówiła jak jędza, srogim i
oskarżycielskim tonem. Zmrużył oczy.

- Dobrze. Ale wrócę jutro. Rano.

- Zgoda. - Skrzyżowała ramiona, chcąc, żeby wyszedł, chcąc, żeby cały ten zamęt nie
do zniesienia minął. Tyle tylko, że on nie minie. Helen jest teraz jego, a nie jej. Tak naprawdę nigdy
nie była jej, ale przynajmniej nikt inny nie rościł sobie do niej praw.

Niestety, teraz zjawił się ktoś taki.

Phoebe chciała go niecierpieć, ale nie potrafiła. Ten mężczyzna odbierał jej Helen i ten mężczyzna
przywłaszczył sobie jej niewinność, dwie najcenniejsze części jej

życia. Zarazem jednak ten sam mężczyzna dał jej na mgnienie oka coś, o czym nie wiedziała, że istnieje. Absolutną radość. Chwilową, ale absolutną.

Jej drżenie nasiliło się, musiała zacisnąć zęby w obawie, że jeśli się odezwie, głos zdradzi wszystko.

- Powiesz im chociaż, że ich tu szukałem? - spytał. - Że troszcę i się o ich bezpieczeństwo... i ich szczęście?

Twarc miał jak zwykle surową i niewyrażającą uczuć. Ale jego oczy - jego oczy ożywione były emocjami. Och Boże, nigdy nie będzie w stanie nienawidzić tego mężczyzny, który tak bardzo kocha swojej dzieci.

Sztywno skinęła głową. Na tyle tylko umiała się zdobyć.

Poszedł więc, wzięwszy pelerynę i kapelusz, i tylko w drodze do drzwi przystanął, żeby spojrzeć na wyczerpane córki. Zamknął drzwi cicho, nie chcąc ich budzić.

Równie dobrze mógłby nimi trzasnąć, tak silne wrażenie wywarło na Phoebe jego odejście.

Co ona teraz zrobi? Jak ma przeżyć następne dziesięć lat i dłużej, opiekując się dziećmi Jamesa Lindforda, a nie zważając na niego?

Siedziała przez dłuższą chwilę, dopóki mokry nos nie szturchnął jej w dłoń. Bruno zaskomlił i podszedł do drzwi. Phoebe podniosła się j automatycznie, żeby go wypuścić.

- Grzeczny piesek - mruknęła, widząc, jak wyskoczył w chłodny; zmierzch.

Wtem za niskim, kamiennym murkiem oddzielającym podwórze od drogi dostrzegła w gęstniejącym mroku wysoką, ciemną sylwetkę mężczyzny prowadzącego konia.

Serce w niej zamarło. Wciąż tu był.

Myślała, że do tej pory już odszedł, ale on zwlekał. Bruno zawęszył, czując zapach, i zaszczekał, a na dźwięk szczenięcego szczekania lord Farley spojrział w tę stronę. Jak podmuch słonego wiatru od morza uderzyła Phoebe siła jego spojrzenia.

Przystanął, po czym podniósł rękę na pożegnanie. Nie mogąc się oprzeć, odpowiedziała mu takim samym gestem. Czym prędzej jednak opuściła dłoń i skryła się w zaciszu ciepłego, znajomego domu, ale zamykając drzwi, nie potrafiła pozostawić na zewnątrz jego obrazu. Nie mogła odgrodzić się od niego bardziej niż od chłodu zbliżającej się nocy. Trochę tego chłodu dostało się z nią do środka i trzeba czasu, by wyparło go ciepło jej kuchni.

Ale to minie, mówiła sobie. Jak wiosenny chłód zawsze ustępuje przed letnim upałem, a mgła rozwiewa się w gorących promieniach słońca, tak i jej niestosowne zainteresowanie niebezpiecznie pociągającym lordem Farleyem zniknie. Musi zniknąć.

Bowiem jeśli nie — jeśli jej perwersyjna fascynacja nim jest tym, czym obawia się, że jest - wieść będzie przeklęty żywot, kochając mężczyznę, którego nigdy nie może mieć i któremu z pewnością nigdy nie będzie mogła zaufać.

11

James przeszedł pięć kilometrów drogi powrotnej do Farley Park, prowadząc konia i nie zważając na chłód, mrok czy mgłę unoszącą się znad morza. Wszystko wymknęło się mu spod kontroli - dom, dzieci, uczucia. Nie miał ochoty znaleźć się znów w tym wielkim, pustym domu. Gdyby nie Leya, nie wróciłby tam wcale. Ale dokąd miałby pójść?

Upokarzające było przyznać, że choć nigdy przedtem na nikim mu nie zależało, teraz brakowało mu kogoś. Był zły, bezradny, a przede wszystkim samotny.

Samotność. Obce doznanie, które znienawidził, ale nie wiedział, jak mu zaradzić.

Przynajmniej była jedna osoba, która zawsze cieszyła się na jego widok, więc dotarwszy do Farley Park, udał się prosto do pokoju dziecięcego.

— Była trochę niespokojna — poinformowała go pokojówka siedząca przy dziecku. -

Chce drapać pęcherze. Za to gorączka spadła i mała dobrze je. Ten rodzaj ospy jest mniej groźny dla małych dzieci niż dla starszych.

To była dobra wiadomość. Jednak widząc spokojnie śpiącą Leyę, James poczuł się jeszcze bardziej samotny. Nie do wiary, że jeszcze tydzień temu modlił się, żeby Leya zasnęła. Teraz pragnął, żeby się obudziła i popatrzyła na niego ciemnymi oczami, rozświetlonymi i ufnymi. Przynajmniej ona go kocha.

Wycofał się do swojego gabinetu z zamiarem napicia się whisky, ale w domu było zbyt cicho, żeby sprawiało mu to przyjemność. Zbyt spokojnie. Do m potrzebował dzieci. Potrzebował Lei, Izzy i Helen.

A Phoebe?

Zakręcił bursztynowym płynem w niskiej, szerokiej szklance trzymanej w dłoni, tłumiąc ochotę wypicia całej zawartości jednym haustem i wiania następnej porcji.

Jego życie było kompletną katastrofą i nikt nie był temu winien poza nim samym.

Ale to nie dotkliwe odosobnienie na wsi doprowadzało go do szaleństwa, ani nie chaos w związku z dziećmi, którego sam był sprawcą. Jeśli tracił rozum, to przez pewną niedawno poznaną wieśniaczkę o dobrych manierach i bystrym umyśle, która w dodatku doskonale radzi sobie z dziećmi.

To, czego mu brak, to odrobina dystansu wobec całej sytuacji. Wydarzyło się zbyt wiele i zbyt szybko.

Nie dany mu był dystans ani ucieczka od własnych myśli czy też od poczucia winy.

Nigdy nie powinien był jej pocałować. To był pierwszy błąd. Ten pocałunek za szybko doprowadził do zbliżenia z nią, co było kolejnym błędem. Ogromnym.

Bowiem Phoebe Churchill była

dziewicą. Ale nie tylko z tego powodu popełnił błąd. Nie należała do gatunku kobiet, z jakimi zabawia się przyzwoity mężczyzna. Mogła być siostrą Louise, ale we

wszystkim, co się liczy, była jej całkowitym przeciwnym.

Zerwał się na nogi i zaczął krążyć po pokoju, który wydał mu się za ciasny, po czym znów opadł na krzesło. Kiedy w holu rozległ się odgłos kołatki u drzwi frontowych, poderwał się znowu, nasłuchując. Nikt nie kwapił się otworzyć na powtórne kołatanie, więc zaklął pod nosem. Gdzie u licha jest Benson? Do diabła z tym, co wypada, sam otworzy drzwi. Może to Phoebe.

Zamiast niej w progu stała ostatnia osoba, jakiej mógłby się spodziewać na tym wiejskim odludziu.

- Kerry? Do wszystkich diabłów, co ty tu robisz?

Szanowny Kerrigan Fairchild, najmłodszy syn hrabiego Sanderly, wkroczył do holu, cały w uśmiechach i w doskonałym humorze.

- Tak myślałem, że cię zaskoczę. Ale co tu się dzieje? Nie zatrudniasz kamerdynera, żeby kierował tą twoją monstrualną wiejską siedzibą? Mam nadzieję, że to nie jest jakiś lokalny obyczaj z Yorkshire, żeby samemu otwierać drzwi. A może to twoje dzikie dziecko sprawiło, że cała służba uciekła?

- Niektórzy jeszcze zostali — odparł James tylko na wpół ironicznie. Zamknął drzwi.

- Boże, jak ja się cieszę, że cię widzę.

- Nuda, co? Tak przypuszczałem.

- Nie jestem znudzony. Niezupełnie.

- Nie? — Kerry lustrował cichy hol i przyległe pokoje oceniającym wzrokiem. -

Przyjemne miejsce. Ale ty wyglądasz jak wrak. No więc, gdzie jest ten mały postrach?

- Izzy jest u przyjaciółki.

Kerry wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zdeponowałaś ją u jakichś nieszczęsnych, niczego niepodaje-rze-wających głupców, tak? I teraz nazywa się Izzy. Rozumiem, że wygrała tę bitwę... a pewno i kilka innych.

James również uważał, że tak. W każdym razie nie warto było o to się spierać.

- Leya jest chora. Lepiej jest dla Izzy, żeby spędzała jak najwięcej czasu poza domem, dopóki nie będziemy mieć pewności, że Leya nie zaraża. -Wprowadzi ł Kerry'ego do gabinetu i nalał im obu po szklaneczce, a następnie, zaprosiwszy Kerry'ego, żeby usiadł, opadł z powrotem na krzesło. - A skoro mówimy o moich córkach, to odnalazłem trzecią.

- Doprawdy? Czy ju ż ją widziałeś?

- Tak. Prawdę mówiąc, ona jest tutaj. To znaczy, przez całe życie mieszkała w pobliżu Farley Park.

- To wygodnie. - Kiedy James nie odpowiedział, ciemne brwi Kerry'ego się uniosły. - Co, niewygodnie?

Znó w James zakręcił szklanką, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w bursztynowy płyn.

- To nie takie proste. Wyjaśnię ci sytuację.

- Tak, być może powinieneś. Pote m ja oświecę cię, co się dzieje w mieście. Jestem pewien, że uznasz to za niezmiernie zajmujące.

Minęła godzina. Za zamkniętymi drzwiami gabinetu życie dom u toczyło się własnym torem. W gabinecie ogień na komink u dogasał. Trudn o powiedzieć, który z mężczyzn był bardziej poruszony opowieścią drugiego. Kerry powstrzymał się przed oceną tego, co z ociąganiem wyjawiał mu przyjaciel — o odnalezieniu zaginionego dziecka i dziewczynie od kóz zamienionej w guwernantkę. Chciał sam

poznać tę dobrze wychowaną córkę farmera, zanim oskarży Jamesa o to, do czego, jak podejrzewał, ten się skłania. Znowu .

Z kolei James nie był pewien, czy wierzy w absurdalną historię przekazaną przez Kerry'ego.

- Po tym, jak jej zdaniem upokorzyłem ją, czemu Catherine miałaby zmienić zdanie? Kerry pociągnął spory łyk ze szklanki, a następnie się skrzywił.

- Może dziarskie chwaty w mieście zaczynają jej działać na nerwy. Ciągłe pochlebstwa i zachwyty mogą być męczące, wiesz. Nawet dla kogoś tak przyzwyczajonego do pochlebstw i zachwyty jak urocza Catherine.

- Catherine tak działa na mężczyzn. Zwłaszcza na tych żółtodziobów, którzy uważają, że mają fantazję.

— Obawiam się, że wiek nie jest lekarstwem na powab Catherine — odparł Kerry. - Słyszałem, że Edward Altwood staje się przy niej niezmiernie wymowny, a stoi jedną nogą w grobie. Słyszałem też, że Percival Langley bardzo się zbliżył z nią i z jej ojcem.

— Percival Langley. - James pokręcił głową. - Biedna Catherine. Ale przynajmniej ma jakiś balsam na ranę, którą jej zadałem. Kerry przyglądał się Jamesowi z nadkrawędzi szklanki.

— Gdyby pochlebstwo było balsamem, jestem pewien, że byłaby szczęśliwsza, niż jest. James odstawił pustą szklankę na stół.

— Dziwi mnie, że ty nie wystartowałeś w tych zawodach. Zawsze świetnie się rozumieliście z Catherine. Po chwili Kerry przytaknął.

— Tak. To prawda. Niestety, jej ojciec mierzy dla niej wyżej niż moje skromne dwa tysiące rocznie. Obawiam się jednak, że moją największą wadą w jego oczach jest to,

że w przeciwieństwie do ciebie zupełnie nie interesuję się polityką.

James podszedł do kominka, dołożył polano i poruszywszy żar pogrzebaczem, rozniecił ogień na nowo.

— A wracając do jej ojca, to kiedy ostatni raz widziałem lorda Basingstoke'a, zarzekał się, że każe nabić moją głowę na pikę, jeśli kiedykolwiek jeszcze zbliżę się do Catherine. Zapowiedział też, że nie spocznie, dopóki nie zrujnuje całkowicie mojej kariery politycznej w zakresie spraw zagranicznych.

— Z pewnością ma dość wpływów, by tego dokonać - przyjął Kerry, po czym wzruszył ramionami. — Co mogę powiedzieć? Bez względu na zapiekłość ojca, Catherine powiedziała mi, że tęskni za tobą i że może postąpiła pochopnie. Wybiera się do Yorkshire, żeby cię odwiedzić.

— Odwiedzić mnie? Co ty mówisz, do wszystkich diabłów. I jej ojciec zgadza się na to? Kerry dopił trunek.

— Na to wygląda. Może jednak twoja kariera polityczna nie całkiem przepadła.

James przeczesał palcami włosy. To była ostatnia rzecz, jakiej mógłby się spodziewać.

— Zrezygnowałem już z Catherine i poparcia jej ojca. Jeżeli ona przyjeżdża tu za jego zgodą, to może oznaczać tylko jedno, że chce odnowić nasze zaręczyny.

Powiedziała ci, kiedy przyjeżdża?

— Sądzę, że planuje odwiedzić swoją starą ciotkę w Scarborough. W ten sposób może pod wpływem impulsu postanowić, że cię odwiedzi, zachowując jednocześnie twarz, jeśli nie dojdzie do waszego pogodzenia się - oznajmił Kerry, zakładając nogę na nogę. - Ale dojdzie do niego, prawda?

James milczał przez chwilę. Jeśli Catherine jest skłonna wybaczyć mu i

zaakceptować jego dzieci - jeśli gotowa jest odnowić ich zaręczyny — to znaczy, że

on nadal ma szansę zając kiedyś miejsce jej ojca jako najbardziej wpływowego członka Izby Lordów w zakresie spraw zagranicznych. Jego cele polityczne znów są w zasięgu ręki. Musi tylko odzyskać jej zaufanie i przekonać ją, że jego dzieci warte są jej zainteresowania.

Tylko jak ma tego dokonać, skoro Izzy i Helen uciekły do chaty Phoebe? Phoebe.

Wyprostował się na krześle. Jeśli Catherine przyjedzie do Farley Park, będzie musiała spotkać Phoebe.

Niech to szlag. Phoebe już jest na niego wściekła i słusznie. Kto wie, co może powiedzieć Catherine. Ani co Catherine może powiedzieć jej.

Odgłos chrząknięcia sprowadził go z powrotem do terażniejszości.

— Nadal chcesz ją poślubić, prawda? - spytał Kerry.

— Oczywiście — zapewnił go James. - Oczywiście.

Wcale nie był tego pewny. Małżeństwo z Catherine pozwoliłoby mu powrócić do dawnego życia w Londynie. A powrót do Londynu, położyłby kres romansowi, który właśnie nawiązał z Phoebe.

Nie znaczy to, żeby ona obecnie była skłonna ten romans kontynuować. Ale kiedy już Helen przyzwyczai się, że jest jego córką, i kiedy zdomowi się w Farley Park, a życie zacznie biec zwykłym trybem, mógłby sprowadzić tu Phoebe.

Problem w tym, że jeśli Kerry nie myli się co do zbliżającego się przyjazdu

Catherine, Jamesowi pozostało mało czasu.

- My nie wracamy - oznajmiła Izzy. Stojąca obok Helen przytaknęła skinieniem głowy. Phoebe przyglądała się ich twarzom wyrażającym upór. Jak mogła nie dostrzec podobieństwa między nimi? Blond włosy, niebieskie oczy. Dotychczas w Helen szukała obrazu Louise, a w Izzy lorda Farleya, natomiast prawda była taka, że obie miały oczy ojca. Nawet Leya o oliwkowej cerze odziedziczyła jego świetliste,

błękitne oczy.

- Chcemy zostać tutaj — mówiła dalej Izzy.

Wracając do teraźniejszości, Phoebe skinęła głową. Ona także pragnęła, żeby z nią zostały, wiedziała jednak, że lord Farley nigdy nie wyrazi na to zgody.

W długą bezsenność doszła do wniosku, że nie wolno jej z nim walczyć, przynajmniej jeśli chodzi o dzieci. W dzieciństwie sama nienawidziła życia w rodzinie pełnej gniewu i wzajemnych niechęci. Nie miała zamiaru dopuścić, żeby to samo spotkało dziewczynki. Dlatego postanowiła współpracować z tym mężczyzną, a to oznaczało, że przede wszystkim powinna postarać się poprawić jego wizerunek w ich nieufnych oczach.

- Niczego tak nie pragnę, jak tego, żebyście tu zostały. Obie. Ale wasz ojciec was kocha i chce mieć was przy sobie. Chce też, żebym pomogła wam wszystkim stać się rodziną.

- Przecież możemy być rodziną tutaj, na Śliwkowym Wzgórzu — zauważyła Helen.

- Tak jak przedtem.

- Racja — poparła ją Izzy. - Ani ja, ani Helen nigdy przedtem nie miałyśmy ojca i nie potrzebujemy go teraz. A już na pewno nie jego.

Phoebe spostrzegła, jak Helen z wahaniem spojrzała na swoją nową starszą siostrę. Przez całe życie dotkliwie odczuwała brak ojca.

Co gorsza, nigdy nie było przy niej matki, ale przynajmniej istniała. Ojciec nie miał nawet imienia. Teraz jednak sytuacja się odwróciła. Louise mogła umyć ręce, rezygnując z córki, ale James Lindford był na miejscu i pragnął z całego serca odegrać ważną rolę w jej życiu.

Phoebe ujęła w dłoń policzek Izzy i pogładziła Helen po głowie.

— Kiedy rodzina jest tak mała jak nasza, brak nawet jednej osoby jest bardzo

smutny. Wasze matki przekazały was ojcu, bo wiedziały, że on lepiej się wami
zaopiekuje...

— Sprzedały nas - przerwała jej Izzy. - Jak krowy. Jak kozy.

— Tak samo jak my sprzedajemy krążek tłustego, białego sera pani; Leake — dodała
Helen z wyrazem powagi na drobnej twarzyczce.

Phoebe odruchowo przytuliła je obie i poczuła, jak chude ramiona dziewczynek
odwzajemniają jej uścisk.

— Wasze matki są niemądre. Ale cieszę się, że takie są, bo inaczej nie byłibyście tu ze mną, w moim
domu. A jeszcze bardziej będę się cieszyć, kiedy Leya dorośnie na
tyle, żeby też mieć z nami lekcje.

Tak jak miała nadzieję, wzmianka o malutkiej siostrzyczce złagodziła upór
dziewczynek.

— Mam nadzieję, że już nie jest chora - powiedziała Izzy.

— Jest za mała na lekcje, Helen. A o to, jak się ma, możemy zapytać waszego ojca,
kiedy tu przyjedzie. Pamiętacie, jak się martwił, kiedy zachorowała?

Obie przytaknęły, Izzy niechętnie.

— To dlatego, że ją kocha i martwi się o nią. Was obie kocha tak samo i też się o was martwi.
Myślę, że już pora przestać się na niego gniewać. Pomyślcie o tym, dobrze?

Przybył w porze obiadu, z koszykiem przytroczonym do siodła j i w towarzystwie
nieznanego Phoebe mężczyzny.

— Wiem, kto to jest - powiedziała Izzy. - To pan Kerry. Spotkałam go w Londynie.
Jeden z przyjaciół lorda Farleya.

Phoebe i tak była zdenerwowana, teraz jeszcze odczuła nieprzyjemne trzepotanie w
żołądku. Po co jeden z jego londyńskich przyjaciół ^ przyjechał tak daleko na
północ? Był doskonale ubranym bogatym mężczyzną w srebrzystej kamizelce

widocznej spod granatowego fraka i w błyszczących butach do konnej jazdy na heską modłę, wspartych w strzemionach. Wyglądał nazbyt wspaniale jak na Śliwkowe Wzgórze.

Co taki mężczyzna pomyśli sobie o niej, prostej wiejskiej dziewczynie? A jeszcze bardziej niepokojące było, co lord Farley mógł mu o niej powiedzieć? Ciężki jak ołów supeł zacisnął się w jej gardle. Sposób, w jaki mężczyzna przyglądał się jej badawczo, nie kryjąc zainteresowania, wzbudził obawę Phoebe, że mógł mu już powiedzieć za dużo. Jak on śmiał!

— A zatem to panna Churchill, która sprawiła taką przemianę dzieci Farleya - odezwał się mężczyzna, kiedy zostali sobie przedstawieni. Jego uśmiech zdawał się przyjazny i szczery. — Lord Farley nie powiedział mi, że pani uroda przewyższa nawet pani zdolności. A ty musisz być Helen — dodał, kłaniając się z powagą dziewczynce zerkającej na obu mężczyzn zza spódnicy Phoebe.

Potem mrugnął do Izzy i wykonał przed nią doskonały dworski ukłon. Kiedy się wyprostował, jego zabawna mina stała się wyzywająca.

— Czy umiesz dygnąć ładniej?

Wargi dziewczynki drgnęły, ale poskromiła uśmiech. Jasne było, że z całych sił stara się okazać gniew.

— Pewnie, że umiałabym dygnąć ładniej, gdyby mi się chciało.

— Ho, ho. Łatwo powiedzieć. A co ty na to, panno Helen? Umiesz tak ładnie dygnąć?

Jakoś udało mu się wymóc na Helen dyg, co z kolei zmusiło Izzy do uczynienia tego samego. Ponad dwiema jasnowłosymi główkami lord Farley utkwiał wzrok w oczach Phoebe.

— To zasługuje na nagrodę — powiedział Kerry. Szturchnął przyjaciela. -

Powiedziałem, że należy się nagroda.

— Ach tak, istotnie - zreflektował się lord Farley i postawił na ziemi przywieziony koszyk.- Chodźcie zobaczyć, dziewczynki. Po jednym dla każdej z was.

Mimo podejrzliwości, ciekawość Izzy była zbyt wielka, żeby mogła się jej oprzeć.

Ostrożnie zbliżyła się do koszyka, uniosła pokrywę i krzyknęła:

- Kotki!

Jak szybko ulotniła się ich nieufność, pomyślała Phoebe, przyglądając się, jak pochylone nad koszykiem pomagają kociakom wydostać się na wolność. Jak łatwo kupił dziewczynki — tak samo jak kupił sobie współpracę ich matek.

Natychmiast pożałowała tej myśli. Czemu jesteś taka wstrętna? Pod pewnymi względami mogą być jak ich matki, ale ona sama z przykrością stwierdziła, że staje się jak jej własna matka. Nieprzyjemna i rozżalona. Krytyczna. Nigdy niezadowolona.

— Ten trzeci jest dla Lei? — spytała Izzy, tuląc mocno do piersi kłębuszek szarego futra z wielkimi, żółtymi oczami.

Jasne, błękitne spojrzenie lorda Farleya na dłuższą chwilę spoczęło na Phoebe, zanim zwrócił się znów do Izzy. Przykucnął i podniósł ostatniego kociaka, pomiaukujące

drobne stworzonko, z łatwością mieszczące się w jego potężnej dłoni.

— Leya ma szarego jak twój, Izzy, tylko z zielonymi oczami. Tego przyniosłem dla panny Churchill.

Wszyscy zwrócili wzrok na Phoebe, czekając, co powie. Oczy Helen roziskrzone

były podnieceniem, najwyraźniej zachwyconej jego pomysłem. Pan Fairchild

również wyglądał na uradowanego, choć niespecjalnie zaskoczonego.

Wyraz twarzy Izzy świadczył o tym, że coś rozważa. Jej oczy, takie same jak oczy ojca — i to nie tylko ze względu na kolor - wędrowały od kociąt do Phoebe, potem

dziewczynka przeniosła wzrok na ojca. Co się działo w tej pomysłowej główce?

Co do lorda Farleya, jego zamiary nie były tajemnicą. Próbował zawrzeć z nią pokój, a podarowanie kotka miało być drobną pociechą za odebranie siostrzenicy.

Przynajmniej się starał.

- Dziękuję - powiedziała, biorąc kotka, tak żeby przy tym nie dotknąć ręki mężczyzny. Nie udało się. Jego kciuk musnął wewnątrz jej dłoni, zetknęli się nadgarstkami. Te ulotne dotknięcia wystarczyły.

Jak przekręcenie klucza w zamku uwolniły emocje, którym Phoebe broniła dostępu.

Wściekłość i wdzięczność, panika i tęsknota. Zbyt wiele uczuć wprawiających ją w zmieszanie. Przytuliła kotka do piersi i się odsunęła.

- Ach - odezwał się pan Fairchild — jakie to rozkoszne. Twierdzę, że nie ma to jak wakacje na wsi, żeby się odświeżyć. Panno Churchill, czy w tej stajence są kozy?

Po chwili już oprowadzała go po swoim małym gospodarstwie, a raczej robiły to Izzy i Helen. Mimo całego wyrafinowania i imponującego ubioru pan Fairchild był człowiekiem otwartym i każdy mógł czuć się przy nim swobodnie. Phoebe znalazła się z tyłu, obok lorda Farleya.

Czując na sobie jego wzrok, powiedziała:

- Proszę powiedzieć, jak się ma Leya? Czy zdrowieje?

- Wygląda na to, że jej stan się poprawia. Już tak nie gorączkuje. Ale pęcherze ma na całym ciele i chce je drapać. Nie jest bardzo szczęśliwa. Jakieś sugestie?

Phoebe nie spuszczała wzroku z Izzy, która doiła Posie z naturalną zręcznością.

- Wszystko, co można zrobić, to próbować ją czymś zająć. Odwracać jej uwagę.

- Tak właśnie myślałem. Pomogłoby, gdybyś przyszła ją odwiedzić. Stłumiła wszelki przejaw emocji.

- Jestem pewna, że dziewczynki potrafią ją zająć.

- Phoebe, posłuchaj. - Wziął ją za ramię i odwrócił ku sobie. —

Kiedy Izzy i Helen wrócą dziś do domu, będą cię potrzebować. Wytrącona z równowagi dotykem, strząsnęła jego dłoń.

- Masz dom pełen służby, która może zadbać o ich potrzeby.

- To nie to samo.

Uniosła brodę.

— Trzeba było pomyśleć o tym, zanim postanowiłeś odebrać mi Helen.

Nie chciała tego powiedzieć. Przysięgała sobie, że nie okaże żalu i ukryje ból. Teraz był jawny i nie było sensu udawać, że jest inaczej. Głęboko westchnęła.

— Twierdzisz, że możesz dać im lepsze życie, ale widocznie nie możesz, skoro potrzebujesz mojej pomocy.

— Nigdy nie przeczyłem, że będę potrzebował pomocy — powiedział w nagłej ciszy, jaka zapadła w nowo zbudowanej stajence dla kóz. Ucichł nawet odgłos mleka tryskającego do wiadra. - Nie umiem być dla nich matką, Phoebe. W każdym razie nie jestem do tego przygotowany, nie wiem, co mam robić. Ale nawet przy moich niedostatkach, mogę wychować je lepiej niż ich prawdziwe matki.

— Przynajmniej prawdziwa matka Helen miała dość rozumu, żeby zostawić ją ze mną.

— Owszem, i właśnie dlatego chcę, żebyś zamieszkała w Farley Park i była przy nich cały czas. Mogłabyś być z nią codziennie, tak jak dotychczas.

Helen wcisnęła się pod ramię Phoebe, czując się znów zagrożona burzą emocji dorosłych. Izzy, jako manipulantka i oportunistka, tym razem postanowiła wziąć stronę ojca.

— Chcę zobaczyć Leyę. Tęsknię za nią - oznajmiła, nadając swojemu głosowi boleśnie tęskny ton. — Czy ty za nią nie tęsknisz, Phoebe?

Phoebe przeniosła wzrok z ojca na córkę. Cóż za para spiskowców.

— Oczywiście, że za nią tęsknię. Nie o to chodzi.

— Nie opieraj się, Phoebe — błagała Helen, ściskając Phoebe w pasie. - Proszę, nie opieraj się.

W końcu łatwiej było Phoebe skapitulować i pójść z nimi. Kiedy Leya wydobrzeje, ten argument straci moc, powiedziała sobie. Kiedy Helen i Izzy zadomowią się w Farley Park, a życie potoczy się zwykłym trybem, jej obecność przestanie być konieczna. Będzie mogła mieszkać na Śliwkowym Wzgórzu, a one będą przychodzić na lekcje.

To nie będzie to samo, ale przynajmniej będzie widywać Helen codziennie.

Na razie jednak zgodziła się towarzyszyć im w Farley Park.

Poza tym, mówiła sobie, idąc przy koniu, którego prowadził lord Farley, z Helen w siodle, naprawdę tęskni za Leyą.

Słodka, pokryta plamami twarzą Lei rozjaśniła się szerokim uśmiechem, kiedy dziewczynka dostrzegła Phoebe.

- Mamamama — gruchała, kołysząc się w łóżeczku. — Mamamama.

- Witaj, słodczy. Witaj, szkrabie - przemawiała łagodnie Phoebe, podnosząc ją.

Przyjemnie było tulić w ramionach ciepłe, ufne maleństwo, nawet jeśli pachniało kamforą i wydawało się podejrzenie mokre.

- Co to za maść?

Lord Farley pokazał słoik.

- Kucharka powiedziała, że to przyspieszy gojenie.

- Ale to jest za tłuste. Lepsze byłoby coś wysuszającego. Izzy, Helen? - zawołała do dziewczynek, które zatrzymały się w otwartych drzwiach, mając zakaz wchodzenia

do pokoju chorej. - Niech kucharka przygotuje garnek owsianki. Przynieście mi ją w

dużej misce. To pomoże wysuszyć pęcherze — wyjaśniła lordowi Farleyowi.

— I powiedzcie w kuchni, żeby zagrzali wodę. Dużo wody.

James wiedział, że powinien wyjść. Phoebe panowała nad wszystkim i nie

potrzebowała go tutaj. Został jednak - dla Lei, jak sobie wmawiał — i przyglądał się, jak Phoebe ogląda dziecko - ręce, nogi, brzusek, plecy. Zajrzała nawet do buzi,

wywołując tym oburzenie niemowlęcia.

- No, no - uspokajała Leyę Phoebe, łaskotaniem wprawiając ją z powrotem w dobry

humor. — Musisz się czuć o wiele lepiej, skoro potrafisz tak się zezłościć.

Przez cały czas badania Phoebe rzucała na niego spojrzenia z ukosa, odwracając

wzrok, kiedy ich oczy się spotykały I cały czas szczebiotała do Lei, zanim

przyniesiono wodę.

Ale jeśli zdawało się jej, że potrafi udawać, że on nie istnieje, on miał zamiar

pokazać jej, że jest w błędzie.

- Proszę, pozwól, że pomogę - powiedział, kiedy zaczęła rozbierać Leyę do kąpieli.

Ale to, co zaczęło się jako przewrotna forma buntu, potrzeba zwrócenia na siebie

uwagi Phoebe, szybko przerodziło się w coś innego. Leya była śliska jak węgorz,

pulchna i pokryta plamami, i po raz pierwszy od wielu dni była rozradowana. Jeszcze

nigdy jej nie kąpał, nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby coś takiego

robić.

Widok pluskającej się Leiej śmiech grzały serce Jamesa, nawet jeśli zaognione

pęcherze na całym ciele dziecka wywoływały w nim silną potrzebę roztoczenia nad

nią ochrony.

Że Phoebe czuje to samo, było oczywiste: łagodnie omywała ciało maleństwa,

zachwycała się radosnym popiskiwaniami, a przede wszystkim była tu, w Farley Park.

Kochała jego dzieci, nie tylko Helen, ale Izzy i Leyę też, a to działało na jego

korzystać.

Przez całą noc rozważał konsekwencje czekającej go wizyty Catherine. Jeśli odnowią zaręczyny, jeśli się pobiorą, uzyska wpływy polityczne, o jakie mu chodziło, i kariera stanie przed nim otworem. Teraz w dodatku ma przy sobie dzieci.

Ale to już mu nie wystarczało. Zgromił się za własną przewrotność. Prawda jest taka, że pragnie wpasować jakoś Phoebe w swoje życie, a najlepszym sposobem jest

zatrzymanie jej jako guwernantki jego dzieci. Znając jej uczucia wobec niego, wiedział, że nie będzie to łatwe. Jednak mimo szkód, jakie pojawienie się Louise wyrządziło kiełkującemu pomiędzy nim a Phoebe zaufaniu, nie chciał uznać sytuacji za beznadziejną. Z czasem uda mu się powrócić do jej łask, a dzieci są najpotężniejszą bronią w jego arsenale.

Przez moment zadumał się nad tym, co właściwie rozważa. Żona i kochanka. Czy potrafi manewrować pomiędzy nimi? Przesunął wzrokiem po Phoebe, po słodkiej, jasnej skórze jej szyi, kiedy przechyliła głowę, po jej piersiach wypełniających stanik zwykły, codziennej sukienki, po linii wąskiej talii przechodzącej w idealnie krągłe biodra.

Nie jest tak atrakcyjną kobietą jak Catherine ani jak Louise. Nie, Phoebe jest piękna w inny sposób. Jej piękno jest spokojne i naturalne. Jest ze szlachetniejszego

materiału niż płocze kobiety, z którymi zabawiał się w przeszłości. Zarazem jest słodsza niż one wszystkie.

James z trudem przełknął ślinę, wspominając, jak była rozkoszna, jakiego doznał spełnienia. Ledwo jej zakosztował, ale to wystarczyło, żeby wiedzieć, że chce więcej.

Przez wszystkie te lata rozmieniał się na drobne, nigdy niezaspokojony. Dawno już nie dane mu było w pełni się nasycić.

12

Phoebe łaskotała Leyę, odwracając jej uwagę od pasty owsianej mającej wysuszyć pęcherze pokrywające całe ciało dziecka.

— Myślę, że zjem w pokoju dziecięcym z Leyą - powiedziała do lorda Farleya. Byle tylko sobie poszedł. Przez ostatnią godzinę wpatrywał się w nią, skupiony na jej każdym ruchu, jakby chciał zachować ją w pamięci. To wystarczyło, żeby wytrącić dziewczynę z równowagi.

Prawdopodobnie chciał się tylko nauczyć, jak obchodzić się z Leyą, mówiła sobie.

Nie miał innego powodu, żeby tak się jej przyglądać. Z pewnością nie było też powodu, żeby jej serce przyspieszało rytm, a żołądek zaciskał się tak jak teraz. Ale racje rozumowe nie przemawiały do jej emocji.

— Czy nie powinna się teraz zdrzemnąć? — zapytał.

— Przypuszczam, że tak.

- Więc zaczekamy z obiadem, aż uśnie, żebyś mogła do nas dołączyć.

- To nie jest konieczne.

- Dla mnie jest.

Wsparł się ramieniem o ścianę i założył ręce, jakby sprawa była załatwiona.

I znów zapatrzył się w nią przeciągłym spojrzeniem, bez mrugnięcia. Jak przedtem oblała ją niechciana fala gorąca. Phoebe zacisnęła zęby i nic nie powiedziała.

Tymczasem Leya, korzystając z jej nieuwagi, złapała jej włosy w drobną piąstkę.

— Mamamama — powtarzała, ciągnąc, bardzo z siebie zadowolona.

— Puść, ty małe licho. Oj!

— Jest silniejsza, niż na to wygląda - powiedział lord Farley, odrywając się od ściany. — Pozwól, ja to zrobię.

Niestety, jego palce w jej włosach wyrządziły więcej szkody niż paluszki Lei, choć całkowicie innego rodzaju. Zanim fryzura Phoebe uległa całkowitemu zburzeniu, Leya puściła włosy i chętnie poszła w ramiona ojca. Ku uldze Phoebe lord Farley odwrócił się od niej i zaczął spacerować z dzieckiem, poklepując je po plecach i

kołysząc w takt łagodnej melodii, którą nucił niskim głosem.

Niemniej jednak ręce Phoebe drżały, kiedy poprawiała swoją niewyszukaną, niekłopotliwą fryzurę. Grzebienie z boku, mocno skręcone włosy na karku.

Uczesanie łatwe do utrzymania, nawet bez lustra. Czesła się tak od lat.

Nieproszone wróciły do niej słowa Louise. „Nie wyglądasz tak źle, wiesz. Gdybyś tylko ułożyła włosy... Parę sztuczek z węglem i karminem..”.

Zmarszczyła brwi i poprawiła jeden z grzebieni, wciskając go tak mocno, że aż zabolalo.

— Zawracanie głowy!

— Co takiego?

— Nic — mruknęła, nie chcąc spojrzeć mu w oczy. .Nic poza tym, że ten niepoprawny drań, którym powinna gardzić, sprawia, że cała mięknie. Nic poza tym, że jest ojcem dziecka jej siostry, a teraz odebrał jej Helen.

Nic poza tym, że zawsze będzie z nim związana przez Helen. Zawsze.

Phoebe wyjrzała przez okno, podczas gdy on usypiał Leyę, i zadumała się nad swoją sytuacją. To w tym pokoju uległa mu. Na tej kanapie...

- Czy możemy?

Phoebe wzdrygnęła się, słysząc tuż za sobą ściszony głos.

- Nie. — Odwróciła się i cofnęła, aż natrafiła na parapet okienny.

-

Nie możemy. Zaledwie o kilka centymetrów od niej lord Farley przechylił głowę.

- Oczywiście, że możemy. Leya zasnęła, zaraz każę komuś posiedzieć przy niej, a my będziemy mogli zejść na dół na obiad.

Och, obiad. Phoebe rzuciła pełne winy spojrzenie na kanapę, po czym uciekła wzrokiem. Nie mogła uwierzyć, w jakim kierunku podążyły jej myśli. Przez chwilę naprawdę zdawało się jej, że znów ją namawia do tego samego. Chwała Bogu, że nie zdradziła się bardziej.

Ale James dostrzegł jej szybkie, spłoszone spojrzenie. I dokładnie wiedział, co ono oznacza. Sam unikał tej kanapy, nie patrzył na nią ani na niej nie siadał. Przypomnieć sobie to interludium znaczyło chcieć, by się powtórzyło. Nie mógł jej przynaglać. To nie był dobry moment. W końcu jednak... W końcu dobry moment nadejdzie i znów zrobią użytek z tej twardej, ciasnej kanapy...

Teraz on musiał zdusić przekleństwo. Spokój, chłopaku, nie wstawaj. Droga do jadalni w ślad za kołyszącymi się krągłymi biodrami była bolesna. Bolesna była świadomość, jak łatwo można wyjąć grzebienie z jej włosów, odczuć oszalamiającą rozkosz zanurzenia twarzy w ich pachnących falach... i w innych miejscach.

-

Phoebe...

Odwróciła się u dołu schodów, spoglądając na niego ostro i ostrzegawczo. |

- Nie możesz zwracać się do mnie tak poufale, lordzie Farley. Dla ciebie zawsze muszę być panną Churchill. Tylko tak jest przyzwoicie. Inaczej służba zacznie gadać.

- Zmarszczyła lekko brwi. - Według obyczaju nie powinnam nawet jadać z tobą i twoją rodziną. Teraz jestem twoją pracownicą, a nie tylko sąsiadką.

— Nonsens. Jesteś ciotką mojej córki. To wszystko zmienia.

Po jej twarzy przemknął cień smutku i rezygnacji.

— Owszem. Ciotką twojej córki. To rzeczywiście wszystko zmienia

- zgodziła się ściszym głosem, w którym drgały emocje.

James znów miał ochotę zakląć. Była ciotką Helen, ponieważ była siostrą Louise. Ale

nie to miał na myśli. Była więcej niż pracownicą, ponieważ teraz stanowili rodzinę:

była ukochaną ciotką jego ukochanej córki.

A ona skupiła się na przelotnej miłostce, jaką miał z jej siostrą, nie potrafiła poza to wyjść. To był głupi błąd młodości, choć dał im Helen, którą, jak wiedział, Phoebe

kocha. Dla niej zmieniało to wszystko w sposób, o którym nie była jeszcze gotowa zapomnieć.

Ale on sprawi, żeby zapomniała. Uporządkuje swoje życie i zdecydowany jest zatrzymać ją w nim. Szła przez hol, dopóki się do niej nie odezwał.

— Zaczekaj, Phoebe. Chciałbym cię prosić o przysługę.

— O przysługę?

-Tak .

Chcę cię w moim łóżku, chcę, żebyś jęczała i wołała moje imię, i żebyś zapomniała, jak bardzo jesteś na mnie zła. Odchrząknął, starając się oczyścić gardło, a zarazem uwolnić umysł od takich myśli. Niezupełnie mu się to udało.

— Muszę zatrudnić gospodynię. Masz jakieś sugestie?

Założyła ręce w pasie i w swojej prostej, ciemnej sukni wyglądała w tej pozie wypisz wymaluj jak wyniosła guwernantka. '

— Nie. Możesz spytać panią Leake. Wie wszystko, co się dzieje w okolicy. Będzie wiedziała, czy znajdzie się tu ktoś odpowiedni.

— Pani Leake. Oczywiście. Wyślę jej wiadomość. Ale wolałbym, żebyś to ty podjęła się tego zadania, żebyś dbała o moje dzieci, dbała o mój wiejski dom... i dbała o mnie, kiedy tu jestem.

Rada, jakiej udzieliła lordowi Farleyowi, dręczyła Phoebe przez cały czas trwania obiadu. To prawda, pani Leake jest najlepszą osobą, do której należy się zwrócić w takiej sprawie, ponieważ ta kobieta ma

niespotykaną zdolność dowiadywania się o wszystkim, co się dzieje w okolicy. Bez wątpienia niebawem dowie się prawdy o ojcu Helen, a co za tym idzie o dawno przebrzmiałym romansie Louise z lordem Farleyem.

Kęsy duszonej wieprzowiny ciążyły jak niestrawne kamienie w żołądku Phoebe, kiedy uzmysłowiła sobie, jakie plotki muszą wyniknąć z tej rewelacji. Może gdyby nigdy już nie poszła do miasta, nie musiałyby cierpieć za sprawą ocen, które to nieuchronnie pociągnie za sobą: Louise i lord Farley, a teraz ona zatrudniona przez lorda Farleya. Szu, szu, szu.

Może mogłaby wynająć dziewczynę do wszystkiego i kazać jej załatwiać wszystkie sprawy w mieście.

Kiedy jednak później, po południu, Phoebe odbyła pięciokilometrowa przechadzkę do domu, odmawiając wzięcia powoziku, na co naciskał lord Farley, zastała najbardziej wścibską obywatelkę Swansford czekającą na nią w sklepowym wozie na podwórzu przed chatą.

— Na litość boską, dziecko, gdzieś ty była? - Nie zdążywszy jeszcze zsiąść z kozła, pani Leake wychyliła się do przodu. - Więc to prawda?

— Pani Leake. Co za niespodzianka. Ile to czasu minęło, odkąd ostatnio odwiedziła pani Śliwkowe Wzgórze? Trzy lata? Nie, cztery.

Kobieta łaskawa była zarumienić się, ale nie powstrzymało to potoku wymowy.

— Wiesz doskonale, że byłam na pogrzebie twojej matki w zeszłym miesiącu. W każdym razie powód, dla którego cię dziś odwiedzam, jest taki, że w mieście mówi się bardzo niepokojące rzeczy. Jeśli to nieprawda, chcę uciąć te plotki raz na zawsze. Przerwała i przyglądała się Phoebe ptasimi oczami, jakby chciała wyczytać z układu fałd jej spódnicy czy z kąta nachylenia jej kapelusika prawdę o pochodzeniu Helen.

Phoebe energicznie podeszła do drzwi, a bezwstydnie ciekawa sklepikarka za nią.

— Czemu nie powie mi pani wprost, co pani słyszała i od kogo?

— No więc dobrze. Pani Dickerson dowiedziała się od Gladys Tinsdale, że Helen, twoja Helen, jest w rzeczywistości dzieckiem miłości lorda Farleya. Naszego lorda Farleya i twojej Louise. Czy to prawda?

Phoebe przełknęła gorzką bryłę, która uwięzła jej w gardle. Bezcelowe byłoby kłamać.

— Obawiam się, że tak.

- Wielkie nieba! Nie mogę uwierzyć, że trzymałaś to w tajemnicy przez tyle lat.

Po wejściu do domu Phoebe odwróciła się twarzą do swojej prześladowczyni.

- Zapewniam panią, że byłam tak samo zaszokowana jak wszyscy,

kiedy się dowiedziałam. Czy coś jeszcze? Pani Leake przerwała wpół zdejmowanie kapelusika.

— Nie musisz być dla mnie szorstka, moja Phoebe. To nie moja wina.

- Ani moja. Czy pani myśli, że to wszystko jest dla mnie łatwe? Naprawdę tak pani myśli? Kocham Helen jakby była moim własnym dzieckiem, a teraz muszę oddać ją

ojcu, bo tak życzy sobie jej matka — matka, która nigdy nie zachowywała się tak, jak na przyzwoitą matkę przystało, i która na domiar wszystkiego latami okłamywała swoją rodzinę!

Phoebe czuła piekące łzy biorące się z gniewu, bezradności i złamanego serca. Nie chciała jednak płakać przed nikim. Zwłaszcza nie przed panią Leake ani przed nikim spośród wścibskich mieszkańców Swansford.

Ale dusiła w sobie zbyt wiele, zbyt wiele i zbyt długo, żeby łzy zechciały jej posłuchać. Kiedy wieszła kapelusik i pelerynę na kołku, a następnie skierowała się do kuchni, łzy wzbierały. A kiedy ujrzała krzesło Helen, jej tabliczkę do pisania i

rozbuchany bukiet wczesnych kwiatów, które Helen nazrywała i ułożyła w ładnej, niebieskiej butelce, łzy polały się niepowstrzymane. Opadła na najbliższe krzesło, ukryła twarz w dłoniach i szlochała tak jak nigdy od czasów dzieciństwa.

- No już, już. - Pani Leake kręciła się koło niej nerwowo, próbując ją pocieszyć. - Nie płacz tak, dziewczyno. Wpędzisz się tylko w chorobę.

- A co... mi... zostało?

- Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. - Poklepała Phoebe po plecach, po czym nie wiedząc, co począć z nadmiarem emocji, zajęła się rozpalaniem ognia i nastawianiem wody na herbatę. — Nie możesz tak się przejmować, dziecko. Helen cię kocha i zawsze będzie cię kochała.

- Tak, wiem. - Phoebe pociągnęła nosem i wytarła twarz w fartuch leżący na stole. - Mam być guwernantką ich obu. W końcu wszystkich trzech.

- No to świetnie. Widzisz? Będziesz z nią codziennie. - Przerwała.

- Czy to znaczy, że będziesz mieszkać w Farley Park?

- Nie. - Phoebe się wyprostowała. — Nie. Zostaję tutaj. Będą przychodzić do mnie na lekcje, a czasem ja pójdę do nich. Ale mieszkam na Śliwkowym Wzgórzu.

Pani Leake podała jej filiżankę herbaty i znów poklepała ją po ręce.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Phoebe. Zupełnie nie to co twoja występna siostra. Zupełnie nie to.

Phoebe nie była tego taka pewna, a pani Leake też by nie była, gdyby wiedziała, do czego doszło pomiędzy nią a lordem Farleyem. Ale ta kobieta nie dowie się tego, ponieważ nikt się tego nie dowie nigdy. Poza tym to nigdy już się nie powtórzy.

Co do pani Leake, to miała się nad czym zastanawiać w drodze powrotnej do Swansford. Kilka jej kumoszek wiedzących o jej wizycie na Śliwkowym Wzgórzu czekało na nią w sklepie. Same, za spuszczonej storami, czym prędzej nachyliły ku

sobie głowy.

- To prawca - oznajmiła pani Leake. - Każdziusieńkie słowo. A jeśli chodzi o

Phoebe, cóż, jest to zdruzgotana, biedna dziewczyna. Gdybyście widziały, jak płacze, rozpacza, jakby jej biedne serce nigdy nie miało się zagoić. To straszny wstyd. Tyle

powiem. Straszny wstyd, w jaki sposób odebrał jej to dziecko. I ta Louise!

— No tak, ale pomyślcie tylko, jak na tym skorzysta mała Helen

— zauważyła Gladys Tinsdale.

— Cóż, co racja, to racja.

— Zwykły bękart i bękart wicehrabiego to zupełnie różne sprawy

— stwierdziła Gladys ku powszechnej aprobacie.

— Phoebe Churchill potrzebuje własnego dziecka, żeby zapomnieć o kłopotach, ot co

— wtrąciła pani Stadler. — Każda kobieta tego potrzebuje.

— Ale nie w ten sposób jak jej siostra — zastrzegła pani Tinsdale. — Wpierw mąż, a potem dziecko. To rozwiązałoby jej problemy.

Mąż dla Phoebe Churchill. Pani Leake uśmiechnęła się, a pomysł kiełkował jej w głowie.

— Wiecie, uważam, że coś tu wymyśliłyście. Phoebe potrzebuje męża i własnej rodziny. Poza tym nie możemy ufać temu lordowi Farleyowi. Póki co troje dzieci i co dalej? Nasza Phoebe nie jest całkiem bezpieczna, pracując u niego.

Kobiety pokiwały głowami, oczy miały wytrzeszczone z ciekawości. Na razie żadna z nich nawet nie widziała rozpustnego lorda Farleya. Pani Leake mówiła dalej:

— Myślę, że powinniśmy razem ruszyć głowami i sporządzić listę tutejszych mężczyzn, dobrych, godnych zaufania mężczyzn, którym potrzeba żony.

— O — uśmiechnęła się pani Tinsdale. - Chyba podoba mi się to, do czego zmierzasz.

— W rzeczy samej - zgodziła się pani Stadler. — Wiecie, jest pastor - w Claymont.

Będzie dwa lata, jak owdowiał.

— I najstarszy syn rzeźnika jest w wieku do małżeństwa.

— Ona ma też ziemię - powiedziała pani Leake. — To powinno przekonać każdego kawalera, żeby się z nią ożenił.

Kerry Fairchild przyglądał się przyjacielowi znad szklaneczki wybornej szkockiej whisky.

— Jestem pod wrażeniem twoich umiejętności wychowawczych. Jesteś w tym lepszy, niżby na to wskazywała przeszłość.

— Moje dziewczynki wciąż potrzebują matki.

— Przypuszczam, że tak. Jakie to szczęście zatem, że Catherine zmieniła o tobie zdanie. - Tak. Kerry patrzył, jak James szybko wychyla szklaneczkę. Wstał, żeby nalać następną, ale karafka była pusta, więc zadzwonił na pokojówkę, po czym zaczął krążyć od jasnego paleniska do ciemnego okna i z powrotem. Po kilku okrążeniach znów szarpnął za sznur.

— Niech to szlag. Gdzie się wszyscy podziali?

W końcu pojawił się kamerdyner, naciągając na siebie frak. Kępki włosów sterczały mu na głowie, a kapcie na nogach zdradzały, że już był w łóżku. Zamrugał zamglonymi oczami.

— Słucham, milordzie.

James zmarszczył brwi.

— Czy tu już nie ma pokojówek, żeby odpowiedzieć na dzwonek?

— Cóż, wie pan, wszystko się trochę pomieszało przez... — Odchrząknął nerwowo.

— Wszystko się trochę pomieszało - powtórzył. Odczekał, a kiedy James nic nie

powiedział, odchrząknął znowu. -Czym mogę służyć, milordzie?

Mięsień w policzku Jamesa zadrgał.

— Jeszcze jedną butelkę szkockiej, bądź tak łaskaw. Potem wracaj do łóżka.

Przepraszam, że cię obudziłem.

Kamerdyner odszedł, James podjął spacer do okna, a Kerry sączył whisky. Jak na mężczyznę, który miał odzyskać kobietę i życie, jakie, zdawało mu się, że utracił, James był dziwnie zdenerwowany.

— Doprawdy, Jamesie, nie przypuszczałem, że tak trudno jest znaleźć przyzwoitą służbę tu, na odludziu.

— Ani ja.

— Ciekaw jestem, czy rzeczywiście twoja poprzednia ochmistrzyni była gorsza niż brak ochmistrzyni.

-Tak .

Kerry uniósł brwi na tę lakoniczną odpowiedź.

— Rozumiem. Cóż, może panna Churchill mogłaby zaproponować kogoś na to miejsce. A może sama panna Churchill byłaby dobrą kandydatką.

Na wspomnienie o guwernantce James rzucił szybkie spojrzenie 'l na Kerry'ego.

— Zgodziła się już być guwernantką moich dziewczynek.

Było więc tak, jak podejrzewał. Natychmiast po utracie Catherine James znalazł sobie kogoś, kto ją zastąpił. Catherine nie byłaby tym zachwycona. Ale też może pora, żeby Catherine uświadomiła sobie, że James Lindford jej nie kocha... w każdym razie nie tak, żeby nie widzieć innych kobiet, jak Kerry. Choć zakrawało to na grubiaństwo, nie dawał za wygraną.

— No tak, twoja guwernantka. Zastanawiam się jednak, jak bardzo możesz być jej

pewien. Poza tym wygląda na kobietę zorganizowaną. Co w tym trudnego, wydać parę poleceń służbie i zaplanować jadłospis?

— To duży dom. A w ogóle, to co ma znaczyć, jak bardzo mogę być jej pewien?

— Chodzi mi o to, że pana Churchill to urodzona zarządczyni. Ale nie urodzona guwernantka. Z gatunku tych stworzonych na żony, żeby podtrzymywać ognisko domowe męża i grzać jego łóżko. Pomnisz moje słowa. Jeśli nie zatrudnisz panny Churchill, żeby kierowała tu wszystkim, rozumiesz, żeby była bardzo zajęta, jakiś inny mężczyzna ci ją sprzątnie.

James zmrużył oczy.

— Nie ma innych majątków w okolicach Swansford, gdzie pof trzebna byłaby ochmistrzyni, a ona już zgodziła się uczyć moje dzieci,-więc wątpię, żeby to był problem.

— Nie byłbym tego taki pewien. Poza tym zatrzymuje swoje gospodarstwo, prawda?

Po co, jak myślisz? Dopóki nie zgodzi się zamieszkać w Farley Park, wszystko może się zdarzyć. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że ona może mieć własne plany? -

Musiał zdusić uśmiech satysfakcji na widok chmurnego wyrazu twarzy Jamesa.

- Mówię o zostaniu czyjąś żoną, Jamesie. Teraz, kiedy uwolniłeś pannę Churchill od odpowiedzialności za siostrzenicę, może wreszcie zatroszczyć się o własne sprawy.

Dla takiej młodej kobiety podstawowym celem jest zawsze znalezienie sobie męża.

W miarę tego wywodu twarz Jamesa coraz bardziej posepniała. Choć James był jego najbliższym przyjacielem, Kerry nie miał obiekcji przed przekręcaniem noża w ranie.

Kochał Catherine z daleka, cierpiał w milczeniu, kiedy przyjaciel zalecał się do niej, a następnie ją zdobył. Zdawało się sprawiedliwe, żeby teraz James cierpiał tak jak on.

— Na wypadek, gdybyś tego nie zauważył, panna Churchill to piękna kobieta o zaskakująco eleganckich manierach. Może zbyt eleganckich dla większości wiejskich

buraków w tej okolicy, ale tym samym stanowi zdecydowanie łakomy kąsek. Lepiej się zabezpiecz i niech się tu wprowadzi, zanim będzie za późno, Jamesie. — Oczywiście się zaśmiały, kiedy zadawał ostateczny cios. — Catherine będzie nieskończenie wdzięczna.

Izzy i Helen siedziały w łóżku Izzy z prześcieradłem naciągniętym na głowy na kształt namiotu stanowiącego ich własną przestrzeń. Zaslony były rozsunięte i pokój oświetlał sączący się przez okno blask księżyca. Wciąż jednak było strasznie ciemno w porównaniu z nocą w Londynie.

— Ale ja chcę moje stare łóżko — powiedziała Helen, tłumiąc łzy. Izzy objęła ją.

— Nie musisz się bać. Jestem tu i możesz spać ze mną. Co noc, jeśli chcesz.

Wystarczy miejsca dla nas obu.

— To łóżko jest za duże - Helen spuściła głowę i miętoszyła falbankę nocnej koszuli. -

I ten pokój jest za duży. I ten dom jest za duży. Ja chcę do domu. Bruno też.

Na dźwięk swojego imienia leżący pomiędzy nimi Bruno uderzył ogonem o łóżko.

- Przyzwyczaisz się.

- Ale ja chcę Phoebe.

Izzy westchnęła.

- Ja też. Chodź, połóż się przy mnie.

Przytuliły się do siebie pod kołdrą, z dwiema główkami obok siebie na poduszce, ze szczeniakiem wyciągniętym między nimi, z kociętami zwiniętymi razem w puchaty kłębek w nogach łóżka. Izzy wsunęła rękę pod plecy Helen i poklepała ją po ramieniu.

- No już. Tak lepiej.

Helen pociągnęła nosem.

- Jesteś miła. Przepraszam, że cię wcześniej nie lubiłam.

-I ja przepraszam, że cię nie lubiłam. Byłam po prostu wściekła na wszystkich.

- Ja tak się właśnie czuję. Wściekła na wszystkich. Z wyjątkiem ciebie. I Brunona. I nawet pana Fairchilda.

- Tylko na lorda Farleya i Phoebe, co?

- Tak. Jak ona mogła nie spróbować zatrzymać mnie przy sobie na

Śliwkowym Wzgórzu? Izzy wzruszyła ramionami.

- Nie mogła cię zatrzymać. Nie jest twoją prawdziwą matką.

- To jak mogła nie przyjść tu, żeby ze mną mieszkać?

Przez dłuższą chwilę leżały w milczeniu, zanim Izzy spytała:

- Prosiłaś ją o to?

- Nie.

- Myślę, że powinnaś. Wiesz, jeśli będziesz płakać i błagać, i wyglądać na naprawdę smutną i przerażoną, i opuszczoną, założę się, że zmusisz ją, żeby tu z nami zamieszkała. Tu jest dość sypialni, żeby miała gdzie spać.

- Myślisz, że to się uda? Że się tu wprowadzi? A co z kurami i kozami?

- Tu jest dość miejsca i dla kur, i kóz. A jeśli nie będzie chciała się przenieść, mimo że będziesz strasznie płakać, mam inny pomysł. Uciekniemy daleko, ty i ja.

- Aleja nie chcę uciekać daleko. Ja chcę uciec do domu.

Izzy przewróciła oczami.

- Masz szczęście, że urodziłaś się tu, a nie w Seven Dials. Tam byś nie przeżyła.

Musisz być sprytna, Helen. To jedyny sposób, żeby sobie poradzić. Musisz oszukiwać ludzi.

- Phbebe mówi co innego. Mówi, że trzeba być uczciwym. Zawsze mówić prawdę.

- Cóż, prawda jest taka, że chcemy, żeby Phoebe mieszkała tu z nami i z Leyą. Tak?

Helen zastanawiała się nad tym przez dłuższą chwilę. Potem w mroku oświetlonej księżycem sypialni uśmiechnęła się do swojej nowej siostry.

- Tak. Chcemy, żeby Phoebe mieszkała tu z nami.

13

Phoebe wpatrywała się w okazałe, dwupiętrowe domostwo, siedzibę przodków lorda Farleya. Obwarowana bogactwem, historią i władzą polityczną, była to doprawdy potężna forteca, do której tacy jak ona nie mieli nigdy wstępu.

Mniejszy z powozów lorda Farleya przyjechał po nią, kiedy tylko skończyła dojenie, z wiadomością, że Izzy ma zapalenie gardła, więc ojciec woli, aby nie wychodziła w taki wietrzny, pochmurny dzień. Czy panna Churchill byłaby tak miła i przyjechała do Farley Park?

Powinna była odmówić. Ale po wczorajszej wizycie pani Leake udała się po radę do pana Blackstocka w sprawie sytuacji Helen. Niestety, było tak, jak się obawiała.

Oficjalnie nie miała praw do siostrzenicy. Ani jej wysiłki, ani czas, ani miłość nie liczyły się ani trochę wobec praw do Helen przysługujących jej naturalnym rodzicom. /

W czasie długiej nocy, która potem nadeszła, postanowiła zrobić, co w jej mocy, w tej nieznośnej sytuacji. Jej najważniejszym obowiązkiem wobec Helen jest pomóc dziecku znaleźć szczęście w nowych warunkach. Nie zrobi tego, jeśli nie uda się do Farley Park.

Umyła się pospiesznie, przebrała, a teraz, wychylona z okna powozu, przymykała oczy, chroniąc przed wilgotnym wiatrem. Dzień był wietrzny i pochmurny, ale już nie tak zimny jak przedtem. Może wreszcie nadeszła wiosna.

Helen spotkała się z nią w holu i łkając, rzuciła się jej w ramiona.

— Wielkie nieba, a cóż to takiego? — wykrzyknęła Phoebe głosem ciepłym i łagodnie napominającym, choć jej samej chciało się płakać. To przecież jej własne,

ukochane dziecko pod każdym względem, z wyjątkiem tego, jaki uznaje prawo.

Zmusiła się do uśmiechu i zmierzwiła jasne włosy ukochanej siostrzenicy.

— Czy aż tak źle cię tu traktowali?

— Tęskniła za tobą — powiedziała Izzy głosem bynajmniej nie-schrypniętym.

— Tęskniłam za tobą — powtórzyła jak echo Helen.

— Tęskniła za tobą - powiedział lord Farley, stając w drzwiach gabinetu.

Chociaż Phoebe próbowała być na to przygotowana — w końcu, jeśli ma spędzać

czas z Helen, zmuszona będzie często widywać tego mężczyznę - nic nie mogło

przygotować jej na widok lorda Farleya opartego o framugę, uśmiechającego się z

zadowoleniem do dziewczynek. Jak to miał w zwyczaju, ubrany był swobodnie, w

bryczesy z sarniej skóry i czekoladową kamizelkę na gładkiej, białej koszuli z

prostym, wiązany kołnierzem. W każdym calu wyglądał na wiejskiego

dżentelmena.

Ale pod tą fasadą czaił się niebezpieczny wdzięk pirata, drapieżnego uwodziciela.

Serce zaczęło jej walić na sam jego widok, wiedziała jednak, że musi zdecydowanie

panować nad sobą. To jej pracodawca, wicehrabia i ojciec jej siostrzenicy. Jedynym

uczuciem, jakie może pozwolić mu okazać, jest gniew.

Za nim, na kocu, pośrodku ciemnoczerwonego dywanu z Aubusson, siedziała Leya

otoczona zabawkami i stertami pogniecionego papieru. Co za ulga widzieć ją na dole,

z pozostałymi dziećmi. Wyglądała dość dziwnie, z oliwkową skórą poznaczoną

czerwonymi plamami i posmarowaną jasnym, owsianym mazidłem. Jej błękitne oczy

rozbłysły, kiedy ujrzała Phoebe. Z piskiem i szerokim uśmiechem zaczęła posuwać

się na czworakach w stronę holu.

Wdzięczna, że może skupić się na czymś innym niż lord Farley, Phoebe powiedziała:

— Może i Helen jest smutna, a Izzy boli gardło, ale okazuje się, że Leya ma się lepiej.

Kiedy raczkujące niemowlę dotarło do ojca, uchwyciło się jego wysokich butów i dźwignęło się chwiejnie na nogi.

— Moja dziewczynka — powiedział rozpromieniony. — Czyż nie jest wspaniała?

Spójrz tylko. Pochylił się, podał Lei palce, których się uchwyciła, i pomógł jej zrobić kilka kroków w stronę Phoebe.

Już wystarczająco trudno było Phoebe zachować złość do niego, a widok jego dumy z tego całkowicie naturalnego dokonania Lei rozbroił ją do reszty. Przykucnęła i wesoło zaklaskała w dłonie uśmiechniętemu maleństwu.

— Jaka z ciebie duża dziewczynka. Patrzcie tylko!

— Mamamama.

— Ona myśli, że jesteś jej matką — oznajmiła Izzy — Tak samo jak Helen.

Phoebe spojrzała w oczy lorda Farleya, przesunąwszy wzrokiem po jego długich, muskularnych udach, wąskim pasie i szerokiej piersi. Gdyby ona była ich matką, a on ich ojcem...

Zabroniła sobie tak myśleć.

Jeśli był zmieszany śmiałym stwierdzeniem Izzy, ukrył to za intensywnym spojrzeniem ciemnobłękitnych oczu. Miał przecież wprawę w ukrywaniu emocji — wszystkich, poza jedną. Dojrzała błysk żaru w jego wzroku, iskrę pragnienia, która omal jej nie przewróciła.

Na szczęście Leya poraczkowała dalej, odwracając jej uwagę i pozwalając wrócić do równowagi. Nadal jej pragnął. Pożądał jej.

Nie powinna być zaskoczona, przecież jakaś część jej samej nadal pożądała jego.

Ale ona skończyła z tym i on też musi skończyć. Teraz są pracodawcą i pracownicą i

to wszystko, co może ich łączyć.

Dzieci zajęły Phoebe resztę poranka. Lord Farley nie opuszczał gabinetu, ona - sali szkolnej. Wmawiała sobie, że właśnie tego chce. Przekazała nawet wiadomość, że zje obiad z dziećmi na górze.

Ale lord Farley z panem Fairchildem przyszli z obiadem.

- Witajcie, gołąbeczki - powiedział pan Fairchild do dziewczynek.

- Mam nagrody w kieszeniach, ale musicie na nie zasłużyć. Pokażcie, czego się dziś nauczyłyście. Izzy i Helen stłoczyły się przy nim, a lord Farley podszedł do Phoebe.

- Dobrze się czujesz?

Phoebe spojrzała na niego, po czym odwróciła wzrok.

- Oczywiście. - Umieściła Pierwszą czytankę dokładnie na środku stołu, przy którym siedziała. - Miałyśmy bardzo dobry ranek.

- Nie chodzi mi o dzieci i ich lekcje, Phoebe. Panno Churchill

- poprawił się, kiedy posłała mu karcące spojrzenie. - Jak ty się czujesz?

- Już mówiłam. Świetnie. Doskonale. Nigdy nie czułam się lepiej. Nie wydawał się przekonany.

- Martwiłem się, że pierwsza noc bez Helen może być dla ciebie trudna. Phoebe z trudem przełknęła ślinę.

- Poradziłam sobie.

- Bliski byłem pojechania do ciebie, żeby sprawdzić.

- Nie było potrzeby. - Boże, miej ją w opiece, gdyby zastał ją w stanie, w jakim była ostatniej nocy. - Nie wolno ci tam przyjeżdżać.

- Dlaczego nie?

Phoebe wstała.

- Ponieważ to naraziłoby na szwank moją reputację - syknęła, na tyle cicho, żeby inni nie mogli

usłyszeć. - I tak gadają w Swansford o całej tej sytuacji.

- To pożałowania godne słuchać, co gadają ludzie o ciasnych umysłach.

— Łatwo tak mówić, kiedy jest się bogatym, utytułowanym, a do tego mężczyzną.

Powiedz, masz siostry i córki. Jak byś się czuł, gdyby zmuszone były pracować u kogoś takiego jak ty?

Odeszła, nie dając mu możliwości odpowiedzi. Ale chociaż to ona miała ostatnie słowo, nie uspokoiło jej to. Nie chciała się z nim kłócić. Nie chciała mieć z nim w ogóle do czynienia.

Kłamczyni. Skuliła się w sobie wobec bolesnej szczerości własnego sumienia.

Prawda jest taka, że jak najbardziej chce mieć z nim do czynienia, co powszechnie nazywa się innym, grubszym słowem.

Przyznawszy to, trzymała się od niego jak najdalej. Po obiedzie Leya zasnęła, a

Phoebe zabrała dziewczynki na spacer. Były w ogródku ziołowym, gdzie rozpoznawały rośliny, uczyły się ich zastosowania i literowały ich nazwy, kiedy dołączył do nich pan Fairchild.

— Proszę się nie obawiać, Jamesa nie ma ze mną — szepnął, widząc,

że Phoebe rozejrzała się niespokojnie. Natychmiast zebrała się w sobie i ciasno objęła się rękami w pasie.

— Obawiać się? Czemu miałabym się obawiać?

Mrugnął porozumiewawczo. i — Znam Jamesa od czasów szkolnych, więc dobrze wiem, jak działa ha kobiety.

Gdyby to było możliwe, Phoebe zeszywniałaby jeszcze bardziej.

— Błędnie ocenia pan sytuację, panie Fairchild. Poza tym wątpię, aby jakaś inna kobieta znalazła się wobec lorda Farleya w takiej sytuacji jak ja. Przynajmniej mam taką nadzieję.

— Chce pani powiedzieć, że go nie lubi?

Przed nimi, w pewnej odległości, dziewczynki zrywały miętę, rozmaryn i gałązki bergamotki, odrywały listki, porównywały zapachy. Phoebe odwróciła się do pana Fairchilda.

— Jestem tylko u niego zatrudniona. Nie muszę go lubić.

— To z powodu Helen, prawda? Lubiła go pani, zanim ją pani odebrał. Spojrzała na niego z irytacją.

— Proszę, jaki pan bystry.

Uśmiechnął się tylko na tę impertynencję.

— Może to, co powiem, poprawi pani humor. Zdaje się, że była narzeczona lorda Farleya zmieniła zdanie. Na temat bycia była narzeczoną. Przy odrobinie szczęścia porozumieją się i odnowią zaręczyny.

Była to ostatnia nowina, jaką Phoebe spodziewałaby się usłyszeć. W nagłej ciszy zmroziło ją. Miała jednak dość rozumu, by pod przenikliwym spojrzeniem pana Fairchilda nie ujawnić swoich uczuć.

— Nie rozumiem, jak plany małżeńskie lorda Farleya miałyby wpłynąć na mnie, poza może... — Przerwała, kiedy straszliwe przypuszczenie chwyciło ją za gardło jak

okrutna dłoń. — Nie sądzi pan, że przeniesie się do miasta i zabierze Helen ze sobą, prawda? Jeśli to zrobi, ona umrze. Będzie gasnąć, aż umrze!

Pan Fairchild parsknął śmiechem.

— Zapewniam panią, że narzeczona lorda Farleya nie zechce zabrać jego córek do miasta. Ani też nie przypuszczam, żeby sama miała ochotę porastać pleśnią tu, na wsi. Widzi więc pani, droga panno Churchill, że jeśli James ją poślubi, bardzo prawdopodobne, że przez większość czasu będzie tu pani sama z dziewczynkami. -

Wskazał dłonią potężną sylwetkę domu. — Do tego mieszkać pani będzie w o wiele

lepszych warunkach niż dotychczas.

— Tak. - Phoebe trudno było przełknąć ślinę, bo gardło miała zatkane bryłą strachu.

— Rozumiem, o czym pan mówi.

Lord Farley ożeni się i wróci do dawnego życia. Byłaby głupia, gdyby sądziła, że będzie inaczej. Czemu więc jest taka wzburzona? To dobra wiadomość, powiedziała sobie. Dobra.

— Przypuszczam zatem, że powinnam z niecierpliwością wyglądać przyjazdu lady Catherine.

— O, więc nawet zna pani jej imię.

— Owszem. — Phoebe przyglądała luźne pasmo włosów. -Wie pan, docierają tu wieści z Londynu. Nawet na tę porosłą pleśnią wieś. Uśmiechnął się do niej, oczy mu zamigotały.

— Nie wolno pani myśleć źle o Jamesie, moja droga. On ma tylko na względzie dobro dzieci, a jak sądzę, pani też o to chodzi. Prawdę mówiąc, zdajecie się tworzyć w tej sprawie wspólny front. Sugerowałbym, żeby się pani odprężyła i nauczyła się cieszyć swoją sytuacją, panno Churchill. Gorąco to pani polecam.

Ciemna chmura otaczała umysł Phoebe przez całe popołudnie. Słońce świeciło, ziemia była nagrzana, a całe Yorkshire zdawało się przeciągać po zimowym śnie i cieszyć wiosną. Tylko nad Phoebe zawisła ciemna zima. Narzeczona Jamesa chce go odzyskać. Ta kobieta opisywana jako przepiękna lady Catherine, niekwestionowana gwiazda londyńskiego towarzystwa, powszechnie uwielbiana, śmiertelnie zraniona, z gatunku tych kobiet, o jakie mężczyźni się biją.

Mężczyzna musiałby być głupcem, żeby nie chcieć poślubić takiej kobiety. I Phoebe byłaby głupia, gdyby nie chciała, żeby ożenił się z lady Catherine, zwłaszcza jeśli pan Fairchild miał rację co do tego, że dziewczynki zostaną w Farley Park pod jej

opieką.

Wychodzi jednak na to, że jest głupia, bowiem myśl o małżeństwie lorda Farleya z idealną lady Catherine, córką człowieka o potężnych wpływach politycznych, sprawia, że jej żołądek kurczy się i drga tak gwałtownie, że przyprawiają to o mdłości.

Kiedy dziewczynki piły herbatę o czwartej, Phoebe postanowiła odejść. Musiała być sama ze swoimi ponurymi myślami, rozpaczać w samotności, choć powód tej rozpaczy trudno było wyjaśnić.

W chwili kiedy sięgała po swoją pelerynę, Helen zaczęła zawodzić:

- Nie. Nie opuszczaj mnie. Nie opuszczaj mnie!

Skończyło się na tym, że Phoebe została na kolacji.

Kiedy Helen zasnęła, ciemność zapadła nad ziemią, a przeszywa jący do szpiku kości chłód nadpełznął znad morza, nie miała wyboru i przyjęła zaoferowany przez lorda Farleya powóz, który miał odwieźć ją do domu. Nie spodziewała się tylko, że to lord Farley będzie stangretem.

— Wsiadaj, proszę — przynaglił ją, kiedy się ociągała.

Drzwi zamknęły się za nimi, pozostawiając ich samych w pełgającym świetle pochodni na tylnym dziedzińcu. Sowa pohukiwała gdzieś w stajni, zaprzężony do powoziku koń niecierpliwie grzebał kopytami, szarpiąc uprząż.

- Wolalabym, żeby to ktoś inny mnie odwiózł - powiedziała. Mogła mówić otwarcie, nikt inny nie słuchał, nie było potrzeby zachowywać pozorów.

- Tak, wiem. Wsiadaj, proszę - powtórzył. Kiedy się nadal wahała, ujął ją pod łokieć i poprowadził do powozu, a kiedy próbowała się przeciwstawić, powiedział: -Wsiadaj do powozu, Phoebe, albo sam cię tam wsadzę.

Na dowód, że nie rzuca słów na wiatr, klepnął ją w pośladek w bardzo poufały

sposób.

Cóż za irytujący mężczyzna! Poskutkowało jednak, bo Phoebe natychmiast wskoczyła do powoziku, byle tylko uniknąć tego, że ją naprawdę podniesie z ziemi.

- Czy wszystkie swoje pracownice traktujesz tak poufale? - burknęła, kiedy zajął miejsce koło niej.

- Tylko te, z którymi spoufalilem się w przeszłości.

Plecy jej zeszywniały.

- Nie śmiem spekulować, jak wielka musi być ich liczba.

- Tylko jedna - mruknął. Strzelił lejcami, przynaglając konia. - Tylko jedna.

Dojechali do końca długiego podjazdu i prawie już byli na drodze, zanim przerwał lodowate milczenie.

- Muszę z tobą pomówić, Phoebe, a skoro jasno dałaś do zrozumienia, że w trosce o swoją reputację nie chcesz być ze mną sam na sam, nie miałem wyjścia, jak tylko skrać te parę minut, kiedy nikt inny nie może nas zobaczyć.

Phoebe utkwiała wzrok w końskim zadzie. Lewa, prawa. Lewa, prawa. Machnięcie ogonem. Lewa, prawa.

- Świetnie. Jestem więc. Co chcesz mi powiedzieć?

Odchrząknął.

- Chcę, żebyś "wiedziała, że doceniam to, co robisz i wiem, jak bardzo to musi być dla ciebie trudne.

Docenia ją. Fala emocji wezbrała Phoebe w gardle, ale stłumiła ją bezlitośnie. Czemu miałby nie doceniać? Ułatwiła mu odebranie sobie ukochanej siostrzenicy. Do tego

wskoczyła mu do łóżka przy pierwszej nadarzającej się okazji. Byłby głupcem,

gdyby jej nie doceniał. On tymczasem mówił dalej:

— Nigdy nie zrobię nic, żeby cię rozdzielić z Helen.

Parsknęła niegrzecznie.

- Już to zrobiłeś.

— Ona jest moją córką i musi wiedzieć, że przynajmniej jedno z rodziców jej chce.

Phoebe nie chciała tego słuchać. Miała ochotę zatkać sobie uszy i nie musieć przyznać, że on może mieć rację. Nie przestawała wpatrywać się w koński zad.

Lewa, prawa. Lewa, prawa.

- Ona płacze za mną.

— Wiem. A nie musiałyby, gdybyś zamieszkała w Farley Park, godząc się przyjąć posadę guwernantki w pełnym wymiarze.

- Ciekawa jestem, jak odebrałyby to lady Catherine - powiedziała

tonem odrobinę zbyt wyzywającym. Zesztywniał na ławeczce koło niej.

- Co ty wiesz o Catherine?

— Wiem, że mężczyzna zawsze powinien pozostawiać żonie ważne decyzje co do prowadzenia domu.

— Ona nie jest moją żoną ani nawet narzeczoną. Rozmawiałaś z Kerrym, prawda? —

To on rozmawiał ze mną. Ale starał się tylko zrobić to, co ty mó wiesz, że robisz.

Podnieść mnie na duchu. Powiedziała te słowa, nawet jeśli smakowały gorzko.

- Czy to się udało? - spytał. — Podniósł cię na duchu?

Skręcili w drogę, która jak jasna wstążka prowadziła przez noc, opadając w

wypełnione mgłą zagłębienia terenu, wznosząc się znowu i wskazując na południe,

ku Śliwkowemu Wzgórzu.

Phoebe zamknęła oczy.

- Nie.

Usłyszała jego westchnienie.

— Co podniosłoby cię na duchu, Phoebe? Powiesz mi?

Co ma mu powiedzieć? Że pragnęła zatrzymać Helen przy sobie? O tym musiał się już przekonać. Czy ma mu powiedzieć, że chciałyby zadbać o to, żeby Izzy i Lei dobrze się żyło, że chciałyby być z nimi każdego dnia i mieć pewność, że to był dobry dzień? Powiedziałaby tylko to, co już powiedział: zamieszkaj w Farley Park i bądź z nimi każdego dnia.

Tyle tylko, że to nie takie proste.

— Chcę mieć z powrotem moje dawne życie — powiedziała w końcu. — Takie jakie było, zanim tu się pojawiłeś. Zanim wszystko tak się pogmatwało. — Zapatrzyła się w agatowy guziczek przy swojej lewej rękawiczce. — Zanim zmuszona byłam przyznać, że moja siostra jest naprawdę podła - dodała.

— Życie to zmiany, Phoebe. I nawet jeśli zmiana jest na lepsze, może jednak boleć.

— Ale ta zmiana nie jest na lepsze. I jestem już zmęczona tym, że ciągle boli.

-Westchnęła bezradnie. - Po prostu... po prostu jedź -powiedziała, odwracając się, żeby patrzeć na mroczny krajobraz.

W dolinie leżało Swansford, jego położenie wskazywały pojedyncze światła z niezasłoniętych okien. Niebo nad nimi ożywiały gwiazdy, powietrze pachniało solą i wilgocią. Noc jak każda inna .

— przynajmniej Phoebe próbowała przekonać sama siebie, że tak jest. Ale kiedy powozik zatrzymał się przed jej samotną chatką - ciemną i prawdopodobnie zimną - wiedziała, że ta noc w niczym nie przypomina innych, jakie znała. Jej życie dokonało gwałtownego zwrotu i odtąd wszystko będzie nowe i inne.

I przerażające. Wysiadła z powoziku, zanim zdążył przyjść jej z pomocą. On i tak wysiadł za nią.

— Dobranoc. Dziękuję - powiedziała, kierując się ku drzwiom.

— Phoebe?

Przystanąła. Wiedziała, że nie powinna. Powinna wejść do środka... jeszcze tylko trzy kroki. Powinna zamknąć drzwi, zaprzeć je, a potem wspiąć się do swojej samotnej, zimnej sypialni pod dachem i poddać się życiu samotnej starej panny. Może hodować koty, dużo kotów, może zostać dziwaczką. Dzieci ze Swansford będą wytykać ją palcami, kiedy przyjdzie do miasta, a ona będzie się śmiać, więc będą szeptać, że jest wariatką.

Marszcząc brwi na ten żalostny obraz, zatrzymała się gwałtownie przed drzwiami. Nie chciała zostać samotną starą panną, mającą za jedyne towarzystwo koty. Chciała od życia więcej. Chciała czegoś dla siebie. Tak więc zawahała się, choć nie powinna, i się odwróciła.

Jednocześnie on, jak na dany znak, zrobił krok w jej kierunku. Był wysokim, ciemnym cieniem wyczarowanym ze snującej się mgły podświetlonej księżycem.

Ciemnym, niebezpiecznym i och, jak pociągającym.

Zanim zdała sobie z tego sprawę, już powiedziała:

— Przyjmuję twoją propozycję.

— Przyjmujesz?

Phoebe dosłyszała nutę zaskoczenia w jego głosie. Nie spodziewał się, że ona podda się tak szybko. To dlatego, że nie rozumiał, jak bardzo samotna była teraz. Jaka opuszczona.

— Tak - mówiła dalej, żeby już nie mieć odwrotu. - Zamieszkałam w Farley Park i zaopiekuję się twoimi dziećmi.

Wraz z tym łagodnym, zdyszonym ustępstwem James uzyskał od niej to, czego chciał, a przynajmniej to, o czym mówił, że chce. Równie szybko jednak, tak szybko, ile trwa oddech na wietrze, uświadomił sobie, że to nie wystarczy. Z jej oświetlonej blaskiem księżycą twarzy mógł wyczytać każdą emocję, każdy lęk i cały ból. On to

na niej wymusił. Dobrze było dla niego, z pewnością dobre było dla jego dzieci, by stała się częścią jego domu. Ale czy było to dobre dla niej?

Sprawi, żeby tak było, powiedział sobie. Uczyni ją szczęśliwą jako swoją kochankę. Więcej niż szczęśliwą. Uskrzydloną.

Jednak jakaś jego część wiedziała, że dopóki będzie mieszkała w Farley Park, nigdy nie będzie mieć swobody, żeby budować własne życie. Będzie żyła na marginesie jego życia i życia jego dzieci. Jego kochanka. Ich guwernantka. Nie ma tu miejsca na męża i własną rodzinę.

Ale może to wystarczy, tłumaczył sobie. Czemu nie miałyby wystarczyć? I przecież mogłaby mieć własne dzieci. Jego dzieci.

Sięgnął po nią, żeby wziąć to, czego chciał. Nawyk całego życia. Przybył, zobaczył, zwyciężył... przynajmniej jeśli chodzi o kobiety. Zawsze sprawiał, że nie żałowały, powiedział sobie, przyciągając ją bliżej. Zawsze.

— Sprawię, że będziesz szczęśliwa, że się zgodziłaś, Phoebe. Obiecuję. Wrócisz ze mną do Farley Park jeszcze dziś? Pokręciła głową.

— Dziś nie. Ale jutro... Jutro było bardzo odległe. Zbyt odległe. Osiągnąwszy, czego chciał, James natychmiast zapragnął więcej. Zapragnął jej.

A zatem ją pocałował. Nie miało to nic wspólnego z rozumem ani z dobrocią, ani z niczym poza jego samolubną potrzebą, żeby ją posiadać. Pocałował ją tak, jak chciał ją całować od dawna. Od tamtej nocy...

Pogłębił pocałunek i poczuł najpierw opór, a później przyzwolenie jej warg. Poczul miękkość jej ciała przy swoim, twardszym, jej kobiecą siłę, która najpierw chciała go pokonać, a teraz mu uległa. Odczuł jej wewnętrzną walkę, która była jak sztorm na morzu, jak fale rozbijające się o nieruchomy brzeg. Dzika. Wspaniała.

Cofała się, prężąc się w jego ramionach, a on dążył przed siebie tam, gdzie chciał: ku temu, by posiadać tę doprowadzającą go do szaleństwa kobietę raz jeszcze. Już nie na siedzisku pod oknem, nie w pośpiechu i sekretnie, ale powoli i głośno.

Jego język badał wewnątrz jej ust tak jak jego męskość gotowa była badać gorącą istotę jej kobiecości. Głęboko, rytmicznie, kierując się pożądaniem. Oparła się o drzwi, a on napał na nią.

— Niech cię, Phoebe. Doprowadziłaś mnie do szaleństwa. Był jak niedoświadczony chłopak, nieopanowany w swej żądzy. Jak ogier zbyt długo powstrzymywany. Ale już nie. Już nie. Znalazł za jej plecami klamkę, nacisnął i poczuł, że drzwi ustąpiły.

Nareszcie. Nareszcie... |

-Poczekaj! - Phoebe odwróciła twarz i uchwyciła się framugi.

— Poczekaj. Nie możemy tego zrobić.

14

Możemy. I zrobimy - oznajmił lord Farley, wpatrując się w nią.

- Oboje tego chcemy. Tak. Chcą. Mimo to Phoebe wiedziała, że nie powinna.

— Nie.

Trzymała się krawędzi malowanej framugi drzwi czubkami palców. Ale jej obiekcje

były jak tuman pyłu w wietrzny dzień i tak też się rozwiały, w miarę jak jego sprytne usta odnalazły muszlę jej ucha, potem płatek i przesuwały się dalej, po cudownie

wrażliwej skórze szyi.

— Tak. -Wgryzł się tym słowem w zagłębienie jej szyi i przeciągnął wargi wzdłuż

obojczyka. —Tak. Przesunął wzdłuż jej ręki dłonią, wsunął ją pod jej palce zaciśnięte na drzwiach. Dłoń w dłoni, splecione palce.

Tajała pod nim, rozkruszała się jak piaskowiec smagany bezlitosnymi falami. Jego

wola była silna, jego umiejętności niewątpliwe. W końcu jednak to jej własna

namiętność ją pokonała. Jej własna, perwersyjna tęsknota. Ten mężczyzna, jak żaden dotąd, wzbudził w niej coś. Zasiał słodkie, zakazane ziarno żądzy.

— Tak - wymruczał i tym razem oderwał ją od ziemi, porwał w ramiona. Była łupem, a on piratem.

Usłyszała trzask drzwi zamkniętych kopnięciem. Odnalazł wąskie schody i wniósł ją na górę, nie objając jej jakimś cudem o ściany. I oto byli w jej sypialni, na jej łóżku, a ona uwięziona była pomiędzy zimnym, skrzypiącym materacem a ciepłą, pulsującą męskością.

Przez moment Phoebe pomyślała o matce. Emilean Churchill umarłaby, gdyby wiedziała, że żądza wybuchła w jej skrupulatnie utrzymywanym w porządku domu.

Myśl ta zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. On przegnał ją z jej umysłu.

— Najpierw to — powiedział, przetaczając się na bok i jednocześnie rozpinając zapinkę jej peleryny. Zsunął gruby ubiór z jej ramion.

— Teraz to. — Zaczął rozsznurowywać jej stanik. Cały czas patrzył jej w oczy.

Gdyby odwrócił wzrok, mogłaby jeszcze znaleźć w sobie siłę, żeby powstrzymać to szaleństwo. Ale on nie odwrócił wzroku, nawet nie zamrugał.

Oddychała coraz płycej i szybciej, kiedy sznurówki stanika ustępowały pod jego zręcznymi palcami.

— Jeśli to zrobimy - zaczęła — nie będę mogła... zamieszkać w Farley Park.

- Owszem, będziesz mogła. Zamieszkasz. - Rozsunął stanik, odslaniając koszulę. Pokręciła głową.

— To będzie zbyt trudne. Zbyt skomplikowane.

- Nie będzie. - Jednym pociągnięciem rozwiązał tasiemkę spódnicy.

- A co...

Co z lady Catherine, próbowała zapytać. Ale on pochylił się nad nią i całował jej pierś, sam jej pączek, przez sprane płótno koszuli, a jej obiekcje zamieniły się w jęk.

Potem już nie miała żadnych obiekcji. Zsunął z niej spódnicę, a ona pomogła mu,

unosząc biodra. Zsunął jej koszulę, a ona poruszyła się, żeby było łatwiej i prędej.

Potem leżała na wznak, zażenowana, ale zbyt ciekawa, żeby nie patrzeć, jak on z kolei się rozbiera. Frak, kamizelka, koszula.

Ach, żądza!

Jakie to cudowne, kiedy gorąco promieniujące z brzucha ogarnia ręce i nogi, zatapia zmysły w pożądaniu. Kopnięciem pozbył się butów, ściągnął bryczesy i stanął, wysoki i dumny, wśród złudnych cieni oświetlonego księżycem pokoju. Wyglądał jak wcielenie męskości, aż Phoebe chciało się krzyknąć.

Był tu dla niej. Cały jej.

Wrócił do łóżka, potężny widmowy kochanek, myślący ojej przyjemności. O niej. Czy ktoś kiedykolwiek pomyślał o jej przyjemności? Nigdy. Przez całe życie ani razu nikt nie zadał sobie trudu, żeby sprawić jej przyjemność. Jak mogłaby teraz zaprotestować i czemu miałyby?

Przyjęła go więc z otwartymi ramionami i otwartym sercem, smakując ten moment, wyrzucając wszystko pozostałe do innej części życia.

Ach, słodka żądza!

Znów był na niej, gorący, twardy i domagający się.

Ale ona była śmielsza niż przedtem, odrzuciła lęk i wstyd. Zepchnęła go z siebie, przetoczyła się na niego i całowała go całą sobą

— ustami, piersiami, brzuchem, dłońmi.

Co za oszałamiające uczucie mieć władzę, być na wierzchu. Posuwała się wzdłuż jego ciała, odkrywając szorstkość jego owłosionej piersi na swojej delikatniejszej skórze jego silne, napięte mięśnie jego gotową, wzwiedzioną męskość.

Pokierował jej dłońią, by badała dalej jego twarde, tajemnicze ciało, więc podążała

dalej zadziwionymi ustami. Odkryła małe męskie sutki i płaski brzuch, zarys mięśni i żeber, zagłębienie pępka. Wtem jego męskość uniosła się gorąca i twarda pomiędzy jej piersiami, a ona na moment się zawahała.

— Pocałuj mnie - wymruczał ochryple, pożądliwie.

Pragnął, żeby pocałowała go tam, tak samo jak ona, kiedy minął pierwszy szok, zapragnęła, by on obdarzył ją tym najbardziej intymnym pocałunkiem. Zsunęła się więc, okrywając pocałunkami tę dziwną, gładką skórę. W odpowiedzi całym nim wstrząsnął dreszcz.

Dało jej to niewiarygodne wprost poczucie władzy i nadało nowy wymiar żądzy: to ona doprowadzała jego do szaleństwa z pożądania. Ta świadomość ją samą rozpałała jeszcze bardziej.

Chciała go znów pocałować w ten sposób, ale on z nieartykułowanym okrzykiem chwycił ją za ramiona i pociągnął w górę, aż jej twarz znalazła się znów przy jego twarzy. Potem ujął jej głowę w dłonie i pocałował ją. Pocałunek był tak głęboki i zaborczy, że poczuła się tak, jakby posiadał jej duszę.

— Phoebe — wyjęczał jej imię, chwytając oddech, kiedy ich usta znów się rozdzieliły.

— James — wyszeptała zachwycona tym, że czuje jego imię na wargach.

On położył jej rękę na kolanie i uniosł biodra. Był tam, gotów wydobyć ją z otchłani drżącego pragnienia, druzgoczącego pożądania, nieskończonej, wiecznej miłości.

Nie, opamiętała się. Miała na myśli żądzę.

Nie miłość, a żądzę.

Ale kiedy wszedł w nią powolnym pchnięciem, wypełniając jej serce tak samo jak jej kobiecość, zelektryzowała ją prawda, którą sobie uświadomiła. Było to tak prawdziwe jak ten dom, tak niewzruszone, jak skała tworząca wzniesienie

Sliwkowego Wzgórza. Kocha Jamesa Lindforda.

Prawda przygniotła ją, aż zabrakło jej tchu, a spod rzęs popłynęły łzy. Kocha go i nic z jego przeszłości nie może tego zmienić. Ani Louise, ani lady Catherine. Do nich

należy przyszłość, mogą robić to, czego pragną, a jeśli spróbują, sprawią, że przyszłość ta będzie cudowna.

Ale to terażniejszość przepelniała ją radością. To on w jej ramionach, jego ruchy — wycofanie się i ponowne wejście w nią — były tym, na czym skupiła się całkowicie.

Och, radość żądzy i miłości, i tych płynnych ruchów!

Poruszał się coraz szybciej, wdierał się głębiej w miłosnym zapamiętaniu. Nie czuła się pokonana. Czuła się zwycięska. Coraz bardziej. Coraz goręcej. Żądza i miłość.

Dominacja i uległość.

Palący żar, bolesna radość. Wtem nadeszło to cudowne, gwałtowne zwanie, które wstrząsnęło nią do głębi, roztrzaskało ich oboje, aby spoić ich w jedno.

— Phoebe! - wykrzyczał jej imię, doznając w niej spełnienia. A ona

ścisnęła go, żeby zatrzymać dla siebie na zawsze jego cząstkę. James. Jej James.

Nigdy z niego nie zrezygnuje. Nigdy.

Nie opuszczał jej łóżka do bardzo późna.

Prawdę powiedziawszy, było już raczej wcześniej, a nad ciemnym horyzontem, nad morzem sączył się już brzask. Nie odszedł, zanim nie kochał się z nią znowu, wolniej, ale nie mniej mocno. Pierwsze desperackie pożądanie zastąpiło teraz poszukiwanie i odkrywanie, dążenie do doskonałości.

Było tak, jakby znów był to ich pierwszy raz, jakby ona nigdy przedtem nie uczestniczyła w tym pierwotnym akcie zjednoczenia. Zarazem jednak teraz wiedziała już, czego chce sama i czego chce on. Było to jak pozbawiony sensu sen, jak przenoszenie się z jednego momentu rozkoszy w drugi, gdzie logika nie ma nic do

powiedzenia.

Drobne ślady pod jej palcami nie miały być miłosnymi znakami, ale były. Nie powinna była pragnąć, by jego język błędził po krągłości jej pośladków, ale pragnęła. On nie powinien był jęczeć i drgać, kiedy gładziła go długimi pasmami swoich włosów, kiedy oplotła nimi jego pulsującą męskość. Ale on jęczał i drgał, i ukarał ją - nagroził ją - unieruchamiając ją pod sobą, nie pozwalając jej się poruszyć, kiedy znów doprowadził ich do spełnienia.

Potem był tylko ochrypły odgłos, z jakim oboje chwyтали oddech, i uparte zawodzenie nocnego wiatru pomiędzy szczytowymi belkami domu.

- Gdybym mógł - wymamrotał w gorącą ciemność - wziąłbym cię w niewolę,

Phoebe. Trzymałbym cię w ukryciu dla mojej wyłącznej rozkoszy.

Przesunął dłonią po jej żebrach, odnalazł krągłość piersi. Obwiodł palcem jej sutek, budząc go na nowo. Zamknęła oczy, poddając się bezradnie. Czy to pragnienie go

nigdy nie ustanie? Ta żądza? Bo jej miłość z pewnością nie.

- I każdej nocy przychodziłbym do ciebie - mówił dalej, szczypiąc palcami obudzony pączek. - I każdego ranka.

Pochylił się i ujął zębami wrażliwy sutek, drażnił go wargami i językiem, aż musiała błagać o litość.

Przesunął dłoń w dół jej brzucha, w miejsce, które wciąż go czuło, a ona chętnie wyszła na spotkanie jego dotyku. Ledwo muskał czubkiem palca to rozpalone miejsce, zaś jego język boleśnie pieścił jej piersi.

Sięgnęła po niego, pragnąc silniejszego dotyku, ale unieruchomił jej ręce nad głową.

- Leż grzecznie - nakazał. - Bo sobie pójdę. Posłuchała go. Nie wierzyła, co prawda, że sobie pójdzie, ale i tak była mu posłuszna.

Zadowolony podjął na nowo te dręczące, delikatne pieszczoty, lekkie jak muśnięcie piórkiem, aż musiała walczyć o spełnienie, jakie obiecywały. Każda jej cząstka

domagała się cielesnego nasycenia, aż nawet strużka potu ściekająca po jej boku była podniecająca, nawet przesunięcie stopą po miękkiej, skotłowanej pościeli.

Każde następne muśnięcie było coraz słabsze, każdy dotyk krótszy i bardziej kuszący. Wreszcie Phoebe sięgnęła w głąb siebie, by zaznać ulgi, której tak pilnie potrzebowała. Kiedy to się stało, było jak eksplozja - jej ciało wygięło się w łuk, rozkosz przeszła każdą jego cząstkę, przetoczyła się przez nią jak fala przyływu i pozostawiła ją jak nieżywą.

-Śnij o mnie — powiedział, pochylając się nad jej bezwładnym ciałem i całując ją na do widzenia. -Śnij o mnie na jawie i we śnie, Phoebe. I wiedz, że dla nas to dopiero początek.

Potem odszedł, zwiastun świtu, jeśli nie liczyć coraz cieplejszego światła w pokoju.

Zwiastun świtu jej nowego życia. Kochała go.

- Kocham cię — zawołała aksamitnym szeptem w nasyconej erotyzmem atmosferze pokoiku.

Ale on już odszedł, a ona była zbyt wyczerpana, żeby się poruszyć. Zbyt wyczerpana, a jednocześnie przepelniona uczuciami. Miłość, żądza, szczęście. Wyczerpanie.

Obróciła się na bok, czując mięśnie, o których nie wiedziała, że je ma. Było jej tak dobrze. Tak dobrze... Naciągnęła na siebie prześcieradło i koc. Nigdy przedtem nie spała nago.

Ale też wszystko było dla niej pierwsze.

Phoebe obudził odgłos odległego pukania i wołanie z bardzo daleka.

- Phoebe. Phoebe, dziewczyno, gdzie ty jesteś?

Pani Leake!

Phoebe wyskoczyła z łóżka ogarnięta instynktownym poczuciem

winy. Pani Leake tu jest, a to znaczy, że musi wiedzieć!

— Nie wstałaś jeszcze? - Głos kobiety dochodził już z wnętrza domu. —

Rozchorowałaś się?

- Ja... nic mi nie jest - udało się Phoebe odkrzyknąć. I jestem naga. Dobry Boże! -

Proszę nie wchodzić na górę — pisnęła. - Zaraz schodzę.

Jak oszalała szukała koszuli, spódnicy i stanika. Jej sypialnia wyglądała jak po przejściu huraganu, który porozrzucił na wszystkie strony ubrania, pościel, a nawet tkane dywaniki. Zmarszczyła brwi, wciągając na siebie ubranie. Każdy, kto to zobaczy, będzie natychmiast wiedział, co tu się działo tej nocy.

Przeraziła się, kiedy zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Opuchnięte wargi, podkrążone z niewyspania oczy, splątane włosy. Każdy, kto na nią spojrzy, będzie natychmiast wiedział, co robiła tej nocy. Raz za razem. A potem jeszcze raz.

Przystanąła bez tchu, ogarnięta słabością na nieprawdopodobne wspomnienie tej nocy. To było takie cudowne. Takie idealne. Nienawidziła tego, że wobec pojawienia się pani Leake wygląda to tak trywialnie.

— Wielkie nieba - wykrzykiwała kobieta, patrząc w górę schodów

— kto to słyszał, żeby jeszcze spać po dziesiątej. Dobrze się czujesz?

— Dobrze. Ja... już idę. - Phoebe wsunęła stopy w drewniaki, zawinęła włosy w turban, jak do pracy, po czym zamknęła drzwi sypialni i na trzęsących się nogach zeszła na dół. — Nie spodziewałam się dziś gości - powiedziała, wchodząc do kuchni.

Ta mało subtelna wymówka spłynęła po pani Leake jak woda po kacze. Krzątała się jak u siebie, podkładała drwa, rozniecała ogień.

— Martwiłam się o ciebie, dziecko. Taka samiuteńka tutaj. — Podniosła wzrok i zmrużyła oczy. — Nie wyglądasz szczególnie dobrze. Jesteś pewna, że nie czujesz się nieswojo?

Prawdę mówiąc, nie. Nogi Phoebe drżały, mięśnie osłabły po nocnych wyczynach,

więc ciężko opadła na krzesło.

— Rozpaczałaś, prawda? To przez to się wpędzasz w chorobę. — Pani Leake przyłożyła rękę do czoła Phoebe. — Nie masz gorączki, czyli miałam rację.

Rozpaczałaś za swoją Helen.

Phoebe oparła łokcie na stole, czoło podparła dłonią. Okropna prawda była taka, że podczas długiej, miłosnej nocy z Jamesem ani razu nie pomyślała o Helen. Teraz zaś, choć czuła się winna, że zmyliła panią Leake, jakże miałyby ją wyprowadzić z błędu.

Pozwoliła jej więc krzątać się, zagotować wodę, zaparzyć herbatę i nakarmić kota.

— Niedługo trzeba się będzie zająć twoimi kozami.

— Tak, wiem.

— Rozumiem, że dziś nie idziesz do Farley Park.

Phoebe pokręciła głową.

— Dziś nie.

Ale może później będzie mieć gościa...

Uniosła głowę i przetarła zmęczone oczy.

— Zastanawiam się, czy mogłaby pani mi pomóc, pani Leake.

— Przecież właśnie po to tu jestem, dziecko. Żeby ci pomóc.

— Muszę wynająć dziewczynę, kogoś, kto zajmie się domem i zwierzętami, kiedy ja będę zajęta czym innym.

— Czyli płaci ci wystarczająco, jeżeli możesz wynająć sobie kogoś do pomocy. —

Kobteta wydeła wargi, ważąc tę kwestię w umyśle.

— Sądzę, że to dobrze. Jeśli chodzi o znalezienie kogoś, cóż, nie powinno to być trudne, skoro praca jest rzadkością w tej okolicy.

- Jeżeli usłyszysz pani o odpowiedniej osobie, przyśle ją pani do mnie? Będę albo tutaj, albo w Farley Park.

- Świetnie. A skoro mówimy o twojej pracy w Farley Park, rozumiem, dziecko, dlaczego to robisz. Helen mieszka teraz tam, a ty jesteś taka samotna na Śliwkowym Wzgórzu. Ale nie wolno ci odcinać się od swoich przyjaciół w Swansford. - Nalała herbaty i spojrzała na Phoebe uważnie. — Chcę, żebyś przyszła na obiad w niedzielę po kościele. Zaprosiłam kilku przyjaciół, nic wymyślnego, zastrzegam.

Phoebe zamrużyła ze zdumienia. Pani Leake zaprasza ją na obiad? To się nigdy dotychczas nie zdarzyło.

- Ja... hm... prawdopodobnie spędzę ten dzień z Helen.

- Nonsens. Każdemu się należy dzień wolny. Poza tym spędzasz dość czasu z tym dzieckiem i robiłaś tak przez całe jej życie. Pora, żebyś zaczęła żyć własnym życiem, a nie jej, moja Phoebe. Niedługo już w ogóle nie będziesz jej potrzebna. I co wtedy zrobisz, samiusienka tutaj, za stara, żeby wyjść za mąż? Przyjdź na obiad w niedzielę. Nie wyjdę stąd, dopóki się nie zgodzisz.

W końcu Phoebe się zgodziła. Był to jedyny sposób na pozbycie się tej kobiety. Pani Leake miała coś na myśli, a sądząc z jej uwag, miało to związek z wydaniem jej za mąż.

- Dziękuję - powiedziała, opierając się o framugę drzwi, podczas gdy pani Leake wdrapywała się na wóz. Phoebe skrzywiła się na ten widok. Gdyby ona miała dziś wdrapać się na wóz, nie dałaby rady, tak słabe miała nogi.

Pani Leake ujęła lejce, ale jeszcze wstrzymała się z odjazdem.

- Wielkie nieba, byłabym zapomniała. Kolejne dziwne rzeczy dzieją się w Farley Park, o czym się przekonasz, kiedy tam pójdziesz dziś albo jutro.

Lęk targnął sercem Phoebe. Tylko nie lady Catherine. Nie tak szybko. Ukryła lęk pod maską uprzejmego zaciekawienia.

- Dziwne rzeczy?

-O tak. Przepyszny powóz zaprzężony w czwórkę wspaniałych koni zjechał do miasta wczoraj późnym wieczorem. Bardzo elegancki, z dwoma lokajami i pokojówką na usługi dwóch wielkich dam, które wzięły pokoje w zajęzdzie.

— Dwie damy? — Oczywiście. Przecież niepodobieństwem jest, żeby lady Catherine podróżowała bez osoby towarzyszącej. - To bardzo ciekawe.

Pani Leake przechyliła głowę, a jej twarz przybrała chytry wyraz.

- Wychodzi na to, że jedna z nich to ta lady Catherine, co to o niej czytałyśmy, ta córka hrabiego, którą twój dobry pan tak sromotnie upokorzył w Londynie. Cóż, okazuje się, że nie zapomniała o nieznośnym wicehrabim. Zdaje się, że przyjechała go odwiedzić, ona i jej przyjaciółka, jakaś pani Donahue. - Pani Leake wydała z siebie coś na kształt chichotu, kręcąc głową. - Och, ten lord Farley to dopiero ziółko, moja Phoebe. Bardzo sprytny, bardzo szybki. Przecież nabrał Louise, prawda? A

wszyscy wiemy, że to kobieta światowa. Ty lepiej uważaj na siebie przy nim. Ja mu nie ufam i ty też nie powinnaś.

— Prychnęła z dezaprobatą. -Wiedząc to, muszę jednak powiedzieć, że jestem spokojniejsza o ciebie jako o guwernantkę jego dziewczynek, teraz, kiedy ta kobieta przyjechała go odzyskać. Przynajmniej domyślam się, że taki ma zamiar. Inaczej mówiąc, nie potrzebujemy, żeby ten mężczyzna sprowadził na złą drogę następną naszą pocziwą dziewczynę.

Za późno, chciała powiedzieć Phoebe, kiedy pani Leake odjeżdżała wyboistą ścieżką.

Za późno. Patrzyła na ciężki wóz sklepowy, który chwiał się i kołysał jak tonący galeon.

Phoebe tak samo tonęła na śliskich skałach otaczających Jamesa Lindforda. Miłość, żądza. Trzy ukochane dziewczynki, a teraz jeszcze narzeczona, która chce go odzyskać.

Wstrząśnięta bardziej niż chciała przyznać, Phoebe wróciła do domu i usiadła nad swoją wystygłą tymczasem herbatą. Wczoraj zgodziła się wprowadzić do niego jako guwernantka jego dzieci. Tej nocy nic innego jak zgodziła się zostać jego kochanką. A teraz wróciła jego narzeczona. Ale pomimo lady Catherine Phoebe obawiała się, że odkąd pokochała Jamesa i jego dzieci, nie ma dla niej odwrotu.

15

Helen i Izzy przyjechały po południu wózkiem zaprzężonym w kuca, powożonym przez stajennego, któremu polecono przywieźć rzeczy Phoebe. Phoebe nie miała kufrów i waliz, w które mogłaby spakować swój skromny dobytek. Stara torba ojca na narzędzia stolarskie musiała wystarczyć do spółki z koszykiem na przybory do szycia matki.

Prawdę mówiąc, najmniej ważne było dla Phoebe jaki weźmie bagaż co będzie zawierał. Zbyt była przejęta groźbą spotkania z nadzwyczajną lady Catherine i zbyt przerażona, że zobaczy pełen uwielbienia

— i pożądania — wzrok Jamesa utkwiony w tej kobiecie. Planował przecież z nią małżeństwo, zanim ona z nim zerwała. Londyńska gazeta nie pozostawiała co do tego wątpliwości. Czemu więc znów nie miałby mieć chęci jej poślubić? I po cóż innego ona miałaby odbyć tę długą podróż, jak nie po to, by mu wybaczyć i odzyskać go?

Jednak najbardziej niepokoiła Phoebe jej własna rola w tej całej sytuacji. Wiedziała o nieuchronnym przyjeździe lady Catherine przed zeszłą nocą.

Dlaczego mu uległa?

Czy była tak zdesperowana, godna pożałowania, żeby pomyśleć, że mogłaby ukraść uczucie Jamesa jego byłej narzeczonej, posługując się swoim ciałem jako przynętą? Przecież już trzy żywe przykłady świadczyły o tym, że fizyczne zbliżenie nie zapewni jej stałego i głębokiego uczucia Jamesa. Niczego stałego z wyjątkiem bólu

serca. Już czuła ćmiący żal i pustkę w piersi.

— Nie przypuszczałam, że kiedyś zobaczę taki bałagan w twojej sypialni -

powiedziała Helen, rozglądając się po pokoiku na strychu z wyrazem zdumienia na twarzyczce.

— Mnie się podoba - oznajmiła Izzy, wskakując na skotłowane łóżko i zeskakując z niego. - Miłe i miękkie.

— Wyjdźcie stąd - powiedziała Phoebe. - Idźcie na dół i poszukajcie kotka.1

To, co robiła z Jamesem w tej sypialni, na tym łóżku, było dla niej zbyt świeżym wspomnieniem, żeby mogła znieść tu baraszkuje dziewczynki. Nie chodziło o to, że mogłyby się domyślić, ale...

Jakby za sprawą tej myśli, Izzy zanurzyła twarz w poduszce, po czym nagle usiadła, jak dźgnięta szpilką od kapelusza. Byстрым wzrokiem spojrzała w twarz Phoebe, jej oczy wyraźnie mówiły o podejrzeniu. Potem, tak jak gasi się lampę, wyraz jej twarzy szybko zmienił się z podejrzliwego na niewinnie neutralny.

Ona wie!

Phoebe nie była pewna, jak to możliwe, ale przecież Izzy, mieszkając w Londynie, poznała życie od bardzo brutalnej strony. Czy to możliwe, żeby wiedziała, co dzieje się pomiędzy mężczyzną a kobietą? Oczywiście, że wie. James zabrał ją od matki, ponieważ ta kobieta zachowywała się niestosownie. Phoebe mogła się tylko domyślać, co to znaczyło. Co gorsza, pokój emanował wonią żądzy i miłosnego aktu, przesiąknął emocjami wyzwolonymi podczas tych burzliwych godzin przed nadejściem świtu.

Serce podeszło jej do gardła, kiedy patrzyła, jak Izzy z wystudiowaną nonszalancją ześlizgnęła się z łóżka.

— Możemy pościelić łóżko, kiedy ty będziesz kończyć się pakować

- powiedziała. - Stań z drugiej strony, Helen.

— Nie musicie tego robić — zaprotestowała Phoebe.

Ale i tak to zrobiły, a Izzy przez cały czas rzucała na nią ukradkowe spojrzenia.

Phoebe zajęła się zawartością swojej szafy: bluzki, koszule nocne, halki, pięć sukien, lepsze pantofle i kapcie. Wiedziała jednak, że Izzy domyśliła się, i to zmieniało

wszystko. Jako guwernantka miała dawać dobry przykład swoim podopiecznym. Na pewno nie miała zachowywać się jak ładaczniczka w stosunku do ojca swoich uczennic.

Phoebe denerwowała się przez całą drogę do Farley Park, a nagły, zimny deszcz, który zaczął padać, gdy skręcały na podjazd, pasował do jej nastroju.

Dotarły do domu zmarznięte i przemoknięte. Rondo kapelusika Phoebe opadło po obu stronach jej twarzy, mokre włosy zwisały nad oczami. Izzy i Helen czym prędzej czmychnęły do swoich sąsiadu-jących ze sobą sypialni. Phoebe pozostała w holu na dole, czekając na opieszalego kamerdynera i zastanawiając się, czy jest jakiś sposób, żeby odwrócić się i pójść do domu, tak aby nikt nie mógł jej powstrzymać.

Oczywiście, aby dopełnić nieszczęścia, lady Catherine natknęła się na nią pierwsza.

Phoebe rozpoznała ją natychmiast. Była dokładnie taka, jak pisano w gazecie:

wspaniała, elegancka, w każdym calu modna młoda dama z towarzystwa.

Phoebe niemal zapało dech, kiedy wyłoniła się ona z pokoju bilardowego niczym delikatna, złocista zjawka. Ruchy miała tak delikatne i ulotne, że zdawała się płynąć. To, że pod wieloma względami przypominała Louise, było zdecydowanie przygnębiające. Lekko skośne oczy o złotych rzęsach, różana cera, wargi zarysowane idealnie na kształt łuku Amora.

Przez chwilę Phoebe zastanawiała się, czy ta elegancka, wyglądająca na kruchą, piękność tak samo jak Louise jest wewnątrz twarda jak skała. W następnym

momencie oddaliła od siebie tę myśl. Czemu ta upudrowana, wypieszczona, wyperfumowana kobieta miałaby być twarda? Nigdy w życiu niczego jej nie brakowało - poza, być może, wicehrabią Farleyem.

Opuszczone ramiona Phoebe opadły jeszcze bardziej. Nic dziwnego, że James kocha lady Catherine. Samo nasuwało się pytanie, co takiego widział w Phoebe?

Phoebe miała świadomość swoich wad. Była wysoka i silna, jej włosy były ciemne, wbrew nakazom mody, a opalona skóra naznaczona piegami tam, gdzie powinna być blada i delikatna. Dłonie miała szorstkie, paznokcie krótko obcięte ze względów praktycznych. Uczesanie też miała praktyczne - włosy ciasno ściągnięte do tyłu i przytrzymane prostymi grzebieniami bez ozdób.

Jej matka czesała się w ten sam sposób.

Phoebe skrzywiła się na to straszne spostrzeżenie. Ale to była prawda. Miała najgorsze cechy swojej matki. Była jędzowata, wobec ludzi przyjmowała postawę oceniającą i nazbyt często ich potępiała. A jednocześnie była rozpustnicą, jaką nie była nawet jej swawolna siostra.

Chora na duszy, Phoebe odsunęła z czoła przemoknięte włosy i stanęła twarzą w twarz z tą kobietą o nienagannym wyglądzie i nieskazitelną opinią.

— Dzień dobry. Pani musi być lady... Catherine — zająknęła się na tych słowach.

Blond piękność wdzięcznie skinęła głową, po czym uniosła delikatnie zarysowane brwi.

— A pani jest?

— Phoebe Churchill. Guwernantka.

— Och, rozumiem. Guwernantka.

Spojrzenie chłodnych, niebieskich oczu przesunęło się po przemoczonej postaci

Phoebe od stóp do głów, bez wątpienia rejestrując każdą jej wadę.

Po raz pierwszy Phoebe targnęło oburzenie.

— Owszem. Guwernantka. — Uniosła odrobinę brodę. — Jak mogła pani zauważyć, złapał nas deszcz. Może zechciałaby pani wezwać kogoś ze służby, żeby mi pomógł?

— Oczywiście. Obawiam się jednak, że Farley Park cierpi na brak służby. Wszakże teraz, kiedy pani jest tu, żeby zająć się dziećmi i ja tu jestem, żeby pomóc Jamesowi, to znaczy lordowi Farleyowi, być może wkrótce znajdziemy mu odpowiednią

ochmistrzynię. Proszę tu poczekać, wezwę pokojówkę. — Jej wargi wygięły się w słabym uśmiechu. — Przecież nie chcemy, żeby się pani przeziębila, prawda?

Sama w holu, stojąc w powiększającej się kałuży ściekającej z niej wody, Phoebe odczuwała przenikliwy chłód, ale nie miał on nic wspólnego z jej przemokniętym ubraniem. Więc to jest kobieta, którą James pokochał, kobieta, którą poprosił o rękę.

Należała do typu kobiet, z jakimi żenią się mężczyźni tacy jak on. Pochodziła z ustosunkowanej rodziny miała ugruntowaną pozycję towarzyską. Ciągłe nauki matki na temat zachowania w towarzystwie bladły wobec tak idealnego przykładu.

Nawet Louise była nędzną imitacją prawdziwej damy. A lady Catherine bez wątpienia była prawdziwą damą. Przyciskając do piersi matczynej koszyk na

przybory do szycia, Phoebe rozejrzała się po wspaniale urządzonej holu i wznoszących

się nad nim schodach. Oto oprawa dla prawdziwej damy: marmur, mahoń, złocenia, dzieła sztuki. Ona była raczej przyzwyczajona do gipsu i mocnego dębu, do bielonych wapnem ścian i prostego krucyfiks.

W tym momencie nadszedł kamerdyner, a jednocześnie, choć z przeciwnego kierunku, James.

- Proszę o wybaczenie, panienko.

- Więc tu jesteś.

Za kamerdynerem nadciągnęła lady Catherine. Wzrok Jamesa powędrował od

Phoebe ku drugiej kobiecie i z powrotem. Po chwili przerwy powiedział:

- Panno Churchill, niech mi wolno będzie przedstawić lady Catherine Winfield.

Jak złocista chmura lady Catherine podpłynęła do przodu i wsunęła mu pod ramię rękę w pierścionkach i bransoletach, jakby zarzucając przy nim kotwicę, żeby nie odpłynąć.

- Już się poznałyśmy, Jamesie. A teraz, zamiast zatrzymywać ją tu na pogawędkę, może powinniśmy pozwolić jej odejść do pokoju, żeby mogła doprowadzić się do porządku.

- Oczywiście. Musiała pani przemarznąć - powiedział do Phoebe.

Phoebe skinęła głową, czując się, jakby ją odprawiono. Choć z ulgą opuszczała hol, zażenowana swym wyglądem, wlokąc się po schodach za powolnym kamerdynerem, nie czuła ulgi. Cały czas natomiast czuła na sobie wzrok Jamesa. Sprawę pogarszała jeszcze świadomość, że związany jest z idealną kobietą, z którą Phoebe nie mogłaby się porównywać, chyba że na niekorzyść. Czekala godzinę, zanim przyniesiono jej do pokoju gorącą wodę. Ogień rozpalila sama, chroniąc się tymczasem przed zimnem kocem narzuconym na mokrą koszulę. Zanim dwóch ludzi przybyło z wodą na kąpiel, włosy miała prawie suche. Mimo to je umyła, a potem włożyła swoją najlepszą suknię. To było oczywiście głupie. Jej najlepsza suknia wyglądała jak worek na rzepę przy codziennej sukni lady Catherine.

Schylona nad ogniem rozczesywała włosy, prowadząc w myślach spór sama ze sobą o to, jak je ułożyć, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - zawołała, spodziewając się pokojówki. Wszedł James, a ona szarpnęła się

na jego widok, odrzucając gwałtownie do tyłu kaskadę na wpół suchych włosów. —

Nie wolno ci być tutaj!

- Zaprosiłaś mnie.

Zamknął drzwi ze złowróbnym, a zarazem cudownie brzmiącym szczęknięciem zamka.

- Tylko dlatego, że nie wiedziałam, że to ty.

- Spodziewałaś się kogoś innego? — uśmiechnął się.

- Nie. To znaczy tak. Pokojówki albo którejś z dziewczynek.

Pokręcił głową.

- Przepraszam za niesubordynację mojej służby. W tej chwili nikt nimi nie kieruje. A dziewczynki nie zwracałyby sobie głowy pukaniem.

- Specjalnie udajesz, że nie wiesz, o co mi chodzi - powiedziała Phoebe, przykładając dłoń do swojego niespokojnego brzucha. - Nie wolno ci być w moim pokoju. Ale

ponieważ to wiesz, mogę tylko założyć, że chcesz mnie dręczyć. Cóż, na to nie pozwolę.

Wobec jej niezadowolenia jego kpiący uśmiezek znikł.

- Jesteś zdenerwowana z powodu Catherine, ale nie ma potrzeby. Przyjechała tu tylko z wizytą na kilka dni.

Zaczął zbliżać się do niej, a Phoebe poczuła, że z każdym jego krokiem jej sprzeciw

słabnie. Byli sami. Za nią znajdowało się łóżko, wielkie i miękkie, i czekające, żeby zrobić z niego właściwy użytek. Poza tym on jej pragnął — to wiedziała. I, och, jak

ona pragnęła jego.

Jednak poddanie się pożądanemu dawałoby jedynie złudną pewność. Pragnął jej w

swoim łóżku tak samo, jak pragnął nieskończonej liczby innych kobiet. Z jego strony

była to przelotna zachcianka. Jeśli ma przeżyć nadchodzące tygodnie czy miesiące,

zanim on ostatecznie wróci do Londynu, musi przyjąć podobną postawę. Ich

interludia, jeśli w ogóle mają być, mogą być tylko rozkosznymi momentami poza rygorami ich prawdziwego życia. W każdym razie poza rygorami jej prawdziwego życia.

- Proszę, błagam, nie narażaj mnie na krytykę ze strony twoich przyjaciół i służby. Zatrzymał się zaledwie o krok od niej.

— Nie jest to moim zamiarem. — Wyciągnął rękę i delikatnie musnął kciukiem jej dolną wargę. Jedno muśnięcie i opuścił rękę. - Nie jest to moim zamiarem - powtórzył. — Ale też nie zamierzam lekceważyć tego, co jest między nami, Phoebe. — Panno Churchill - powiedziała śmiesznie słabym, zdyszczanym głosem. Jedno dotknięcie i stopniała jak wosk. Jedno dotknięcie.

Dziecięcy śmiech, tupot stóp i radosne psie szczekanie położyły nagły kres temu naładowanemu emocjami spotkaniu.

— Phoebe! Phoebe...- Izzy urwała, wpadając do pokoju. James miał rację, nie zawracała sobie głowy pukaniem. Helen tuż za nią, z poszczekującym Brunonem płaczącym się pod nogami. Wskoczywszy do pokoju, zaczął kręcić się za własnym ogonem, a one zanosiły się śmiechem. Mimo to Phoebe dostrzegła nieomylnie błysk podejrzliwości w oczach Izzy.

— Twój pokój jest piętro niżej od naszych — powiedziała Helen.

— Czemu nie możesz mieszkać koło nas, jak w domu?

— Teraz tu jest twój dom, kochanie. Ale to bardzo dobry pomysł.

— Byle tylko jej pokój znajdował się jak najdalej od pokoju Jamesa.

— Czy mogę się przenieść do pokoju bliżej dzieci? — spytała tak zdawkowo, jak tylko umiała.

Skrzywił ironicznie kącik warg, dając do zrozumienia, że wie, do czego ona zmierza.

— Nie jestem pewien, czy na górze są jeszcze odpowiednio urządzone pokoje.

— Och tak. Są — zapewniła Helen żarliwie.

— Drugie piętro jest dla dzieci — sprzeciwiła się Izzy. -Te n pokój jest dobry dla Phoebe. Może tu zostać.

Izzy najwyraźniej rzucała Phoebe w ramiona ojca, a Phoebe doceniała jej dobre intencje. Dziecko nie rozumiało jednak, jak skomplikowana jest cała sytuacja, i tego, że pewne rzeczy są niemożliwe. Izzy wiedziała tylko, że Phoebe doskonale nadaje się, żeby zastąpić matkę jej i jej przyrodnim siostrom.

Choć rozwianie jej marzeń zakrawało na okrucieństwo, Phoebe obawiała się, że jest to lepsze, niż pozwolić Izzy wyobrażać sobie różową przyszłość, która nigdy się nie ziści. Phoebe jest guwernantką i aktualną kochanką wicehrabiego. Nigdy nie będzie jego żoną.

- Prawdę mówiąc, wolałabym być obok dziewczynek. Może pokażecie mi swoje pokoje? Proszę się nie kłopotać, lordzie Farley — dodała, biorąc Helen za rękę i kierując się do holu - ustalę wszystko z kamerdynerem.

Izzy dogoniła je na schodach.

- Przecież to taki ładny, duży pokój. I twoje rzeczy już tam są.

- Łatwo je przenieść — odparła Phoebe.

Wchodząc po schodach, zerknęła w głąb holu. Patrzył za nią z namysłem w oczach.

Wygrała pierwszą rundę, ale on wcale nie był dalszy od myśli o uwiedzeniu niż przedtem.

Ona zresztą też. Ale nie miała zamiaru dawać sobą kierować ani jemu, ani lady Catherine.

- Przy okazji - zwróciła się do dziewczynek, ale wystarczająco głośno, żeby ją usłyszał. - Czy poznałyście już gościa waszego ojca, lady Catherine?

James usłyszał, że Phoebe rzuciła rękawicę, i z lubością podjął wyzwanie.

- Obiad o ósmej - zawołał za nimi. - Przy wielkim stole.

Przynajmniej obiad będzie zajmujący.

Jadalnia była rozświetlona blaskiem jak wewnątrz oszlifowanego diamentu. Odbicia płomieni trzech tuzinów świec tańczyły w kryształach, srebrach i złożonych lustrach na ścianach. Phoebe ogarnęła zachwyconym spojrzeniem wspaniałą komnatę,

starając się nie rozdziawić buzi. Na szczęście stół był nakryty tylko z jednego końca, u szczytu zasiadał James. Po jego prawej stronie siedziała lady Catherine, dalej pan Fairchild i przesadnie wystrojona kobieta, którą przedstawiono Phoebe jako panią

Donahue. Phoebe zajęła miejsce po lewej stronie, pomiędzy Izzy a Helen.

- Obiad en famille — lady Catherine uśmiechnęła się łagodnie. — Zawsze uważałam tego rodzaju posiłek za jeden z najbardziej czarujących aspektów wiejskiego życia.

To takie przyjemne i inne od oficjalnych rytuałów jadań posiłków w mieście. -

Zwróciła przejrzyste spojrzenie na Phoebe. - Aczkolwiek jestem pewna, panno

Churchill, że nauczy pani dzieci lorda Farleya również etykiety obowiązującej przy oficjalnym stole.

— Oczywiście. W stopniu, w jakim pozwoli na to moja skromna wiedza.

Tego jednak Phoebe nie wyznałaby głośno za żadne skarby. Oczywiście było dla niej, że lady Catherine stara się dowieść swojej wyższości nad nią, z którą to wyższością

Phoebe, choć niechętnie, musiała się zgodzić — ale tylko po cichu. Posłała

wymowne spojrzenie Izzy i Helen, po czym z obojętną swobodą rozłożyła sobie na

kolanach serwetkę. Jak małe cienie dziewczynki powtórzyły jej ruchy, a potem, ku jej uldze i dumie naśladowały ją przez cały czas trwania obiadu.

A obiad okazał się bardzo długi. Po porządku utrzymywanym twardą ręką przez

panią Gatling w kilka dni po jej odprawieniu najwyraźniej nie zostało ani śladu. Zupę z porów podano o czasie, gorącą, pachnącą i bardzo smaczną. Potem jednak przyszło

im czekać pełny kwadrans, zanim pan Benson naleje wino przed przystawką z pasztetów. Po pasztetach kamerdyner znów napełnił kieliszki winem w dręcząco powolnym tempie. Następna była barwena w sosie kardynalskim, zimna, choć miała być na ciepło. Po kolejnej dłużącej się przerwie przyniesiono półmisek ostryg, a po dłuższej chwili podano pieczoną sarninę z groszkiem i wreszcie ostatnie danie: kaczkę w stężałym tłuszczu, otoczoną sałatą i warzywami korzeniowymi.

Z twarzy lady Catherine nie znikał spokojny uśmiech, który zaskarbił jej głęboki szacunek Phoebe. Słyszała wręcz głos matki: prawdziwa dama nigdy nie zauważa niedociągnięć w prowadzeniu domu gospodarza.

Jej własny wyraz twarzy przypominał prawdopodobnie bardziej minę pani Donahue i nie był tak spokojny i obojętny. Przed położeniem się do łóżka miała zamiar zwrócić się do pana Bensaona

z kilkoma ostrymi uwagami na temat kierowania służbą. Gdyby nie jednoczesna potrzeba bronienia pola przed lady Catherine, natychmiast popędziłaby do kuchni. Na szczęście pan Fairchild zabawiał wszystkich, tak że dziewczynkom udało się wysiedzieć spokojnie prawie do deseru.

- O mój Boże - odezwała się Phoebe, kiedy Helen nie zdołała stłumić potężnego ziewnięcia. — Robi się późno. Jeśli pan pozwoli, milordzie, uważam, że dziewczynki powinny zabrać deser do dziecięcego pokoju.

Ucichła pod jego baczny spojrzeniem. Cały czas, na ile to było możliwe, unikała jego wzroku. Zresztą wzroku lady Catherine też. Zostawał jej pan Fairchild i pani Donahue, którzy siedzieli naprzeciwko. Teraz jednak spojrzała na Jamesa.

Na lorda Farleya, powiedziała sobie. Musi myśleć o nim jako o lordzie Farleyu, nie o Jamesie. Nie było to łatwe, biorąc pod uwagę stopień ich zażyłości.

- Jak najbardziej, panno Churchill. Dziewczynki mogą odejść. Dobranoc, Izzy Helen.

- Ale kiedy Phoebe wstała, żeby także odejść, zatrzymał ją. - Nie ma potrzeby, żeby pani odchodziła tak wcześnie.
- Muszę dopilnować dzieci.
- Umieję trafić do własnych sypialni.
- Tak, ale skoro jestem ich guwernantką...
- Któraś z pokojówek pomoże im przygotować się do snu.
- A co z ich deserem?

Żaloszny argument, na pewno, ale Phoebe zaczynała wpadać w panikę. W jakiś sposób obecność dzieci w jadalni chroniła ją. Bez nich jej dalsze przebywanie tu nagle wyglądałoby podejrzanie. Inni mogą się domyślić...

Ale James wydawał się zdecydowany zatrzymać ją.

- Pan Benson dopilnuje, żeby zaniecono im szarlotkę - oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Duch w Phoebe upadł. Czym innym było zasiąść do stołu w tym towarzystwie, mając przy sobie dzieci. One były jej buforem, jej ochroną, usprawiedliwiały jej obecność. Bez nich pozostawiona była sama sobie, nie na miejscu, wiejska gąska pomiędzy miejskimi pawiami.

Nigdy jeszcze nie zdarzyło się Phoebe tak głęboko żałować swojego ubóstwa, jak w tej chwili. Przecież sama suknia lady Catherine wystarczyłaby na zapłacenie jej co najmniej rocznych rachunków. A wartość zdobiącego dekolt tej kobiety złotego naszyjnika z bursztynami i kolczyków zapewniłaby prawdopodobnie byt Phoebe do końca życia.

Ale lady Catherine to nie tylko lekki jak pianka jedwab w kolorze łososiowym i błyszczące klejnoty oprawne w złoto. Odczytując niepokój Phoebe, położyła

doskonale wymanikiowaną dłoń bez rękawiczki na ramieniu lorda Farleya.

— Musisz pozwolić naszej panie Churchill wychowywać dzieci tak, jak uważa za stosowne, Jamesie. Jeżeli czuje, że powinna im towarzyszyć, nie możesz tego ignorować.

Zostało to powiedziane słodko i tak elegancko, że nie zabrzmiało karcąco, i tym trudniej było lordowi Farleyowi oponować.

— Dobrze — zgodził się po chwili wahania.

Jednak po ucieczce z jadalni przesyconej wonią niezliczonych woskowych świec zamiast mieć poczucie zwycięstwa, Phoebe czuła się pokonana. Lady Catherine należała do tego dokładnie gatunku kobiet, wśród jakich mężczyźni tacy jak lord Farley szukają sobie żon: piękna, wyrobiona, o nienagannych manierach i wdzięku zarówno wobec służby, jak i równych sobie.

Sprawę pogarszała jeszcze świadomość, że lady Catherine była dokładnie taka, jakimi Emilean Churchill chciała widzieć swoje córki. Louise była piękna, Phoebe była obowiązkowa, ale żadna z nich nie miała chłodnego wdzięku, jakim emanowała lady Catherine.

— Chcę zjeść deser w łóżku — oznajmiła Izzy idąca po schodach przed Phoebe.

— Nie. Nakruszysz i poplamisz pościel — odparła Phoebe, kiedy dotarły na drugie piętro.

— Bruno wylże - powiedziała Helen.

— A praczka upierze pościel — dodała Izzy.

Phoebe nie odpowiedziała, więc dziewczynki pobiegły do przodu, a ona powłokła się za nimi. Praczka, pokojówka na piętrze, kucharki

— wyliczała służbę, każdą posadę na jeden stopień wysokich schodów. Kamerdyner,

pokojówki na dole, lokaje. Stajenni, koniuszy, ogrodnicy. Więcej służby niż kiedykolwiek przypuszczałyby, ludzi w pełnej gotowości, czekających tylko na skinienie, a każdy z nich miał przydzielone osobne zadanie. Louise miała rację.

Helen będzie dorastać w luksusie i cieszyć się wszelkimi przywilejami.

Cząstka Phoebe, mała i podła, czerpała nikczemną satysfakcję z chaosu panującego obecnie w Farley Park pomimo tych wszystkich ludzi zatrudnionych do prowadzenia domu. Wiedziała jednak, że dzieje się tak tylko dlatego, że nikt tą całą służbą nie kieruje.

Choć nie do niej należało wkroczyć w te sprawy, nie leżało też w jej naturze tolerowanie tego rodzaju bałaganu, skoro wiedziała doskonale, że mogłaby go uporządkować. Co prawda nigdy nie miała do czynienia ze służbą, ale wiedziała, jak powinien być prowadzony dom. Niesforną służbę należy wziąć w karby, tak samo jak niesforne zwierzęta... i niesforne dzieci.

Oczywiście jeśli się tym zajmie, postąpi po myśli wicehrabiego, który życzy sobie, aby stała się w jego gospodarstwie nieodzowna. Na razie jednak postanowiła nie zwracać na to uwagi. Pomogła zatem dziewczynkom umyć się i przebrać do snu i usadziła je we wspólnym łóżku, z kawałkami szarlotki na talerzykach opartych na kolanach.

Wystarczyły dwie zaimprovizowane historie o trojgu dzieciach elfów mieszkających na strychu ogromnego domu, żeby dziewczynki głęboko usnęły. Phoebe pogasiła świece i przeszła do pokoju małej Lei. Uśmiechnęła się na widok śpiącego dziecka. Leya była na najlepszej drodze do zdrowia i wkrótce będzie biegać po schodach i korytarzach, praktykując swoją nowo odkrytą możliwość przemieszczania się.

Zanim to jednak nastąpi, Phoebe musi mieć pewność, że podłogi są do czysta umyte,

a cały dom funkcjonuje jak należy. Wróciła na dół. Jadalnia pogrążona była w mroku, co znaczyło, że James z gośćmi przeniósł się w inne miejsce — miejsce, które

go ze wszech miar zamierzała unikać. Starego kamerdynera znalazła w kuchni, gdzie siedział z kilkorgiem innych służących. Wszyscy spojrzeli na nią, kiedy weszła.

Założyła ręce.

- Lord Farley zasugerował, że możecie potrzebować pomocy w prowadzeniu domu, zanim zatrudni nową ochmistrzynię.

Pan Benson mrugał powiekami, z wolna pojmując. Stojąca przy ogromnym palenisku kucharka spojrzała na starca z dezaprobatą.

- Dzięki — mruknęła.

- Jutro - kontynuowała Phoebe - chciałabym spotkać się z panem, panie Benson, a także z kucharką i najstarszą pokojówką.

- Są dwie - powiedziała kucharka kwaśno. - Siostry.

- Siostry?

Pozostali rzucili kucharce ostrzegawcze spojrzenia, jakby miała uważać, co ujawnia obcej. Przysadzista kobieta nie zwracała na to uwagi.

- A i owszem. Dwie siostry, co to służą tu od lat i nie zgadzają się w niczym. W niczym — podkreśliła.

Kiedy nikt nie zaprotestował przeciwko słowom niezadowolonej kucharki, Phoebe wyduła wargi. Zaczynała rozumieć. Siostry, które nie zgadzają się w niczym, a każda z nich ma prawdopodobnie chrapkę na stanowisko ochmistrzyni. Z tym będzie umiała sobie poradzić.

- Niech więc przyjdą obie. O ósmej w biurze ochmistrzyni.

Wyszła zadowolona z tego, jak jej poszło. Poza tym, że nie wiedziała, gdzie jest

biuro ochmistrzyni. Ale dowiedzieć się tego nie powinno być trudno.

Wzięła świecę ze stolika w korytarzu gospodarczym i zaczęła po kolei sprawdzać, co jest za drzwiami. Znalazła jadalnię dla służby, spiżarnię, magazyn pościeli, ale nie biuro. Zamknąwszy czwarte drzwi, za którymi znajdował się nieużywany, pełen

kurzu schowek, odwróciła się i zaskoczona dostrzegła majaczący przed nią cień.

James!

- Szukasz kogoś? Czy mogę ośmielić się mieć nadzieję, że mnie?

— spytał, wchodząc w krąg mdłego światła, jakie dawała jej świeca.

Wciąż nie mogąc dojść do siebie, z dłonią przy szyi, powiedziała:

- Ja... szukałam biura ochmistrzyni.

- To tam - wskazał boczny korytarzyk za jej plecami. - Pokażę ci. Bezrozumnie

poszła za nim w głąb korytarza, chętna i ogłupiała, nie

umiejąc udawać, że nie wie, dokąd naprawdę ją prowadzi. W niewielkim biurze wziął od niej świecę i postawił na biurku.

- Więc jak rozumiem, zdecydowałaś się podjąć roli mojej ochmistrzyni?

- Tylko na jakiś czas. Na kilka dni, kiedy masz gości. Ja... pomyślałam tylko, że dobrze by było, żeby obiad nie trwał trzy godziny i żeby ktoś reagował na dzwonki.

Wpatrywał się w nią z niemądrym uśmiechem, jakby nie spodziewał się tego po niej.

Czując trzepotanie w żołądku, Phoebe uciekła wzrokiem.

- Cóż, może już pójdę. Na rano umówiłam tu spotkanie z twoją starszą służbą.

- Teraz to twoja służba — poprawił ją. - Ale nie odchodź jeszcze, Phoebe. Jeszcze ci nie podziękowałem za to, że dzięki tobie dziewczynki tak łatwo przyjęły przenosiny

do Farley Park.

Phoebe uniosła brodę i popatrzyła na niego przeciągle.

- Czy miałam jakieś inne wyjście?

Wzruszył ramionami.

- Znam wiele kobiet, którym do głowy by nie przyszło przedkładać dobro dzieci nad

własne chęci. Myślę więc, że tak, miałaś inne wyjście. Daj spokój, Phoebe. Nie

udawaj, że gniewasz się na mnie. Jesteś tu i ja tu jestem. Wiele można by mówić o tej sytuacji. Czemu nie skorzystać z możliwości, jakie daje?

Mówiąc to, zbliżał się do niej, niespiesznie, niegroźnie. Phoebe czuła jednak, że

podstawy całego jej świata są zagrożone. Wszystko, co znała i na czym polegała,

znalazło się w niebezpieczeństwie, kiedy ten mężczyzna wkroczył w jej życie. A ona,

zamiast uciekać od niego, wołała perwersyjnie biec prosto ku niemu.

Ujął ją za ramiona i powoli, nieubłaganie przyciągał do siebie.

— Chciałem to zrobić przez cały wieczór - wymruczał na moment przed tym, jak

jego wargi dotknęły jej warg. —To i dużo, dużo więcej.

16

Phoebe również pragnęła go pocałować, bez względu na to, jak bardzo starałaby się

temu zaprzeczyć. Pragnęła, żeby wstał od stołu i w obecności dzieci, przyjaciela, a

nade wszystko narzeczonej, wziął ją, Phoebe Churchill w ramiona i wyznał jej

miłość. Żeby ogłosił, że to ją wybrał, nie inną, i żeby odesłał wszystkich, aby móc jej udowodnić, że ją kocha.

Co za perwersyjne myśli. Jakie grzeszne! Ale żądza uczyniła z niej istotę lubieżną, a miłość pozbawia ją do reszty rozumu. Tak więc przyjęła jego pocałunek. Wyszła mu

na spotkanie i chwaliła sobie tę męską natarczywość. Za nią zamknęły się drzwi.

Przed nią był żar i namiętność, które ją wzywały. Musiała tylko pozwolić, żeby to się stało.

Ale przecież byli w biurze ochmistrzyni. Co gorsza, wokół kręciła się jeszcze służba.

— Poczekaj - wydyszała z ustami przy jego wargach.

Uniósł ją i posadził na szafce z księgami rachunkowymi. Potem pochylił się nad nią i naciskiem

bioder rozsunął jej kolana.

— Nikt nam tu nie przeszkodzi.

— Ale pan Benson może nas usłyszeć...

— Jest prawie głuchy.

— Są też inni...

— Marzą tylko o tym, żeby się położyć.

W tym momencie z korytarza dobiegły stłumione głosy.

— No to dobranoc.

— Do jutra.

Kroki oddaliły się i lęk zaczął opuszczać Phoebe. Wtem odgłos kroków zabrzmiał zupełnie blisko. Phoebe stężała. Ktoś zatrzymał się pod drzwiami małego biura.

Dotarł do nich niski śmiech.

- Ależ Robercie! - zachichotał młody, kobiecy głos. - Ty paskudniku.

- Chodź, Peg. Dasz dobremu chłopakowi trochę uciechy, co?

- Myślałby kto, że z ciebie dobry chłopak - zaprotestowała dziewczyna, ale w jej głosie brzmiała nuta przyzwolenia. Robert zaśmiał się, potem coś uderzyło o ścianę i ktoś westchnął.

- Jestem dobry chłopak, Peg. Bardzo, bardzo dobry.

Phoebe słyszała już tylko walenie o ścianę i dyszenie. Jasne było, co dzieje się w zaciszu korytarzyka za drzwiami. Ów Robert kocha się z ową Peg!

Phoebe spojrzała w twarz Jamesa znajdującą się za ledwie o kilka centymetrów od jej twarzy. Dostrzegła zmysłowy błysk w jego mrocznych oczach. Zmysłowy i niepozostawiający wątpliwości co do jego zamiarów. Przesunął dłonie z jej talii na kolana, odgarnął jej najlepszą spódnicę i najładniejszą halkę, odsłonił bawełniane pończochy, podwiązki ze wstążki i nagie uda.

Jego gorące dłonie parzyły. Ogarnięta występny odczuciem, Phoebe oparła się o ścianę.

- Jesteś rozkoszna - powiedział, patrząc na swoją ciemniejszą dłoń

na jej jasnym ciele. - Rozkosznie cię dotykać. Jego zwinne palce szukały jej pod fałdami tkaniny.

- Usłyszysz cię - ostrzegła. Był to jednak słaby protest, który go tylko zachęcił.

- Rozkosznie cię smakować - dodał, podnosząc wzrok na jej usta. Dręcząco powoli pochylił głowę, żeby ją pocałować. Jego usta wzięły w niewolę jej usta, jego dłonie wędrowały coraz wyżej. Jego język zawładnął jej ustami, a jego dłoń zawładnęła samą jej istotą.

Krzyknęła i wyprężyła się, potem odwróciła twarz, zaciskając usta. Mogą zostać nakryci.

- Słyszysz ich? - wyszeptał z zębami do jej ucha, podczas gdy jego palec poruszał się rytmicznie.

- Myślisz, że on jej tak robi? —Jego palec zatoczył głęboki krąg. Phoebe rzuciła głowę. Bała się odezwać, bała się jęknąć, bała się zrobić cokolwiek. Mogła tylko siedzieć bezwładnie i napawać się odczuciami, jakie w niej wzbudzał. Za drzwiami słabe, regularne uderzenia wzmogły się, towarzyszyły im stłumione jęki i stłumione westchnienia.

- Zdaje się, że przeszli do głównego dania tej uczy - wymruczał James i ujawszy ją pod pośladki, przesunął na krawędź szafki. Uniósł jej nogi i otoczył nimi swoje biodra, co Phoebe wydało się absolutnie właściwe. Potem zręcznie manipulując przy spodniach, uwolnił wzwidzioną męskość. Bez trudu odnalazł jej wilgotny, ogarnięty pragnieniem środek. Odnalazł i zagłębił się w nim.

- Och! — wydyszała Phoebe, chwytając go za ramiona. Odrzuciła głowę w tył, a on

wchodził w nią, pewnie i głęboko, dla niej zaś te proste ruchy były esencją rozkoszy.

-Och! Och! - Nie przestawała dyszeć, kiedy on raz za razem przyciągał ją do siebie.

Ruchy były krótkie, ale gwałtowne, a przez to, że powstrzymywane, tym bardziej naglące, tym bardziej nabierały mocy. W szalonym pośpiechu, na szafce z księgami rachunkowymi, z pokojówką i lokajem robiącymi to samo tuż za drzwiami, kochał się z nią, a kiedy ogarnęło ją szaleństwo, zagryzła wargi, żeby nie krzyknąć.

- Niech to — zaklął z ustami wtulonymi w jej szyję, kiedy ścisnęła go wewnątrz siebie w mimowolnym spazmie. - Niech to!

Wtem wyprostował się, unosząc ją z blatu. Phoebe przywarła do niego, obejmując rękami jego ramiona, a nogami biodra. Szarpnął się i natarł na nią, doznając spełnienia, ale ona nie chciała, żeby to się skończyło. Byli złączeni w jedno.

Rozdzielić się teraz zdawało się niemożliwością.

Przenikliwy krzyk z korytarza brutalnie kazał jej wrócić do rzeczywistości. Zdyszany męski głos zaklął:

- Piekło i szatani, ale z ciebie niezły kawałek ciała, Peg.

Kobieta zachichotała.

- Z ciebie też.

Szmer sukni, cichnące kroki i świat Phoebe wrócił na pierwszy plan.

James posadził ją na szafce i się wycofał. Jednak, mimo że odsunęła się od niego, rozplotła ręce i nogi i uwolniła spódnicę, nie puścił jej. Uwięził ją między swoimi rękami opartymi o ścianę, biodrami blokował jej rozchylone uda - znajdowała się w pozycji, w jakiej kobieta jest najbardziej bezbronna. Była zupełnie ubrana, a jednocześnie całkowicie dostępna dla niego i to nie tylko w sensie fizycznym.

Odwróciła wzrok, starając się zapanować nad oddechem i wyrazem twarzy.

Podjeżdżała jednak, że on dokładnie wie, jak bardzo bezbronna jest wobec niego.

- Phoebe.

Powoli podniosła wzrok, żeby napotkać jego żywe, przesywające ją spojrzenie.

Płomyk świecy migotał za jego plecami, na jego twarz padały cienie, ale wyobraziła sobie, że wyraźnie widzi jego płonące błękitnym ogniem, granatowe oczy.

- To dlatego chciałem, żebyś zamieszkała jak najdalej od dziecięcego skrzydła.

Phoebe skinęła głową.

-Tak, wiem. Ale... ale czy to było takie okropne? - spytała, zdu

miona własną, niespodziewaną śmiałością. Uśmiechnął się.

- Nie. - Wycisnął na jej ustach gorący pocałunek, który wzniecił na nowo

przygasający w niej ogień. —Wcale nie okropne — zaprzeczył, kiedy znów

przywarła do niego. — Ale wolałbym kochać się z tobą takjak na to zasługujesz, w

wielkim, miękkim łóżu, gdzie moglibyśmy całkowicie się sobą nasycić. Musisz się

przenieść do innego pokoju jak najszybciej. Jutro — powiedział z naciskiem.

- Ale dziewczynki potrzebują, żebyś była koło nich. W każdym razie, Helen

potrzebuje.

- Ja też cię potrzebuję. Wpatrywała się w niego, poruszona jego słowami. Pragnęła

jeszcze więcej. Dlaczego on nie mógłby jej pokochać?

Ponieważ on kocha lady Catherine, ostudził ją głos matki. Ponieważ mężczyzna

nigdy nie pokocha kobiety, która oddaje mu się jak pierwsza lepsza.

Jeszcze raz Phoebe odwróciła wzrok, a po chwili odepchnęła się od ściany. W

niezręcznym milczeniu każde z nich doprowadzało do porządku swój ubiór. Chciała

zsunąć się z szafki, ale pomógł jej zejść, chwytając ją ciepłą dłonią za nadgarstek.

Nie puścił jej od razu.

— To nie tak miało być, Phoebe.

Wyprostowała się i zdusiła wszelką myśl o litowaniu się nad sobą.

— Nie musisz mnie przeproszać, bo nigdy niczego od ciebie nie oczekiwałam.

Zmarszczył brwi.

— Niczego?

Pokręciła głową.

— Nie jestem prostytutką, lordzie Farley. Znam moje miejsce w twoim domu i wiem, jak to się w końcu rozegra.

— Wiesz?

— Wiem. Więc nie musisz mnie przeproszać za to, w czym uczestniczymy na równi oboje.

— To nie miały być przeprosiny.

— Tym lepiej. -Wysunęła się z jego objęć i na drżących nogach ruszyła ku drzwiom.

— Jest strasznie późno, a ja umówiłam na rano spotkanie ze starszą służbą.

Przyglądał się jej wzrokiem, który miał być jasny i bezpośredni, a był pociemniały i odległy.

— Dobrze. Nie przypuszczam, żebyś chciała, abym odprowadził cię do twojej sypialni.

Przeszedł ją lekki dreszcz przewrotnej tęsknoty, aby odprowadził : ją i wszedł z nią do sypialni, położył się przy niej i kochał się z nią S znowu, potem zasnął nagi w jej ramionach, a ona w jego. To było

kompletne szaleństwo. Nie była pewna, czy ludzie tak postępują, ale ona chciała to zrobić. Z nim.

— Nie — powiedziała niezbyt przekonująco. Odchrząknęła. — Nie. Ni e wydaje mi się, żeby to było mądre.

— Więc wyjdę po tobie. — Wskazał na drzwi. — Odczekam parę minut.

Skinęła głową i odeszła. Nogi uginały się pod nią, kiedy wchodziła po wysokich

schodach. W korytarzu pierwszego piętra paliły się świece. Gdzieś tu spała lady Catherine. Phoebe nie chciała o niej myśleć, ale jakoś nie potrafiła pozbyć się jej obrazu. Kiedyś, kiedy James już poślubi lady Catherine, będzie z nią robił to, co właśnie robił z Phoebe.

Być może już to robił...

Zduszony okrzyk wyrwał się z jej gardła, a ból dodał sił nogom. Ostatnie piętro pokonała biegiem, z chybotającym się płomykiem świecy. W mroku swojej sypialni rozebrała się czym prędzej i umyła się w zimnej wodzie. Potem włożyła znoszoną koszulę nocną, wślizgnęła się pomiędzy lodowate prześcieradła i zapatrzyła się w tynk na suficie.

Sama podjęła tę decyzję i głupotą byłoby teraz tego żałować. Nie pozwoli też sobie na snucie fantazji o przyszłości bliższej bajce niż rzeczywistości jej życia. Nie jest Kopciuszkiem wydzwigniętym z nizin przez ukochanego księcia. W tej chwili jest chętną kochanką wicehrabiego. To wszystko.

To, że niektórzy mogliby uważać jej obecną sytuację za osiągnięcie, jak na dziewczynę od kóz, było mało pocieszające. Beznadziejna prawda była taka, że pragnęła być Kopciuszkiem, którego pokochałby książę, ożeniłby się z nią i przysiągł jej wierność na wieki. Pragnęła bajki.

Łkanie chwyciło ją za gardło, ale bezlitośnie zdusiła je. Nie będzie płakać za tym, czego mieć nie może. Nigdy nie była mazgajem i nie stanie się nim teraz.

Herbatę podano w drugim salonie punktualnie o czwartej. Obecni byli goście Jamesa i jego starsze córki, obie umyte, uczesane i elegancko ubrane. Południowy posiłek pojawił się z podobną punktualnością, choć dla pewności składał się z prostych potraw: pieczonego kurczaka, gęstej, rozgrzewającej zupy jarzynowej i świeżo upieczonych bułeczek. Jedzenie było smaczne i, co równie ważne, gorące.

— Jaką różnicę może sprawić jeden dzień - zauważył Kerry, wgrzyzając się w słodką bułeczkę posmarowaną masłem i powidłami. - Hm. Albo może powinienem powiedzieć, jaką różnicę może sprawić jedna kobieta.

James nie zareagował na szpilę, jaką, sądząc z błysku w oku przyjaciela, miał być ten komentarz. Siedząca obok Kerry'ego Catherine nie była tak spostrzegawcza.

— Dobra służąca to doprawdy nieocenione dobrodziejstwo dla każdego domu. Czyni życie o wiele przyjemniejszym.

— W rzeczy samej — zgodził się Kerry. — O wiele przyjemniejszym.

James rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, które napotkało na jego niewinną minę.

— A gdzież to nasza panna Churchill, skoro o tym mowa? — ciągnął Kerry Spojrzał na dziewczynki układające łamigłówkę na niskim stoliku przy kominku. — Izzy, Helen. Dlaczego panna Churchill nie towarzyszy wam przy herbacie?

— Powiedziała, że musi zejść do kuchni - odparła Izzy, wkładając kawałek łamigłówki na właściwe miejsce. — Coś tam z pokojówkami.

— O ile guwernantkę wypada przyjmować na herbacie, o tyle ochmistrzyni już nie - zauważyła lady Catherine, odstawiając swoją filiżankę.

James spojrzał na nią ostro. Przynajmniej starała się być miła dla dzieci. A mimo to jej uwaga zirytowała go.

— Panna Churchill jest guwernantką dziewczynek i ciotką Helen

— powiedział. Catherine mogło nie spodobać się to przypomnienie, ale lepiej niech do tego przywyknie. — Powinniśmy być jej głęboko wdzięczni, że zgodziła się pełnić obowiązki ochmistrzyni, dopóki nie znajdę kogoś na to miejsce.

Kerry wyprostował się i poklepał Catherine po ręce, jakby chciał złagodzić szorstki, karcący ton Jamesa. Spojrzał na Jamesa wymownie.

— A czemuż to poprzednia ochmistrzyni odeszła?

Dusząc w sobie irytację, James wyjaśnił:

— Odprawiłem ją, kiedy zauważyłem, że ma humory i jest bez serca... — przerwał.

— Powiedzmy po prostu, że nie umiała postępować z dziećmi.

— Chodźcie po swoją herbatę — zawołała lady Catherine do dziewczynek.

Uśmiechnęła się z aprobatą, kiedy wymieniwszy spojrzenia, podniosły się i

posłusznie podeszły do niej, po czym przyjęły z jej rąk filiżanki z herbatą. Pokiwała głową, bowiem doniosły filiżanki na swój stolik bez hałasu i rozlewania herbaty na

spodki. Następnie zwróciła się do Jamesa:

— Rzecz jasna, panna Churchill doskonale sobie radzi z dziećmi.

Izzy uśmiechnęła się do obojga, ale nie był to uśmiech, który uspokoiłby Jamesa.

— Panna Phoebe jest cudowną osobą i najwspanialszą damą, jaką kiedykolwiek spotkałam - oznajmiła dziewczynka.

Zerknęła na Jamesa, jakby chcąc się upewnić, czy odebrał sygnał, i uniósłszy swoją filiżankę, napiła się herbaty, odstawiając mały paluszek.

— Owszem, jest - zgodził się James. — A ty okazujesz się bardzo dobrą uczennicą.

Izzy zignorowała go, jak to miała w zwyczaju. Mimo poprawy pod każdym innym względem jej chłód wobec niego nie zelżał ani trochę. Czuł się nieskończenie bezradny. Dlaczego tak go nienawidzi? Gdyby nie to, przypadkowy obserwator nigdy nie domyśliłby się, że jeszcze dwa miesiące temu wałęsała się po ulicach, zebrząc i kradnąc, zdana na własną przemyślność. Dziś wyglądała jak prawdziwa młoda dama, ubrana w błękitny fraczek z białym kołnierzem, białe pończochy i wyglansowane czarne buciki. Jej błyszczące włosy były czyste i wyszczotkowane, spięte po bokach szylkretowymi spinkami. Nie kręciły się, ale były gęste i ładne, z przyciętymi ostatnio, postrzępionymi końcami.

Bardzo szybko Izzy stała się równie śliczna jak Helen, jeśli nie liczyć błysku uporu w oczach. Jednak pomimo wojny nerwów, jaką wciąż z nim prowadziła, był pełen

podziwu dla tego dziecka. Mogła sobie być bezczelnym, hardym stworzeniem, ale nie dopuści, by ktokolwiek wykorzystał ją czyjej siostry.

Pora ją jakoś sobie zjednać. Odchylił się z krzesłem i podparł brodę złożonymi palcami.

- No to co, dziewczynki, chciałybyście mieć jutro lekcję jazdy konnej?

Uniosły głowy jak powoje otwierające kielichy w pierwszych promieniach słońca.

Ich filiżanki zadzwoniły o spodki, co wywołało zmarszczenie brwi Catherine.

— Po co czekać do jutra? Ja chcę teraz — zawołała Izzy, zrywając się na równe nogi. Helen także podskoczyła, zaaferowana.

- Och tak. Tak bardzo chcę się nauczyć jeździć. - Zawahała się, po czym odwróciła wzrok i z nieśmiałym uśmiechem dodała: - Ojczy.

Ojczy. Jedno proste słowo, a wrażenie, jakie wywarło, było niebotyczne. James wyraźnie poczuł, że coś drgnęło i stopniało w jego piersi. Po raz pierwszy jedno z jego dzieci nazwało go ojcem. Po raz pierwszy.

Stojąc w drzwiach, gotowa dołączyć do tego pięknie skomponowanego żywego obrazu, Phoebe usłyszała to również. Wstrzymała się, obserwując grę uczuć na twarzy Jamesa. Wiedziała, że powinna myśleć o nim jako o lordzie Farleyu, nie Jamesie, ale nie potrafiła, kiedy zrozumiała, co dzieje się w jego sercu. Był całkowicie zakochany w swoich córkach, szalał za nimi, nie mogła chować do niego urazy.

— Przepraszam, panienko. - Pokojówka o imieniu Peg prześlizgnęła się koło niej z dzbankiem wrzątku.

Natychmiast lekki rumieniec zabarwił policzki Phoebe. Przyglądała się Peg, która szybko zamieniła dzbanek letniej wody na nowy i wycofała się bezszelestnie.

Wyglądała na przyzwoitą dziewczynę, była schludna i grzeczna. Phoebe nigdy nie pomyślałaby o niej jako

o rozpustnicy.

Ale przecież i ona była schludna i grzeczna. Czy ktokolwiek podejrzewałby, co robi, kiedy nikt nie patrzy? Peg nie domyślała się, lokaj też nie — w każdym razie Phoebe nie przechwyciła żadnych wymownych spojrzeń ani uśmiezków.

Wtem z drugiego końca pokoju spojrział na nią pan Fairchild. Pod jego jasnym, spostrzegawczym wzrokiem pewność siebie opuściła Phoebe.

On wie. Mogłaby przysiąc.

Ale skąd mógłby wiedzieć, co dzieje się pomiędzy nią a Jamesem. Nie ma powodu myśleć, że on wie. Przecież James mu na pewno nie powiedział. Nie da się zbić z tropu. Nie było dla niej pociechą, że gdyby wiedział, pewno nie uznałby tego za coś straszego. Utwierdzało ją to tylko w dotychczasowym przekonaniu. Podboje miłosne to powód do dumy dla większości mężczyzn, a mężczyźni bogaci, z pozycją, na ogół nie sypiają samotnie.

Ogarnięta wątpliwościami postanowiła nie wkraczać w tę rodzinną scenę. Powinna zaufać, że Izzy i Helen zachowają się tak, jak je uczyła i wycofać się do dziecięcego pokoju albo do sali szkolnej, albo jeszcze lepiej, wyjść na samotną przechadzkę do ogrodu.

Wtem pan Fairchild z uśmiechem zamachał do niej, zwracając uwagę pozostałych na jej obecność, więc było już za późno na ucieczkę.

- Phoebe, Phoebe - zakrzyknęły dziewczynki. — Idziemy jeździć konno.

Podbiegły do niej i uwiesiły się jej u rąk. Wciągnęły ją do salonu, a pozostali przyglądali się temu. Panowie wstali. Pani Donahue obdarzyła ją powściągliwym uśmiechem, zaś lady Catherine wskazała jej miejsce koło siebie.

Phoebe usiadła przytłoczona spostrzeżeniem, jak bardzo perwersyjna jest to sytuacja.

Przyszła żona i kochanka siedzą obok siebie, a obiekt ich rywalizacji może je do woli porównywać.

Phoebe nie miała wątpliwości, kto ucierpi na tym porównaniu.

Nawet bez swojej urody, wdzięku i statusu lady Catherine doskonale pasowała do salonu lorda Farleya. Salon pasuje do niej choćby samym kolorem, zauważyła

Phoebe, przyglądając się spódnicy lady Catherine, udrapowanej starannie na kanapie.

Jej ubiór pasował do wystroju pokoju. Spódnica z żółtej mory na kanapie w pasy kremowe i o barwie świeżej zieleni. Wykwintne szmaragdowe łyzy w uszach i dwie bransolety pasujące do kolekcji figurek ze Staffordshire i wielkiego portretu matki lorda Farleya. No i oczywiście jasne włosy lady Catherine i cera o barwie kości słoniowej zdawały się błyszczeć w słonecznym, kremowym salonie.

Phoebe spuściła wzrok na swoje nieozdobione niczym nadgarstki i dyskretnie ukryła ciemną plamę pod lewym kciukiem. Czy ta kobieta zamierza ubrać się w granat do eleganckiej, ciemnej jadalni? Czyjej peniuar będzie w tym samym kolorze, co pościel pana domu...

Przestań!

Phoebe splotła dłonie, żeby zapobiec ich drzeniu. Nie wiedziała, jaki jest kolor ścian sypialni Jamesa i pewno nigdy się nie dowie.

Ale jego narzeczona niebawem go pozna.

— Herbaty? — spytała lady Catherine.

Phoebe spróbowała wziąć się w garść.

— Dziękuję.

— Pojeździsz z nami konno? — chciała wiedzieć Helen.

Jeździć konno. Phoebe była zbyt rozdarta sprzecznymi uczuciami wobec członków tego zwodniczo spokojnego zgromadzenia, żeby myśleć jasno. Pożądała jednego z nich, była zazdrosna o drugą, obawiała się trzeciego, a przy tym wszystkim musiała się trzymać dla dziewczynek. Jedyne, na co mogła się zdobyć, to podnieść do ust

kruchą filiżankę i sączyć niesłodzony napar. Jazda konna nie wchodziła w grę.

— Nie umiesz jeździć na koniu? - spytała Izzy.

Phoebe odstawiła filiżankę na spodek.

— Obawiam się, że moje umiejętności ograniczają się do jazdy na oklep na powolnym zwierzęciu pociągowym.

— Niech pani żałuje - powiedziała lady Catherine. — Nie znam nic bardziej ożywczego, jak jazda na pełnokrwistym koniu. Czyż nie mam racji, milordzie?

— W rzeczy samej — odparł James.

Jednak kiedy Phoebe niechętnie podniosła na niego wzrok, błysk w jego oczach powiedział jej, że ma na myśli całkiem inny rodzaj jazdy. A może to tylko jej występna wyobraźnia. W desperacji skupiła się na resztkach swojej herbaty. Nie może prowadzić tego podwójnego życia. Po prostu nie może.

Jakby przychodząc jej na ratunek, pan Fairchild odstawił swoją filiżankę.

- Powiadam ci, Farley, po co czekać do jutra? Powinieneś zabrać dziewczynki do stajni teraz, kiedy jest jeszcze trochę dziennego światła.

- Och, możemy? - błagała Helen.

Nawet Izzy, pomimo niechęci do ojca i jawnego pragnienia, żeby połączyć go z

Phoebe, nie miała zamiaru stracić okazji przejażdżki.

- Tak. Już po herbacie, prawda?

- Ale one nie mają strojów do konnej jazdy - zauważyła lady Catherine. — Jeżeli w waszej wiosce jest dobra krawcowa, możemy zamówić dla nich stroje.

- Phoebe szyje wszystkie moje ubrania — oznajmiła Helen, uśmiechając się do ciotki. — Może nie?

- Co ty powiesz — odezwała się lady Catherine z nieodłącznym uśmiechem. — Jakie

to szczęście dla Jamesa, że zatrudnia taką bystrą osobę. Guwernantka. Ochmistrzyń.

A teraz szwaczka. Pani matka musi być z pani bardzo dumna, panno Churchill.

Więc pod tą słodką, kocią fasadą kryły się pazury. Phoebe posłała lady Catherine wymuszony uśmiech, ale nic nie odpowiedziała. James wstał, jakby zbyt późno zdając sobie sprawę, że jego narzeczona i kochanka nie powinny zbyt długo przebywać razem.

- Za późno na przejażdżkę, ale nie za późno na naukę siodłania i opieki nad koźmi.

Dziewczynki rzuciły się do drzwi, ale zatrzymały się, kiedy Phoebe nakazała im zaczekać.

- Pożegnajcie się, tak jak was uczono.

Dygnęły, dziękując lady Catherine za herbatę, powiedziały do widzenia pozostałym i ręka w rękę podeszły do drzwi. Za progiem jednak, jakby kierowane jedną myślą, puściły się biegiem do tylnego wyjścia. James ruszył za nimi, ale przystanął w drzwiach.

." — Idziecie?

Do kogo skierowane było to pytanie, nie było całkiem jasne, w każdym razie nie do Phoebe. Lady Catherine natomiast zrozumiała, że skierował je do niej, więc z wdziękiem, którego Phoebe zaczynała nie znosić, podniosła się.

— To brzmi uroczo. Chodźmy, pani Donahue. Musi pani do nas dołączyć. -

Powiedziawszy to, zwróciła się do Phoebe: — Czy pani również zechce nam towarzyszyć, panno Churchill?

- Nie — odparła Phoebe, ale zaraz dodała głosem tak napiętym, jak jej nerwy: -

Dziękuję.

— Cóż, będzie nam pani brakowało — powiedziała lady Catherine jak najśłodziej.

Tym razem Phoebe uchwyciła błysk w ślicznych, błękitnych oczach tej kobiety. Cień zaborczości? Ślad triumfu?

Moment minął i lady Catherine zwróciła się z kolei do pana Fairchilda:

- Nie idziesz, Kerry?

Pan Fairchild wstał i skłonił się jej przesadnie.

— Nie. Raczej zostanę tutaj i dotrzymam towarzystwa pannie Churchill. Lady

Catherine odpowiedziała uśmiechem, skinęła głową, wzięła Jamesa pod ramię i oboje podążyli za»dziećmi, a pani Donahue za nimi.

W opustoszałym salonie pan Fairchild wzniosł w ich kierunku wymaginowany toast.

— Cóż za piękna para, nie sądzi pani?

- Owszem. Wystarczająco piękna, żeby przyprawić zazdrosną kochankę o wielki ból głowy.

— Ciekaw jestem jednak, czy rzeczywiście do siebie pasują. Phoebe odwróciła głowę, nie umiejąc ukryć zaskoczenia. -.

- Chce pan powiedzieć, że pan tak nie uważa? - Nie jestem pewien. — Zmrużył bystre oczy i się uśmiechnął. — A pani jak sądzi?

Phoebe zapanowała nad swoją twarzą, starając się jednocześnie zapanować nad emocjami.

— Z pewnością nie jestem właściwą osobą do wydawania sądów na ten temat. -

Wpatrywał się w nią wyczekująco, więc zaczęła się denerwować. - On jest lordem.

Ona jest damą. I jak sam pan powiedział, wyglądają razem nadzwyczajnie. Czego więcej trzeba?

Phoebe obawiała się, że pan Fairchild ma jakiś szczególny, ukryty cel. Przekonała się już, że pod jego beztrąską kryje się bystry umysł i przenikliwy wzrok. On coś

podejrzewał. Jeszcze raz zaczęła się zastanawiać, czy James wyjawiał mu prawdę.

Gwałtownie wstała, kierując się ku drzwiom.

— Ma m pracę, której muszę dopilnować - wymamrotała. - Wybacz pan?

— Praca. Moja droga panno Churchill, wszystko, co pani robi, to praca. Na pewno ma pani chwilę, żeby posiedzieć i cieszyć się...

Wyszła, zanim zdążył skończyć. Mogła znaleźć czas na herbatę, ale nie z kimś, kto chce wybadać jej myśli i uczucia tak gruntownie jak on.

I nie wtedy, kiedy dzieci, które kocha, świetnie się bawią z mężczyzną, którego kocha... i z kobietą, którą on kocha.

17

James siedział w fotelu z wysokim oparciem, słuchając, jak lady Catherine gra Chopina na fortepianie, ale myśląc o Phoebe Churchill. Na dywaniku przed kominkiem Izzy i Helen bawiły się z kociętami kawałkiem wstążki, podczas gdy Bruno drzemał. Kerry siedział przy stoliku karcianym, pochylony nad „Timesem” sprzed dwóch tygodni.

— Do stu diabłów — zaklął pod nosem. Zerknął na Jamesa. — „Skowronek”, wiesz, ten frachtowiec, w który zainwestowałem. Wciąż nie wrócił do portu. Niech Bóg broni, żeby zaginął na morzu. Włożyłeś w niego jakieś pieniądze?

- Nie. — James wstał, odrywając wzrok od lady Catherine. — Idę do pokoju dziecięcego, życzyć Lei dobrej nocy - powiedział, kiedy utwór fortepianowy dobiegł końca.

Izzy zerwała się. t — Idziemy z tobą.

- Nie. - Zatrzymał się i powtórzył łagodniejszym tonem, wskazując dłonią: - Nie. Wy musicie pełnić rolę gospodyń wobec naszych gości. Niedługo wrócę.

Helen zaczęła protestować. Chociaż przy nim nie była już tak onieśmielona, perspektywa zostania samej z gośćmi onieśmielała ją. Ręka Izzy na ramieniu Helen i dodający otuchy uśmiech uspokoiły młodszą dziewczynkę. Phoebe działała cuda z

Izzy, myślał James po drodze. Zamieniła to dzikie kocię w sojusznika i opiekunkę pozostałych dziewczynek.

Prawdę mówiąc, wszystko, co robiła panna Phoebe Churchill, było dla niego cudem. Czegokolwiek się dotknęła, udawało jej się zaczarować. Jego dzieci. Jego służbę. Jego samego.

Ze świstem wypuścił powietrze przez zęby na wspomnienie namiętności, jaka nim owładnęła. Wbiegł na górę, przeskakując po trzy schody naraz. Chciał zobaczyć, jak się ma szybko wracająca do zdrowia Leya, ale chciał też zobaczyć Phoebe. Musiał ją zobaczyć.

Herbata przyniosła rozczarowanie, a wizyta w stajni tylko na chwilę odwróciła jego uwagę. Przy obiedzie siedziała daleko od niego, uprzejmie przyjmując komplementy za sprawną służbę, ale rzadko włączała się do rozmowy. Kiedy przeszli do salonu, wymówiła się jakąś sprawą związaną z jutrzejszym menu. Od tej pory niecierpliwie wyczekiwał jej powrotu. W końcu będzie musiała przyjść po Izzy i Helen.

Chciał przedtem porozmawiać z nią na osobności, skraść pocałunek i umówić się na później.

Zastał ją wychodzącą z pokoju dziecięcego. Spojrzała zaskoczona. W chybotliwym, bursztynowym świetle świec w dwuramiennym świeczniku trzymanym w dłoni wydawała się delikatna, niewinna i absolutnie czarująca.

- Leya usnęła? Przyjdź do mnie w nocy.

- Tak.

Tak, przyjdiesz do mojego łóżka? Poczł wrzenie krwi w łędźwiach.

- Tak, śpi. Pęcherze zaczynają wysychać. - Wyminęła go i zaczęła iść korytarzem. —

Nie widziałam też nowych. Zdaje się, że wkrótce wyzdrowieje.

- Phoebe.

Zwolniła, zatrzymała się, a po dłuższej chwili odwróciła się twarzą do niego.

- Tak?

Jej oczy były wielkie i błyszczące, zwodniczo szeroko otwarte, nie umiał jednak wyczytać z nich, co ona myśli. Nagle poczuł się jak niedorostek jak piętnastoletni chłopak, rozpaczliwie szukający okazji, żeby skraść całusa dziewczynie, którą od dawna wielbił.

- Chciałbym się z tobą spotkać. — Jego głos był niski, zmysłowy.

— Tej nocy.

Stała nieruchomo. Tylko migotanie płomieni świec i zmienność cieni nadawały pozory ruchu jej twarzy.

- Gdzie?

Tu. Teraz. Gdziekolwiek. Kiedykolwiek.

- W moim gabinecie? Tam możemy być sami.

Jeszcze zanim zamrugała i odwróciła wzrok, wiedział, że była to niewłaściwa odpowiedź.

- Może jutro byłoby lepiej - powiedziała, po czym odwróciła się i uciekła, a jemu pozostawało tylko patrzeć w ślad za nią.

To oczywiście z powodu Catherine. Niespodziewana obecność Catherine postawiła Phoebe przed dylematem i nie mógł mieć jej tego za złe. Sam stał przed dylematem. Nie rozmawiali jeszcze z Catherine o zaręczynach - o jej gotowości do ich odnowienia i jego gotowości do wyrażenia zgody. Wszystkie znaki wskazywały na to, że byłby głupcem, gdyby nie skorzystał z tego uśmiechu losu. Wszystko, czego chciał, znalazło się w zasięgu jego ręki. Musiał tylko sięgnąć i wziąć to sobie. W tej chwili jednak chciał wyłącznie Phoebe.

Był głupcem, myśląc przyrodzeniem zamiast głową, ale nie umiał przestać.

Dotychczas żadna kobieta nie stanęła na drodze jego politycznym aspiracjom. Żadna poza Phoebe. Ona je niweczyła.

Gdyby tylko Catherine odmieniła swoje uczucia w bardziej dogodnym momencie.

Gdyby tylko miał więcej czasu, żeby umocnić swój związek z Phoebe. Choćby kilka dni.

Potargał swoje włosy i rozejrzał się niewidzącym wzrokiem. Trzeba być głupcem, żeby ryzykować całą swoją przyszłość z powodu jednej kobiety, która stała się mu niezbędna do życia. Jak to się stało, na Boga, że tak się pogrążył?

Phoebe także czuła się jak idiotka, sentymentalna idiotka, która wciąż musi wierzyć w bajki. Nie było innego wytłumaczenia dla burzy uczuć, jaka ją ogarnęła. Czemu nie pójść do niego? — zastanawiała się w bezpiecznym schronieniu swojej sypialni.

Wątpliwe to było bezpieczeństwo. Chciała być z nim. On chciał, żeby z nim była.

Czy spodziewała się, że zaprosi ją do apartamentów pana domu? Po co miałyby to robić, skoro już okazała ochotę w dziecięcym pokoju i w biurze ochmistrzyni?

Mężczyźni nie zapraszają kochanek do swoich prywatnych apartamentów w domostwach przodków. Ten zaszczyt zastrzeżony jest wyłącznie dla żony.

Oparła się plecami o drzwi i wybuchła histerycznym śmiechem. Nie była pewna, skąd wzięła się jej ta znajomość etykiety niemoralności, ale zdawało się to we wszystkich miar słuszne. To żona odwiedza pana domu w jego apartamentach, aby począć lordowskiego dziedzica i kolejne potomstwo. Przyzwoity mężczyzna nie zaprosiłby kochanki do tego samego łoża, które dzieli z małżonką.

- Boże, dopomóż — jęknęła. Przyzwoity mężczyzna nie utrzymywałby kochanki, to po pierwsze. A przyzwoita kobieta nie byłaby tą kochanką. Czy popełniła straszny

błąd, godząc się tu pracować? Czy już jest za późno, żeby zmienić zdanie?

Ukryła twarz w dłoniach, ale choć stała przez długi czas ze zwieszoną głową i opuszczonymi ramionami, nie potrafiła zapłakać. Nie mogła. Jest guwernantką dziewczynek, więc musi zejść na dół i zaprowadzić swoje podopieczne do łóżek.

Dopilnuje ich mycia, a kiedy już będą leżeć pod kołdrą, poprosi je, żeby obiecały, że w niedzielę będą się zachowywać bez zarzutu. Bowiem ona jest zaproszona na obiad do pani Leake i ma zamiar tam pójść.

James zdecydowanie unikał pozostawiania sam na sam z Catherine.

Od dwóch dni Kerry obserwował, jak jego przyjaciel zasłania się przed zdeorientowaną kobietą, pomimo jej niedwuznacznych zaczepek. Jakakolwiek by była okazja — konna przejażdżka, przechadzka po parku, popołudnie w bibliotece — James manewrował jak mistrz szachowy, zapewniając sobie zawsze obecność Kerry'ego lub którejś z córek.

Kerry niespecjalnie się tym przejmował. Dość się nacierpiał, patrząc jak jego najlepszy przyjaciel zdobywa serce kobiety, którą on pokochał. Kiedy Catherine zerwała zaręczyny, był tak szczęśliwy, że nawet pozwolił sobie na niemądry luksus wyobrażenia sobie, że teraz ona zwróci się ku niemu, zakocha się w nim i przekona swojego surowego, nieczułego ojca, żeby zaakceptował jego jako zięcia.

Żalostne nadzieje i żalostny ich kres, kiedy zwróciła się do niego z błaganiem, żeby udał się przed nią do Yorkshire. Tak też uczynił. Dla Catherine zrobiłby wszystko.

Ostatnią rzeczą, jakiej mógł się spodziewać, był brak entuzjazmu Jamesa dla odnowienia zaręczyn. Oczywiście żal mu było Catherine, ale jego nadzieje odżyły.

Nie trzeba było dużo czasu, żeby zauważyć, że James unika Catherine. Pozostawało pytanie, czy robi to celowo, czy nieświadomie? Co ciekawsze, dlaczego nigdy nie posłużył się panną Churchill jako buforem pomiędzy nim a niedoszłą narzeczoną?

Panna Churchill w ten sam sposób unikała pozostawiania sam na sam z Jamesem.

Bardzo ciekawe. Kerry był już jednak znudzony tym owijaniem w bawełnę. Chciał, żeby posypały się iskry, był gotów na fajerwerki. Jeśli James nie potrafi

być szczery z Catherine, może czas, żeby Kerry popchnął sprawę do przodu. A może panna Phoebe Churchill powinna to zrobić. Coś się dzieje pomiędzy grzeczną guwernantką a jego rozpustnym przyjacielem i nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić co.

Ale co będzie, jeśli Catherine jest wszystko jedno? Co będzie, jeśli chce Jamesa bez względu na okoliczności? Przecież przyjechała tu pomimo trójki jego nieślubnych dzieci.

Tłumiąc przekleństwo, odsunął od siebie tę myśl. Uniósł szklaneczkę whisky i zaczął przyglądać się uważnie światłu z okna przenikającemu przez złotawy płyn. Nie po raz pierwszy ubolewał nad tym, że jest młodszym synem i nie chodzi o to, żeby marzył o odpowiedzialności, jaką pociąga za sobą tytuł hrabiego Sanderly. Młodszy syn zawsze uważany jest za drugorzędny kandydata na męża, przynajmniej wśród pierwszorzędnym dam. A Catherine Winfield według wszelkich liczących się standardów znajduje się na samym szczycie i jej ojciec doskonale o tym 'Wie.

Za oknem jakaś postać znalazła się w polu jego widzenia. Panna Churchill wyszła z Leyą na pierwszy spacer po chorobie. Odstawił szklankę. Dzień był ładny, w pełni wiosenny, łagodny i słoneczny, żadna burza nie czała się za horyzontem. Może on również powinien wybrać się na małą przechadzkę.

Wychodząc z bawialni, usłyszał głos Jamesa dobiegający z gabinetu. Kiedy Benson opuścił gabinet, kłaniając się w milczeniu Kerry'emu, w jego głowie zakiełkowało pierwsze ziarno pomysłu.

— Benson, mój dobry człowieku, czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest lady

Catherine?

— W bibliotece, sir. Razem z przyjaciółką.

— A lord Farley?

— Jest zajęty sprawami posiadłości. Powiedział, że będzie zajęty przez cały ranek.

— To dobrze. - Kerry zerknął na zamknięte drzwi gabinetu. Nie mógł już znieść tego stanu zawieszenia. Jeśli James nie ma ochoty stawić czoła tej kwestii, on go do tego zmusi. — Pora na fajerwerki

— mruknął.

Stary kamerdyner przyłożył do ucha dłoń zwiniętą w trąbkę.

- Co takiego, sir?

- Nic, mój dobry człowieku. Nic, co dotyczyłoby ciebie.

James otrzymał od swojego przedstawiciela list wraz z dwoma najnowszymi raportami o sytuacji w Paryżu i w Bombaju. Po raz pierwszy nie był zainteresowany.

Zamiast tego zaczął przeglądać sprawozdania z ubiegłorocznych zbiorów i księgi rachunkowe Farley Park, ale niezbyt uważnie. Na niczym nie mógł się skoncentrować w tych dniach. Kiedy rozległo się delikatne pukanie do drzwi, oderwał się z chęcią od rachunków. Kobięce pukanie. Phoebe?

Wstał pełen oczekiwania.

- Proszę.

Ale to była Catherine. Sama, ubrana w jasnoniebieską suknię poranną z leciutkiej gazy, nadającą jej oczom ten niespotykany odcień błękitu. Ku swemu przerażeniu rozpoznał błysk determinacji w oczach o barwie polnych dzwonek.

Zamknęła drzwi ze zdecydowanym szcęknięciem zamka, po czym oparła się o nie, cały czas uśmiechając się do niego w sposób, jakiego jeszcze u niej nie widział. Była to uwodzicielska poza, poza mówiąca „teraz cię mam”, poza pytająca „nie cieszysz się, że cię złapałam”? Problem w tym, że się nie cieszył.

Co się z nim dzieje? W Londynie byłby oczarowany, czatowałby na każdą okazję, żeby być z nią sam na sam. Tyle tylko, że to nie był Londyn, a on nie był oczarowany. I wiedział dlaczego.

Phoebe.

Nie odzywała się, więc zabębnił palcami o blat biurka.

- Potrzebujesz czegoś?

Wzięła głęboki wdech unoszący jej uroczy biust pod doskonale leżącym stanikiem sukni z dekoltem. Uroczy biust, urocze usta, urocze zmieszanie, które powinno kazać mu doskoczyć do niej w nadziei, że uda się skraść całusa, a może więcej. Tymczasem James pragnął tylko wrócić do swoich ksiąg rachunkowych.

— Catherine? - przynaglił ją.

— Och, Jamesie - wybuchła. — Jak długo jeszcze zamierzasz mnie karać? Czy mam się ukorzyć i błagać cię o wybaczenie? Czy tego ode mnie wymagasz?

Zdumiony James patrzył z rosnącym niepokojem, jak dwie krystaliczne łzy wzbierają w jej patrzących bez mrugnięcia oczach i spływają po policzkach, dając jedyny upust wspaniale tłumionym emocjom.

— Proszę, siadaj.

Wskazał jej krzesło, ale ona wdzięcznie opadła na skórzaną kanapę. Po chwili wahania wyszedł zza biurka, żeby usiąść koło niej. Podał jej chusteczkę, którą przyjęła, ale nie wytarła twarzy. Zamiast tego podniosła na niego wzrok mówiący, że łamie jej serce.

— Wiem, że zachowuję się jak gęś, przeszkadzając ci w rachunkach, czego mężczyźni nie cierpią. Bardzo możliwe, że w ogóle nie powinnam była przyjeżdżać do Farley Park. Jednakże jakoś nie umiem się powstrzymać, żeby nie zachowywać

się jak idiotka, jeśli chodzi

o ciebie.

James pragnął tylko, żeby ten problem zniknął. Problem nie zniknął, więc powiedział:

— Nie robisz z siebie idiotki, Catherine. To moja wina. Powinienem był poruszyć temat celu twojej wizyty już kilka dni temu.

Lekko pociągnęła nosem i spojrzała na ścisiskaną w dłoni chusteczkę.

— Przypuszczam, że nie powinnam była wybierać się do Yorkshire. Ale kiedy Kerry nie przysłał mi wiadomości, że nie chcesz, żebym przyjechała, wzięłam to za dobry znak.

— Słusznie. Cieszę się, że przyjechałaś.

— Tylko że w mieście wszystko było takie niezręczne. Te wszystkie plotki i każdy mnie pocieszał. Zrób to, zrób tamto.

— To była moja wina - przyznał James. — Wszystko to była moja wina.

— Ale ja nie powinnam była ich słuchać. Ani papy, ani nikogo innego. Papa. Lord Basingstoke.

— Przyjechałaś tu wbrew ojcu?

Nie powinno to mieć znaczenia, ale w tej chwili opinia jej ojca ; była dla Jamesa najważniejsza. Mógł nie pałać požądaniem do Catherine, jednak dobra wola jej ojca była kluczem do rozwoju jego j kariery politycznej lub do jej końca.

Osuszyła policzki, bowiem dwie łzy spływały już po delikatnej linii jej szczęki. \

— Papa nie był zachwycony twoją... twoją sytuacją. Niemniej, kiedy dy jego pierwszy gniew minął, zapewnił mnie, że jeżeli zdołamy na- 'J wiązać zerwane więzi, nie będzie stawał nam na drodze.

Nawiązać zerwane więzi. Brzmiało to tak prosto, jakby dzieci Jamesa znaczyły tyle, co drobna różnica zdań, którą można przedyskutować i rozwiązać.

— A co z moimi trzema córkami? Czy on je zaakceptuje? A ty? Catherine zamrugła mokrymi rzęsami i uśmiechnęła się dzielnie.

— Oczywiście, że je zaakceptujemy. Rozmawiałam z nim o tym i...

- Zawahała się, a jej perłowe policzki zabarwił delikatny rumieniec.

- Przyznał się, że sam w młodości zgrzeszył raz czy dwa.

James jakoś nie umiał wyobrazić sobie przysadzistego, czerwonego na twarzy lorda Basingstoke'a grzeszącego. Ani też, że kiedykolwiek był młody.

— Bardzo dokładnie to przemyślałam - mówiła dalej Catherine.

- Niemowlę jest naprawdę urocze i może mieszkać z nami, podczas gdy starsze dziewczynki pošlemy do szkoły. Jeśli chcesz, żeby kiedyś zadebiutowały w towarzystwie, będą wymagały o wiele lepszego wykształcenia, niż może im zapewnić ich obecna guwernantka. - Prze-i rwała. — Zakładam, że chcesz dla nich jak najlepiej.

— Oczywiście, że tak. Ale nie od razu. One potrzebują Ph... panny j Churchill. Na razie potrzebują jej. |

Catherine pochyliła głowę na znak milczącego przyzwolenia, po 1 czym spojrzała na niego. '

- Zatem jesteśmy zgodni. - Uśmiechnęła się. — Ojciec będzie taki zadowolony.

Jamesowi udało się odwzajemnić uśmiech, a kiedy położyła na jego ramieniu małą dłoń, tak małą, że wyglądała na dziecinną, odruchowo nakrył ją swoją, o wiele większą dłonią. Jeśli lord Basingstoke jest zadowolony, to i James powinien być zadowolony. Wygląda na to, że trzy lata zalotów do tego człowieka wydadzą wreszcie owoce.

Jednak James nie był zadowolony. Nie tak bardzo, jak powinien.

Kiedy Catherine wstała i przeprosiwszy za przeszkodzenie mu w pracy, odpłynęła w zwykły sobie, ulotny sposób, nie był w stanie wrócić do pracy.

Zdaje się, że bez wypowiedzania stosownych słów odnowili swoje zaręczyny. Wciąż pozostawały pytania, na które należało odpowiedzieć, decyzje, które należało podjąć, dokumenty, które należało sporządzić na nowo i na nowo podpisać. Z pewnością plotkarze będą mieć używanie. Ale on miał to, czego chciał. Tylko to się liczyło.

Wracał do gry. Po ślubie plotki w końcu ucichną.

A co pomyślą o tym jego córki? Co pomyśli Phoebe?

Odsunął od siebie księgę rachunkową, przewracając brązową hinduską statuetkę tygryscy z młodymi. Spadła na dywan z głuchym odgłosem, a w tym samym momencie dotarło do niego, jak bardzo zmieniła się jego sytuacja. Właśnie osiągnął coś, czego długo pragnął, co utracił i co od przyjazdu Catherine spodziewał się odzyskać. Mimo to nie odczuwał satysfakcji, jakiej oczekiwał. Nic, poza głuchym odgłosem.

Phoebe dostrzegła Kerry'ego wychodzącego z werandy na tyłach domu zbyt późno, żeby uniknąć spotkania z nim. Ruszył ku niej dziarskim krokiem, wymachując rękami i gwizdząc jak parobek. Gdyby okoliczności, w jakich się poznali, były inne, lubiłaby jego towarzystwo. Był miły i pogodny, z pewną dozą przekory, która czyniła go zabawnym. Wspaniały towarzysz w każdym calu. Za bardzo jednak się nią interesował - nią i lordem Farleyem — i obawiała się, że ma zamiar dopóty ryć i kopać, dopóki nie odkryje tego, czego nie mogła mu pozwolić odkryć.

Nie chcąc poddać się jego śledztwu, przywołała dziewczynki uwieszone krawędzi fontanny.

— Helen. Izzy. Zobaczcie, kto do was idzie.

Stal się ich ulubieńcem, więc zgodnie z przewidywaniem Phoebe zwróciły ku niemu

głowy i natychmiast zaczęły się ścigać w jego stronę.

Izzy wygrała. — W fontannie są kijanki - oznajmiła, chwytając go za rękę. — Chodź zobaczyć. Helen pokręciła głową.

— Za -wcześnie na kijanki. — Złapała pana Fairchilda za drugą rękę.

— To są pewno małe rybki albo larwy owadów. Izzy rzuciła jej miażdżące spojrzenie.

— Nie myśl sobie, że wszystko wiesz.

Pan Fairchild zakolysał ich rękami.

— Obawiam się, że panna Helen wie o wiele więcej o przyrodzie niż my, ludzie z miasta, Izzy. Na nic się nie zda spieranie z nią, skoro jej wiedza jest większa od naszej.

Jaka to słodka scena. Zazwyczaj nieśmiała Helen utrzymała pole, podczas gdy

złośnica Izzy zrobiła tylko ironiczną minę i zgodziła się, wzruszając ramionami. Leya w ramionach Phoebe podskakiwała i śmiała się, więc przytuliła ją mocniej do serca.

Odkrycie, że są siostrami, wyszło na dobre Helen i Izzy. Tworzenie małej rodziny poszerzało ich horyzonty i bez wątpienia będzie tak nadal. Mimo niedogodności całej sytuacji Phoebe była absurdalnie szczęśliwa, że jest częścią ich świeżo rozkwitającego życia.

— Możesz sobie wiedzieć trochę więcej ode mnie o wsi - powiedziała Izzy do Helen.

— Ale jak kiedyś pojedziemy do Londynu, to ja cię będę uczyć wszystkiego.

Chwyciła Phoebe za łokieć i pociągnęła w kierunku fontanny.

- Chodź i zobacz. Jeżeli nałapierny ich do słoika z wodą, możemy je zabrać do domu i zobaczyć, co z nich wyrośnie.

- Och, doprawdy - powiedział p a n Fairchild. - Owady albo żaby. W sam raz stworzenia domowe. Przypuszczam, że kotom spodobają się żaby. Będą mogły na nie

zapolować i je zjeść.

- Nie! - zaprotestowała Izzy, podczas gdy Helen krztusiła się ze śmiechu. Stanowili miłą, roześmianą grupkę, dopóki nie znalazły ich lady Catherine z panią Donahue.

Natychmiast Phoebe zeszywniała, Izzy naburmuszyła się, a Helen zamilkła i nabrała zwykłej sobie rezerwy.

Lady Catherine zdawała się tego nie zauważać. Phoebe ogarnęła wzrokiem jej przepiękną suknię w kolorze nieba i doskonale ułożone blond włosy ozdobione kolekcją oprawnych w złoto akwamarynowych klejnotów, które znaczyły dla niej nie więcej niż bańki mydlane. Phoebe skrzywiła się kącikiem ust. Catherine bez wątpienia przywykła do tego, że wraz z jej pojawieniem się rozmowa cichnie nagle. Prawdopodobnie spodziewała się tego.

- Dobre wieści - oznajmiła pani Donahue, patrząc rozpromieniona na swoją młodszą przyjaciółkę. - Wspaniałe wieści.

- Doprawdy? - odezwał się pan Fairchild, a Phoebe wyczuła, że jego dobry humor prysł. - Błagam, nie trzymajcie nas w niepewności. A może niech zgadnę - dodał z napięciem w głosie. - Może ma to coś wspólnego z wicehrabiami i ślubami?

Lady Catherine odwróciła wzrok, ale jej pełen satysfakcji uśmiech potwierdził słuszność jego słów.

Kolana Phoebe zrobiły się miękkie jak z waty. Niczego innego się nie spodziewała od przyjazdu tej kobiety. Czyżby miała nadzieję, że nie dojdą do porozumienia?

Niemądra dziewczyna. Głupia dziewczyna.

Pani Donahue roześmiała się i klasnęła w dłonie.

- A jakże, ślub i wicehrabia... i wicehrabina.

Pan Fairchild zerknął na Phoebe z cieniem oskarżenia w oczach.

Czemu miałyby być temu winna? Potem skłonił się głęboko przed lady Catherine.

- Moje gratulacje. Farley to doprawdy szczęściarz. Wielki szczęściarz. I gdzież jest ów pan młody?

- Zostawiłam go w jego gabinecie pogrążonego w pracy - odparła lady Catherine. - Aj

a po prostu musiałam się z kimś podzielić moim szczęściem. - Utkwiła wzrok w

Phoebe, która nie była w stanie się ruszyć, odezwać ani nawet mrugnąć. - Moja droga

panno Churchill, będę potrzebowała pani pomocy w poznaniu dzieci Jamesa. Mogę

na panią liczyć, prawda?

Potem, nie czekając nawet na odpowiedź, wzięła pana Fairchilda pod ramię i

skierowała się wraz z nim do domu.

- Chodźmy. Muszę polecić kucharce, żeby przygotowała na wie

czór uroczysty obiad. Muszę też napisać do ojca i przekazać mu dobrą wiadomość.

Będzie bardzo zadowolony

18

Wszystko wymykało się spod kontroli. James stał w swoim gabinecie przy oknie i

spoglądał niewidzącym wzrokiem na pofalowany, sielankowy krajobraz. W ciągu

trzech krótkich miesięcy jego życie przeskakiwało ze skrajności w skrajność.

Najpierw huczne zaręczyny, wydarzenie towarzyskie Londynu, zapowiadające

osiągnięcie przez niego celu, do którego dążył od lat. Potem, gdy pierścionek

zaręczynowy został mu zwrócony, cel ten znów znalazł się poza jego zasięgiem.

Teraz ponownie dopiął swego, czy też stanie się to niebawem, kiedy poślubi

Catherine. Gdyby był sprytny, naciskałby na jak najwcześniejszą datę, najpóźniej z

początkiem lata. W ten sposób mógłby jeszcze skorzystać z końcówki tegorocznego

sezonu.

Pomasował sobie kark. Problem w tym, że nie chciał wracać do Londynu. Jeszcze nie. Zaczął przyglądać się dwóm ogrodnikom pracującym przy podjeździe biegnącym przez jego rodzinną posiadłość. Farley Park był pięknym majątkiem. W ciągu trzydziestu lat od śmierci ojca i powtórnego zamążpójścia matki rzadko tu bywał. Z korespondencji pomiędzy zarządcą a jego londyńskim prawnikiem wiedział, że posiadłość jest dobrze kierowana. Dochód, jaki przynosiła, wystarczał na jej utrzymanie z nadwyżką, która pokrywała koszty jego długotrwałych pobyków za granicą.

Nie zamierzał osiadać tu na stałe, dopóki nie ożeni się i nie doczeka syna, który odziedziczy majątek. Przyjechał tu pod przymusem, z niepokładanym życiem osobistym i bez planów na przyszłość.

Czy upłynął zaledwie miesiąc od jego ucieczki z Londynu? Zdawało mu się, że minęły lata. Ledwo pamiętał jakie było jego życie, zanim pojawiła się w nim Leya i Izzy, a teraz i Helen.

I Phoebe.

Musi porozmawiać z Phoebe.

Nie. Musi zrobić więcej, niż tylko porozmawiać. Musi poświęcić jej czas, bez zagrożenia, że przeszkodzi im któreś z dzieci, ktoś ze służby czy inny intruz. Phoebe czuje się niepewnie przy Catherine, co jest dla niego zrozumiałe. Ale odnosił też wrażenie, że Catherine niezupełnie akceptuje Phoebe, czego nie rozumiał. Zdawać by się mogło, że Catherine powinna być szczęśliwa, że ktoś inny opiekuje się jego dziećmi.

Przypuszczał, że kobiety rywalizują ze sobą w inny sposób niż mężczyźni. Niemniej musi uspokoić Phoebe, że w odróżnieniu od tego, czego się ona obawia, pani tego domu nie będzie podejmować decyzji dotyczących wychowania jego dzieci. Pozycja

Phoebe w Farley Park na pewno nie jest zagrożona.

Wychodząc z gabinetu, James natknął się w holu na swoich gości. Słowo się rzekło i Catherine nie zamierzała spuścić go z oka. Dzieci dostały herbatę w sali szkolnej i również tam miały tego wieczoru zjeść obiad.

— Żebyśmy my, dorośli, mogli świętować nasze zaręczyny — wyjaśniła Catherine, opowiadając mu o tym, co zaplanowała z kucharką.

— Panna Churchill powiedziała, że rozumie i że zje z dziećmi.

Ona rozumie? James zacisnął szczęki. Niech to wszyscy diabli. Jeżeli Phoebe rozumie, że Catherine planuje uroczystość, to znaczy, że słyszała już o odnowieniu zaręczyn. Prawdopodobnie od samej Catherine. Jasny szlag, chciał sam przekazać jej tę przykrą wiadomość.

Dopiero kiedy obiad dobiegł końca — trzy butelki wina wypite przez ich czworo, przy cierpliwości Jamesa dochodzącej do kresu

- mógł życzyć gościom dobrej nocy i pobiec na drugie piętro, do sypialni Phoebe.

Dzieci na pewno już śpią, więc im nie przeszkodzą. Drzwi do jej pokoju nie były zamknięte na klucz, wewnątrz panowała ciemność.

- Phoebe? - Podszedł do jej łóżka. — Phoebe? Obudź się. To ja, James.

Nie było jej tam.

Kiedy jego oczy przywykły do ciemności, rozejrzał się po pokoju

zdezorientowany. Łóżko było starannie zaścielone. Musi być z dziećmi. Czy któreś zachorowało?

W pokoju, który teraz dzieliły, Izzy i Helen leżały skulone pod kołdrami. W fałdach pościeli spało troje kociąt i Bruno, który pochrapywał jak mały miech kowalski. Nie było tylko Phoebe. Znalazł ją na posłaniu opiekunki dopiero w pokoju Lei. Podszedł

niecierpliwie.

- Phoebe. - Potrząsnął jej ramieniem. - Obudź się. Muszę z tobą pomówić.

- Co? Kto?

James odskoczył, kiedy na posłaniu usiadła jedna z pokojówek. Zaspiane oczy miała wytrzeszczone z przerażenia i przyciskała do piersi koc jak tarczę.

- Jasna cholera — zaklął. — Gdzie jest Phoebe?

Dziewczyna zamrugła.

- Kto?

Do wszystkich diabłów, czy znów nic nie może pójść po jego myśli? Jakimś cudem powstrzymał się, żeby nie krzyknąć.

- Gdzie jest panna Churchill?

- Panna Churchill? Przecież powiedziała... powiedziała... -jąkała dziewczyna. —

Powiedziała, że idzie do domu, milordzie. Tak, do domu. - Podciągnęła koc jeszcze wyżej i dodała drżącym głosem. - Wydaje mi się, że mieszka na Śliwkowym Wzgórzu.

Cholernie dobrze wiedział, gdzie ona mieszka. Ale dlaczego wróciła tam, nic mu nie mówiąc? James miał ochotę zaryczeć z bezsilności, walnąć w ścianę, albo jeszcze lepiej, przebić ją pięścią na wylot. Ale otumaniona snem pokojówka gapiła się na niego, jakby był sennym koszmarem. Należało także mieć na względzie reputację Phoebe.

Stłumił więc ogarniającą go wściekłość i podszedł do łóżeczka Lei. Widok spokojnej twarzyczki i rytmiczny oddech dziecka ostudziły go. Otulił szczerzej kocykiem śpiącego aniołka i pogładził jedwabistą główkę. Dziwne, jak jej widok go uspokoił, jak dotknięcie jej zdawało się łączyć go z Phoebe. Ale on chciał więcej. Chciał

prawdziwego dotyku. Chciał znaleźć Phoebe. Natychmiast.

— Dbaj o nią — mruknął do pokojówki, która zastygła przerażona na wąskim łóżku. Czy myślała, że on chce na nią nastawać? Po wyjściu z pokoju dziecięcego James momentalnie zapomniał o pokojówce. Musiał znaleźć Phoebe.

Dogonił ją na skraju lasu, w miejscu, gdzie droga skręcała pod górę, do jej domu. Wiatr znad morza przeganiał chmury i mgłę, księżyc oświetlał zimnym blaskiem pozbawiony koloru krajobraz. Phoebe zdawała się mała wobec wielkiej przestrzeni ciemnego pejzażu, jak samotna zjawa błakająca się po nieprzyjaznej ziemi, która niegdyś była jej szczęśliwym domem.

Teraz jej świat legł w gruzach i była to jego wina. Najgorsze, że nie mógł tego odwrócić, nie rezygnując z Helen lub nie rezygnując z Phoebe. Nawet wtedy nie byłoby to takie proste. Przecież Helen nie jest wyłącznie częścią jego. Jest także siostrą Izzy i Lei i wszystkie trzy dziewczynki powinny być razem. Rodzina, nawet tak rozproszona, nie jest czymś, z czego rezygnuje się bez walki.

Mógłby się założyć, że Phoebe odczuwa to tak samo. Ściągnął wodze zdyszanego konia i przyglądał się, jak Phoebe spieszy w kierunku oddalonego cienia, który był jej zimnym, pustym domem. Szła bez lęku i wahania. Znała prawdopodobnie każdy kamień na drodze, każde wzniesienie i obniżenie skalistego gruntu. To był jej dom, jej życie — albo to, co on jej z niego zostawił.

Bez względu na to, jak strasznie w jej pojęciu zrujnował jej życie, musi to naprawić. Musi spróbować jakoś to naprawić. Dlatego spiął konia i oderwał się od linii drzew, nie spuszczać wzroku z Phoebe.

Mógł powiedzieć, w którym momencie usłyszała tętent kopyt, bowiem przystanąła,

odwróciła się i z dłonią przy szyi zaczęła przeczesywać wzrokiem ciemność. Kiedy go dostrzegła, zatoczyła się do tyłu, ale utrzymała równowagę. Wiedziała, że to on.

Któż inny mógłby to być?

Phoebe czekała na Jamesa przy kamiennym murku, starając się zachować spokój wbrew wzburzonym emocjom. Musiała znaleźć się z daleka od niego, dlatego chciała tej nocy wrócić do domu. Czemu więc jej serce zatrzepotało? Łzy, które powstrzymywała i tłumiała, popłynęły teraz, przynosząc jej ulgę i radość. Przyjechał po nią!

Ale ona musi go odprawić. Zatem kiedy jego koń zarył kopytami na wyciągnięcie ramienia od niej, uniosła brodę.

- Jedź do domu, do swojej narzeczonej, lordzie Farley. Nie masz

tu czego szukać. Zeskoczył z siodła z taką gwałtownością, że aż koń się spłoszył.

- Ty tu jesteś — odparł i chwycił ją mocno jak cygański złodziej, gotów ją zniewolić.

- Nie... — Wyrywała się i walczyła rozwścieczona tym nowym! przykładem jego arogancji i władczości.

-Wysłuchaj mnie, Phoebe. To wszystko, czego chcę. Tylko mnie wysłuchaj...

- Nie!

Odsunęła się od jego gorącego oddechu na jej zimnym policzku, próbowała kopnąć go w goleń, uwolnić się z jego niedźwiedziego uścisku.

On był jednak zbyt silny i zbyt zdeterminowany. Z unieruchomionymi ramionami i stopami ledwo dotykającymi ziemi czubkami palców czuła się bezradna jak pstrąg w sieci. Miała wszelkie powody, żeby mu nie ufać, a wciąż nierozsądnie chwyciła przynętę, jaką jej podstawił. Teraz trzeba było ponieść konsekwencje.

Chciała krzyknąć, pokonać go swoją wściekłością i oburzeniem. Swoim bólem. Jak

on może krzywdzić ją w ten sposób, ranić jej bezbronne serce? Jak ona mogła

dopuścić go tak blisko, żeby był w stanie to zrobić?

— Uspokój się, najdroższa.

Jego uścisk, choć niewzruszony, nie był okrutny. Puścił ją, ocierając się o nią pierś i twardym brzuchem, aż jej stopy znalazły oparcie. Bardziej jednak niż twardy,

kamienisty grunt pod nogami przemówiło do niej dziwne tarcie wełny o wełnę, przez którą dawało się wyczuć ciepłe ciało.

— Phoebe — wymruczał ochryłym, ciepłym głosem, który przeniknął ją do głębi. I równie szybko, jak jej imię przebrzmiało w mroku nocy, jej opór znikł.

— Phoebe.

Ujął dłonią w rękawiczce jej twarz. Wyczuła szwy napiętej skóry pieszczącej jej policzek. Chciała poczuć ciało, nic więcej. Ciepłe, nagie ciało.

Ale nagie były tylko ich twarze. Jej głowajakby oddzielona od niej samej, obróciła się. Kryjące oczy powieki uniosły się, utkwiała wzrok na jego ustach.

Tego właśnie chciała. Jego ust na swoich, tego żaru zamieniającego jej krew w rozpaloną lawę, ogarniającego jej wszystkie zmysły, nie-pozostawiającego w jej umyśle miejsca na nic innego. Nie chciała myśleć. O niczym.

Przez moment trwali w zawieszeniu pomiędzy tym, czego chcą, a tym, co powinni zrobić. Podświadomie wyczuła, że on też się zawahał. Wtem poryw wiatru zatrzepotał jej spódnicą o jego nogi. Wiatr zdarł jej z głowy kapelusik i unióś włosy w zamęt wietrznej nocy. James wsunął dłoń w jej włosy, wplód w nie palce, a jego usta dotknęły jej ust.

Błysnęło. Nie na niebie, ale w niej, tam, gdzie szalała burza. Jasna, gorąca

błyskawica stopiła ich w jedno, wypalając w nich wszystko poza pożądaniem.

- Nie uciekaj ode mnie — powiedział gardłowym głosem, a właściwie rozkazał jej

ustom szukającym jego ust.

Nie, nie będę, odpowiedziała całą siłą tęsknoty swojego ciała. Przynajmniej co do tego byli zgodni. On domagał się jej ust, a ona pragnęła, by je wziął. Usta i język wdzierający się i zawłaszczający. Odpowiedziała mu tym samym, rytmicznym dawaniem i braniem, które było odzwierciedleniem innego dawania i brania, jakiego pragnęła.

Któreś z nich tęsknie jęknęło. On czy ona? Przesunął rękę w dół i chwytając ją za pośladki, przycisnął do swojej stwardniałej męskości. Wsunęła ręce pod jego okrycie i objęła go w pasie. Był taki gorący, taki twardy. Wszędzie.

Przesunął usta do jej ucha, potem musnął jej szyję, wtulił się w rozchylenie jej sukni. Poczwała jego zęby, ale zamiast bólu strzała pożądania przeszła niespokojne miejsce w dole jej brzucha. Jakby naprawdę pieścił ją tam, na dole, zwilgotniała. Pragnienie. Żądza.

Żądza. Phoebe starała się odzyskać rozum i oddech.

- To...To nie jest odpowiedź.To niczego nie rozwiązuje - powiedziała, wyjmując rękę spod jego kamizelki. Oparła dłonie na jego piersi, starając się go odepchnąć. Ale on jej nie puszczał.

- To rozwiązuje jedno. Koi jeden ból. Uśmierza jedno drażniące doznanie. Czujesz to, prawda, Phoebe?

Ścisnął zębami jej dolną wargę, ale nie ugryzł, tylko wsysał, drażnił się z nią obietnicą pocałunku, dopóki nie zapragnęła pełni jego ust, złączenia i zawładnięcia. To była odpowiedź, której szukała.

- Widzisz?

Cofnął się, akurat wtedy kiedy ona znów mocno i chciwie przywarła do niego, prężąc się. Bez ostrzeżenia podniósł ją, przekroczył kamienny murek i przez podwórze

poniósł ją do chaty.

- Poczekaj...

- Nie.

— Twój koń...

— Będzie tu rano.

To było panięskie marzenie, dać się nieść przez ciemność nocy mężczyźnie, którego zamiarem jest dać jej więcej rozkoszy, niż mogłaby sobie wyobrazić. Z wiatrem popychającym do przodu, księżycem oświetlającym drogę i gwiazdami mrugającymi z aprobatą.

Chociaż Phoebe wiedziała, że James jej nie upuści, przywarła do jego szyi, wtulając twarz w jego kołnierz. Chciała śnić o przetaczającym się jak burza pożądaniu i ogniu spełnienia, nawet jeśli świt miałby zamienić ten sen w koszmar złamanego serca, wstydu i rozpacz.

Kopniakiem otworzył drzwi i, nie zadając sobie trudu wejścia po schodach, skierował się ku kanapie i plamie księżycowego blasku oświetlającej dywanik przed wygasłym kominkiem. Postawił ją, ale nie puścił. Nawet w czarnym jak atrament mroku domu czuła moc jego spojrzenia.

— Gdzie jest krzesiwo i hubka?

Dreszcz przeszedł Phoebe, ale nie był to dreszcz z zimna.

— Przyniosę.

Ukląkł przy zimnym palenisku z ułożonym drewnem, a kiedy nie umiała drżącymi dłońmi skrzesać iskry, wyręczył ją. Niewielki ogień dwie migoczące świece. Stanęli naprzeciw siebie, wciąż ubrani, a nadzy dla siebie nawzajem w sposób, który ją przeraził. On znał jej słabe punkty. Wszystkie.

Nie. Nie wszystkie. Nigdy nie pozwoli, żeby dowiedział się, że ona go kocha. To

byłoby zbyt wiele.

Przycisnęła ręce do piersi. Nie może też zdradzić się przed nim jak bardzo zabolęła ją odnowienie jego zaręczyn, gdyż tylko zakochana kobieta odebrałaby jako zdradę to,

co zrobił. Musi więc być kobietą niezdradzoną i niezakochaną. Tylko niezakochaną.

Jedynie owładniętą żądzą.

Dołożył kilka polan do małego, trzaskającego ognia, podsycając go aż blade, żółte

światło przegnało cienie w kąty pokoju. Wtedy wstał zrzucił płaszcz i zwrócił się do niej.

— Dlaczego odeszłaś, nic mi nie mówiąc?

Phoebe uniosła głowę, nie zważając na chłód liżący jej szyję tam, gdzie dopiero co

błądziły jego gorące usta.

— Zostawiłam wiadomość na twoim krześle w porannym pokoju.

- Kiedy bez słowa wpatrywał się w nią, wysoki i władczy w jej małej bawialni,

dodała zniecierpliwiona: — Jutro jest niedziela, mój dzień wolny. - Potem bardziej

gniewnie: — Mam plany, które ciebie nie dotyczą.

— A co z dziewczynkami?

— To twoje dziewczynki, pamiętasz? Nie moje. Zacisnęła usta. Zbyt wiele bólu było

w jej głosie. Za bardzo przemawiała przez nią krzywda.

Niestety, dosłyszał tę nutę, bowiem jego wyzywający ton stał się czulszy.

— One zawsze będą twoje, Phoebe. Zwłaszcza Helen. - Podszedł do niej.— Jesteś jej

ciotką. Jej rodziną.

Coś zaczęło drżeć w niej, sprawiając, że jej następne słowa wyszły z jej ust zduszone:

— A kim będę dla ciebie?

Uniósł dłoń ku niej i choć ona uchyliła się, przesunął kciukiem po jej dolnej wardze, najlżejszą pieszczotą najbardziej wrażliwej części jej ciała.

— Jesteś dla mnie tym, kim ja jestem dla ciebie, Phoebe. Nic się między nami nie musi zmienić. Zdobyła się na najbardziej nieszczerzy uśmiech w życiu.

— Twoją kochanką. Będę twoja, a ty będziesz mój?

Ogień sycząc i trzaskając, nabierał mocy. Poczowała pierwszą falę gorąca. Żaden ogień nie mógł jednak stopić lodowatego lęku, jaki skuwał jej serce.

— Będę twoją kochanką, a ty będziesz moim opiekunem?

Blask ognia oświetlał tylko jedną stronę jego twarzy, ale dostrzegła, że spochmurniał.

— Mówisz to tak, że brzmi to trywialnie.

— A nie jest takie?

Chwycił ją za ramiona, zanim zdążyła się cofnąć.

— Nie. Nic, co do ciebie czuję, nie jest trywialne. - Zmrużył oczy i przechylił głowę.

- Tylko ty widzisz to w ten sposób.

— Tylko ja? — Spojrzała na niego z niedowierzaniem. — Ja i każdy w Swansford, kto może podejrzewać, że coś jest między nami. Och, i jeszcze twoja służba.—Teraz już naprawdę stawiała sprawę na ostrzu noża. - Pan Benson powinien być zadowolony, wiedząc, że twoja kochanka jest na miejscu, na drugim piętrze. O ile łatwiej niż musieć szykować powóz lub konia i ubierać pana wybierającego się na schadzki z kochanką. Jest tylko drobny problem z twoją żoną.

Wyszarpnęła mu się, nie próbując już udawać, że będzie to uprzejma rozmowa.

— Jestem pewna, że wicehrabina nie dostrzeże nic trywialnego w tym, że jej małżonek skrada się nocą po domu, żeby się zabawiać z guwernantką.

Gniewnie zmarszczył brwi.

— Jasny szlag, Phoebe! To nie tak.

— Więc jak to jest, Jamesie? - Bezzradnie wyrzuciła ręce w górę.

- Jak? Nie wystarczy, że odebrałaś mi Helen? Masz zamiar także ze mną mieć dziecko? Kolejne dziecko, którego użyjesz jako broni przeciwko mnie?

Głos się jej załamał, ale kiedy próbował wziąć ją w ramiona, pokręciła głową i odepchnęła go.

— Przepraszam, Phoebe. Przepraszam za Helen. Przykro mi, że przyjechała Catherine. Przykro mi, że twoje życie rozpadło się przeze mnie. Ale nie umiem żałować czasu, jaki spędziliśmy razem.

Jak wichura od morza miota starymi dębami nad urwiskiem, tak Phoebe wstrząsnęła siłą jego słów. Ale to nie wystarczyło.

— Ty możesz nie żałować — skłamała — ale ja żałuję.

Ich spojrzenia zwały się i trwały tak, aż siła tego zwania stała się nie do zniesienia.

Warstwa po warstwie odkrywał jej kłamstwo, aby zaraz wydobyć na wierzch każdą sekretną nadzieję i niemądre marzenie, które hołubiła: nie chciała, żeby zostawiał ją samą; chciała, żeby ją poślubił i był z nią na zawsze, tylko jej, i żeby pragnął jej bardziej niż wszystkich innych.

A ponieważ on nigdy nie odczuje tego samego, nie chciała dopuścić, żeby ujrzał tę żalosną prośbę w jej oczach.

- "Właściwie nie ma to znaczenia — powiedziała. — Prawda jest taka, że teraz, kiedy nie jestem obciążona starzejącymi się rodzicami i osieroconą siostrzenicą, nagle

stałam się bardziej atrakcyjna dla tutejszych kawalerów. Wyobraź sobie. Zaproszono mnie na jutro do Swansford na obiad. Nie byłabym zaskoczona, gdybym do majowego święta miała już swojego kawalera.

Było to wierutne kłamstwo, ale Phoebe wypowiadała każde słowo z takim przekonaniem, że odniosło skutek. Po raz pierwszy tej nocy był zbity z tropu, tak jakby nie był w stanie uwierzyć, że ktoś poza nim może pragnąć jej towarzystwa.

Sam fakt jego milczenia zachęcił ją, by mówić dalej.

- Mam zamiar wyjść za mąż, wiesz. Kobieta z tytułem własności do ziemi to tutaj rzadkość. Teraz, kiedy już nie jestem związana rodzinnymi obowiązkami, spodziewam się, że mężczyźni będą się bić o mnie. Przecież, jak oboje wiemy, sprytni mężczyźni zawsze myślą, jak by się dobrze ożenić. — Zdawkowo skinęła mu głową. — Wydaje mi się, że powinieneś już odejść.

Blefowała. Wszystko, co mówiła, było absolutną nieprawdą. Ostatnią rzeczą, jakiej mogłaby chcieć, było poślubienie jakiegoś durnia, któremu bardziej zależy na farmie niż na żonie, do której ta farma należy. Tego rodzaju negocjacje wicehrabia Farley rozumiał. Żenisz się z kobietą, której sytuacja znacząco poprawia twoją własną. Z innymi tylko sypiasz.

Tak czy inaczej musiał jej uwierzyć, bo zacisnął szczęki, a oczy pociemniały mu z emocji.

- Nie rób tego, Phoebe. Nie wychodź za mąż na przekór mnie.

- Przekora nie ma tu nic do rzeczy. Podobnie jak ty, podejmuję decyzję praktyczną.

- To nie to samo. Catherine i ja... Wiesz, że byliśmy zaręczeni, zanim wynikła ta cała sprawa z moimi córkami. Ale ty, ty nie jesteś praktyczna. Ty próbujesz mnie ukarać.

Podszedł do niej, a ona zaczęła się cofać, aż ku swemu zawstydzeniu nie mogła już cofać się dalej, bowiem drogę zagroziła jej ściana. Uwięził ją pomiędzy swoimi rękami opartymi o ścianę.

- Faktem jest, że obiecałaś zaopiekować się moimi dziewczynkami. Czy kłamałaś?

Uzgodniliśmy wynagrodzenie. Czy nie jest wystarczające?

Phoebe była zbyt wściekła, żeby zachować ostrożność. Jak on może zachowywać się tak, jakby ona była czemuś winna.

- Wynagrodzenie guwernantki i wynagrodzenie kochanki to dwie zupełnie różne rzeczy. - Przy każdym słowie dźgała go w pierś. - Nie mogę być ich guwernantką, obiektem twojej żądz i żoną innego mężczyzny. Stanowczo odmawiam!

Zbliżył twarz do jej twarzy na odległość zaledwie kilku centymetrów.

- Więc bądź tylko obiektem mojej żądz.

- Jak śmiesz!

Chciała wymierzyć mu policzek, ale chwycił ją za przegub.

- Do wszystkich diabłów, Phoebe. Nie zamierzałem cię obrazić. Nigdy nie pragnąłem kobiety, tak jak pragnę ciebie. Nikogo tak bardzo nie pożądałem.

Łkanie chwyciło ją za gardło. On jej pragnie. Pożąda jej. Wszystko to bardzo

pięknie. Tyle że nie pragnie jej wystarczająco, żeby się z nią ożenić. Dawno już

pogodziła się z faktem, że to się nigdy nie stanie. Zebrała się w sobie, zdusiła łzy i wszelkie emocje poza dodającym otuchy gniewem. Uniosła brodę i spojrzała mu

prosto w oczy.

- Pochlebia mi to, lordzie Farley. Być obiektem żądz mężczyzny z twoją pozycją to komplement dla skromnej córki farmera.

Mimo wysiłku, żeby panować nad sobą, jej głos podszyty był sarkazmem.

- Jesteś kimś więcej niż córką farmera - warknął. Zaciśnął palce wokół jej nadgarstka.

- Nie ma powodu, dla którego nie mielibyśmy kontynuować tego, co zaczęliśmy.

- Ja nie chcę tego ciągnąć w ten sposób. Czy nie słuchałeś tego, co mówiłam?

Gapił się na nią, jakby nie wierzył, że mówi poważnie.

- Dlaczego, u diabła, nie?

Pokręciła głową.

- Nie chcę być twoją kochanką.

Mięsień jego policzka zadrgał.

- To nie jest właściwe słowo na określenie tego, co jest między nami.

- Nic między nami nie ma.

- Jesteśmy kochankami. To jest między nami.

- Nie. To... to nie wystarczy.

- Nie wystarczy? — Poruszył się odrobinę i teraz z każdym jej oddechem jej piersi dotykały jego piersi.

Spróbowała nie oddychać.

Wtedy on znów się poruszył, a jego kolano znalazło się między jej nogami.

Spazmatycznie wciągnęła powietrze, jej piersi przywarły do jego piersi i poczuła

strzałę przeszywającą ją od sutków po dół brzucha. Rzucił na nią swój czar, zakłęcie niweczące jej postanowienie i wszystko inne. Uwolnił jej nadgarstek i splótł palce z jej palcami, potem przyciągnął jej rękę do swoich ust i pocałował wewnątrz dłoni.

Stała się bezwolną istotą, niewolnicą żądz. Jej ciało stopniało i przemieniło się we wrzącą lawę.

- Nie rób tego — wyszeptała, wiedząc, że nie ma siły oprzeć się temu, czego tak bardzo pragnie.

- Muszę - odparł, skłaniając głowę, żeby pocałować jej drżące wargi. - Muszę.

19

Całowali się całą wieczność. Jego usta zawładnęły jej ustami na dobre. Zagłębiał

język w jej ustach, potem wsysał jej język do swoich ust. Smakował i gryzł jej wargi, niemal do bólu. Przygniótł ją całym ciałem do ściany, unosząc jednocześnie jej ręce

nad głowę. Z dłońmi w dłoniach, z poszukującymi ustami, ich ciała rozpaczliwie pragnęły bliższego kontaktu.

Przeszkadzała im wełna, skóra, muślin i płótno. W którymś momencie Phoebe

oplotła nogą jego łydkę, ale pętały ją warstwy materiału, więc mogła tylko stęskniona wypchnąć biodra naprzeciw jego udom i lędźwiom.

Czuła jego twardą męskość, której się bała i której pożądała, od której zdawała się

być uzależniona. Odkąd go spotkała, stała się lubieżną rozpustnicą, ale tylko chwilami, w samotności martwiła się tym. W momentach takich jak ten, z ciałem rozpalonym i umysłem pochłoniętym nim, rozpusta stawała się czymś elektryzującym i podstawowym. Celem jej życia.

- Powiedz mi, czego chcesz.

Po tych słowach wzbudził w niej zaskakujący dreszcz, wodząc językiem po jej uchu. Nie odpowiedziała, skoncentrowana na tym, żeby chociaż oddychać.

- Jesteśmy kochankami, Phoebe. Ty i ja. - Ocierał się o nią biodrami, żeby czuła każdy centymetr jego podniecenia. Tak jak ona oddychał z trudem. - Nic nie zmieni tego, co jest między nami. Nic.

Sprawiał, że obezwładniało ją pragnienie. Uświadomiła to sobie jakąś cząstką zamięanego umysłu. Kiedy brał ją w miłosną niewolę, przestawała myśleć o wszystkim, poza rozkoszą i obietnicą spełnienia, jakie dzięki niemu poznała.

Ale on też był w jej miłosnej niewoli. Przytrzymał jej wrażliwe usta pocałunkiem, nacierał na nie językiem, powtarzając ruchy bioder. Gonił za nią po oświetlonych księżycem wzgórzach, jak myśliwy goniący tropem uciekającego lisa. W tym wypadku lisicy. Och tak. Pragnął jej tak bardzo, jak ona pragnęła jego.

Czemu więc ona nie miałyby sprawić, żeby i jego obezwładniło pragnienie? Czemu to zawsze ona ma być tą, która ustępuje pola? Czemu dla odmiany ona nie miałyby nad nim zapanować?

Przerwała pocałunek i odwróciła głowę, żeby zaczerpnąć tchu.

- Chcę... chcę...

- Tak? - Chwycił wargami płatek jej ucha, ciągnąc go w niezmiernie podniecający sposób. - Co chcesz, żebym zrobił dla ciebie, Phoebe? Powiedz. Zrobię wszystko.

- Chcę, żebyś... zdjął ubranie.

Poczuła, że się uśmiecha, całując jej szyję.

- Myślę, że mogę to zrobić. Jednak kiedy się oderwał od niej, zaczął rozsznurowywać jej stanik.

Jego dłonie poruszały się szybko i zręcznie, jak u złodzieja kieszonkowego. Odtrąciła je.

- Nie. Ty pierwszy. - Biorąc głęboki wdech, wytrzymała jego spojrzenie spod ciężkich powiek.

- Chcę popatrzeć.

Drapieżny uśmiech dał się dostrzec na połowie jego twarzy oświetlonej złotym blaskiem coraz mocniej płonącego ognia. W małej bawialni zrobiło się dużo cieplej niż przedtem.

- To brzmi interesująco — powiedział tym swoim kuszącym, drażniącym głosem, od którego przechodził ją dreszcz. Potem powolnymi, opanowanymi ruchami zaczął się rozbierać. Płaszcz rzucił na krzesło, potem kamizelkę i koszulę.

Phoebe wpatrywała się w każdy jego ruch głodnymi oczami. Jego tors był piękny.

Zmienny odbłask ognia malował na jego ciele ruchome cienie: płaszczyzny, zagłębienia, wypukłości. Widziała płynne ruchy jego ciała, którym, nim noc minie, posłuży się, żeby dać jej wszelką rozkosz.

Wielkie nieba, czy ona naprawdę uważa, że mogłaby kiedykolwiek szukać innego mężczyzny, kiedy ten obiecuje jej pełnię cielesnych rozkoszy?

Ogarnął ją spojrzeniem tak intensywnym, jakby ona również stała przed nim naga.

- Chcę smakować zagłębienie między twoimi piersiami, Phoebe, ich słodkie pączki, chcę...

- Nic nie mów! - Uniosła drżącą dłoń. - Ani słowa... -Inaczej uduszę się z żądz.

-Tylko... zdejmij ubranie.

W jego oczach płonąła namiętność. Dokładnie wiedział, co ona czuje. Zrobił to, co mu kazała. Z łatwością zdjął buty, po czym zaczął rozpinąć spodnie.

Przyglądała się mu z bezwstydną fascynacją. Jego męskość była wielka pod napiętą tkaniną, jak dzikie zwierzę w pułapce, gotowe zaatakować. Phoebe chciała tym razem zobaczyć go w całej okazałości, a nie tylko poczuć, chociaż tego chciała także. Ale, co więcej, chciała zrozumieć władzę, jaką ma nad nią.

W końcu spodnie rozpięły się, ukazując bieliznę naciągniętą do granic możliwości. Przez chwilę po prostu stał tam, mężczyzna w apogeum swojej męskości. Gładka, złocista skóra opinała drżące mięśnie, a najbardziej napięty ze wszystkich mięśni pragnął się uwolnić z krępującej go bielizny.

Oddychała z trudem. To wszystko było z jej powodu, to pożądanie, podniecenie.

Gonił ją przez zimny, nocny krajobraz, żeby móc doświadczyć z nią tego momentu.

A czy ona wciąż miała ochotę gonić za nim? Stawiać mu żądania? Szukać sposobu, żeby zatrzymać go dla siebie?

Tak. Ku własnemu zdumieniu Phoebe miała na to ochotę. Być może żądza dodała jej śmiałości, a może raczej miłość i myśl, że go utraci. Bez względu na źródło jej determinacji, wiedziała, że musi

o niego walczyć. Musi stać się łowczynią, ścigać go, swoją zdobycz, i schwytać go dla siebie. Nic innego jej nie pozostawało.

-Zdejmij — wyszeptała w naelektryzowanym powietrzu zacisznej, małej bawialni.

Będąc jej posłuszny, zdarł z siebie spodnie i bieliznę jednym ruchem. Został nagi.

Wspaniale nagi. Jak pradawne męskie bóstwo, z wzwiedzionym, wymierzonym w nią członkiem. Bez rumieńca wstydu, bez lęku. Zdawał się być wręcz ośmielony tym

najbardziej pierwotnym objawieniem się. Był mężczyzną, który przyszedł dowieść swoich praw do kobiety.

- Twoja kolej -jego głos zabrzmiał w ciszy chaty jak szorstka pieszczota. Jego pierś wznosiła się i opadała. Oddychał z trudem i był tak samo podniecony jak ona. Phoebe

postanowiła sprawdzić jego opanowanie.

Rozpięła stanik i pozwoliła mu opaść, uwalniając ramiona. Poczwała, jak materiał zsuwa się jej z pleców, a ten nieoczekiwany dotyk poruszył ją tak, jakby to jego dłonie ją dotykały. Mimowolnie uniosła dłonie do piersi. Jego wzrok poszedł ich śladem, a jego członek uniósł się jeszcze bardziej.

Polegając na instynkcie, Phoebe zaczęła obwodzić kciukami swoje sutki. Och, tak. Słaby jęk wydobył się z jej ust, a jego tchnienie na gorących wargach podnieciło ją jeszcze bardziej.

On zaś chwycił w dłoń członek.

— Pokaż mi, co lubisz — powiedziała, z trudem przelękając ślinę.

— Ciebie lubię. — Przesunął dłonią w górę i w dół.

Rozwiązała tasiemkę spódnicy, która opadła na podłogę. Nie nosiła gorsetu, więc tylko koszula i pończochy okrywały jej rozpaloną skórę. Kropla wilgoci pociekła jej po boku. Następnie po wewnętrznej stronie uda. Och, jak w tym pokoju zrobiło się gorąco.

Kiedy schyliła się, żeby zdjąć pończochy, James wydał z siebie gardłowy jęk.

Podniosła wzrok. To działało. Mogła omdlewać z pożądania, ale on też. Jego dłoń konwulsyjnie zacisnęła się, potem puściła.

— Jeśli się nie pospieszysz - odezwał się głosem gęstym z pożądania

—

będzie po wszystkim. W odpowiedzi oparła stopę na krześle i powoli zaczęła

zwijać poń

czochę. Najpierw z jednej nogi. Potem z drugiej. Zaklął i podszedł do niej.

— Nie! — Obiema rękami odepchnęła jego spoconą, gorącą pierś. Złapał ją za ramiona.

— Nie mogę czekać.

— Musisz. Obiecałeś, że zrobisz wszystko, co powiem.

— Nie wiedziałem, że będziesz mnie torturować.

— Nie jest to moim zamiarem - skłamała.

Poczuła, że zadrżał. Zamknął oczy i odetchnął głęboko. Zobaczyła, jak przełyka ślinę. Raz, potem znowu. Miała ochotę wgrzyźć się w jego szyję, poczuć na wargach poruszające się jabłko Adama. Zamiast tego sięgnęła po jego członek.,, ,

- Lubisz to? - spytała, głaszcząc go, tak jak przed chwilą on sam siebie głaskał. Kiedy zrobiła się taka śmiała?

Nie odpowiedział, w każdym razie nie słowami. Czowała jego rozkosz, czowała ją w gładkiej skórze palącej wewnątrz jej dłoni. To było więcej niż ruch, więcej niż gorączka. Nieważne, czy nazwała to żądzą, czy pragnieniem.

Sprawiła, że chciał jej tak, że nie mógł już zapanować nad sobą. Tym razem nie tylko ona da się porwać.

Głaskała go dalej i czuła, jak on całym swoim jestestwem skupia się na tej prostej rozkoszy. Jego oddech stał się chrapliwy i urywany. Z rękami opartymi o ścianę pochylił się nad nią jak dzikie, drapieżne zwierzę. Przerazające, przytłaczające i podniecające.

Uwielbiała ulegać mu. Za każdym razem, mimo oporu, uwielbiała być bezbronna wobec niego, być w jego posiadaniu. Teraz spodobało się jej też mieć nad nim władzę, wiedzieć, że zalewają go uczucia,

jakie ona w nim wzbudza. Zmieniła rękę, głaskała go coraz śmieiej, coraz bardziej

ściskając. Jęknął.

- Poczekaj...

Poruszała ręką coraz szybciej. ,

- Nie, Phoebe. - Chwyił ją za nadgarstek. -Jeśli natychmiast nie przestaniesz, będzie po'wszystkim.

- To dobrze.

Przesunęła dłoń prawie do końca i z powrotem, jeszcze mocniej.

Z pełnym udręki przekleństwem wyrwał się jej. Zaklął po raz dru

gi, potem trzeci. Widziała tylko jego szerokie plecy i gwałtownie poruszające się w górę i w dół ramiona. Potem westchnął głęboko i jego ramiona opadły.

-

Niech to szlag - wydyszał. - Niech to szlag! - Spojrzał na nią

przez ramię. -

Dlaczego to zrobiłaś? Oddech Phoebe także nie był spokojny.

- Zrobiłam to, żeby dowieść, że potrafię. Podobało ci się?

Zmrużył oczy. Jego głos był gardłowym jękiem.

-

Co masz na myśli?

Phoebe się uśmiechnęła. Mimo że odczuwała straszliwy brak spełnienia, czuła też niewątpliwy dreszcz czegoś innego. Zwycięstwo nad nim? A może pierwszy dowód własnej władzy? Była tak podniecona, że drażnił ją dotyk koszuli. Bolały ją sutki.

Głęboko w dole brzucha była wrzącym kotłem czarownicy pełnym kobiecego pragnienia.

Zmarnowała to, co chciała czuć w sobie, ale warto było. Zmusiła się, żeby przejść

przez pokój i pozbierać jego rozrzucone ubranie.

— Proszę. Teraz możesz się ubrać.

Gapił się na nią, jakby była wariatką.

— Musisz już iść - nalegała, podając mu bryczesy.—Już skończyliśmy.

— Co ty, u diabła, mówisz. Niech mnie szlag, jeśli chociaż zaczęliśmy. Cała noc przed nami. A ja mam zamiar zrobić ci dokładnie to samo, co ty zrobiłaś mnie.

Ta zmysłowa groźba sprawiła, że Phoebe poczuła trzepotanie w dole brzucha, mimo to jednak zdołała pokręcić głową. Stawka była o wiele wyższa niż jedna noc namiętności. Nieważne, jak bardzo go pragnęła, faktem było, że James Lindford przez całe życie manipulował kobietami. Wieloma kobietami. A na pewno manipulował nią przy każdym spotkaniu. Ale ona dopiero co odkryła, że potrafi odwrócić sytuację. Jeśli on jej pragnie, będzie musiał dać jej o wiele więcej niż tylko noc namiętności.

Z niewiadomego powodu zakochała się w aroganckim głupcu. Może sobie mieć kilka dobrych cech, ale ma też jedną ogromną wadę: bierze kobiety jak swoje. Kocha się z nimi, ale nie kocha ich.

Ona natomiast postanowiła, że on będzie jej. Jedyнным sposobem, żeby tego dokonać jest rozkochanie go w sobie, a przynajmniej sprawienie, żeby chciał jej bardziej niż kogokolwiek innego.

Dlatego też, odcinając się od niezaspokojonego pragnienia swojego ciała, zdjęła jego pelerynę z kołka na drzwiach.

— Pospiesz się. Zmarzłam i jestem zmęczona. Musisz iść.

— Nigdzie nie idę. - Rzucił w nią bryczesami i skrzyżował ramiona na piersi. — Daj już spokój, Phoebe. Oboje wiemy, że wcale nie chcesz, żebym odszedł.

To prawda, nie chciała. Nie, kiedy stał tam nagi, na rozstawionych nogach, a padający z tyłu blask ognia oświetlał jego męską sylwetkę, barwiąc ją czerwienią i

złotem. Ale tym razem nie mogła pozwolić mu zwyciężyć. Jeszcze raz podniosła jego bryczesy.

- Idź do domu, lordzie Farley. Idź w tym, albo bez tego, żeby cały świat zobaczył, jakie miałeś zamiary.

- Co ty mówisz, do wszystkich diabłów. Wyrzuć je. Nie zależy mi. Nie potrzebuję ich teraz. Jedyne, czego potrzebuję, to żebyś skończyła się rozbierać.

Phoebe spojrzała na niego gniewnie. Czyżby przejrzał jej blef? Doskonale. Pora zmienić taktykę. Minęła go i wrzuciła bryczesy do ognia.

- Jasna cholera!

Wyciągnął je, zanim zdążyły zająć się, i rzucił na ceglane obmurowanie paleniska.

Potem zwrócił się ku niej, wielki, zagniewany mężczyzna, tak się złożyło, że nagi, którego zwiotczała męskość zdawała się wracać do życia.

Dreszcz wywołany walką z nim musiał pozbawić ją zdrowego rozsądku, bowiem zamiast się przestraszyć, poczuła przyływ podniecenia.

- Idź do domu, mówię. Nie chcę cię tutaj.

Ruszył ku niej.

- Jeszcze zobaczymy.

Och mój Boże! Znalazł się pomiędzy nią a drzwiami frontowymi, więc rzuciła się do

kuchni i do tylnych drzwi. Była już prawie za progiem, kiedy chwycił ją z tyłu za koszulę. Zawiesił ją sobie na jednym palcu, ale to wystarczyło, żeby ją zatrzymać.

Próbowała się wyrwać. Nie pozwoli mu nad sobą panować! Wtem cienki batyst rozdarł się, a ona z impetem niemal wpadła na stół.

Odwróciła się gwałtownie.

- Zniszczyłeś moją koszulę. Moją najlepszą koszulę!

- Kupię ci inną - burknął, nacierając na nią. Złapał ją w pasie i jakby ważyła nie więcej od kotka, którego jej podarował, podniósł ją i posadził na stole. — Kupię ci tuzin koszul i inne fatalaszki, które cię ucieszą.

Phoebe starała się odepchnąć jego rękę.

- Nie możesz kupić wszystkiego, czego zechcesz. Nie możesz kupić mnie.

- Nawet rozkoszą? — Pchnął ją na stół i zawisł nad nią, opierając się na rękach po obu stronach jej ramion. — Wiem, że nie chcesz moich pieniędzy, Phoebe. To jedna z wielu rzeczy, które w tobie uwielbiam. Ale przecież lubisz coś innego, co mogę ci dać.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Nie dziś — zapewniła, wiedząc, że to nieprawda. — Puść mnie.

- Nie.

Czuła jego żar, kiedy pochylił się nad nią niżej. Chociaż nie dotykali się, iskry przeskakiwały pomiędzy nimi i prawie już nie mogła się oprzeć. Wiedziała jednak, że poddanie się nie wchodzi w grę. Nie tej nocy. Trzymała w ręku wszystkie karty. Pożądanie, jakie w nim wzbudzała, było jej jedyną bronią i tej nocy chciała się przekonać, jak silną.

Kiedy chciał ją pocałować, odwróciła głowę.

- Mówię poważnie, Jamesie. Nie chcę tego. Chcę, żebyś wyszedł.

- Dlaczego? - Wziął ją pod brodę i odwrócił jej twarz ku sobie.

— Chcesz powiedzieć, że nie jesteś podniecona? Że nie czujesz żaru i nie topniejesz w środku? Nie mogąc się odezwać, pokręciła głową.

- Nie... dzisiaj — wykrztusiła.

Przez chwilę nie była pewna, co on zrobi. Nie sądziła, żeby wziął ją siłą. Co prawda, nie musiałby. Jeden pocałunek, jedno muśnięcie piersi czubkiem palca i byłaby

stracona. Zamknęła oczy, a on nagle się wyprostował.

Słyszała, jak zbiera swoje ubranie, jak się ubiera, ale mogła tylko leżeć i chwycić powietrze. Stół kuchenny to nie miejsce, żeby leżeć na nim rozplaszczona, podczas gdy w domu jest nagi mężczyzna, ale nie była w stanie się ruszyć. Dopiero kiedy usłyszała jego ciężkie kroki wracające do kuchni, dźwignęła się. Stał w drzwiach, ubrany, ale niestarannie. Nigdy jeszcze nie była obiektem jego gniewu i nie spodobał jej się sposób, w jaki na nią patrzył.

— Nie wiem, jaką grę prowadzisz, Phoebe, ale nie podoba mi się to.

Spojrzała na niego tak samo gniewnie, jak on patrzył na nią. Czy naprawdę jest taki tępy?

— To nie ja znam się na grach tego rodzaju, lordzie Farley. Wiem tylko, że jutro mam dzień wolny i zamierzam robić dokładnie to, na co mam ochotę, czy ci się to podoba, czy nie.

Trawił to przez chwilę, po czym spytał:

— Co mam powiedzieć dziewczynkom?

— Powiedz im... że zobaczę się z nimi w poniedziałek. — Niezręcznie było mówić o dzieciach, będąc tak skąpo ubraną. Naciągnęła koszulę, żeby zakryć gołe kolana i poczuła, że z kolei rozsuwa się na plecach, tam gdzie ją rozdarł. - I powiedz im, że je kochani.

Skinął tylko głową na odchodnym. Phoebe słyszała oddalający się tętent końskich kopyt. Chciała krzyknąć za nim, żeby wracał, ale nie zrobiła tego.

Zsunęła się ze stołu, przy którym od dwustu prawie lat spożywały posiłki pokolenia Churchillów i na sztywnych nogach powlokła się do swojej samotnej sypialni. Tej nocy odprawiła go. Ale co z jutrzejszą nocą i następną? Co będzie potem? Nie może wiecznie odsuwać go od siebie, nawet jeśli przez kilka chwil odczuwała to jako zwy-

ciężstwo.

Myślała, że zarazona jest żądzą. Ale prawda jest taka, że miłość jest o wiele silniejsza i bardziej obezwładniająca niż zwykła żądza. Jest zakochana i tylko małżeństwo może ją uratować.

Ale przecież nie małżeństwo z kimkolwiek, a już na pewno nie z tym, kogo pani Leake wyobraża sobie jako odpowiedniego dla dziewczyny takiej jak ona. Ona mierzy wyżej. O wiele wyżej.

Jeżeli nie może mieć Jamesa Lindforda, nie chce nikogo innego.

Wpełzła pod kołdrę i zamknęła oczy, ale to tylko pogorszyło sprawę. Była podniecona, niespełniona i choć bardzo się starała, nie mogła myśleć o niczym innym, jak o tamtej nocy, kiedy kochał się z nią tu, w jej własnym łóżku. Każda perwersyjna chwila ożyła, jakby to było teraz. Mimowolnie dotknęła się w miejsce, które nie zaznało ukojenia, i jeszcze raz wyobraziła sobie, że jest tu James, że jej dotyka całuje ją.

James ze swą wspaniałą męskością gotową zaspokoić jej każdą potrzebę...

20

Jazda z powrotem do Farley Park była dla Jamesa koszmarem. Było za ciemno, żeby puścić konia w dziki galop, do czego skłaniał go gniew. Z kolei jadąc powoli, mógł pomyśleć, a myślał o Phoebe, więc jego nieposkromiona męskość znów dała o sobie znać, tak że siedzenie w siodle stało się bolesne.

Powinien był zostać. Bez względu na to, co mówiła, była podniecona i chciała go. To było w powietrzu pomiędzy nimi, czuł to smakiem i węchem, widział w jej oczach. Kazała mu odejść, więc w chwili wściekłości i niedowierzania wyszedł stamtąd.

Teraz nie był pewien, czy postąpił słusznie. Niczego nie był pewien, a już najmniej Phoebe.

Do wszystkich diabłów, ta kobieta doprowadzała go do szaleństwa!

Następnego dnia nie było lepiej. Pod nieobecność Phoebe Izzy wróciła do swojego dawnego, zuchwałego wcielenia. Nie zachowywała się tak źle od tygodni.

Tymczasem Helen skuliła się w kącie i cicho płakała w chusteczkę, a Kerry popatrywał na niego z ukosa, jakby zły nastrój dziewczynek był jego winą. Na domiar złego padało.

Nawet Catherine, która do perfekcji opanowała sztukę niezwracania uwagi na strapienia tego świata, zaczynała zdradzać oznaki napięcia.

Jej irytująca przyjaciółka dawno już straciła cierpliwość.

— Nie wiesz, co się dzieje z dziewczynkami, które się burmuszą i krzywią? - pani

Donahue strofowała Izzy kiedy wszyscy w ścisku wracali powozem z kościoła. - Ich buzie zostają na zawsze z brzydką miną i nikt nie chce się z nimi^ożenić.

— Z taką miną? - Izzy wywaliła język, jednym palcem podniosła do góry czubek nosa, a dwoma pociągnęła w dół dolne powieki. — Moja buzia zostanie taka? - przybrała ton przerażenia. — Och nie. Wtedy wyglądałabym tak jak ty!

— Izzy! — warknął James.

Ale dziewczynka tylko spojrzała na niego spođe łba, z twarzą zastygłą w wyrazie wściekłości i pogardy.

— Nie chcę, żebyś był moim ojcem. Nienawidzę cię!

Zanim zdołał ochłonąć po dźgnięciu poczucia winy, jakim to oskarżenie przeszło mu serce, dziewczynka otworzyła drzwi, przez moment balansowała na stopniu, po czym na łeb na szyję wyskoczyła z jadącego powozu na kamienistą ziemię.

James zerwał się na równe nogi.

— Stangret, zatrzymać!

Natychmiast wyskoczył za Izzy, ale jej już nie było. Jak dziki zając pognęła w mżawce do ponurego lasu, szukając w nim schronienia. Przynajmniej nic sobie nie zrobiła, ale mała to była pociecha.

— Do jasnej cholery! — zaklął.

— Doprawdy, Jamesie — skarciła go Catherine. -T u są damy. I dziecko.

Oto kwintesencja mojego problemu, miał ochotę ryknąć. Za dużo dam i dzieci domagających się jego uwagi, podczas gdy on chciał tylko odszukać Phoebe i ulżyć jej cierpieniu, które widoczne było na jej twarzy i w jej postawie, kiedy zobaczył ją w kościele. Z tym że nie mógł tego zrobić, nie wtedy, kiedy wszyscy uwzięli się na niego i cały czas czegoś od niego chcieli.

Z kolejnym przekleństwem cisnącym się na usta wdrapał się na kozioł koło stangreta, wziął od niego lejce i pognął zaprzęg. Najpierw musi odwieźć wszystkich do Farley Park. Potem zamknie się przed nimi i przemyśli cały ten bałagan. Wszystko wymyka się spod kontroli, a całe jego życie staje się piekłem.

Ale przecież nie z powodu dzieci. One nie są niczemu winne. To on jest sprawcą swojej pożałowania godnej sytuacji. Jedyńm sprawcą. Wpatrywał się w drzewa, między którymi zniknęła Izzy. Musiał wiedzieć, że jest bezpieczna. Nie, nie tylko bezpieczna, ale i szczęśliwa.

Teraz nie była ani bezpieczna, ani szczęśliwa. On też nie. Ani Phoebe.

Mimo że pogrążony był w ponurych myślach, powożenie końmi w błotnistych koleinach do pewnego stopnia uspokoiło go. Musi odzyskać kontrolę nad życiemjake sobie wybrał. Coś musi się zmienić. Tyle tylko, że nie był pewien co.

Po powrocie do domu Catherine zaczęła otaczać troską uroczą Helen.

- No już - powiedziała, tuląc ją do siebie. -Jestem pewna, że twój ojciec odnajdzie twoją siostrę. Prawda, Jamesie? - Obdarzyła go spokojnym, pełnym wiary

uśmiechem.

-

Już zawołałem po konia.

- Widzisz? - Przyglądała pasemko złocistych włosów, które wynknęło się zza ucha

Helen. - Taka śliczna, mała dziewczynka jak ty nie powinna nigdy płakać. Od tego

puchną oczy, a nos robi się czerwony. Nie chcesz tego, prawda?

Helen pociągnęła nosem i otarła łzy.

-

Jak będziemy czekać, aż Izzy wróci do domu, możemy przynieść

tu

Leyę? Catherine zawahała się tylko przez moment, zanim odpowiedziała:

-

Ależ oczywiście, że możemy.

Tylko przez moment. Wystarczająco długo jednak, żeby do Jamesa dotarła

niepokojąca prawda. Catherine upodobała sobie Helen. Któż by jej nie lubił?

Dziewczynka była słodka, charakter miała uległy. Była ślicznym blond aniołkiem,

nie to co ciemnoskóra, egzotyczna Leya czy pyskata, nieposkromiona Izzy. Była

wspaniałą, młodą damą. Dzięki Phoebe. Catherine prawdopodobnie widziała w Helen

młodszą wersję siebie samej.

Phoebe natomiast kochała także Izzy i Leyę. Mimo ich problematycznego

pochodzenia i wychowania, Phoebe dostrzegła w nich to samo dobro i możliwości,

jakie widziała w swojej siostrzenicy.

Popełniał błąd, żeniąc się z Catherine Winfield. Nagle stało się to dla niego jasne.

Tak naprawdę, nie chciał się z nią żenić. Może nigdy tego nie chciał.

Było to ze wszech miar rozsądne. Pomogłaby mu w karierze i z pewnością stworzyłaby mu imponujący dom w Londynie. Prawdopodobnie dałaby mu także piękne dzieci i nie ma powodu wątpić, że kochałaby je.

Ale co z dziećmi, które on już ma?

Może to i nie w porządku oczekiwać od Catherine, żeby pokochała jego trzy pozbawione matek córki, jednak wobec miłości, jaką tak hojnie obdarzyła je Phoebe, trudno było nie winić Catherine za jej brak.

- Jadę szukać Izzy - powiedział.

Helen podniosła wzrok, siedząc koło Catherine pod oknem.

- Wiesz, dokąd ona uciekła?

- Nie. Masz jakiś pomysł?

Przyklęknął, rozpościerając ramiona i zdumiał się, jak szybko do niego podbiegła.

Wzruszenie ścisnęło mu pierś. Cóż to za słodkie kociątko, ta dziewczynka, to ufnie

dziecko, którego nie znał przez siedem straconych lat. Przytulił ją do serca. Dzięki Bogu, że dostał drugą szansę!

- Nie martw się, kochanie - powiedział głosem zduszonym przez

nowe uczucia. — Nic jej nie będzie. Twardy ma charakter ta nasza Izzy. Helen objęła go za szyję.

- Ona pewno poszła poszukać Phoebe - wyszeptała mu do ucha.

- Tak, pewno tak - odpowiedział szeptem.

Odsunęła się odrobinę i wpatrywała się w niego wilgotnymi, poważnymi oczami.

- Jeśli zobaczysz Phoebe, powiedz jej, żeby przyszła do domu.

- Tak zrobię. - Pocałował jej zadarty nosek i jeszcze raz przycisnął ją do siebie. —

Tak zrobię - obiecał, odkrywając nową przyjemność, jaką jest tulenie do siebie własnego dziecka. W taki czy inny sposób sprowadzi Phoebe do domu, do nich

wszystkich.

Ale najpierw musi znaleźć Izzy.

Na coś się zanosilo. Kerry obserwował Catherine, jak stojąc z Helen w oknie

przyglądała się odjazdowi Jamesa. Potem Catherine osunęła się na kanapę,

przyciskając do ust śmiesznie cienutką chusteczkę, żeby powstrzymać łzy. Łzy!

Jak na kobietę nieskłoną do okazywania emocji, było to bardzo wymowne i Kerry

uczul ciężar w piersi. Zastanawiał się, jak głębokie jest jej uczucie dla Jamesa. Teraz wiedział.

- Cicho, dziecko — powiedziała pani Donahue, odsuwając Helen stojącą jej na

drodze do roztrzęsionej Catherine. — Lady Catherine nie czuje się dobrze. No, no -

mówiła dalej, całą swą uwagę poświęcając Catherine. - Nie wolno ci doprowadzać

się do takiego stanu, moja droga. Jestem pewna, że lord Farley zaraz wróci. - Rzuciła chytre spojrzenie na Kerry'ego i objęła ramieniem omdlewającą kobietę.

— I jestem pewna, że znajdzie to dziecko, Izzy — powiedziała, jakby chciała

przekonać go, jak bardzo Catherine przejęta jest losem zbiegłej dziewczynki.

Wiedział, co ona sobie myśli: skoro Kerry i James są takimi dobrymi przyjaciółmi,

Catherine musi zawsze prezentować się mu z jak najlepszej strony. Jednak Kerry nie

winił Catherine za brak zainteresowania nieślubnymi dziećmi Jamesa. Prawdę

mówiąc, nie wyobrażał sobie, żeby jakakolwiek wysoko urodzona panna z

towarzystwa mogła zachować się w tej sytuacji lepiej od niej.

Tym, co zaprzętało jego myśli, było spostrzeżenie, że ona wciąż jest zakochana w

Jamesie, podczas gdy James najwyraźniej nie jest zakochany w niej. Prawdopodobnie

domyśliła się tego, jeśli uznać jej łzy za wskazówkę.

Zabronił sobie okazywania własnych uczuć. Przez krótką chwilę, kiedy już opłakała

zaręczyny z Jamesem, Kerry nabrał nadziei. Nie chodzi o to, że miał u niej jakieś

szanse. Co prawda on i Catherine doskonale czuli się w swoim towarzystwie i

wiedział, że go lubi, ale miał też świadomość, że ona nigdy nie sprzeciwi się ojcu.

Lord Basingstoke chciał dla swojej wspaniałej córki czegoś więcej niż młodszego syna bez skłonności do polityki i ze skromnym dochodem.

Dawno już ograniczył się do wielbienia jej z daleka, pocieszając się, że zakochała się w jego najlepszym przyjacielu. Mimo to wraz z oficjalnym zerwaniem jej zaręczyn

ożyły jego niemądre nadzieje

— do czasu, aż powiedziała mu, że ma zamiar pojechać za Jamesem do Yorkshire i poprosiła go, żeby pojechał pierwszy, wybadać sytuację.

Nie powinien był mieszać się w to. Teraz to rozumiał. Ale nigdy nie umiał odmówić

Catherine niczego i tym razem nie było inaczej. Jątrząc swoją ranę, pojechał do

Yorkshire, żeby przetrzeć jej drogę do Jamesa. Potem został, pozałowania godny,

żeby cierpieć do końca. Dlaczego ona nie widzi, jak bardzo jest jej oddany?

A dlatego, że tak dobrze ukrywał swoje uczucia.

Teraz jednak widok jej cierpienia stał się dla niego nie do zniesienia. Przywołał

Helen, żeby usiadła koło niego. Cokolwiek, byle tylko nie rzucić się ku Catherine.

— Jestem pewien, że James i Izzy wkrótce wrócą do nas cali i zdro

wi. Może trochę mokrzy — dodał, uśmiechając się do Helen. Z drugiego końca

pokoju dobiegł szept Catherine:

— On troszczy się bardziej o to dziecko niż o mnie.

Każde jej słowo przepełnione było bólem.

— To nieprawda - zaprotestowała pani Donahue.

— Obawiam się, że może tak być - powiedział Kerry, nie mogąc się

powstrzymać. Pani Donahue rzuciła mu miażdżące spojrzenie.

— Panie Fairchild, może pan nie zauważył, ale staram się pocieszyć lady Catherine...

— Okłamując ją?

Kerry wiedział, że powinien zamilknąć. Już powiedział za dużo. Tylko że trzymał język za zębami przez niemal trzy lata i nie sądził, żeby zdołał milczeć choćby minutę dłużej.

Uspokajająco poklepawszy Helen, wstał i podszedł do siedziska pod oknem, wpatrując się w szeroko otwarte oczy Catherine, a zupełnie ignorując jej wściekłą przyjaciółkę.

— Czy chcesz poślubić Jamesa Lindforda? Nie wicehrabiego Farleya, tego eleganckiego światowca, który pragnie w polityce pójść śladem twojego ojca, ale Jamesa Lindforda, troskliwego ojca trojga nieślubnych dzieci?

— Oczywiście, że chce! - wykrzyknęła żarliwie pani Donahue.

Kerry zaś dostrzegł wahanie w lapisowo błękitnych oczach Catherine.

— Nie, nie sądzę, żeby chciała. Bądź szczerą, Catherine. Czego ty chcesz? Ty, nie twój ojciec czy ta twoja przyjaciółka.

— Ja... ja nie wiem.

Kerry uśmiechnął się do niej, widząc zakłopotanie na jej pięknej twarzy.

— Czy nikt nigdy nie zadał ci tego pytania?

Z wolna pokręciła głową.

Pani Donahue wcisnęła się pomiędzy Kerry'ego a Catherine.

— To śmieszne. Oczywiście, że ona chce wyjść za niego. To ona ubłagała ojca, żeby zgodził się na tę podróż.

— Dlatego, że chciał, żebym wyszła za Percivala Langleya — wyrzuciła z siebie Catherine. Znów przycisnęła chusteczkę do ust. — On jest dziedzicem hrabiego Bexham, który podobno jest bardzo chory.

— Za Langleya? Twój ojciec chce cię wydać za tego wstrętnego, starego capa? -

Kerry natarł na panią Donahue, która zmuszona była się cofnąć. — Nic dziwnego, że pogoniła tu za Jamesem, skoro Langley jest dla niej jedyną alternatywą... -

Gwałtownie przerzucił wzrok na Catherine. — Masz inne możliwości, wiesz. Nie musisz się ograniczać do wyboru pomiędzy Langleyem a Jamesem.

Pani Donahue zaśmiała się paskudnie.

— Jeśli ma pan na myśli siebie, panie Fairchild, a jestem pewna, że tak, to mogę zagwarantować, że lord Basingstoke nigdy nie przyjmie pańskich oświadczeń.

— To nie on ma je przyjąć — odgryzł się Kerry — tylko Catherine.

W ciszę dzwoniącą po tym oburzającym wyznaniu wdarł się cichy, dziecinny głosik.

— "Wydaje mi się, że może pan Fairchild panią kocha, lady Catherine.

Kerry zakrztusił się śmiechem, słysząc jak słodko Helen wygłosiła tę oczywistą prawdę. Pani Donahue nie posiadała się z oburzenia, a Catherine tylko wpatrywała się w niego, zdumiona bez wątpienia bezczelnością jego wyznania, wygłoszonego w dodatku ustami dziecka.

Schyliła głowę pod jego uporczywym spojrzeniem, a kiedy spojrzała na niego, znów była opanowana. Kiedy wstała, była tą elegancką kobietą, którą uwielbiał od tak dawna. Po jej wzburzeniu nie zostało ani śladu. Serce waliło mu z przerażenia.

Catherine znalazła się prawdopodobnie na znanym sobie terenie, nawykła do odprawiania natrętnych adoratorów, do odrzucania niestosownych partii.

- Zostawcie nas samych — powiedziała do pani Donahue.

Kobieta posłała Kerry'emu złośliwy uśmiezek. Ona też wiedziała, co teraz nastąpi.

Kerry zebrał się w sobie, kiedy wypchnęła Helen z pokoju i zamknęła za nimi drzwi.

W milczeniu przyglądał się, jak lady Catherine szykuje się, żeby dać mu kosza.

Widział, jak oblizuje prześliczne, różowe wargi, widział jak faluje jej cudna pierś.

- Czy to prawda? — spytała. — Kochasz mnie?

Zesztywniał, boleśnie zaciskając dłonie w pięści za plecami.

- Kocham.

Zamrugła powiekami, co stanowiło nieznaczny wyłom w absolutnym spokoju jej twarzy.

- Przez wszystkie te lata byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Dlaczego dopiero teraz się z tym zdradziłeś?

- Ponieważ ty czekałaś na Jamesa. Myślałem, że go kochasz. - Przerwał. - Kochasz go?

Wstrzymał oddech. Nie uciekła wzrokiem przed jego wyzywającym spojrzeniem.

- Nie.

- Nie? — Czy on dobrze słyszy?

- Ja... lubię go. Jest przystojny i bogaty. Mój ojciec chętnie widziałby go jako zięcia, przynajmniej do tej sprawy z dziećmi. Ojciec był taki zagniewany, że chciał, żebym

natychmiast wyszła za kogoś innego. Uparł się na Percivala Langleya, ale ja... ja nie mogłam. Więc przyjechałam tutaj...

- Pomimo zastrzeżeń wobec Jamesa?

Skinęła głową.

Szalona i nieokiełznana nadzieja targnęła sercem Kerry'ego.

— Nie wychodź za Jamesa, Catherine.

Zatrzepotała dłonią w bezradnym geście.

— Mówisz tak, jakby to było takie proste. Ale oboje wiemy, że nie jest.

— Chodzi ci o Langleya?

— Chodzi mi o mojego ojca. Powiedział, że jeżeli James będzie trzymał swoje dzieci poza Londynem, to on rozważy nasze ponowne zaręczyny.

— Do diabła z twoim ojcem!

Wytrzeszczyła oczy. Kerry nie ustępował.

— Wyjdź za mnie, Catherine. Może nie mam tytułu, jakiego byś chciała, ani pieniędzy, ale nadrobię te braki w inny sposób. Przysięgam.

Wpatrywała się w niego uważnie.

— W jaki sposób?

To pytanie zbiło go z tropu, ale też podsyciło szaloną nadzieję, która obudziła się w jego piersi.

— Będę cię kochał. Ani James, ani Langley nie mogą ci tego obiecać. Kocham cię od lat. Zawsze będę. Będziesz najważniejsza w moim życiu. Będziesz centrum mojego świata. Mój świat będzie się kręcił wokół ciebie, Catherine. Przysięgam.

Znów łzy zabłyśły w jej przejrzystych, błękitnych oczach, ale te łzy były dla niego.

Wziął jej dłoń, bojąc się uwierzyć, że może zdobyć tę piękną, delikatną kobietę.

— Wyjdź za mnie, Catherine. Wiem, że mnie nie kochasz — dodał czym prędzej — ale mnie lubisz, prawdopodobnie bardziej niż Jamesa czy Langleya. Zawsze było nam ze sobą dobrze i... i ja cię kocham. Nie pozwól, żeby twój ojciec wydał cię za jakiegoś mężczyznę, który nie może ci tego powiedzieć z pełnym przekonaniem.

Wyjdź za mnie.

Milczała tak długo, że zaczął się pocić.

— Dobrze — powiedziała w końcu łagodnym, bezbronnym głosem.

- Dobrze? — Kerry zamarł, nie będąc w stanie nawet odetchnąć. Czy się nie przesłyszał?

- Wyjdę za ciebie - dodała, zaczynając się uśmiechać drżącymi wargami.

Pochylił głowę. Ciągnęło go do tych słodkich, drżących ust. Umierał z pragnienia, żeby je pocałować po tylu latach, podczas których wiedział, że nigdy nie będzie miał

prawa tego zrobić. Musiał ją pocałować, żeby przekonać się, że to nie sen wyczarowany przez jego rozgorączkowany umysł. O centymetr od swojego celu zatrzymał się.

- Kiedy za mnie wyjdiesz?

- Tak szybko, jak zechcesz.

- Jutro?

Roześmiała się najpiękniejszym, dźwięcznym śmiechem, jaki kiedykolwiek słyszał.

- Tak szybko? ;

- Albo tak, albo zgodzisz się, żebym się do ciebie zalecał.

- Dobrze.

To jest sen. To musi być sen! Chciał jednak zaryzykować i przekonać się, czy ten sen jest rzeczywistością.

- Dobrze, wyjdiesz za mnie jutro? Czy dobrze, pozwolisz, żebym

się do ciebie zalecał? — Uśmiechnął się do niej przekornie. Wspięła się na palce i zanim ich usta się spotkały, powiedziała:

- Myślę, że... będzie to, co ty wolisz.

Chata na Śliwkowym Wzgórzu była pusta. Z komina nie unosił się dym. W

kamiennych ścianach życie zdawało się nie istnieć. Do tego potrzeba było Phoebe.

Phoebe, która gotowała, zajmowała się ogrodem, dbała o swoje stadko kur i kóz.

James osadził narowistego konia na podwórzu przed domem i nie bacząc na mżawkę,

przyglądał się skromnemu domostwu Phoebe. Jeśli potrafiła tu stworzyć szczęśliwy

dom, to o ile łatwiej byłoby jej stworzyć szczęśliwy dom tam, gdzie pieniądze i

przestrzeń nie są problemem.

Wtem oczy mu zaślniły na widok śladów zabłoconych stóp na ganku. Małych śladów

małych zabłoconych stóp. Izzy była gdzieś niedaleko. Nie w domu, bowiem ślady

zawracały sprzed drzwi z powrotem na podwórze. Tym razem zamiast ją tropić, wolał, żeby sama do niego przyszła. Chciał, żeby obdarzyła go takim samym ufnym uściskiem jak Helen. To nie stanie się dzisiaj, ale być może jest na dobrej drodze, żeby sobie na to zasłużyć.

Zsiadł z konia i podprowadził go pod mały ganek, po czym usiadł na najwyższym schodku.

- Jesteś tam, Izzy? Możemy porozmawiać?

Żadnej odpowiedzi. Próbował określić, w którą stronę mogła pójść, ale deszcz rozmył ślady.

- Potrzebuję twojej pomocy, Izzy. Nie umiem skleić tej naszej rodziny bez twojej pomocy.

Znów nic. Szukał w głowie czegoś, co jeszcze mógłby powiedzieć, czegoś, co wyciągnęłoby ją z ukrycia, jeśli w ogóle była w pobliżu.

- Przepraszam - zawołał w pustkę.

W napięciu czekał na odpowiedź. Wtem, z nowiutkiej stajenki dla kóz po drugiej stronie podwórza, dobiegło:

- Za co przepraszasz?

Spojrzał z ukosa na stajenkę, ale nie dostrzegł Izzy. Niemniej była tu i czekała na odpowiedź. Powiedział jedyną rzecz, jaka mogła mu przyjść do głowy:

- Przepraszam, że jestem takim nieudanym ojcem.

- I powinieneś przepraszać. — Po długiej chwili ciszy padło oskarżenie. — Wszystko robisz źle. Wszystko!

James spojrzał na swoje splecione dłonie. Miała rację. Miał dobre zamiary,

podejmując się wychowania jej i jej sióstr. Póki co jednak, nic nie okazało się takie, jak się spodziewał. Podniósł wzrok na stajenkę.

- Może z twoją pomocą nauczę się robić wszystko lepiej.

Powoli drzwi stajenki otworzyły się i stanęła w nich drobna postać. Zabłocona i przemoczona Izzy. Poczul ulgę. Potem zauważył, że brodę ma wysuniętą do przodu, ramiona skrzyżowane, postawę równie buntowniczą jak zawsze.

- Czemu po prostu nie wrócisz do Londynu i nie zostawisz mnie, Helen i Lei z Phoebe? Jedź, ożeń się z tą głupią snobką i zostaw nas w spokoju.

Pokręcił głową.

- Nie mogę was zostawić, Izzy. Ty jesteś moją córką, moim najstarszym dzieckiem. Leya jest moją najmłodszą, a Helen średnią córką. Każda z was jest dla mnie kimś szczególnym i rzecz w tym, że nie chcę mieszkać nigdzie, gdzie was trzech nie będzie.

Naprawdę tak myślał. Nigdy nie mógłby wrócić do Londynu bez nich.

- Ale ja nigdzie nie pojadę z tobą i z tą lady Catherine. Zostaję tu, z Phoebe. Helen i Leya też.

-I ja też.

Własne słowa zaskoczyły go tak samo jak Izzy. Gapiła się na niego przez rozmiękłe podwórze z niedowierzaniem wyraźnie malującym się na twarzy.

- Robisz mnie w konia?

- Nie. -Wstał i równym krokiem ruszył w jej stronę. - Nie robię cię w konia, Izzy. Nie ożenię się z Catherine. I nie przeniosę się z powrotem do Londynu. Myślę, że chcę zostać tutaj i mieć moje dziewczynki koło siebie.

Izzy przechyliła głowę.

- I ożenić się z Phoebe?

Parsknął śmiechem. Odpowiedź nie była trudna.

- I ożenić się z Phoebe. Jeśli mnie zechce. - Zatrzymał się o trzy kroki od niej. - Nie jestem pewien,

czy mnie zechce. Co o tym myślisz?

Spojrzała na niego z naganą.

- Biorąc pod uwagę, jakim głupcem byłeś, nie byłabym taka pewna. Nie tego oczekiwał.

- Pomożesz mi? — spytał, uświadamiając sobie, że nie mówi tego ot tak sobie. Może rzeczywiście mogłaby mu pomóc.

Twarz Izzy nadal wyrażała wątpliwość.

— Chcesz mojej pomocy? Nie wiesz, jak zrobić, żeby kobieta cię chciała?

— Wiem, jak postępować z niewłaściwym rodzajem kobiet — mruknął, a potem jęknął. Nie mógł uwierzyć, że prowadzi taką rozmowę z dziesięcioletnią dziewczynką. Ale Izzy nie była jakąś tam dziesięcioletnią dziewczynką. Miała trudne życie i widziała rzeczy, jakich żadne dziecko nie powinno oglądać, a on już nie pozwoli, żeby oglądała je znowu. - Rzecz w tym - mówił dalej — że nigdy nie miałem do czynienia z kobietami takimi jak Phoebe, z właściwym rodzajem kobiet.

— Kochasz ją?

Unikał tego pytania. Za każdym razem, kiedy się wyłaniało spośród jego udręczonych myśli o Phoebe, unikał go. A teraz jego nad wiek mądre dziecko pytało go na swój bezkompromisowy sposób, czy kocha kobietę, o której powiedział, że chce się z nią ożenić.

— Tak. Jestem przekonany, że tak.

Zdumiał się, jak łatwo prawda zwyciężyła. Kocha Phoebe.

— Bo ona cię nienawidzi. - Izzy skrzyżowała ramiona, przybierając pozę, jakby chciała zachęcić go, żeby jej zaprzeczył. Zmarszczył brwi i dłonią w rękawiczce pomasaował się po karku.

— Więc jak mam to zmienić?

— Musisz sprawić, żeby cię pokochała. Daj jej coś, czego ona bardzo, bardzo chce.

— Nie sędzę, żeby Phoebe chciała ode mnie prezentów... - Przerwał, kiedy zaświtał mu w głowie pewien pomysł. — Ty chcesz, żeby Phoebe była twoją nową matką, prawda?

— Oczywiście.

— Świetnie, więc czy możemy zawrzeć pakt?

— Co za pakt?

Przysiadł na piętach, z twarzą na wysokości jej twarzy.

— Wydaje mi się, że oboje chcemy tego samego: żeby Phoebe zo stała moją żoną i matką moich dzieci. Zgoda? Wzruszyła ramionami, a potem bacznie mu się przyjrzała.

— Zgoda.

— Więc musimy współpracować, żeby to się stało.

Opuściła głowę, waząc jego słowa. Zauważył, że w młodej twarzy ma oczy starego człowieka. Jeśli nie zrobi dla niej nic więcej, przynajmniej to musi zmienić.

— Co mam zrobić? — spytała w końcu.

Wstał.

— Najpierw musimy odesłać Catherine do domu, do Londynu.

— Razem z jej paskudną przyjaciółką.

— Razem z panią Donahue - potwierdził.

— Ale pan Kerry może zostać, jeśli zechce.

— Prawdę mówiąc, myślę, że będzie wolał towarzyszyć Catherine, żeby się mogła wypłakać na jego ramieniu. Izzy przewróciła oczami.

— Jak sobie chcesz. Mężczyźni to durnie. Mama to zawsze powtarzała.

Jamesa ogarnęło poczucie winy. Tak, mężczyźni to durnie. A on był największym durniem ze wszystkich. Co do kobiet. Co do swoich dzieci. Co do miłości, wierności i tego, jak być szczęśliwym. Że też musi zaufać dziesięcioletniemu dziecku wychowanemu na ulicach Seven Dials, że wykorzeni z niego jego wady. Ale przecież on może się zmienić. Przynajmniej spróbuje. Do Izzy powiedział:

— Kiedy już Catherine ze swoim towarzystwem odjedzie, porozmawiam z Phoebe.

— Prawdopodobnie powie „nie”.

— Co masz na myśli? Moją propozycję małżeństwa? Dlaczego?

— Żeby się na tobie odegrać za to, że byłeś dla niej taki podły.

— Naprawdę myślisz, że Phoebe byłaby do tego zdolna?

Izzy zastanawiała się przez chwilę, po czym na jej wargach pojawił się leciusieńki półuśmiech i to tylko z jednej strony.

— Nie. Ona jest za dobra na to, żeby się na tobie odgrywać w ten sposób. Zobacz, jaka była dobra dla mnie po tym, jak ukradłam jej te wszystkie rzeczy. Nawet nie wie o wszystkim, co wzięłam.

— A co jeszcze wzięłaś?

Zarumieniła się ze wstydu.

— Kiedyś obrobiłam jej kieszeń. Tak tylko, żeby nie wyjść z wprawy, rozumiesz.

Wzięłam gwizdek i zegarek. Ale odłożyłam następnym razem.

James pokręcił głową, ale nie mógł się nie uśmiechnąć.

— Wygląda na to, że jej dobroć ci się udzieliła. Ale masz rację, była dobra, mimo że ją okradłaś z tych rzeczy, o których wiedziała.

Kiedy mokrzy jechali z powrotem do Farley Park, z Izzy przed nim w siodle,

trzymającą wodze drobną, pewną ręką, James miał świadomość, że on sam ukradł

Phoebe o wiele więcej niż wiadro, zegarek i kilka innych przedmiotów. Tego, co on jej ukradł, nie da się zwrócić, bowiem on ukradł jej niewinność. Ukradł także jej ukochane dziecko, tak to przynajmniej musiała widzieć.

Tego nie potrafił naprawić. Pytanie, czy bezpowrotnie złamał jej serce, zaręczając się ponownie z Catherine i czy bezpowrotnie straciła do niego zaufanie.

Podejrzewał, że umiałby ją nakłonić do małżeństwa. Jest przecież praktyczna. Kiedy jednak rozważał tę możliwość, objawiła mu się w końcu prawda o tym, czego naprawdę chce od Phoebe. Było to zdumiewające, zwalające z nóg. Otóż chciał, żeby wychodząc za niego, Phoebe go kochała. Chciał, żeby z uśmiechem, szczęśliwa i tak chętna jak on, związała się z nim na zawsze. Tego pragnął bardziej niż kariery politycznej, bardziej niż czegokolwiek.

Było to słodkie, ale pozbawienie jej niewinności było błahostką w porównaniu z tym, czego chciał od niej teraz. Zdecydowany był bowiem skraść jej serce i nigdy go nie oddać.

21

W kościele było okropnie. Phoebe przyszła wcześnie, mając nadzieję, że uniknie zagadywania przez sąsiadów, z których większość z pewnością oczekiwała, że opowie ze szczegółami jak wygląda życie w tym dziwnym Farley Park. Udało jej się ukryć w mroku starego kościoła, bez spotkania z nikim, i zająć miejsce w ławce należącej do jej rodziny.

Na nic się zdała modlitwa o natchnienie, jak postępować z Jamesem, bowiem każda modlitwa zamieniała się w żalosne błaganie o to, żeby go znów zobaczyć. Dziś. Tej nocy.

Jęknęła i pochyliła głowę, kryjąc grymas na twarzy w dłoniach. Nic nie było w stanie odwieść jej od myśli o tym przeklętym mężczyźnie. Nadeszła pani Leake i zajęła

miejsce obok niej, w ławce Churchillów.

— No, no — szepnęła w ciszy panującej w kościele. — Nie pozwól, żeby duch w tobie upadał, moja Phoebe. Ja wiem, że kochasz małą Helen, ale dobry Bóg przeznaczył ci lepszy los niż opiekowanie się cudzymi dziećmi. Będziesz miała męża i własne dziecko co drugi rok. Tego On chce dla ciebie i tego ja dla ciebie chcę. Wymagało od Phoebe całej siły woli, żeby nie udusić tej kobiety i nie wybiec z krzykiem z kościoła.

Od tego momentu było tylko gorzej. Usłyszała szmer, jaki przeszedł po zgromadzeniu, kiedy lord Farley z dziećmi i gośćmi zajął miejsce w pustej zazwyczaj stalli Farleyów. Izzy i Helen odwróciły się do niej, machając, pan Fairchild mrugnął do niej. Lady Catherine i pani Donahue nie pozdrowiły nikogo, ani po przyjściu, ani wychodząc.

Sam wicehrabia, dzięki Bogu, odwrócony był do niej plecami przez całe nabożeństwo. Musiała tylko pochylić głowę w modlitwie, kiedy wychodził, żeby nie spotkać jego wzroku. Mimo to czuła na sobie ciężkie, błękitne spojrzenie.

Czy on także, równie mocno jak ona, czuł na sobie ciężar jej spojrzenia w trakcie ciągnącego się bez końca nabożeństwa? Czy tak jak ona, modlił się o przebaczenie żarliwie i równie bezskutecznie?

Jak z deszczu pod rynnę, z pożalowania godnej sytuacji w kościele wpadła w pożalowania godną sytuację na obiedzie w pełnej ludzi jadalni pani Leake. Było gwarno, otaczał ją z tuzin gości. Przybył między innymi rzeźnik z najmłodszym synem i owdowiały farmer

z Wickfield, a także krzykliwy, czerwony na twarzy kupiec, którego podejrzewała, że jest przemytnikiem. Pani Leake nigdy nie była osobą subtelną i dziś nie było inaczej.

Phoebe czuła się jak mleczna krowa wystawiona na sprzedaż na targu.

Spośród kawalerów pochłaniających ogromne ilości specjałów pani Leake tym, którego Phoebe lubiła najbardziej, był słodki, prostoduszny Martin. On przynajmniej lubił ją dla niej samej, a nie dla farmy i domu, które wносиła w posagu.

Zanim kucharka pani Leake podała deser — ciasto rumowe ze słodkim kremem — skronie rozbolały Phoebe od wymuszonych uśmiechów, jakimi zbywała pytania o swojego otoczonego złą sławą pracodawcę.

— Czy już się pogodzili? — spytała pani Leake, nachylając się do Phoebe. — To, że byli razem w kościele, każe się domyślać, że się pogodzili. Ona i ta jej przyjaciółka są już u niego prawie od tygodnia.

— Od pięciu dni — powiedziała Phoebe. Spostrzegła się, że zabrzmiało to cierpko, więc dodała: - Przypuszczam, że najpierw powiadomią o tym swoje rodziny.

— Ale ty na pewno wiesz, skąd wieje wiatr - wtrąciła się pani Tins-dale. - Służba zawsze wie, co się dzieje w takim wielkim domu. Tak mówi moja siostra, a ona od dziesięciu lat pracuje na dolnych pokojach u hrabiego Fenhama.

— Guwernantka to więcej niż służąca — zaznaczyła pani Leake. — Poza tym nasza Phoebe jest teraz spowinowacona z lordem Farleyem przez Helen, jako jej ciotka.

Widzicie więc - mówiła, spoglądając znacząco na każdego z kawalerów po kolei - że nasza Phoebe jest całkiem obyta w świecie. W rzeczy samej.

Całkiem obyta w świecie. Te słowa ściagały Phoebe w drodze do domu, dręcząc ją coraz bardziej z każdym krokiem stawianym na błotnistym trakcie. Owszem jest całkiem obyta w świecie. Kochanka bogatego lorda. Czyż nie jest to marzenie każdej dziewczyny?

Pół kilometra od Śliwkowego Wzgórza złapał ją deszcz, ale nie przyspieszyła kroku.

Nie będzie już obiadów u pani Leake. Nie będzie się tłumaczyć, dlaczego woli iść na

piechotę, zamiast dać się odwieźć wozem Malcolma Horstata. Nie będzie wyjaśniać, dlaczego zamiast pójść z Denbym Fulcrumbem woli iść sama. Nie będzie już przemilczać faktu, że raczej waliłaby się młotkiem po głowie do nieprzytomności niż próbowała rozmawiać choć minutę dłużej z Gordiem Wilkinsem.

Staropanieństwo nigdy jeszcze nie wydawało się jej tak kuszące. Tylko że bycie kochanką Jamesa Lindforda byłoby o wiele przyjemniejsze.

Jęknęła na myśl o własnej perwersji i starła krople deszczu z twarzy. Potem naciągnęła budkę kapelusika na czoło i powlokła się pod górę, na Śliwkowe Wzgórze. Tak, byłoby przyjemnie. Momenty przyjemności przedzielone długimi dniami rozpacz.

Z drugiej strony myśl, że nigdy go już nie ujrzy, również doprowadzała ją do rozpacz.

Dotarła do domu zziębnięta, przemoczona i żałosna. Zdjęła mokre buty i okrycie, rozpałała ogień, nastawiła wodę na herbatę. Czekaając aż się zagotuje, odkurzyła, pozamiatała i przyniosła więcej opalu z drewnutni przy kuchennych drzwiach. Byle tylko mieć zajęcie i nie zauważać, jaka cicha i opuszczona stała się jej chata.

Dawno temu marzyła o samotności, o tym, żeby nikt niczego od niej nie wymagał i nie pouczał jej, jak ma się zachować. Wystarczyłoby przyjazne trzaskanie ognia, podczas gdy deszcz bezskutecznie puka do okien. Jak szybko samotność zamieniła się w opuszczenie.

Kiedy woda w imbryku zaczęła wrzeć, rozejrzała się po czystej, pozbawionej życia chacie, uświadamiając sobie niechcianą prawdę. Jest opuszczona. Ostatniej nocy była już wystarczająco opuszczona. Tej nocy będzie jeszcze gorzej. Nie znosiła mieszkać na Śliwkowym Wzgórzu bez Helen. Ale jeśli poszłaby za Helen, natknęłaby się na

Jamesa Lindforda i wpadła w ten sam zamęt uczuć, w jakim walczyli ze sobą zeszłej nocy.

Natknęłyby się także na żonę Jamesa Lindforda.

Znów westchnęła, mierząc się z prawdą, której rozpaczliwie chciała uniknąć. Jutro musi wrócić do Farley Park. Bez względu na straszliwą bitwę, jaką stoczyła z Jamesem, kiedy każde z nich starało się ujarzmić drugie, musi wrócić, jeżeli chce nadal uczestniczyć w nowym życiu siostrzenicy.

— Dobrze, pójdę - powiedziała do pustej chaty.

Gdyby nie ulewa, poszłaby od razu, żeby nie musieć przeżywać czekającej ją, dłużącej się, samotnej nocy. W taką pogodę jednak nie byłoby to mądre, postanowiła więc zostać i skrócić sobie czas kąpielą i myciem głowy.

Długo trwało, zanim nagrzała dość wody na kąpiel. Rozpaliła duży ogień, napełniła garnki, przyciągnęła wannę wiszącą na zewnętrznej ścianie kuchni. Zmierzch już zapadł nad rozmokłą ziemią, kiedy weszła do parującej wody, do której dodała suszonej lawendy. Zanurzyła się cała, tylko głowa i zgięte kolana wystawały nad powierzchnię.

- Ach — westchnęła.

Oparła się plecami, napawając się przenikającym ją ciepłem. Za chwilę wyjmie szpilki z uczesania i przystąpi do żmudnej czynności mycia i płukania długich do pasa włosów. Na razie jednak chciała się tylko odprężyć, pozwolić, żeby gorąca woda ulżyła napięciu ramion, rozluźniła zeszywniały kark. Chcąc przez chwilę odpocząć, zamknęła oczy, oparła głowę o zaokrągloną krawędź wanny. Jeszcze tylko kilka minut...

Dym z komina chaty Phoebe ulatywał na zachód gnany słonym wiatrem znad Morza

Północnego. Była w domu.

James pełen oczekiwania, a zarazem przestachu przynaglił konia. Odwiózł Izzy do Farley Park, zszedł ją z siodła przy drzwiach kuchennych, po czym odprowadził konia do stajni. Miał szczerzy zamiar wejść za nią do środka i odbyć rozmowę w cztery oczy z Catherine. Wszedł do kuchni, a tam kucharka poinformowała go, że lady Catherine postanowiła spędzić wieczór w swoim pokoju i poprosiła o tacę z kolacją. Podobnie zażyczyli sobie pani Donahue i pan Fair-child.

Kucharka wskazała trzy tace przyszykowane na szerokim stole kuchennym.

— Panienska Helen powiedziała, że chce zjeść kolację tutaj, ze mną. Panienska Izzy też. Ale teraz, kiedy pan wrócił... - Pytająco zawiesiła głos.

— Nic nie szkodzi. Dziewczynki mogą zjeść w kuchni, jeśli chcą.

— Doskonale. A pan, milordzie? Będzie pan jadł w jadalni, czy mam przygotować tacę do gabinetu?

James zerknął na Izzy, która, czając się w mroku koło spiżarni, słyszała każde słowo.

Mrugnął do niej.

— Proszę nic dla mnie nie szykować. Muszę wyjść. Mam coś do załatwienia.

Odprowadzany zachęcającym uśmiechem Izzy, wrócił prosto do stajni, osiodłał świeżego konia i nie bacząc na pogodę, wyruszył na Śliwkowe Wzgórze.

Teraz, kiedy był już prawie u celu, nie był pewien, od czego zacząć. Najpierw błagać ją o wybaczenie? Najpierw się oświadczyć?

Najbardziej chciał najpierw ją uwieść, sprawić, żeby zmiękła i stała się chętna uczynić wszystko, o co ją poprosi, tak żeby przyjęła jego oświadczyzny, zanim zdąży się zastanowić i przypomnieć sobie, jaki był bezmyślny i mimowolnie okrutny przez te kilka tygodni. Głupi, tępy, niezasługujący na kobietę taką jak ona.

Nie chciał zwłaszcza, żeby myślała o jego dawniejszych historiach z kobietami i o

tym, jak to może wróżyć na przyszłość. Teraz był innym człowiekiem, choć nie miał możliwości udowodnić jej tego. W uwodzeniu za to był dobry, to był jego jedyny as w rękawie, a wiedział też, jak chętną partnerką potrafi być ona.

Na samą myśl o jej jędrnym, brzoskwiniowym ciele, tak wrażliwym na jego dotyk, krew w nim zawrzała. Nie zauważył, że ściąga wodze, aż koń rzucił łbem i na wpół się wspiął.

— Wybacz, przyjacielu ~ powiedział, klepiąc konia po szyi, ale łatwiej było uspokoić narowiste zwierzę niż własne, narastające podniecenie. Tam, w tej niepozornej

chacie, czekała kobieta, która przez resztę swojego życia każdą noc spędzi w jego łóżku. Niech diabli wezmą spokój!

Jej obraz, takiej jaką widział w kościele, dręczył go przez cały dzień. Nie mógł już czekać ani minuty dłużej, żeby z nią być. Pognał przez kamienistą łąkę. Koń

przesadził stary, kamienny mur z takim zapasem, jakby to był kopiec kreta. Nic to dla nich.

— Dostaniesz w nagrodę worek owsa, kiedy wrócimy - obiecał koniowi James,

zeskakując z siodła. Uwiązał dzielne zwierzę w stajence dla kóz i choć niecierpliwy, najpierw zaczerpnął wiadro wody ze studni, a dopiero potem skierował swe kroki do

domu.

Spodziewał się, że Phoebe powita go w drzwiach. Czyżby nie słyszała tętentu kopyt,

dzwonienia podków o twardą ziemię? Za wcześnie, żeby już poszła spać. Wtem

przyszła mu do głowy niewesoła myśl. Może Phoebe jeszcze nie wróciła z miasta?

Może to jej nowa służąca rozpalila ogień?

- Nie -jęknął, odrzucając tę możliwość nie do przyjęcia. Nie zważając na maniery,

wtargnął do domu bez pukania. Stał jak 'wryty. Przeskok był gwałtowny. Od

przeszywającego zimna wiatru na szczycie urwiska do wilgotnego ciepła przegrzanej

kuchni. Od lęku, że natknie się na kogoś innego, do widoku Phoebe z kroplami wody

na skórze, śpiącej w dużej, cynowej wannie, przy ogniu. Przytomności umysłu

wystarczyło mu na ciche zamknięcie drzwi, ale na nic więcej. Powinien wyjść i wrócić później. Albo wyjść, zapukać, poczekać, aż się obudzi, włoży coś na siebie i wpuści go.

Chyba tylko jakiś święty pozbawiłby się tej uczyty dla oczu, jaką miał przed sobą.

Phoebe całkiem bezbronna. Phoebe w całej swej niewinności. Młoda i wyczerpana i najpiękniejsza ze wszystkiego, co miał szczęście widzieć w życiu.

Jej wilgotne włosy zwinięte w loki na skroniach. Jej rzęsy rzucające półksiężycy cienia na kremowe policzki. Kropelki potu jak diamenty na jej czole na jej nagich ramionach i szyi. Zasluguje na prawdziwe diamenty, zdecydował James, choć wątpił, żeby oddały hołd jej urodzie bardziej niż te, które zdobiły ją teraz.

Rękę opartą miała na brzegu wanny, a on powiódł po niej wzrokiem, od łokcia poprzez smukły nadgarstek, po luźno ułożone palce.

Dech mu zaparło. Oto doskonałość. Idealna kobieta, która zasługuje na mężczyznę o wiele lepszego od niego. Nie był tak szlachetny, żeby zrezygnować z tego daru od losu. Pragnął jej. Zawsze będzie jej pragnąć.

Bez zastanowienia zdjął kapelusz, rękawiczki i płaszcz. Podeszedł bliżej .

Pochyliwszy się nad nią, włożył rękę do wody. Mocno wystygła. Chciał, żeby była ciepła, dla niej i dla niego. Dostrzegłszy garnek wrzątku na palenisku, zaczął powoli dolewać wody do wanny, uważając, żeby jej nie poparzyć. Przerwał, bo odwróciła głowę i poruszyła się w wannie, ale nie otwierała oczu, więc podjął przerwana czynność.

— Przepraszam, że przeze mnie twoje życie stało się takie skomplikowane i trudne

— wyszeptał do swojej śpiącej piękności, swojej przyszłej żony. - Obiecuję to wszystko naprawić.

Nagrodził go cień uśmiechu na różowych, pełnych wargach. Podejrzewał, że to nie

jego słowa sprawiły jej przyjemność, a raczej ocieplenie się wody. Było mu wszystko jedno. Wlał resztę wody i zamieszał ręką w wannie, rozprowadzając ciepło wokół niej.

Musnął czubkiem palca jej kolano, przesunął kciukiem po udzie. Krew napłynęła mu do łędźwi. Jęknął. Gorąco otaczało nie tylko Phoebe. Ogarniało i jego. Jego chętne ciało trawiła gorączka miłości i pożądania.

Znieruchomiał, porażony tą myślą. Miłość i pożądanie. Nie tylko pożądanie, nawet nie pożądanie na pierwszym miejscu, a miłość potem. To miłość była ogniem płonącym w jego żyłach, miłość do tej jednej, jedynej kobiety. Do Phoebe i żadnej innej.

— Phoebe - szepnął, przyklękając na jedno kolano koło wanny.

- Phoebe, zbudź się. — Powiódł dłonią po jej udzie, po kolanie i dalej, w wodzie.

Zamoczył mankiet, ale nie zauważył tego. - Zbudź się, moja piękna panno młoda.

Otwórz oczy i zobacz, co ze mną zrobiłaś. Pospiesz się, inaczej podrę spodnie, tak cię pragnę.

Phoebe było ciepło i przyjemnie, wcale nie miała ochoty wracać na jawę. Nie

powinna spać w wannie, powinna raczej umyć się, póki woda jest jeszcze ciepła.

Jeszcze jest czas, postanowiła ta część jej umysłu, która czuwała. Z westchnieniem poruszyła się w wannie. Woda jest wciąż ciepła. Jest mnóstwo czasu.

Coś musnęło jej nos, lekko jak piórko albo jak wietrzyk. Zmarszczyła nos i odleciało, ale zaraz dotknęło jej ust. Poruszyła wargami, odleciało. Wróciło, musnęło jej dolną wargę, potem górną.

Jak dobrze. Rozchyliła wargi. Jak zmysłowo, jakby ją całował James... Otworzyła

oczy, mrugając mokrymi, sklejonymi rzęsami. Śniła o Jamesie, co

w tym

dziwnego? Każdy moment na jawie wypełniony był myślami o nim. Czemu we śnie miałyby o nim zapomnieć?

Zamrugnęła znowu, a przed jej oczami pojawiła się jego twarz. Zdawał się tak rzeczywisty, pochylony nad nią, uśmiechający się jednym kącikiem warg, z błyskiem miłości w oczach.

Miłość. Odwzajemniła uśmiech, a powieki znów jej opadły. Przepęłniało ją zadowolenie, jakiego nie знаła. On ją kocha. Znów musnął palcem jej wargi, a ona rozchyliła je do pocałunku, którego tak rozpaczliwie pragnęła.

-Pocałuj mnie — szepnęła. - Proszę.

- Z przyjemnością — odpowiedział.

Na moment wsunął palec między jej wargi, a ona odczuła czystą rozkosz. Och, jak dobrze. Ujął jej policzek, a ona wtuliła go w jego dłoń. Jak dobrze. Jak prawdziwie. Zbyt prawdziwie. Dopiero kiedy uniósł jej brodę, prawda uderzyła ją boleśnie jak policzek wymierzony przez matkę. Szarpnęła się rozbudzona i usiadła wyprostowana, wyciągając przed siebie nogi. Woda chlusnęła przez krawędź wanny. Uśmiechnął się na widok jej nagle odsłoniętych piersi, a wtedy ona z piskiem przerażenia zanurzyła się znowu, rozchlapując jeszcze więcej wody.

On tu jest i to nie był sen!

- Nie patrz - rozkazała, w pół drogi pomiędzy szokiem, gniewem a jakąś zupełnie szaloną radością. Zakryła piersi rękami. — Zamknij oczy.

James pokręcił głową i zamiast jej posłuchać, oparł się łokciami na krawędzi wanny.

Był w samej koszuli, jeden rękaw podwinięty miał do łokcia.

Wpatrywała się w niego zmieszana.

— Jak długo tu jesteś?

— Dość długo. Musiałem cię zobaczyć.

— Zobaczyć mnie? — Phoebe przewróciła oczami i zaśmiała się zduszonym

śmiechem. - Myślę, że napatrzyłeś się wystarczająco.

— Nie.

Pochylił się niżej i pasmo włosów opadło mu na czoło. Zabawne, jakie złociste są jego włosy w blasku ognia. Powinien je podciąć. Prawdopodobnie nie robił tego od przyjazdu do Yorkshire.

Zamknęła oczy na te perwersyjne myśli. Jego włosy to nie jej sprawa. Niech lady Catherine podziwia ich kolor, skręt i długość, nie ona.

Odwróciła twarz do ognia.

— Czego chcesz, lordzie Farley? Jakiś problem z dziećmi?

— Tylko ten, że tęsknię za tobą.

— Więc niepotrzebnie traciłeś czas, przyjeżdżając tutaj. Mam szczerzy zamiar wrócić rano, więc po kłopotcie.

— Nie przyjechałem tu z powodu dzieci i na pewno o tym wiesz. Nie trudziła się odpowiedzią. Oczywiście, że wiedziała. Przyjechał być z nią sam na sam, na co pozwalała samotna chata.

Gdyby tylko ta myśl nie przejmowała jej tak potężnym dreszczem podniecenia.

Gdyby mogła być zagniewana i obrażona tym założeniem, że mogłaby go tu chcieć.

Ale nie, ją przepełniało oczekiwanie i namiętność. Po ich ostatnim starciu...

Nie, nie będzie o tym myśleć. Wielkie nieba, żądza odebrała jej rozum. Zanurzył rękę w wodzie i zataczał kręgi wokół jej wystających kolan.

— Mam ci coś do powiedzenia.

Nie miała ochoty tego słuchać. Ani zapewnień o jej miejscu w jego życiu po jego

ślubie, ani obietnic dotyczących dzieci czyjej pozycji

w jego domu, ani wyrazów szacunku dla niej. Podjęła już decyzję powrotu do Farley

Park, a nie jest taka głupia, żeby udawać, że nie wie, do czego to prowadzi. Gdyby

tylko chciał jej za żonę, a nie kochankę.

Odchyliła głowę do tyłu. Nic nie mów. Tylko mnie kochaj. Kochaj się ze mną. Nie będąc w stanie wypowiedzieć tych słów, pokazała mu je, opuszczając ramiona, którymi zasłaniała się przed nim. Jego wzrok powędrował ku jej piersiom, ledwo przykrytym mydlaną wodą. Kiedy znów spojrzał jej w twarz, źrenice miał rozszerzone. Wiedziała, że zrozumiał jej milczący przekaz. Nieświadomie rozchyliła wargi, oddychając płytko. Pocałuj mnie.

Poczuła jego dłoń błędzącą po jej udzie, najpierw na zewnątrz, w górę, potem po wrażliwej wewnętrznej stronie. Leciutkim naciskiem rozchylił jej nogi. Głowa, ramiona, nogi. Leżała teraz swobodnie, otwarta dla niego, ledwo osłonięta wodnym woalem.

- Masz pojęcie, jaka jesteś teraz piękna?

Głos miał niski, mroczny z podniecenia. Ją podnieciła świadomość, jak łatwo wzbudza w nim namiętność. To tylko ciało, chciała powiedzieć, to samo, znajome ciało, w którym żyła od zawsze. Wiedziała, że daleko jej do najpiękniejszej z kobiet, z jakimi był. Jednak z jakiegoś powodu on zachwycił się nią, taką zwyczajną, a pod jego zachwyconym spojrzeniem czuła się piękna. Zawsze będzie mu wdzięczna, choćby tylko za to.

Przesunął dłoń w dół jej uda. Wstrzymała oddech, kiedy jego dłoń zawisła nad kępką włosów kryjących wejście do jej wnętrza. Była taka gorąca w środku, o kilka centymetrów od jego palców.

Zaparło jej dech na widok lekkiego uśmiechu satysfakcji na jego wargach. Nie pozostał tam, gdzie pulsowała gotowością. Przesunął dłoń po drugim udzie, po kolanie nad powierzchnią wody i z powrotem, po łydce, do kostki. Była gorąca i

mokra. Śliska.

- Ciepło ci?

Skinęła głową. Och tak. Dźwięk jego głosu rozpalał ją. Poglądził jej stopę, potem wyjął ją z wody.

- Piękna - wymruczał.

Schylił się, żeby spić z niej wodę. Phoebe jęknęła. Czuła jego język na swoim gorącym, mokrym ciele — pod kolanem, na kostce, na wrażliwym łuku stopy.

Przewiesił jej nogę przez krawędź wanny i w ten sam zmysłowy sposób zajął się drugą.

Phoebe obsunęła się w wannie po brodę w wodzie. Na wpół pływała, zakotwiczona w wannie jedynie łokciami, kolanami i głową. Cóż za rozkosznie bezbronna pozycja.

Ale przecież była bezbronna wobec jego czaru od pierwszego spotkania.

— Moja nimfa. Czy umyłaś się, zanim się zdrzemnęłaś w wodzie?

Nawet gdyby Phoebe wyszorowała się od stóp do głów, i tak by skłamała.

— Nie. — Spojrzała mu prosto w oczy, bez tchu czekając, co on zamierza zrobić.

-Jeszcze nie.

— To dobrze.

Obok wanny znalazł myjkę i mydło. Namydlił myjkę i zaczął od jej stóp. Phoebe rozprostowała palce. Litości, pod jego dotknięciem stawały się wrażliwe do szaleństwa. Palce stóp, miejsca między nimi. Czegokolwiek by dotknął, pozostawiał naładowane erotyzmem. Jedną ręką przesunął od kolana, do części jej ciała zanurzonych w wodzie, drugą wsunął jej pod pośladki i uniósł, aż jej brzuch znalazł się pod samą powierzchnią wody.

— Moja syrena.

Uszczypnął wargami wrażliwą skórę jej brzucha, co odczuła, jakby zatrzęsała się

ziemia. Jego zaborczość wstrząsnęła nią do głębi. Jakby to odgadując, spojrział na nią oczami płonącymi błękitnym ogniem.

— Dość zabawy, pozwól mi wrócić do pracy.

Szorstką myjką zaczął ją myć między nogami. Phoebe nie zauważyła, kiedy zaczął to robić obiema rękami. Wiedziała tylko, że myjka drażni ją w cudowny sposób, podczas gdy jego druga dłoń sięga głębiej. Czując jego ciepły, śliski palec, krzyknęła z rozkoszy.

— Lubisz to, Phoebe? Powiedz.

— Och tak - westchnęła. - Och tak.

— Szybciej? Głębiej?

Skinęła głową, dysząc ciężko, kiedy on naciskał coraz mocniej swoim zręcznym palcem.

— Pokaż mi piersi.

Zrobiła to bez zastanowienia, odrzucając głowę do tyłu i wyginając się w łuk, a jej nabrzmiałe sutki wyłoniły się z wody. Powietrze na jej błyszczącej skórze było zimne, ale jego usta gorące. Gorące i drapieżne. Chwyciły jej pierś, wessały ją, a ona rzuciła się w górę, w porywie podniecenia.

Gryząc, ssąc, raniąc ją prawie, wydobywał żądzę z każdej części jej ciała, aż zamieniła się w istotę stworzoną tylko dla tej chwili.

Jeszcze głębiej i mocniej, aż ogarnęło ją to jak fala przyływu od stóp przez kolana po brzuch do granic jej samej. Uderzyło ją to jak wrząca fala tryskająca z wnętrza, jak wstrząs, potem następny i jeszcze jeden.

Ale nawet wtedy jej nie puścił. Wyciągnął ją z wody i przeniósł na dywanik, pozbywając się po drodze ubrania. Wisząc nad nią jak drapieżna bestia nad smakowitą zdobyczą, uniósł wysoko jej nogi. Oparł jej stopy na swoich ramionach i rozpalonym wzrokiem śledząc każdą jej reakcję, wszedł w nią.

Phoebe znów ogarnęły ogień i woda. Była naelektryzowana do tego stopnia, że każdy ruch spotęgowany był tysiąckrotnie. Z rykiem grzmotu, w świetle błyskawic zwały się niebo.

On nadal trzymał ją za biodra i nacierał na nią z dzikim zapamiętaniem.

Chciał, żeby poczęła jego dziecko.

Czemu ta myśl przyszła jej do głowy w takim momencie, nie potrafiła powiedzieć.

Pośród całego zamętu, była tego pewna. Za dużo wkładał w to siebie. Za dużo wydobywał z niej. Jaki inny mógłby być rezultat?

Czego jeszcze mogłaby chcieć?

Spojrzała na niego poprzez mgłę spełnienia i pożądania, miłości i tęsknoty i zobaczyła jego twarz, w chwili kiedy dochodził do szczytu. Oczy miał zmrużone, ale utkwione w niej z błyskiem czystego pożądania.

— Pokaż mi, że to lubisz - szepnął, z grymasem wysiłku, z jakim starał się zapanować nad własnym ciałem. - Pokaż mi jeszcze raz.

Te ochryple wypowiedziane słowa wystarczyły, by rozkosz znów wstrząsnęła nią do samej głębi. Mógł jej nie kochać, ale zawsze jej rozkosz stawiał na pierwszym miejscu. Nie swoją, a zawsze jej. Nic dziwnego, że tyle kobiet go uwielbiało. Czy naprawdę myślała, że mogłaby uciec od tego mężczyzny? Czy naprawdę wierzyła, że mogłaby bez niego żyć?

— Lubię to - wyszeptała, a słowa tamowały jęk w jej gardle. - Wiesz, że lubię.

Koszula luźno zwisała mu z ramion. Wsunęła pod nią dłoń i dotknęła jego piersi.

Serce wybijało szaleńczy rytm pod gorącą, wilgotną skórą. Mięśnie miał napięte, żeby utrzymać ją przy sobie, docierając do szczytu.

— Kocham to - wyznała, patrząc mu w oczy w momencie bezgranicznej szczerości.-

Ale najbardziej kocham... ciebie.

Na moment zmylił rytm. Prawie tego nie zauważyła, bo zaraz potem nastąpiła seria gwałtownych pchnięć. Z gardłowym okrzykiem się wyprężył. Mięśnie ud, piersi i ramion miał napięte, na wpół unosząc ją z podłogi.

Phoebe poczuła, jak wypełniają gorącym i zaborczym darem życia. Krzyknęła i zacisnęła się wokół niego, jakby mieli pozostać połączeni na zawsze.

To, czego doznała w wannie, już było niewiarygodne. Za każdym razem, kiedy byli razem, zawsze kończyło się to przyjemnością przekraczającą jej wyobrażenie. Ale tym razem uwolnione emocje dawały jeszcze większą rozkosz. Objawiła się im prawda. Ona go kocha i nie ma od tego odwrotu.

Opadł na nią, drżąc z wyczerpania. W gorącej ciszy, jaka zapadła w chacie, słychać było tylko ich dyszenie i przyjazne trzaskanie ognia. To był najdoskonalszy moment jej życia — spełnienie dla ciała i ducha. Napawając się tym rzadkim rodzajem satysfakcji, poczuła, że on też się odprężył.

Mogłaby tak zostać na wieczność, uznała. Gdyby tylko leżeli na łóżku, a nie na skotłowanym dywaniku na twardej, kamiennej podłodze i gdyby on nie był taki ciężki.

Poruszyła ręką, szukając wygodniejszej pozycji, a on natychmiast przetoczył się na bok. Teraz ona leżała na nim, naga, z rozciągniętymi ramionami i nogami, ze spletanymi włosami. Z tyłu cała była odsłonięta.

Ale nikt nie mógł ich zobaczyć. Poza tym w pokoju było gorąco, a ona przytulona była do cudownie ciepłego ciała. Jeśli drżała, to dlatego, że nagle się zawstydziła.

Teraz wiedział, że ona go kocha. Czy coś to zmieni między nimi? Czyjego to w ogóle obchodzi?

Oparła głowę na jego piersi.

— Czy to prawda? - spytał. Słowa wibrowały w ciszy.

Wiedziała, o co pyta. Zebrała całą swoją odwagę.

— Tak. Wygląda na to, że tak.

Nic nie odpowiedział, jakby zastanawiał się, co zrobić z nią i jej nieszczęsnym

uczuciem. Phoebe ogarnęła paniką, kiedy cisza przedłużała się boleśnie. Co się stało?

Co powinna zrobić?

Czemu on nie może odwzajemnić jej miłości?

Chciała się podnieść, ale przycisnął ją mocniej do siebie.

— Puść mnie, lordzie Farley. Ja...jest mi zimno. Muszę włożyć szlafrok.

Przetoczył się znów na nią, nakrywając ją swoim rozgrzanym ciałem,

unieruchamiając ją.

— Nigdy już mnie tak nie nazywaj, Phoebe. Od teraz zawsze będę dla ciebie

Jamesem.

Opierając się na łokciach, ujął dłonią jej twarz. Palcami drugiej rozplątywał jej

niesforne włosy na skroni i czole. Nie miała innego wyjścia, jak tylko spojrzeć mu w oczy, wpatrując się w nią uważnie.

— I od teraz nigdy przy mnie nie zmarzniesz. Zawsze będzie ci ciepło.

Zdobyła się na uśmiech, ale musiał on wyglądać jak grymas, bowiem mówił dalej:

— Obiecuję. A skoro mnie kochasz... bo nie kłamałaś, prawda?

Zamknęła oczy, przygnębiona.

— Nie kłamałam.

— To dobrze. W takim razie myślę, że najlepiej będzie, jeśli się pobierzemy.

Pobierzemy się? Phoebe wytrzeszczyła oczy.

— To znaczy ty i ja? My?

— Tak, Phoebe. Ty i ja. Czy wyjdiesz za mnie?

To się jej śni, oczywiście. Nie ma innego wyjaśnienia. To nie może być takie proste: ona wyznaje mu miłość, a on natychmiast się jej oświadcza.

Nie powiedział, że ją kocha.

Z trudem przełknęła ślinę. Przecież to nie może być warunkiem przyjęcia jego oświadczyn. Była zbyt rozsądna, żeby spodziewać się, że on ją pokocha. Chociaż pragnęła tego. Rozpaczliwie.

Czy on wciąż kocha Catherine? Chłód ją ogarnął na tę myśl. Na pewno nie mógłby.

Musiała to jednak wiedzieć.

— A co z lady Catherine? Czy już nie jesteś zaręczony z nią? Zmrużył oczy, a między jego brwiami pojawiła się niewielka bruzda.

— Nie na długo.

To ją powinno było pocieszyć, ale nie pocieszyło. Tak łatwo porzucał kobiety.

— Nie na długo? -Wydęła wargi, bojąc się usłyszeć odpowiedź na swoje następne pytanie. -A ja k długo będziesz zaręczony ze mną? Uśmiechnął się, jakby coś wiedział, jednym kącikiem warg.

— Zupełnie niedługo.

22

Phoebe jakimś cudem zdołała podźwignąć się z podłogi, naga i wyczerpana, i włożyć szlafrok. James pozostał tam gdzie był, leżąc na boku na dywaniku, przyglądając się jej niezbornym ruchom. Był jeszcze mokry po wodnych igraszkach, a spod ciężkich powiek jego oczy patrzyły zmysłowo i domyślnie.

— Nie dałaś mi jeszcze odpowiedzi, Phoebe.

— Na co? -Jakby nie wiedziała!

— Wyjdiesz za mnie?

Opuściła głowę i bawiła się tasiemkami, które miały zapobiegać rozsunięciu się szlafroka.

— Wyjść za ciebie? Czy zaręczyć się z tobą?

Przetoczył się na plecy.

— Możemy pominąć zaręczyny i przejść od razu do małżeństwa, jeżeli tak wolisz.

Oczywiście, będę musiał uzyskać specjalną dyspensę, żeby nie trzeba było dawać na zapowiedzi. — Przerwał, widząc zdumienie na jej twarzy. - Co? Myślisz, że nie mam środków, żeby uzyskać specjalną dyspensę?

— Ty... ty mówisz poważnie?

— Jak najbardziej. Są pewne korzyści z bycia wicehrabią, a jedną z nich jest znajomość z ludźmi, którzy mogą oddać mi przysługę.

— Nie, nie. Miałam na myśli małżeństwo ze mną.

Usiadł, wpatrując się w nią. W rozpiętej koszuli i ogólnym nieładzie mógł być zarządcą, którym chciała kiedyś, żeby był, osiągalnym dla kobiety takiej jak ona.

Przełknęła ślinę. A może on jest osiągalny? Na pewno to, co mówił, brzmiało szczerze.

— To jasne, że mówiłem poważnie. Inaczej, po co miałbym to mówić? Chwileczkę.

Czy kiedy powiedziałem, że nie będę z tobą zaręczony długo, ty naprawdę pomyślałaś, że oświadczam ci się z zamiarem zerwania zaręczyn?

— Przecież zamierzasz zerwać zaręczyny z lady Catherine - powiedziała Phoebe odrobinę obronnie. — A przedtem, w Londynie, ona zerwała z tobą.

— Ale ja zrywam z nią, żeby móc się ożenić z tobą - powiedział, wstając.

— Ale po co? - Phoebe objęła się ramionami, bojąc się mu uwierzyć. Gdyby pozwoliła sobie na nadzieję, która następnie zostałaby rozwiana, mogłaby tego nie

znieść. —Już zgodziłam się być guwernantką twoich córek i oczywiste jest, że skłonisz mnie do bycia twoją kochanką, bez względu na to, jak głośno bym protestowała. - Zaczerwieniła się, ale brnęła dalej. — Czy oświadczasz mi się, bo boisz się, że wyjdę za kogoś innego?

— Częściowo. - Zrobił krok w jej stronę. Cofnęła się. - Ale to nie jedyny powód.

— Nie chcesz się mną dzielić. O to chodzi?

Zacisnął szczęki, mięsień policzka zaczął pulsować.

— Nigdy nie podzielę się tobą z żadnym mężczyzną, Phoebe Churchill. Nigdy.

— No cóżjeśli mamy zostać mężem i żonąja też odmawiam dzielenia się tobą. Co ty na to?

W jego oczach pojawiło się zrozumienie. Zrozumienie i cień poczucia winy.

— Chodzi ci o moją przeszłość. Ale to już skończone, a poza tym, to co innego.

— Skąd mam mieć pewność? Skąd ty możesz mieć pewność? Przecież wiem, że jestem co najmniej piątą twoją kobietą. — Jej umysł buntował się przed tą myślą. — Równie dobrze mogę być piętnastą.

— Zacisnęła dłonie w pięści. —Albo pięćdziesiątą. Jego poczucie winy się pogłębiło.

— Żałuję, że nie mogę odmienić mojej przeszłości, Phoebe. Nie mogę i już. Mogę tylko powiedzieć, że przeceniasz mój urok. Te wszystkie kobiety... — Rozłożył ręce.

— Tak, goniłem za nimi. Zawsze goniłem za tym, czego chciałem, włącznie z tobą.

Ale żadnej z nich nie okłamałem. Zawsze wiedziały, jakie są moje zamiary.

Oświadczyłem się tylko dwa razy w życiu. Raz Catherine, a teraz tobie.

Chciała mu wierzyć. Chciała wierzyć w każde jego słowo. Zdawało się jednak, że im więcej od niego dostawała, tym więcej chciała. Najpierw była szczęśliwa, zostając jego kochanką. Potem zapragnęła małżeństwa. Nadal go pragnęła. Teraz zaś miałoby

to być małżeństwo z miłości. Najpierw miłość, potem małżeństwo i wierność aż po grób.

Problem w tym, że on jej nie kocha. Pragnie jej, może bardziej niż wszystkich tych kobiet przed nią. Wiedziała też, że ją lubi. Uważa ją za najlepszą kandydatkę do matkowania jego dzieciom. Ale nic z tego nie jest tożsame z miłością. Zebrała się w sobie.

— Gdybyś poślubił lady Catherine, byłbyś jej wierny?

Zaskoczyła go zupełnie tym pytaniem. Wetknął ręce w kieszenie, odwrócił się i zaczął niespokojnie chodzić w tę i z powrotem przed kominkiem.

— Próbowałbym.

O Boże! Phoebe w desperacji wyrzuciła ręce w górę.

— Próbowałbyś? Ty byś próbował?

Spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi.

— Owszem. Próbowałbym. Jestem z tobą szczerzy, Phoebe. Czy nie tego oczekujesz ode mnie?

— Szczerości i wierności.

. — Będę ci wierny.

— Doprawdy?

— Jest ogromna różnica pomiędzy tobą a Catherine.

— Nie musisz mi przypominać. — Teraz z kolei ona zaczęła krążyć po niewielkiej bawialni.

— Co to znaczy? - Chwycił ją za ramiona i zmusił, żeby spojrzała na niego. - Co to znaczy?

Pod wpływem jego dotyku straciła resztki panowania nad sobą. Jak z otwartej puszki

Pandory, wydobyły się na wierzch wszystkie jej sekrety, lęki i wątpliwości, żeby zatruć powietrze między nimi.

— To znaczy, że ona jest piękna, bogata i z dobrej rodziny. Jest wszystkim, czym ja nie jestem. Ja nie mam rodziny z koneksjami, nie mam doświadczenia w obcowaniu z arystokracją. Owszem, matka nauczyła mnie manier, ale to nie wystarczy, żeby sprostać obowiązkowi wicehrabiny.

Wicehrabina. Marząc o sobie jako o żonie Jamesa, Phoebe nigdy nie wyobrażała sobie siebie w roli wicehrabiny Farley. Teraz, kiedy możliwość taka zaczęła nabierać rzeczywistych kształtów, przeraziło ją to śmiertelnie.

Jej uczucia zmieniały się jak w kalejdoskopie. Wątpiła w jego gotowość do małżeństwa, podczas gdy to ona sama zupełnie nie nadawała się do tego związku.

Zdrętwiała ze strachu pokręciła głową.

- Nie mogę się zgodzić. Twoja propozycja pochlebia mi oczywiście, ale... Nie. Nie mogę wyjść za ciebie. Zacisnął dłonie na jej ramionach, przyciągając ją do siebie.

- Możesz. I wyjdiesz.

- Ty nic nie rozumiesz. - Pochyliła głowę, opierając czoło na jego piersi.—To nie jest możliwe.

Słyszała jego ochrypy oddech. Czowała unoszenie się i opadanie jego piersi.

- Powiedz mi: czy gdybym nie był wicehrabią, wyszłabyś za mnie? Spazmatycznie wciągnęła powietrze.

- Marzyłam, że jesteś zarządcą majątku — wyznała cicho.

Jego pierś zaczęła się dziwnie rytmicznie trząść. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiała. Śmiał się z niej! Uniosła głowę.

- To nie jest śmieszne! Byłaby ze mnie bardzo dobra żona zarządcy.

- Ale jeszcze lepsza będzie z ciebie wicehrabina. — Najczulszym gestem ogarnął

dłonią jej policzek i uśmiechnął się, patrząc w jej smutną twarz. - Może to, co powiem, pomoże cię przekonać. Jak już mówiłem, oświadczyłem się dwa razy w życiu. Nigdy jeszcze natomiast nie wyznałem nikomu miłości. Nigdy, do teraz.

- Teraz? Nigdy do teraz? — Phoebe nie była pewna, czy rzeczywiście wypowiedział te słowa, czy tylko jej biedny umysł wyobraził je sobie w akcie desperacji. — Nigdy, do teraz?

- Kocham cię. Ciebie, Phoebe. — Jego błyszczące, błękitne oczy szukały jej twarzy.

— Nie mogę żyć bez ciebie. Czy nie dowiodłem tego wielokrotnie? Goniłem za tobą za każdym razem, kiedy próbowałaś opuścić Farley Park. Potrzebuję, żebyś była tam przy mnie. Ty i żadna inna. A jeśli nie zechcesz mieszkać ze mną tam, to ja zamieszkać z tobą tutaj. Albo możemy zamieszkać w chacie zarządcy. — Jeden kącik jego warg uniósł się w krzywym uśmiechu. - Nie widzisz tego? Kocham cię.

Powiedz, że za mnie wyjdiesz, moja miłości. Błagam cię. Złamiesz mi serce, jeśli się nie zgodzisz.

Gdyby Phoebe nie widziała prawdy w jego oczach, gdyby nie czuła, jak mocno trzyma ją za ramiona, te proste słowa mogłyby nie wystarczyć, żeby mu uwierzyła.

Ale jak kobieta mogłaby się oprzeć takiemu błaganiu mężczyzny? Było tak nagłące i szczere, że łzy napłynęły jej do oczu.

— Naprawdę mnie kochasz?

— Kocham cię. - Pokręcił głową, jakby ten fakt zdumiewał go tak samo jak ją. —

Powinienem był uświadomić to sobie wcześniej i natychmiast ci powiedzieć. Jestem głupcem, wiem. Ale cię kocham. I będę dla ciebie kochankiem, mężem, wicehrabią albo zarządcą. Kim tylko zechcesz.

Kiedy wciąż wpatrywała się w niego, niezdolna się odezwać, dodał:

— I będę ci wierny. To obiecuję ci przede wszystkim. Moja przeszłość... —

Westchnął przeciągle, kręcąc głową. — Może po prostu czekałem, ćwiczyłem, zanim nadejdzie to prawdziwe uczucie. Ty. Teraz to widzę wyraźnie. Całe życie czekałem na ciebie, Phoebe.

Powoli Phoebe zaczynała się uśmiechać. Mówił poważnie. Naprawdę. Ogarnęło ją szczęście niepodobne do niczego, co znała. Tymczasem po cierpieniu, jakie jej zadał, nie chciała, żeby łobuzowi poszło tak łatwo.

— Ćwiczyłeś? - powtórzyła, spoglądając na niego z ukosa. — Mówisz, że każda z nich była tylko ćwiczeniem. Cóż, przypuszczam więc, że ćwiczenie się opłaciło. - Patrząc mu prosto w oczy, powoli zwilżyła wargi czubkiem języka. — Dobrze ci idzie przekonywanie dziewczyny, żeby zrobiła, co tylko zechcesz.

Oczy mu zapłonęły na tak zmysłowy widok, wyczuła jego napięcie. Trzeba mu jednak przyznać, że nie dał się zbić z tropu.

— Ale czy przekonałem cię, żebyś za mnie wyszła? - spytał. - Czy przekonałem cię, że cię kocham?

Phoebe z wysiłkiem powstrzymywała wybuch radości. Jej przekonanie było tak mocne, jak granitowa skała pod Śliwkowym Wzgórzem.

— Tak.

Teraz on się uśmiechnął. Przyciągnął ją bliżej.

— I wyjdiesz za mnie?

Zarzuciła mu ręce na szyję.

— Och tak.

James wyczuł różnicę w momencie, kiedy przyciągnął Phoebe do siebie. Choć z własnej woli wyznała mu miłość, wahała się, czy wyjść za niego. Był przerażony, że mogłaby odmówić. Teraz obejmowała go tak ochoczo, że jego obawy się rozwiały.

Jej miłość jak słoneczne promienie przenikała go i grzała w sposób, jakiego nigdy nie zaznał.

Cudownie było kochać się z nią. Zawsze była chętna, pełna żaru, oddawała mu się bez reszty.

Teraz jednak wyczuwał w jej silnym kobiecym ciele o wiele więcej. Zanurzył twarz w jej wilgotnych, splątanych włosach i napawał się ich zapachem. Esencja Phoebe.

Mógłby się nią upić. Chciał w niej zatonać. Esencja Phoebe. Esencja miłości.

— Nigdy nie będzie dla mnie nikogo poza tobą - wykrztusił, kiedy zapiekły go nieznane łzy.

— Lepiej, żeby nie było - powiedziała, szukając jego ust.

Przyjął jej pocałunek, rozkoszując się podnieceniem, jakie w nim wzbudziła. Porwał

ją na ręce i poniósł na górę, do jej sypialni pod pochyłym dachem, nie próbując nawet tłumaczyć jej, że źle go zrozumiała. To nie była obietnica. To było stwierdzenie

faktu, świadomość, osobiste olśnienie. Zawsze będzie pragnął tylko jej.

Przysięgając jej miłość i wierność, nie tracił wolności, swobody czy nawet kariery.

Zyskiwał coś, czego nigdy nie miał: radość, spełnienie. Rodzinę.

Miłość.

Epilog

„LONDON TATTLER", 28 kwietnia

Pikantna historia wicehrabiego Farleya, pogromcy serc, przybiera coraz bardziej

skandaliczny obrót. Okazuje się, że nie tylko odnowione zostały zaręczyny

czcigodnej lady Catherine z rozpustnym lordem Farleyem, ale i sam ślub już się

odbył. I to ni mniej, ni więcej, a na jałowym pustkowiu Yorkshire!

Lady Basingstoke jest podobno w prostracji wskutek tego małżeństwa zawartego tak

pospiesznie. Lord Basingstoke odmawia komentarza na temat niespodziewanej wolty

córki wobec lekkomyślnego wicehrabiego.

Aż strach pomyśleć, co było powodem owych zaślubin, których pośpiech

uniemożliwił obecność rodziny panny młodej. Biorąc jednak pod uwagę liczbę dzieci, których lord Farley jest ojcem, czyż można mieć wątpliwości?

„LONDON TATTLER”, 3 maja

Nawet w sezonie obfitującym w drobne skandale i grzeszki, występki niektórych wznoszą się jak góra grzechów nad doliną błędów innych.

Rzecz jasna, chodzi tu o haniebne prowadzenie się lorda Farleya. Nie dość, że igrał z uczuciami gwiazdy sezonu, lady Catherine Winfield. Co gorsza, pchnął ją do

małżeństwa zawartego w pośpiechu, bez zgody zdruzgotanych rodziców.

Teraz jednak prawda jest tak okrutna i niewiarygodna, że będzie ci wybaczone, czytelniku, jeśli odrzucisz tę gazetę, nie wierząc w ani jedno słowo, bądź wszakże pewien, że prawda jest taka, jak ją tu opisuję.

Lord Farley rzeczywiście zawarł związek małżeński w uproszczonym, wiejskim obrządku... ale nie z lady Catherine! Poślubił wiejskie nic, kobietę zatrudnioną jako guwernantka jego dzieci, była m. leczarkę!

Tak, drogi czytelniku. Nowa wicehrabina Farley jest prostą wieśniaczką zamieszkałą w pobliżu jego wiejskiej siedziby. Ciekawe, ile dzieci kryje ów człowiek na tym północnym odludziu i czemu dopiero teraz uznał za nieodzowne poślubić kobietę tego rodzaju, podczas gdy odmawiał tego wszystkim swoim poprzednim kochankom.

Co do lady Catherine, niedoszłej oblubienicy, wygląda na to, że również jej udziałem była przyspieszona ceremonia ślubna, która połączyła ją z wielmożnym Kerrym

Fairchildem, najmłodszym synem hrabiego Sanderly. Zrozumiałe, że jej głęboko zrozpaczeni rodzice stronią od świata.

„LONDON TATTLER”, 19 maja

Gdyby nie to, że wierni czytelnicy mają prawo znać prawdę, wasz korespondent podarłby papier i wyrzucił pióro, rozpaczając nad samolubną samowolą młodszej generacji. Jakże ma kwitnąć Matka Brytania z pokoleniem, które goniąc za

przyjemnościami, za nic ma dobre obyczaje? Małżeństwo bez błogosławieństwa rodziców może uchodzić jedynie wśród prostego ludu, gdyż poważnie narusza angielską tradycję konsolidacji władzy w najbardziej do tego powołanych rękach. Niestety, niektórzy spośród starszej generacji okazują się nieodporni na tę zarzę sprzeniewierzenia się tradycji. Mowa tu oczywiście o wiadomości, jakoby lord i lady Acton zamierzali wydać przyjęcie weselne dla swojego syna, powszechnie potępianego lorda Farleya - męża mleczarki.

Spodziewam się widowiskowej katastrofy. Kto cieszący się poważaniem pragnąłby znajomości z takim człowiekiem i jego bez wątpienia prostacką żonką?

„LONDON TATTLER”, 21 maja

Wczoraj po południu widziano lady Basingstoke w szykownym magazynie Madame Henri. Według niepodważalnego źródła mierzyła wspaniałą suknię, w której ma powitać świeżo zamężną córkę i zięcia. Zadumać się wypada nad rozpaczą nieszczęsnej matki stojącej przed wyborem, czy stracić ukochaną córkę, która pod wpływem impulsu wstąpiła w związek małżeński, czy przyjąć zbłąkane dziecko z jej jakże niedobraną partią. Choć pan Fairchild nosi dobre nazwisko rodowe, daleko mu do tego bogatego, utytułowanego mężczyzny, którego lady Catherine mogłaby poślubić. Lord Basingstoke nadal milczy jak grób o całej sprawie.

Tymczasem lady Acton, matka lorda Farleya, widywana jest na wyścigach, w Vauxhall Gardens i na każdym śniadaniu, raucie czy balu w mieście. Najwyraźniej wyczuwa niechęć, jaka narasta wobec jej syna i jego oblubienicy, dziewczyny od kóz, i stara się jej zapobiec.

„LONDON TATTLER”, 24 maja

Najdrożsi moi czytelnicy, prawda dziwniejsza jest niż fikcja, a z pewnością bardziej skandaliczna. Zdaje się, że lord i lady Basingstoke zamierzają być

współgospodarzami przyjęcia u lorda i lady Acton. Ich córka z małżonkiem podróżują na południe w towarzystwie lorda i lady Farley - określenia „lady” używam dość niezobowiązująco w wypadku tej ostatniej). Planuje się uczczenie balem obu par.

Choć z bólem, jednak muszę donieść (zakryjcie oczy, co bardziej wrażliwi z czytelników), że niektórzy zastanawiają się, co jeszcze te dwie pary robią wspólnie.

„LONDON TATTLER”, 30 maja

Portman Square roi się od dostawców i służby szykujących przyjęcie u lady i lorda Acton. Nieprzerwany strumień jeźdźców, powozów i pieszych przepływa przed rezydencją, zwłaszcza odkąd rozeszła się wieść o przybyciu niedobranej pary.

Czyżby chęć podglądania silniejsza była od rozsądku, tak że ci, którzy powinni się przed tym powstrzymać, łakną wydarzeń mających na celu uhonorowanie tych, którzy honoru nie mają? Bądźcie spokojni, drodzy czytelnicy -jeśli będzie trzeba, wasz wierny korespondent nie omieszką zrelacjonować wam tego przyjęcia ze wszystkimi szczegółami, nie bacząc na osobisty dyshonor.

„LONDON TATTLER”, 1 czerwca

W końcu można to powiedzieć. Pogłoski o małżeństwie lorda Farleya z dziewczyną od kóz były mocno przesadzone. Nowa lady Farley, uprzednio panna Phoebe Churchill, kuzynka w drugiej linii barona Kenningtona z Yorkshire, to zachwycająca kobieta, zachowująca się z wdziękiem pod baczny spojrzeniem ponad sześciuset gości. Jak można było się spodziewać, lady Catherine Fairchild, nee Winfield, zachowywała się tak, jak na taką wspaniałą istotę przystało.

Obie panny młode miały na sobie podobne suknie: lady Catherine z jedwabiu w kolorze kości słoniowej i lazuru, lady Farley z kremowej i jasnozielonej mory.

Podobnie ich przyjazne odnoszenie się do siebie nawzajem niweczyło wszelką próbę dopatrzenia się skandalu w ich stosunkach. Często widziano je krążące między gośćmi ramię w ramię.

Nieodstępujący ich na krok oblubieńcy zdawali się być całkowicie w swoim żywiole. Z ogromną ulgą wasz korespondent odnotowuje miłą prawdę: najwyraźniej to miłość pchnęła tak gwałtownie lady Catherine w ramiona pana Fairchilda. Innego wyjaśnienia nie ma.

Co do lorda Farleya i jego małżonki, można przypuszczać, że jego matka (wiecznie młoda, zawsze urocza lady Acton) wzięła nową lady Farley pod swoje skrzydła, bowiem jej zachowanie było bez zarzutu. Biorąc pod uwagę przeszłość lorda Farleya, zobaczymy, jak będzie się sprawował w przyszłości. No i oczywiście, jest jeszcze sprawa jego dzieci. Podobno troje z nich mieszka z nim i jego wybranką.

„LONDON TATTLER”, 2 czerwca Zazwyczaj niełatwo jest przedostać się przez Rotten Row, a wczoraj ta ulica była całkowicie zablokowana. Jakiż był tego powód? Otóż

młoda lady Farley z trzema córkami męża wybrała się na przejażdżkę bajecznym faetonem należącym do teściowej, zaś lord Farley towarzyszył im konno. Wszędzie, dokąd tylko się skierowali, przyciągali uwagę, bowiem jak się wydaje, każdy, kto jest kimś, czuje się w obowiązku rozpamiętywać niebywałą sukces przyjęcia wydanego przez nich dwa dni temu. Nawet wasz wierny korespondent był poruszony.

Jednak prawdziwym powodem ogromnego zainteresowania były trzy dziewczynki towarzyszące nowożeńcom. Lady Farley trzymała na kolanach śniade niemowlę, a wszyscy musieli dostrzec wielkie wzajemne uczucie łączące ją z tym maleństwem. Dwie starsze dziewczynki to ciekawa parka, prześliczne blondyneczki, które prezentują się nad wyraz wyśmienicie, zważywszy na ich wątpliwe pochodzenie.

W pewnym momencie lord Farley zaprowadził starsze dziewczynki nad wodę. Wtedy to lady Farley poinformowała obecnych, że jej małżonek ustanowił dla niej prawną adopcję jego córek. Rzecz z pewnością niespotykana, jednak jako była guwernantka zdaje się ona być wprost wymarzoną do tego osobą.

Wasz korespondent uważa za wyjątkową taką wielkoduszność u tak młodej kobiety.

Bez wątpienia lady Farley wniesie powiew świeżości w zatęchły nieco świat wyższych sfer.

Tylko jeden nieprzyjemny incydent zepsuł to popołudnie: jakiś zręczny złodziejaszek dobrał się do mojej kieszeni. W ścisku przy faetonie lady Farley zostałem pozbawiony mojego scyzoryka z macicy perłowej, złotego zegarka oraz półtora funta.

Skoro nie można czuć się bezpiecznie nawet w Hyde Parku, pośród creme de la creme towarzystwa, cóż, smutny to dzień dla Brytanii. Doprawdy, smutny dzień.

To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

Document Outline

- [Prolog](#)